

OBłęd SERCA

CHELSEA CAIN

1

Aż do tej chwili Archie nie miał pewności, że to właśnie ona. Nagła fala otępiającego ciepła biegnąca wzdłuż kręgosłupa i równie nagła utrata ostrości widzenia oznajmiają mu, że poszukiwanym mordercą jest Gretchen Lowell. Do jego świadomości dociera fakt, że podano mu jakiś narkotyk; za późno. Sięga po broń, lecz ruchy ma niezdarne i wszystko, co może zrobić, to wydłubać ją z kabury przy pasie i wyciągnąć w stronę stojącej przed nim kobiety, jakby to miał być prezent. Ona przyjmuje go z uśmiechem i dziękuje Archiemu delikatnym pocałunkiem w czoło. Potem wsuwa dłoń do kieszeni jego płaszcza i wyjmuje stamtąd telefon komórkowy.

Wyłącza go, a następnie wrzuca do swojej torebki. Archie jest już prawie zupełnie sparaliżowany; zapada się bezwładnie w głąb skórzanego fotela, który wraz z resztą idealnie dobranych sprzętów koncertowo odegrał rolę wystroju domowego gabinetu Gretchen. Zachowuje jednak całkowitą przytomność i ta świadomość nie daje mu spokoju. Kobieta klęka obok niego, jakby był małym chłopczykiem, i pochyla się nisko, niemalże ocierając wargami o jego usta. Gardło Archiego pulsuje jak szalone. Przełknięcie śliny jest niemożliwością. W nozdrza uderza jej zapach, zapach bzu.

- Musimy już iść, kochany - szepcze ona i wstaje, a on nagle unosi

się z fotela, poderwany od tyłu pod pachy. Przed nim pojawia się krępy mężczyzna o czerwonej twarzy, który chwyta go za nogi. W ten sposób Archie zostaje przeniesiony do garażu, gdzie czeka na niego zielony voyager - ten sam, którego wraz ze swoim zespołem śledczym szukał bezskutecznie przez

tyle miesięcy - i ułożony z tyłu. Gretchen siada mu okrakiem na brzuchu. Archie uświadamia sobie, że w samochodzie jest jeszcze ktoś, że to nie ona niosła go razem z tym krępyim o czerwonej twarzy, ale nie ma już czasu tego przemyśleć, bo jej uda obejmują jego tułów, a kolana dociskają się mocno do boków. Nie może ruszać gałkami ocznymi, więc ona opisuje mu, co się dzieje.

- Podwijam ci rękaw. A teraz zakładam stazę, czyli opaskę uciskową, żeby uwidocznic żyłę. - I podsuwa mu przed oczy strzykawkę. Przeszkolenie medyczne, przebiega mu przez głowę. Osiemnaście procent seryjnych morderczyń to pielęgniarki. Wbija wzrok w sufit. Szary metal. Tylko nie strać przytomności, rozkazuje sobie. Zapamiętaj wszystko, każdy szczegół, to będzie potem ważne. Następną myśl: Jeśli przeżyję.

- Dam ci teraz troszeczkę odpocząć - uśmiecha się Gretchen i pochyla nad nim, żeby mógł dokładnie widzieć jej piękną twarz. Blond włosy muskają jego policzek. Nie czuje tego wcale. - Potem będziemy mieli mnóstwo czasu na zabawę.

Arenie nie może jej odpowiedzieć, nie może nawet mrugnąć okiem. Chrapliwie łyka powietrze płytkimi haustami. Nie widzi, jak Gretchen Lowell wbija mu igłę w ramię, ale domyśla się, że musiała to zrobić, bo nagle wszystko ginie w ciemności.

Budzi się, leżąc na wznak. Nadal jest oszołomiony; nie od razu dociera do niego, że obok stoi tamten facet o czerwonej twarzy. W chwili, kiedy wreszcie go dostrzega - w tym pierwszym momencie świadomości - głowa tamtego eksploduje na tysiąc kawałków. Archie szarpie się całym ciałem, czując, jak obryzguje go krew i mózg, spływając mu po twarzy i piersi niczym struga ciepłych, gęstych wymiocin. Próbuje się odsunąć, ale tkwi w miejscu, przywiązany za ręce i nogi do jakiejś płaskiej powierzchni. Coś ohydnie gorącego osuwa mu się po twarzy i spada z młaśnięciem na podłogę. Archie szamocze się w więzach aż do krwi.

Bezskutecznie: nie ustępują. Odbija mu się żółcią, ale usta ma zaklejone taśmą, więc wszystko cofa się z impetem do gardła, wywołując kolejny atak mdłości. Oczy pieką go żywym ogniem. Nagle ją dostrzega; stoi nad ciałem tamtego faceta, trzymając w dłoni broń, która posłużyła jej do egzekucji.

- Chciałam, żebyś od razu zrozumiał, jak wiele dla mnie znaczysz - oznajmia, - Że jesteś jedyny i najważniejszy.

to tych słowach odwraca się i wychodzi.

A on zostaje i zaczyna układać sobie w myślach ostatnie wydarzenia. Przetyka z trudem ślinę, siłą woli zmuszając się do zachowania spokoju. Rozgląda się dookoła. Jest sam. Tamten facet leży martwy na podłodze. Gretchen nie ma w pobliżu, tak samo

nigdzie nie widać trzeciej osoby z samochodu. Puls łomocze z taką siłą, że Archie czuje już tylko krew tętniącą w żyłach. Czas płynie. Początkowo wydaje mu się, że leży w jakiejś sali operacyjnej. Pomieszczenie jest duże, rzęsiście oświetlone jarzeniówkami. Ściany wyłożone kafelkami z białej ceramiki, jak w metrze. Archie obraca głowę z boku na bok: dostrzega kilka tacek z różnymi instrumentami, jakąś medyczną, sądząc po wyglądzie, aparaturę, a na betonowej podłodze odpływ ściekowy. Jeszcze raz szarpie za więzy i zauważa, że jest przywiązany do szpitalnego łóżka na kółkach. Dwie rurki - kroplówka i cewnik - doprowadzają i odprowadzają płyny z jego ciała. W pomieszczeniu nie ma okien, a na obrzeżach świadomości snuje się ulotna woń poruszonej ziemi. Pleśń. Czyli jesteśmy w piwnicy.

Arenie zaczyna myśleć jak gliniarz. Zabójczym, której szukał, torturowała wszystkie swoje ofiary. Zwłoki porzucała dopiero po kilku dniach. To znaczy, że ma jeszcze czas. Dwa dni. Może trzy. Wystarczy, żeby go tutaj znaleźli. Powiedział przecież Hen-ry'emu, dokąd się wybiera, że umówił się z psychiatrą na konsultację w sprawie ostatniej ofiary. Chciał się z nią spotkać, wyjaśnić to dręczące przecucie, które nie dawało mu spokoju, odkąd ją poznał. Na to, co się stało, nie był przygotowany, ale jego ludzie na pewno będą umieli połączyć fakty. Henry nie zawiedzie. Znają ostatnie miejsce jego pobytu, a po drodze dzwonił jeszcze do żony - to będzie ostatni kontakt z zaginionym. Ciekawe, ile czasu minęło, odkąd go porwano?

Wraca Gretchen. Staje po drugiej stronie Archiego, nie tam, gdzie leżą zwłoki, a krew wciąż sączy się na szarą, betonową podłogę. Przypomina mu się ich pierwsze spotkanie: przedstawiła się jako lekarz psychiatra, mówiąc, że zrezygnowała z praktyki zawodowej, bo chce napisać książkę. Wyczytała gdzieś o zespole Archiego i postanowiła zadzwonić, żeby zaproponować swoją pomoc. Śledztwo dało się im wszystkim mocno we znaki, a ona chciała się do nich przyłączyć. To nie będą porady, zastrzegła, tylko zwykła rozmowa. Dochodzenie ciągnęło się przez blisko dziesięć lat.

Dwadzieścia trzy ofiary w trzech stanach. To się musiało odbić na całym zespole. Gretchen zaprosiła wszystkich chętnych na sesje grupowe. Żeby zwyczajnie sobie porozmawiać. Archie był zaskoczony, widząc, ilu detektywów do niej przyszło. Mogła to być zasługa jej niezwykłej urody, ale dziwna rzecz: te spotkania pomogły, mimo wszystko. Gretchen była bardzo dobra w swoim fachu. Kobieta odchyła białe prześcieradło, pod którym leży Archie i odkrywa jego pierś, a on w tym momencie uświadamia sobie, że jest nagi. Nie wstydzi się tego. Tak po prostu jest. Czuje jej dłoń położoną płasko na swoim mostku. Wie, co to ma znaczyć.

Ma w pamięci fotografie kryminologiczne, startą i przypaloną skórę na klatkach piersiowych ofiar. To część profilu mordercy, którego poszukiwali. Jeden z jej znaków rozpoznawczych.

- Wiesz, co się teraz stanie? - pyta ona, chociaż zdaje sobie sprawę,

że Archie wie. Chce się odezwać, porozmawiać z nią. Grać na zwłokę. Buczy coś niezrozumiale przez usta zaklejone taśmą izolacyjną i wysuwa brodę, pokazując, żeby mu to zdjąć. Ale ona kładzie palec na jego unieruchomionych wargach i potrząsa głową.

- Jeszcze nie teraz - mówi łagodnym głosem.

I ponownie zadaje mu to samo pytanie. Tym razem odrobinę bardziej szorstko.

- Czy wiesz, co się teraz stanie? Archie przytakuje.

Gretchen uśmiecha się, zadowolona.

- Dlatego właśnie przygotowałam dla ciebie coś specjalnego, kochany.

Odwraca się i podnosi dwa przedmioty z tacki, którą postawiła sobie pod ręką. Młotek i gwóźdź. Ciekawe, myśli on, zdumiony własnym dystansem, chłodnym spojrzeniem badacza. Wybór jej ofiar wydawał się przypadkowy: zabijała zarówno kobiety jak mężczyzn, w bardzo różnym wieku. Mimo to po obrażeniach tułowi, choć ich forma ewoluowała z czasem, zawsze znać było pełną konsekwencję. Nigdy przedtem nie używała do tego gwoździ.

Gretchen cieszy się. To widać.

- Pomyślałam, że docenisz pewną odmianę - mówi.

Jej palce tańczą po szczeblach żeber, aż wreszcie odnajdują to właściwe. Gretchen przykłada gwóźdź do skóry Archiego i wali w niego młotkiem. Żebro pęka, a on znów się dławi. Cała klatka piersiowa płonie od niesamowitego bólu. Każdy oddech to męka. Oczy zachodzą wilgocią. Gretchen ociera łzę spływającą mu po policzku, gładzi go pieścizotliwie po włosach, a potem wyszukuje kolejne żebro i wszystko powtarza się od początku. I jeszcze raz. Daje mu spokój dopiero po szóstym złamanym żebrze. Gwóźdź jest już wilgotny od krwi. Z niewinnym, nieszkodliwym brzękiem Gretchen odkłada go na tackę. Najdrobniejszy ruch sprawia teraz Archiego niewypowiedziany ból, taki, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doznał. Śluz zatyka mu przewody nosowe, przez usta nie sposób oddychać, każde napełnienie płuc powietrzem to męczarnia, a mimo wszystko nie potrafi się zmusić do płytkich, spokojnych wdechów, uciszyć ciężkich, gorączkowych sapnięć brzmiących jak rozpaczliwy szloch. Mogłem się przeliczyć z tymi dwoma dniami, myśli. Wcale nie jest wykluczone, że umrę od razu.

2

Blizna na piersi była bladym pasemkiem włóknistej tkanki, nie szerszym od nitki przędzy i nieco wypukłym. Zaczynała się kilka centymetrów poniżej lewej brodawki i biegła w górę wąską przecinką w gąszczu ciemnego męskiego owłosienia. Kreśliła dwa bliźniacze łuki, po czym opadała z powrotem do punktu wyjścia. Miała kształt serca.

Archie czuł ją w każdej chwili; zgrubienie na skórze nieustannie

ocierało się o tkaninę koszuli. Miał wiele blizn, ale tylko ta jedna wciąż dawała mu się we znaki. Wiedział, że coś takiego nazywa się bólem fantomowym. Złamane żebro, niewyleczone jak należy, kłuje, nie daje spokoju. Blizna nie powinna tak boleć.

Przecież to już tyle czasu...

Słyszając dzwonek telefonu, Archie odwrócił się powoli. Spojrzał na aparat. Wiedział, co to oznacza. Kolejną ofiarę.

Nikt nigdy do niego nie dzwonił, poza dwoma osobami: jego była żoną i jego eks-partnerem. Z Debbie już dziś rozmawiał, a więc to musiał być Henry. Zerknął na wyświetlacz swojej komórki. Numer potwierdził jego podejrzenia. Miał służbowy prefiks jego wydziału. Odebrał telefon.

- No? - mruknął do słuchawki.

W pokoju było ciemno, tak jak w całym mieszkaniu. To nie był jego szczególny kaprys; po prostu usiadł i siedział, a kiedy zaszło słońce, nie chciało mu się wstawać i włączać światła. Oczy przywykły do ciemności, a ta jego nora, kilka mebli i brudny dywan na podłodze sprawiały nieco mniej przygnębiające wrażenie, skryte pod takim czarnym całunem.

W słuchawce zabrzmiał szorstki głos Henry'ego:

- Porwał kolejną dziewczynę. - Tylko tyle.

W ciemnym pokoju migotał wyświetlacz elektronicznego zegarka stojącego na pustej biblioteczce. Pokazywał złą godzinę, ale Archie nigdy się nie chciało go nastawiać. Wolał liczyć w pamięci.

- Czyli chcą zebrać cały zespół z powrotem do kupy - zauważył.

Zapowiedział już kiedyś Henry'emu, że wróci do służby. Jeśli spełnią jego warunki.

- Minęły już dwa lata. Mówiłem im, że wyzdrowiałeś i możesz wrócić do roboty w pełnym wymiarze godzin.

Archie uśmiechnął się w ciemnościach.

- W takim razie skłamałeś.

- Pozytywne myślenie to potęga. Złapałeś Gretchen Lo-well, przed którą wszyscy trzęśli portkami. A ten facet, którego teraz szukają, załatwił już dwie dziewczyny i porwał trzecią.

- To Gretchen złapała mnie, a nie ja ją. - Na niskim stoliku leżało blaszane pudełeczko na lekarstwa, a obok, wprost na blacie, stała szklanka wody. Archie nie zwracał sobie głowy podkładkami.

Porysowany stolik był już tutaj, kiedy się wprowadził. W mieszkaniu Archiego wszystko miało blizny.

- Ale przeżyłeś. - Chwila ciszy. - Pamiętasz? Delikatnym ruchem kciuka Archie otworzył pudełeczko. Wyjął z niego trzy białe owalne pastylki, które włożył do ust.

- Wróć na dawne stanowisko? - zapytał, popijając je wodą.

Odprężył się, czując, jak spływają do żołądka. Nawet ta szklanka była tutejsza.

- Przełożony zespołu śledczego.

Ale był jeszcze jeden warunek. Najważniejszy.

- A ta dziennikarka?

- Nie podoba mi się to.

Archie czekał cierpliwie. Już zbyt wiele zostało zrobione. Henry nie mógł się teraz wycofać. Poza tym Archie wiedział, że ten facet robi dla niego wszystko.

- Jest idealna - przyznał Henry.

O to chodziło. Teraz wystarczyło już tylko postarać się o to, żeby cały plan nie wzięt w łeb, zanim zaczną przynosić oczekiwane rezultaty.

- Mogę wrócić - powiedział Archie, bardziej do siebie niż do byłego partnera.

- Miasto wynajęło nam trochę większy lokal. - Henry odczytał mu adres. - Wyśpij się porządnie i spotkajmy się tam jutro rano.

Wprowadzimy cię w szczegóły.

I rozłączył się, zanim Archie zdążył coś odpowiedzieć. „Wyśpij się porządnie”. Jasne. Przez kilka minut Archie siedział w ciemności. Było cicho. U sąsiadów na górze nie ryczał telewizor, nie dało się słyszeć niczych kroków; tylko ulica przypominała o sobie miarowym szumem opon na zalanej deszczem jezdni, klimatyzacja - jednostajnym pogwizdem, a dobiegający końca swych dni silnik lodówki - dudniącym warkotem. Archie spojrzął na zegarek i policzył w pamięci. Kilka minut temu minęła dwudziesta pierwsza. Od pasty lek zrobiło mu się gorąco, a w głowie zaczęło się kręcić. Powoli sięgnął palcami do guzików koszuli, rozpiął kilka na samej górze i wsunął prawą dłoń pod spód. Dotykał swoich żeber, przebiegając palcami po skórze poprzecinanej siatką zgrubiałych blizn, aż w końcu dotarł do serca, które Gretchen Lowell wycięła mu na piersi.

Przez dziesięć lat pracował w zespole ścigającym Wirtuoza, najbardziej aktywnego seryjnego zabójcę na całym północnym zachodzie. Poświęcił czwartą część swojego życia oglądzinom zwłok i miejsc zbrodni, przeglądaniu wyników autopsji, selekcji właściwych tropów. Tyle ciężkiej pracy, a mimo to dał się złapać w pułapkę, którą zastawiła na niego Gretchen Lowell. Teraz jednak Gretchen siedzi w więzieniu. A on, Archie, cieszy się wolnością. Zabawne. Czasami wciąż wydawało mu się, że jest na odwrót.

3

Co roku, zawsze tego samego dnia, wieczorem Bliss, matka Su-san, paliła podobiznę jej ojca. Trzydziestocentymetrowa kukielka była zrobiona ze słomy przewiązanej brązowym sznurkiem pakowym. Sposób jej wykonania został wypracowany metodą prób i błędów. Za pierwszym razem Bliss użyła zwiędłej niedźwiedziej trawy zebranej wprost z podwórka. Źdźbła były wilgotne i nie chciały się palić. Udało się dopiero po polaniu naftą, ale wtedy od iskier zajął się kompost i sąsiedzi zadzwonili po straż pożarną. Teraz Bliss

kupowała paczkowaną słomę w sklepie z akcesoriami dla zwierząt; na opakowaniu był obrazek z króliczkiem.

Susan siedziała w zagraconym salonie na parterze swojego rodzinnego domu i przyglądała się, jak matka owija sznurkiem pakowym uda maleńkiego słomianego ojca. Ściany salonu miały kolor turkusowy. Przedtem była soczysta zieleń, a jeszcze wcześniej Bliss pomalowała cały salon złotą farbą o metalicznym połysku, którą znalazła na polecenie w sklepie z artykułami remontowymi. Dom był piętrowy, wybudowany w stylu wiktoriańskim i bardzo ciasny. Wysokie, ale małe niczym w bloku pokoje miały wąziutkie okna. Salon od jadalni oddzielały wysuwane drzwi, ale żadne z tych pomieszczeń nie spełniało swojej funkcji. Bliss rzadko używała rzeczy zgodnie z ich przeznaczeniem. Piła ze słoików, zamiast stolika miała szpulę kabla elektrycznego, szyła sobie torebki ze starych wełnianych swetrów, a listy pisała na kartkach wyrwanych z „New Yorkera”.

Susan zawsze była zdania, że ona i jej matka mają dwie i tylko dwie cechy wspólne: głębokie przekonanie o artystycznym potencjale ludzkich włosów oraz marny gust, jeśli chodzi o facetów. Bliss była z zawodu fryzjerką i nosiła tlenione hipisowskie dredy do pasa. Susan strzygła się równo do twarzy i robiła sobie pasemka w zabójczych kolorach o zabójczych nazwach, na przykład „zielona zazdrość” albo „ultrafiolet”. Jej najnowszym pomysłem był róż w odcieniu „landrynka”.

Bliss nie udało się utrzymać przy sobie żadnego ze swoich mężów. Wszyscy w ten czy inny sposób od niej odeszli. Najpierw był ojciec Susan, a po nim przez życie jej matki przewinęła się parada brodatych idealistów: przewodniczący spółdzielni mieszkaniowej, farmer-ekolog, dwóch ceramików. Natomiast Susan, zamiast wyjść za mąż, wikłała się tylko w pogmatwane związki z facetami, z których każdy był niewłaściwy i nieosiągalny; wymagały one znacznie mniej zaangażowania emocjonalnego, a po rozstaniu nie trzeba było zawracać sobie głowy podziałem domowej biblioteczki.

Bliss przegryzła sznurek, owinęła nim kostkę słomianego tatusia, zawiązała supeł i zaciągnęła się papierosem. To była cała ona: codziennie napar z zielonych alg, o świcie trzy tuziny jogicznych powitań słońca, żadnego mięsa w jadłospisie, ciuchy z surowego płótna - i mentole w kieszeni. Kobieta pełna sprzeczności. Nie uznawała makijażu - ale nie było dnia, żeby zapomniała o swojej krwistoczerwonej szmince. Nie nosiła futer - z wyjątkiem swojej stylowej kurtki z lamparta. Była weganką - ale jadła czekoladę. Susan nigdy w życiu nie знаła drugiej matki, która wcisnęłaby się w spodnie z lakierowanej skóry. I poszła w nich na wywiadówkę. Przy niej zawsze czuła się brzydsza, mniej efektowna, mniej zwiariowana. Po prostu przez porównanie.

Obrzuciwszy wzrokiem swoje dzieło, Bliss skinęła z zadowoleniem głową.

- No i już. - Wstała z podłogi, na której siedziała po turecku i

pokicała do kuchni, a za nią pofrunęły roztrzepotane dredy. Po chwili wróciła, niosąc w rękach ciasto. A właściwie nie tyle ciasto, co babkę z mąki otrębowej, wyglądającą tak, jakby przejechał ją samochód.

- Upiekłaś ciasto dla taty? - zapytała Susan z niedowierzaniem.
- Dziś są jego urodziny.

Ojciec Susan był nauczycielem muzyki. Grał na gitarze i na pianinie. I na banjo. I na waltorni. Swoją przyszłą żonę poznał na studiach; Bliss wyzwała go od świń, bo był ubrany w galowy uniform uniwersyteckiej orkiestry dętej U. C. Davis Marching Band, a jej się wydawało, że to mundur policyjny. Po dyplomach zjeździli razem cały świat, aż wreszcie osiedli w Portland kiedy to zawiodła spiralka, którą stosowała Bliss. Ojciec umarł, kiedy Susan miała czternaście lat. W jej wspomnieniach był zawsze mądry, przystojny i dobrotliwy. Wiedziała, że to nie takie proste, ale po jego śmierci oddania się od matki i potrzebowała to sobie w jakiś sposób zrównoważyć.

- Tata nie żyje, mamó.
- Od czternastu lat. W kabale czternaście to bardzo ważna liczba.
- A czy ty w ogóle czytałaś kiedyś kabałę?
- Weź sobie kawałek ciasta. Wegańskie.

Susan marzyła o papierosie, ale przez całe swoje dzieciństwo truła matce o raku płuc i teraz krępować się obnosić przy niej z nałogiem. To by było przyznanie się do porażki.

- Spalmy już tatę, bo muszę lecieć - zaproponowała.

Bliss spojrzała na nią. Widać było, że ma na końcu języka jakiś matczyzny tekścik. Uniosła dłoń i delikatnym ruchem wygładziła różowy kosmyk na głowie Susan.

- Kolor zaczyna schodzić - powiedziała. - Wpadnij do mnie do salonu, to poprawimy. Do twarzy ci z tym różem. Jesteś bardzo ładna.

- Nie jestem ładna - zaproponowała Susan. - Jestem fascynująca, a to różnica.

Bliss cofnęła dłoń.

Na podwórku za domem było ciemno i mokro. Światło padające z ganku wycinało na ziemi jasne półkole pełne zwiędłych rozchodników (klomb był wyznaczony za blisko, pod samymi schodkami) oraz trawy zmieszanej z błotem. Słomiany ojciec został włożony do miedzianego kociołka. Bliss pochyliła się nad nim i podpaliła słomę białą plastikową zapalniczką, po czym cofnęła się kilka kroków. Słoma z trzaskiem zajęła się ogniem, a po chwili płomień ogarnęły tułów i całą resztę kukielki udającej człowieka, która rozkrzyżowała krótkie rączki jakby w śmiertelnym przerażeniu. A potem wszelki ludzki kształt zatracił się w wirze pomarańczowych języków ognia. Co roku Susan i Bliss paliły ojca, żeby móc pozwolić mu odejść, zacząć od nowa. Takie przynajmniej było założenie. Może by przestały, gdyby kiedyś się udało.

Susan odwróciła się, czując łzy napływające do oczu. No tak. Już ci

się wydawało, że osiągnęłaś jakąś równowagę emocjonalną, a tu przychodzą urodziny twojego zmarłego ojca i twoja mat-ka-wariatka pali za niego słomianą kukiełkę.

- Pójdę już - powiedziała. - Muszę być w jednym takim miejscu.

4

W klubie było sino od dymu. Susan sięgnęła po paczkę leżącą na barze, wyjęła z niej kolejnego papierosa i zapaliła, zaciągając się mocno. Dudniąca muzyka przebijała się przez podłogę, pełzła po ścianach, wiła się dookoła taboretów i nóg, wprawiała w drżenie obity miedzianą blachą kontuar. Susan przyglądała się, jak leżąca na nim żółta paczka papierosów dygocze i podskakuje. Było ciemno. W tym klubie zawsze było ciemno. Lubiła to, podobało jej się, że może siedzieć tuż obok kogoś i schować się przed nim, nie wstając z miejsca. Umiała pić, ale tego wieczoru wypła chyba jednego drinka za dużo. Zastanowiła się. To chyba było tamto martini z jeżynami. A może piwko. Nagle świat zawirował od alkoholu; położyła dłoń płasko na barze, żeby uspokoić zawroty głowy. Lubiła sobie poszaleć, ale nie aż tak, żeby puścić jej hamulce.

- Idę się przewietrzyć - oznajmiła mężczyźnie siedzącemu obok. Muzyka była taka głośna, że musiała wrzasnąć, żeby usłyszał, ale jej słowa i tak zabrzmiały bardziej jak szept.

Przeszła wśród stłoczonych ludzi, kierując się w stronę głównego wejścia. Chcąc zniwelować działanie wypitego alkoholu, stawiała ostrożne, nawet zbyt ostrożne kroki, trzymając wysoko głowę i nieznacznie rozkładając ręce. Patrzyła wprost przed siebie. Papieros żarzył się jasnym punkcikiem. Dotykała ludzi stojących jej na drodze, a oni rozstępowali się przed nią. Wiedziała, jest w niej coś, co zwraca uwagę i czuła na sobie niejedno spojrzenie. Nie chodziło zresztą konkretnie o urodę. Wyglądała niczym żywcem przeniesiona z lat dwudziestych: twarz zbyt szeroka,

z wydatnym czołem i niewielkim podbródkiem, wiotkie kończyny, różane usta i płaska klatka piersiowa. A włosy przycięte równo do twarzy i bardzo krótka grzywka upodabniały ją jeszcze bardziej do pomyłonej „nowoczesnej” panny z lat dwudziestych. Fascynująca; tak, to określenie było jak najbardziej właściwe. Gdyby nie różowe włosy, mogłaby nawet uchodzić za piękną. Ta fryzura ujmowała jej rysom wdzięku, nadawała twarzy ostry wygląd. O to zresztą w gruncie rzeczy chodziło.

Dotarła do drzwi, w których stał bramkarz z ogoloną głową, tak na oko dwudziestoparolatek. Posłała mu lekki uśmiech i wyszła. Owiało ją rześkie, świeże powietrze. Rzuciła niedopalonego papierosa na chodnik, rozgniatając go obcasem i oparła się plecami o ceglana ścianę klubu. Zamknęła oczy. Dotyk twardego muru był przyjemny. Naszła ją ochota, żeby otrzeć się o te cegły jak kot.

- Strzelimy po machu? - zabrzmiał czyjś głos. Błysnęły jej zielone oczy, nagle otwarte.

- Kurwa, Ethan - warknęła. - O mało się nie złałam ze strachu. Myślałam, że mnie nie usłyszałeś tam przy barze. Facet nazwany Ethanem wyszczerzył zęby.

- Szedłem dwa kroki za tobą.

- Słucham sobie, jak deszcz pada - powiedziała Susan, ruchem brody wskazując czarną, połyskującą jezdnię i posłała Ethanowi leniwy uśmiech. Poznała go nie więcej niż dwie godziny temu, a już zaczął zdradzać objawy zadurzenia. Raczej nie był w jej typie. Miał pod trzydziestkę i nosił się na punkowo: sztruksy i bluza z kapturem, prawdopodobnie na każdy dzień tygodnia. Mieszkał z pięcioma innymi facetami w jakimś nędznym domu w najtańszej dzielnicy miasta. Od ośmiu lat pracował w tym sa-mym sklepie z płytami, grał w trzech kapelach, słuchał Iggy'ego Popa i The Velvet Underground. Palił trawę i pił piwo, ale zawsze w dobrym gatunku, żadnego tam taniego chłamu.

- Masz w czym zapalić?-zapytała.

W odpowiedzi pokiwał radośnie głową.

- Przejdźmy się - zaproponowała, biorąc go za rękę i wyprawdzając na zalaną deszczem ulicę Portland.

Po drodze Ethan nabił firkę i podał ją Susan, żeby wzięła pierwszego macha. Pociągnęła z przyjemnością, delektując się gorącym wypełniającym płuca. Po chwili wypuściła dym, a firkę wetknęła Ethanowi do ust, prowadząc go za róg domu, który właśnie mijali. Nocą w tej części miasta ruch na ulicy był niewielki. Zbliżyła twarz do jego twarzy. Był od niej wyższy, więc musiała unieść głowę. Jej blada skóra była usiana piegami.

- Zrobić ci laskę? - zapytała poważnym tonem. Odpowiedzią był głupkowaty uśmiech faceta, który nie może uwierzyć we własne szczęście i równie kretyńskie: -Ee... jasne, Susan też się uśmiechnęła. Pierwszego w swoim życiu druta obciągnęła w wieku czternastu lat. Miała pierwszorzędnego nauczyciela.

- Naprawdę chcesz? - Przekrzywiła głowę, udając przesadzone zdziwienie. - Dziwne. Przecież nie odbierałeś moich telefonów.

- Co takiego?

Przysunęła twarz jeszcze bliżej, niemalże ocierając się nosem

- Nagrałam ci jedenaście wiadomości. W sprawie Molly Palmer. Uśmiech zniknął momentalnie, a pomiędzy brwiami Ethana pojawiła się pionowa bruzda, ciemna jak otwór na monety w automacie

- Słucham?

- Chodziłeś z nią na studiach, prawda? Mówiła ci kiedyś co ją łączyło z panem senatorem?

Ethan chciał się cofnąć, ale stał pod ścianą, więc tylko wzdrygnął się niezgrabnie i ostatecznie po prostu skrzyżował ręce na piersi.

- Kim ty jesteś? - zapytał.

- Od lat krążą plotki, że senator posuwał nastoletnią opiekunkę swoich dzieciaków - powiedziała Susan. Cały czas stała przed nim, nie ustąpiła nawet na centymetr; była tak blisko, że widziała, jak w lekko uchylonych ustach zbiera mu się ślina, -Czy to prawda, Ethan? Molly mówiła ci coś na ten temat?

- Przysięgam na Boga - wycedził, akcentując po kolei sylabę po sylabie, unikając wzroku Susan jak ognia. - Nie o tym nie wiem. Odezwał się dzwonek telefonu. Susan ani drgnęła.

- To twój czy mój? — zapytała.

- Ja nie mam komórki - wyjąkał Ethan. Uniosła brew.

- Więc to pewnie mój. - Wzruszyła ramionami, sięgając do torebki. Wyciągnęła z niej telefon komórkowy i otworzyła klapkę.

- Halo?

- Mam dla ciebie robotę.

Susan odwróciła się plecami do Ethana. Odeszła na kilka kroków.

- Ian? To ty? Przecież już jest po północy.

- To ważna sprawa. - Chwila milczenia. - Chodzi o te zaginione dziewczyny.

- Co z nimi?

- Jest już kolejna. Wieczorem burmistrz zwołał naradę kryzysową. Chcą zebrać z powrotem grupę dochodzeniową ze sprawy Wirtuoza. Clay i ja jesteśmy teraz w ratuszu. Moim zdaniem to jest duża rzecz, Susan. Chcemy, żebyś o tym napisała.

Susan zerknęła na Ethana, który stał bez ruchu, gapiąc się cielecym wzrokiem na trzymaną w palcach firkę.

- Gliny i seryjni mordercy? - szepnęła do słuchawki.

- Burmistrz wyda zgodę, żeby do grupy dołączył nasz dziennikarz. Nie chcą, żeby znów było to samo, co przy poszukiwaniach Wirtuoza. Ten dziennikarz dostanie pełny dostęp do sprawy, o której jeszcze przed końcem tego tygodnia będzie głośno w całym kraju. Wpadnij rano, ale wcześniej, powiedzmy, o szóstej. Pogadamy, nic więcej.

Susan spojrzała na zegarek.

- O szóstej rano? - Tak jest.

Zerknęła jeszcze raz na Ethana.

- Chwilowo pracuję nad czymś innym - wyszeptała do słuchawki.

- To jest z całą pewnością ważniejsze. Pogadamy rano. Kurwa mać, pomyślała. Jestem pijana, a ten mi tu: „Pogadamy rano”.

- Dobra. - Zatrzasnęła klapkę telefonu i odwróciła się z powrotem do Ethana, przygryzając wargę. - Plotki krążą, ale media puszczają je mimo uszu - podjęła przerwany temat. - Dostyc tego. Dowiem się, co zaszło. I napiszę o tym. Przekaż to Molly i powiedz, że kiedy będzie gotowa wyznać prawdę, ja jej wysłucham.- Wcisnęła mu do ręki wizytówkę. - Nazywam się Susan Ward. Piszę dla „Heralda”.

- Przyszłaś do tej knajpy specjalnie, żeby pogadać ze mną? - zapytał, oglądając kartonik ze wszystkich stron. Po chwili podniósł

głowę. - O Molly?

- Tak. Ale obchodzę dziś też własne święto. - Posłała mu słoneczny uśmiech. - Mój ojciec ma urodziny. - Parsknęła głośno, a Ethan spojrzał na nią dziwnie. Świetnie. Teraz Molly się dowie, że ściga ją pomyłona dziennikarka z różowymi włosami. - Dziękuję za przemily wieczór - powiedziała. - Na razie.

Po tych słowach odeszła szybko w kierunku swojego samochodu, mając rozpaczliwą nadzieję, że deszcz i świeże powietrze rozjaśni jej trochę w głowie, zanim usiądzie za kółkiem.

5

Główne wejście do siedziby gazety „Oregon Herald” otwierano dopiero o siódmej trzydzieści, więc Susan musiała skorzystać z wjazdu dostawczego w południowej części budynku. Miała za sobą tylko cztery godziny snu; musiała poświęcić trochę czasu na prysznic, bo włosy śmierdziały jej papierosami, a kolejne dwadzieścia minut zajęło kompletowanie stroju. Była to kolejna wersja zestawu, w którym Susan zawsze pokazywała się w redakcji: dżinsy, męska koszula i krawat. Swoje różowe włosy zebrała w kucyk na czubku głowy - jak u małej dziewczynki. Krawat w zamysłu miał być pomysłowym komentarzem na temat biurowej mody, ale jakoś nikt nie załapał, o co chodzi, dzięki czemu Susan jeszcze bardziej przywiązała się do tej koncepcji.

Mignęła przepustką przed oczami ochroniarza z nocnej zmiany, pulchnego ciemnoskórego chłopaka, który właśnie przebrnął przez „Dwie wieże” Tolkienu i zaczął czytać „Powrót króla”.

- No i jak się podoba? - zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył tylko ramionami i wpuścił ją na podziemny poziom, prawie nie patrząc, kto wchodzi. W budynku „Heralda” były trzy windy. Nigdy nie działała więcej niż jedna. Susan wjechała na czwarte piętro.

Siedziba gazety mieściła się w śródmieściu Portland. Był to siedmiopiętrowy budynek z cegły i piaskowca. Wybudowano go w roku 1920; porządni obywatele miasta uznali wtedy, że szpeci okolicę i do tej pory nie zmienili zdania. Jakikolwiek wewnętrzny urok tego miejsca znikł bez śladu w latach siedemdziesiątych XX wieku, w trakcie kompletnie nieprzemyślanego remontu; ta dekada był to prawdopodobnie najgorszy czas na wszelkie renowacje. Obecnie królowały tam szare, przemysłowe wykładziny, białe ściany i świetlówki. Gdyby nie oprawione w ramy artykuły z „Heralda” zdobiące korytarze oraz wyjątkowo zaśmiecone biurka pracowników, można by pomyśleć, że to biuro pierwszej lepszej agencji ubezpieczeniowej. Kiedy Susan próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda praca w redakcji gazety codziennej, widziała oczyma duszy zgietkliwy rozgardiasz i czeredę trajkoczących kolegów. Praca w „Heraldzie” była bezgłośna, a atmosfera sztywna i oficjalna.

Kiedy ktoś kichnął, wszyscy odwracali się, żeby zobaczyć, kto to. Był to dziennik niezależny, czyli nienależący do żadnej korporacji prasowej; w całym kraju było takich gazet dosłownie kilka. Należał do rodziny potentatów przemysłu drzewnego, która kupiła go w latach sześćdziesiątych od innej rodziny potentatów tej samej branży. Przed kilkoma laty właściciele-potentaci zatrudnili nowego wydawcę. Nazywał się Howard Jenkins i był przedtem dyrektorem do spraw public relations w Nowym Jorku. Pod jego kierownictwem „Herald” trzykrotnie zdobył Pulitzera. Susan uważała, że jest się z czego cieszyć, ponieważ w obecnych czasach potentat przemysłu drzewnego - nie licząc produkcji papieru gazetowego - nie może już liczyć na krociowe zyski.

Na czwartym piętrze panowała taka cisza, że słyhać było buczenie automatu z wodą. Susan rozejrzała się po sali głównej, pełnej boksów o niskich ściankach, gdzie za dnia pracował personel działu wiadomości codziennych i reportaży. Siedziało tu kilkoro boleśnie zgarbionych redaktorów, wpatrujących się smętnym wzrokiem w monitory swoich komputerów. W korytarzu Susan zauważyła Neddę Carson, zastępcę redaktora wiadomości, z nieodłącznym olbrzymim kubkiem pełnym indyjskiej herbaty. Nedda także ją zauważyła.

- Są tam. - Skinęła głową w kierunku jednej z mniejszych sal konferencyjnych.

- Dzięki - odpowiedziała Susan i podeszła bliżej. Przez szklaną ścianę zobaczyła Iana Harpera, naczelnego działu reportaży. Stuknęła w szybę, Ian podniósł głowę i przywołał ją swą drobną dłonią, zapraszając Susan do środka. Stał tam nieduży stół konferencyjny i cztery krzesła; na nic więcej nie starczyło już miejsca. Ściany kłitki były białe, Ian siedział na oparciu jednego z krzesel, z nogami na siedzeniu. Zawsze tak robił. Susan sądziła że niski naczelny usiłuje dodać sobie w ten sposób powagi i autorytetu, ale być może tak po prostu było wygodniej. Clay Lo, szef działu informacji, siedział za stołem naprzeciwko Iana, z łokciami na blacie, podpierając ziemisty policzek na dłoni. Przez chwilę Susan wydawało się, że śpi.

- Jezu... - westchnęła. - Tylko mi nie mówcie, że siedzieliście tutaj całą noc.

- Mieliśmy spotkanie redakcyjne o piątej - odparł Ian, wskazując jej wolne krzesło. - Usiadł

Clay uniósł wzrok i skinął Susan głową. Oczy miał zapuchnięte. Przed nim stał kubek kawy z bufetu na parterze, a właściwie nie kawy, tylko samych fusów z dna dzbanka. Na styropianie widać było ciemne smugi osadu z drobno zmielonych ziaren.

Susan usiadła, wyciągnęła z torebki długopis i reporterski notatnik, położyła je na stole i zadała pierwsze pytanie:

- Co się dzieje?

Ian westchnął, przykładając palce do skroni. Gest ten miał znamionować zamyślenie, ale Susan wiedziała dobrze, że naczelny sprawdza tylko, czy z kucyka nie wymknął mu się przypadkiem

jakiś niesforny kosmyk.

- Kristy Mathers - powiedział, przyglądając włosy. - Czternaście lat. Mieszka z ojcem, który jest taksówkarzem i zorientował się, że córka zniknęła, dopiero wczoraj wieczorem, po powrocie z pracy. Ostatni raz widziano ją w szkole. Miała wrócić prosto do domu.

- Do jakiego liceum chodziła?

- Do Jeffersona - powiedział Clay, nie unosząc głowy. - Jezu...

- No właśnie - przytaknął Ian, biorąc do ręki kubek z firmowym nadrukiem „Heralda”. Trzymał go przez chwilę, a potem odstawił, nie przyłożywszy nawet do ust - To już trzecia. Każda szkoła ma mieć teraz policyjną ochronę.

- Na pewno nie urwała się do swojego chłopaka albo na jakąś wyprzedaż w Hot Topie? - zapytała Susan, zapisując w notatniku nazwę szkoły i zakreślając ją dwa razy.

Ian potrząsnął głową.

- Była umówiona z sąsiadami, miała opiekować się ich dzieckiem. Nie przyszła. Nie zadzwoniła. Wszyscy traktują to bardzo poważnie. Co wiesz o sprawie Wirtuoza?

- Coś mi tam kiedyś wpadło w oko. Ale ja zawsze najpierw czytam „Garfielda”. Bez niego nie zacznę dnia.

Ian czekał w milczeniu. Susan nie znosiła tego.

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Gretchen Lowell zamordowała kupę ludzi. Specjalna grupa dochodzeniowa ścigała ją przez dziesięć lat, a ona w końcu, jakby nigdy nic, porwała ich szefa, głównego detektywa. Och, co za wstyd! - Susan zakryła usta dłonią. - To było dwa lata temu. Wszyscy myśleli, że facet już nie żyje. Pamiętam, że byłam wtedy na studiach. Przyjechałam do domu na Święto Dziękczynienia i akurat oglądałam sobie świetny stary odcinek „J.A.G.”, a oni mi go przerwali, żeby nadać na żywo informację, że Gretchen Lowell przysłała na komendę portfel tego detektywa. A potem, zupełnie nieoczekiwanie, sama oddała się w ręce policji. Tak po prostu. - Susan narysowała na kartce w notatniku figurkę młodej dziewczyny. - Facet był bliski śmierci - mruknęła, zakreślając wokół głowy postaci łuczek w kształcie odwróconego „u”, mający przedstawiać włosy nonszalancko zapuszczone do ramion. - Gretchen poszła do więzienia. A ja wróciłam na studia. Ale podobno lista jej ofiar nie jest zamknięta i wciąż przybywają nowe. - Zabrała się do twarzy swojej figurki: najpierw oczy z długimi rzęsami. Potem usta amorka. - W ciągu pierwszego roku po aresztowaniu przyznała się podobno do ponad dwudziestu morderstw. Nowa ofiara co miesiąc albo dwa. Gretchen Lowell należy do czołówki wielkich narodowych psychopatów.

„Wielkich” to nie znaczy wybitnych, tylko przerażających, brutalnych i piekielnie inteligentnych. - Susan dorysowała swojej dziewczynie ociekający krwią nóż i pokazała naczelnym skończone dzieło. - Proszę. Oto i ona. Gretchen Lowell.

Clay skrzyżował ręce, nie zdejmując łokci ze stołu i spojrzał na dziennikarkę znacząco.

- Policja nie miała wtedy z nami łatwego życia - powiedział. Susan odłożyła notatnik.

- Pamiętam - przyznała. - Mieli fatalną prasę. Było dużo frustracji i wielki strach. Trochę złośliwych komentarzy od czytelników. Ale w końcu i tak gliniarze wygrali. Wyszła nawet książka, prawda? I ukazało się z tysiąc artykułów o Archim Sheridanie, bohaterskim policjancie, a w telewizji był o nim film. Grał go ten aktor z telenoweli. Miałam chyba pudełko na kanapki z jego zdjęciem.

- Sheridan wrócił do służby - poinformował ją Ian. Susan pochyliła się w przód, wyciągając szyję.

- Nie gadaj! Podobno był na chorobowym.

- Był. Ale namówili go, żeby poprowadził nową grupę dochodzeniową. Burmistrz uważa, że Sheridan potrafi złapać tego mordercę.

- Tak jak złapał Gretchen Lowell?

- Otóż to. Tylko tym razem nie da się porwać i prawie zabić.

- A w prasie nie będzie złośliwych komentarzy? - zapytała.

- To jest właśnie zadanie dla ciebie - odparł Ian. - Wtedy prasa nie miała dostępu do śledztwa. Wydaje im się, że jeśli teraz nas dopuszczają, to będzie nam głupio wytykać ich palcami i się podśmiewać.

- Dlaczego ja?

Naczelnny wzruszył ramionami.

- Prosimy konkretnie o ciebie. Wtedy u nas nie pracowałaś. No i jesteś pisarką. Magister sztuk pięknych jest dla nich mniej straszny niż pistolet po szkole dziennikarskiej. Podobno żona burmistrza uwielbia twoją książkę. - Znow uniósł palce do skroni i tym razem faktycznie znalazł kilka nieposłusznych włosów, które starannie przygładził. - Twoją zabawną, beztroską powieść. Oni nie chcą dziennikarza, który będzie drażył sprawę. To ma być historia z życia wzięta. No, a ty, do tego jeszcze skończyłaś liceum Cleveland High.

- Dziesięć lat temu - zwróciła mu uwagę.

- To jest szkoła, do której chodziła pierwsza ofiara - odparł. - To nam ubarwi materiał. Susan, piszesz pierwszorzędne reportaże. Świetnie sobie radzisz w kolumnach cyklicznych. Masz dryg do tego. Jenkins mówi, że za ten reportaż dostaniemy następnego Pulitzera.

- Do tej pory pisałam tylko głupie historyjki o ofiarach poparzeń i ludziach ratujących zwierzaki domowe.

- I rwałaś się do jakiejś poważnej roboty. Powiedzieć im? Susan zastanawiała się przez chwilę, postukując długopisem w swój notatnik. Potem odłożyła go delikatnie.

- Próbowałam tak jakby trochę powęszyc w sprawie senatora Scheera.

Zatkało ich tak, jakby nagle rozłożyła się przed nimi na tym stole i zaczęła masturbować. Przez moment panowała absolutna cisza. A potem Clay powoli uniósł głowę i usiadł prosto. Rzucił spojrzenie Harperowi, który wciąż siedział na oparciu krzesła, z plecami

prostymi jak struna i łokciami na kolanach.

- To są plotki - oznajmił Ian. - I tylko plotki. Molly Palmer miała mnóstwo problemów natury psychologicznej. Nic nie znajdziesz. To zwykła kampania oszczerstw. Zaufaj mi. Szkoda cza-su. Zresztą to i tak nie twoja działka.

- Ona miała dopiero czternaście lat - przypomniała mu Susan. Ian wziął ze stołu kubek, ale nie podniósł go do ust.

- Rozmawiałaś z nią? Susan odwróciła głowę.

- Nie mogę do niej dotrzeć,

Ian prychnął, jakby chciał powiedzieć: „No jasne” i odstawił kubek z powrotem na stół.

- Wiesz dlaczego? Bo ona nie chce, żeby ktoś do niej dotarł. Wiesz, ile razy była w poprawczaku? Ile odwyków zaliczyła? Uważasz, że tego nie sprawdziliśmy? Dziewczyna jest niezrównoważona. W szkole średniej puściła w obieg kłamstwo, które wywołało lawinę plotek. I to wszystko. Koniec, kropka. - Ian zmarszczył brwi. -

Bierzesz tę bombę, czy mam ją oddać Derekowi?

Susan skrzywiła się z niesmakiem. Derek Rogers to był jej wróg numer jeden. Lizus jakich mało, niedzisiejszy i niekumaty, a do tego kiedyś powiedział na nią „Suzy”, czyli obraził w sposób bezwzględnie niewybaczalny. Skrzyżowała ręce na piersi i zamyśliła się. Perspektywa pracy nad czymś innym niż kolejny artykuł z cyklu „dzielny pies policyjny” była zdecydowanie pociągająca.

- Chcemy, by reportaż miał cztery części - powiedział Ian. - Pierwsze akapity na jedynce i ciąg dalszy wewnątrz numeru. Chodzisz za Archie Sheridanem. Pisziesz o tym, co widzisz na własne oczy. Aktualnie nie pracujesz nad niczym innym. Jeśli w ogóle chcesz tę robotę.

- To wszystko dlatego, że jestem dziewczyną, tak?

- Dziewczyną? Nie. Delikatnym kwiatem.

Susan zerknęła na stronę z notatnika. Małenka Gretchen Lo-well patrzyła wprost na nią, unosząc zakrwawiony nóż. Dziennikarka oderwała wzrok od rysunku i przekrzywiwszy głowę, uśmiechnęła się szeroko do siedzących przed nią mężczyzn. Faceci są tacy przewidywalni, pomyślała.

- Tak — odparła. - Chcę tę robotę.

6

Do sali konferencyjnej wszedł Derek Rogers. Nie do wiary, pomyślała Susan, patrząc na niego. Kto dziś nosi muszkę? I to z taką śmiertelną powagą? Derek był w jej wieku; kiedy dopadał ją refleksyjny nastrój, Susan potrafiła przyznać się przed sobą, że ulega instynktownej rywalizacji. Dostał stypendium sportowe w jakimś college'u w Południowej Dakocie. Grał w drużynie futbolowej, ale odniósł kontuzję i musiał zrezygnować. Wtedy zainteresował się dziennikarstwem sportowym. Obecnie, jako pracownik

„Heralda”, dzielił swój czas pomiędzy działą kryminalny i lokalny. Zachował jednak wygląd sportowca: kwadratowa szczeka, schludnie obcięte włosy i szeroki kowbojski chód. Su-san podejrzewała go też o modelowanie fryzury suszarką. Dziś jednak nie przyszedł, jak zawsze, w marynarce, a oczy miał zmęczone i odrobinę zapuchnięte. Być może, pomyślała, prowadzi ciekawszy tryb życia, niż jestem skłonna przypuszczać. Derek uśmiechnął się do niej, usiłując pochwyć jej spojrzenie. Zawsze tak robił. A ona, jak zwykle, zastosowała unik.

Przyniósł ze sobą rzutnik, laptopa i pudełko ciastek, które postawił na stole i otworzył. W sali rozszedł się mdląco stodki zapach.

- Z cukierni - zachwalił. - Jechałem po nie aż do Beaverton.

- Świeże są lepsze - oznajmił Clay, ale wziął dwa. Ian wybrał dla siebie jabłko w cieście.

- Nie poczęstujesz się? - zapytał Susan.

Miała ochotę, ale nie zamierzała nabijać punktów Derekowi.

- Nie, dzięki - odparła.

Derek zaczął majstrować przy sprzęcie.

- Ustawię to tylko i zaczynamy - powiedział, otwierając lap-topa i włączając rzutnik. Na białej ścianie pojawił się zamazany wielokolorowy kwadrat, który po chwili nabrał ostrości, stając się tytułową stroną prezentacji w PowerPoincie. Na krwistoczerwonym tle widniał napis upiorną, krzaczastą czcionką: „Morderca uczennic”.

- Morderca uczennic? - Clay skrzywił się sceptycznie. W kącikach ust miał grudki białego lukru, a jego głos lepiał się od słodkości.

Derek wstydliwie spuścił wzrok.

- Myślałem, jak moglibyśmy go nazwać.

- Zbyt dosłowne - zawyrokował Clay. - Potrzebujemy czegoś chwytliwego. Wiadomo, że zawsze porzuca ciała ofiar nad wodą.

Wodnik?

- Najlepiej od razu Szuwarek - prychnął Ian, robiąc kwaśną minę.

- Utopiec? Upiór znad rzeki? - Clay nie dał za wygraną.

- Może Dusiciel znad Willamette*? - podsunął Derek.

- To jest to samo. - Susan wzruszyła ramionami.

- Szkoda, że nie zjada zwłok ofiar - powiedział Clay, uważnie oglądając swoje ciastko. - Dopiero byśmy coś niezłego wymyślili.

Na twarzy Iana odbiło się zmęczenie.

- Później się zastanowimy, jak go nazwać. - Machnął na De-reka. - Mów dalej.

Derek odchrząknął.

- Pierwsza dziewczyna zaginęła w październiku. Nazywała się Lee Robinson i miała czternaście lat. Chodziła do pierwszej klasy liceum Cleveland High w dzielnicy Southeast. Po lekcjach miała próbę na sali gimnastycznej. Śpiewała w uczniowskim chórze jazzowym. Po skończonej próbie powiedziała znajomym, że idzie do domu.

Mieszkała dziesięć przecznic od szkoły. Nie było jeszcze ciemno.

* Rzeka w zachodnim Oregonie, wpadająca do rzeki Columbia w

poblizu miasta Portland (przyp. tłum.).

- Chór jazzowy? - zdziwił się Clay.

- To coś takiego jak normalny chór - wyjaśniła Susan. - Tylko śpiewają mniej denerwujące piosenki.

Derek puścił tę wymianę zdań mimo uszu.

- Lee nie dotarła do domu. Mama czekała na nią z kolacją, ale po godzinie zadzwoniła do dwóch koleżanek córki, które śpiewały razem z nią w chórze. Potem próbowała skontaktować się z kimś ze szkoły, ale nikogo nie udało jej się złapać. W końcu, o dwudziestej pierwszej trzydzięci, zadzwoniła na policję. Na razie nikt jeszcze nie obawiał się najgorszego. Podczas wakacji Lee poznała przez Internet jakiegoś faceta. Rodzice dowiedzieli się o tym i kazali jej zerwać tę znajomość. Kiedy dziewczyna zaginęła, policjanci zaczęli podejrzewać, że mogła nie posłuchać i dalej prowadzić swój wirtualny flirt.

Derek wcisnął klawisz i na ekranie pojawił się zeskanowany artykuł z „Heralda”.

- To jest nasz pierwszy materiał na ten temat Wiadomości lokalne, pierwsza strona trzydziestego października. Czterdzieści osiem godzin po zaginięciu Lee Robinson.

Susan poczuła ukłucie głębokiego smutku na widok szkolnego zdjęcia uśmiechniętej dziewczyny: brązowe, gładko zaczesane włosy, aparat korekcyjny na zębach, bluza z emblematem jej chóru jazzowego, pryszczki na twarzy, niebieski cień na powiekach i wargi pomalowane błyszczkiem.

- Pisaliśmy, że uciekła z facetem poznanym przez Internet - powiedział Derek. - Policja uruchomiła specjalny numer dla wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć na ten temat. Odebrali ponad sto telefonów, w tym jeden od matki tej internetowej sympatii Lee Robinson. Okazało się, że to nie był żaden facet, tylko młody chłopak z Cleveland, którego poznała na czacie, gdzie występował pod pseudonimem. Polubił ją, ale nie na tyle, żeby od razu brać ślub w Las Vegas. Nie pisali do siebie już od wielu miesięcy. Nie wiedział, gdzie jest dziewczyna. A ona nie miała pojęcia, kim on jest.

— Na pewno nie chcesz jabłuszka w cieście? - zapytał Ian. spoglądając na Susan.

- Na pewno - ucieła.

Derek znów nacisnął klawisz. Ukazał się kolejny slajd, tytułowa strona gazety.

- Pierwszego listopada daliśmy materiał o Lee Robinson na jedynce, pod tytułem „Zaginiona uczennica”.

Artykuł był ilustrowany tym samym szkolnym portretem, a obok niego widniało zdjęcie mamy, ojca i brata dziewczyny, zgromadzonych razem z sąsiadami na czuwaniu.

- Potem ukazały się jeszcze dwa, ale nowych informacji było w nich już niewiele - kontynuował Derek.

Następny slajd. Artykuł z siódmego listopada, z pierwszej strony. Nagłówek informował: „Zaginiona uczennica nie żyje”.

- Znalazł ją ochotnik, ratownik z psem, na błotnistym brzegu wyspy Ross. Porywacz zgwałcił ją, a potem udusił. Patolog orzekł, że zwłoki leżały w błocie przez tydzień.

- Moja żona też kiedyś leżała cały tydzień w błocie- oznajmił Clay - Ale to było w Sedonie, w spa.

Ian jęknął rozpaczliwie.

- Więc może Błotniak? - zaproponowała Susan. Nikt tego nie skomentował. Wzruszyła ramionami. - Dorzucam się tylko do burzy mózgów.

Derek czekał, nie mówiąc ani słowa, dopóki nie zrobiło się cicho. Wtedy wysunął swoją kwadratową szczękę naprzód i zaczął postukiwać w klawiaturę, przerzucając następne slajdy. Paznokcie miał czyste i lśniąco. Przez cały kolejny tydzień „Herald” codziennie pisał o Lee Robinson: ukazywały się wywiady z sąsiadami, wspominającymi ją zawsze bardzo ciepło, wzmianki o czuwaniu, które urządziła jej klasa z liceum i o mszach w jej intencji, a także informacje o rosnącej kwocie gromadzonej w funduszu na poczet nagrody za pomoc w schwytaniu mordercy.

- Drugiego lutego kolejna dziewczyna, Dana Stamp, miała w szkole trening swojej grupy tanecznej - zaczął referent. - Chodziła do liceum Lincoln High. Po treningu wzięła prysznic, pożegnała się ze znajomymi i poszła na uczniowski parking, gdzie stał jej samochód. Nie dotarła do domu. Jej matka, która pracuje w agencji handlu nieruchomościami, tego dnia pokazywała klientowi dom we wschodniej części miasta i wróciła do domu dopiero o dwudziestej pierwszej. Na policję zadzwoniła kilka minut przed północą. - Slajd. „Kolejna zaginiona uczennica”, krzyczał nagłówek pierwszej strony „Heralda”. Data: trzeci lutego.

I znów szkolna fotografia. Susan wyciągnęła lekko szyję, przyglądając się uważnie portretowi wyświetlonemu na ścianie. Podobieństwo obu ofiar było uderzające. Dana nie miała trądziku i nie nosiła aparatu na zębach, więc na pierwszy rzut oka wydawała się ładniejsza niż Lee, ale po bliższej obserwacji mogłaby nawet zostać uznana za jej krewną. To była późniejsza wersja Lee Robinson, po zdjęciu aparatu i ustąpieniu krost. Obie dziewczyny miały taki sam owal twarzy, szeroko rozstawione oczy, małe noski i brązowe włosy. Były bardzo szczupłe i zaczynały im już nieśmiało pączkować piersi. Dana na zdjęciu była uśmiechnięta, Lee poważna.

Susan знаła tę historię na wrywkę, tak jak wszyscy mieszkańcy Portland. Nie można było zamknąć na nią uszu. Dni płynęły, a poszukiwania Dany wciąż nie przynosiły rezultatu. Z biegiem czasu imiona obu dziewczyn zaczęto wymawiać jednym tchem: DanaLee. Niczym złowieszczą mantrę powtarzali je bez końca prezenterzy lokalnych wiadomości, a temat porwań nastolatek codziennie otwierał każde wydanie telewizyjnego dzien-

nika, niezależnie od wydarzeń w kraju i na świecie. Rzecznicy policji pozwalali sobie tylko na przypuszczenia, że oba przypadki może faktycznie coś łączyć, ale opinia publiczna nie miała w tym względzie żadnych wątpliwości. Szkolne zdjęcia Dany i Lee zawsze pojawiały się obok siebie. „Dziewczęta”, tak o nich mówiono. Derek dla większego efektu powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

- Zwłoki znalazł kajakarz, czternastego lutego, nad brzegiem rzeki, na Esplanadzie. Były częściowo ukryte w zaroślach. Dana została zgwałcona i uduszona.

Slajd zniknął. Dalej była strona z najnowszego wydania gaze-ty.

Data ósmy marca. „Trzecia zaginiona uczennica. Władze miasta zarządzają ponowne powołanie zespołu śledczego ze sprawy Wirtuoza”. Derek podsumował przebieg wydarzeń:

- Kristy Mathers wyszła wczoraj ze szkoły po próbie przedstawienia teatralnego. Miała pojechać na rowerze prosto do domu. Jej ojciec jest taksówkarzem. Pracuje do późna. O dwudziestej zajrzał na chwilę do domu, zaniepokojony tym, że córka nie odbiera telefonów. Pół godziny później zadzwonił na policję. Dziewczyny do tej pory nie odnaleziono.

Susan przyjrzała się fotografii; Kristy była pulchniejsza niż Dana i Lee, ale miała identyczne brązowe włosy i szeroko rozstawione oczy. Nagle dziennikarka uświadomiła sobie, że ta historia prawdopodobnie nie zakończy się szczęśliwie, a zaginiona nie wróci do domu. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Jak dobrze to opiszesz, to karierę masz załatwioną - oznajmił Ian. Derek spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. - Jak to? Mówiłeś, że ja mam o tym pisać. Pół nocy siedziałem nad tą prezentacją.

- Zmiana planów - poinformował go Ian. - Ale nieźle śmi-gasz w PowerPoincie.

Na czole Dereka zagrały nagle stwardniałe mięśnie.

- Wyluzuj - westchnął Ian. - Zajmiesz się aktualizacją strony w Internecie. Zakładamy bloga.

Dwie szkarłatne plamy zapłonęły na policzkach dziennikarza. Susan widziała wyraźnie, jak jej rywal zaciska zęby. Derek zaczął wodzić oczami od Iana do Claya i z powrotem. Clay poczęstował się jeszcze jednym ciastkiem. Rogers przeniósł z kolei złowrogie spojrzenie na Susan, która odwzajemniła się wzruszeniem ramion i niedbałym półuśmieszkiem. Mogła sobie na to pozwolić. Przecież i tak już wygrała.

- W porządku - powiedział w końcu Derek, z rezygnacją pochylając głowę. Zamknął laptopa, odłączył kabel i zaczął zwijać go dookoła dłoni. Nagle znieruchomiał, ściskając w pięści ciasne zwoje, zadzierzgnięte niczym węzeł na stryczku.

- Dusiciel po Lekcjach - wypalił. Wszyscy unieśli głowy i spojrzeli na niego. Derek uśmiechnął się, wyraźnie z siebie zadowolony. - Tak możemy go nazwać. Właśnie to wymyśliłem.

Ian zerknął na Claya, przechylając pytająco głowę.

Nie, pomyślała Susan. Nie pozwólcie, żeby ta fujara wymyśliła przydomek dla mordercy. Tylko nie Derek-Frajerek. Clay przytaknął.

- Dusiciel po Lekcjach. - Zachichotał ponuro. - Oklepane. Ale niezłe.

7

Archie przeliczył tabletki vicodinu. Trzynaście. Dwie odłożył na pokrywę rezerwuaru, a resztę schował do blaszanego pudełeczka na lekarstwa, otuliwszy starannie watą, żeby nie grzechotały. Pudełeczko wsunął do kieszeni marynarki. Trzynaście vico-dinów. Powinno wystarczyć. Po chwili westchnął i wyciągnął pudełko z kieszeni. Wysypał na dłoń jeszcze pięć sztuk z dużej butelki z brązowego szkła, dołożył, zamknął wieczko i schował pudełko z powrotem. Osiemnaście vicodinów. Każda tabletkę zawiera dziesięć miligramów kodeiny i siedemset pięćdziesiąt miligramów paracetamolu. Maksymalna dawka paracetamolu, jaką mogą przerobić ludzkie nerki, to cztery gramy na dwadzieścia cztery godziny. Miał to przeliczone już dawno: pięć i trzydzieści trzy setne tabletki dziennie. Za mało, o wiele za mało. Zaczął się bawić w osvajanie nałogu. Co kilka dni zwiększał dawkę o jedną tabletkę, aż dochodził do dwudziestu pięciu, a potem zmuszał się, żeby brać mniej, przełamywał je na pół, powracając w końcu do zalecanych czterech czy też pięciu. I od nowa. To była gra. Gra w „kto kogo”. Gracze zmieniali się kolejno. Vicodin na ból. Xanax na napady paniki. Zantac na żołądek. Ambien na sen. Miał ich wszystkich w swoim pudełeczku.

Przebiegł palcami wzdłuż krawędzi szczęki. Nigdy nie umiał golić się porządnie, ale ostatnio ten brak wprawy stał się już wręcz niebezpieczny. Zerwał kawałek papieru toaletowego, którym zakleił skórę po zacięciu; natychmiast pociekła krew. Opryskał twarz zimną wodą, wziął nowy listek z rolki i przycisnął do policzka. Spojrzał w lustro. Nigdy nie potrafił właściwie ocenić własnego wyglądu. Miał za to inne predyspozycje: wiedział, jak oceniać innych, posiadał sporo empatii i doskonałą pamięć, a także obsesyjną, zawziętą determinację, która nakazywała mu zawsze rozważyć każdą ewentualność i wydobyć na wierzch prawdę, naga jak blizna spod zerwanego strupa. W trakcie swojej osobliwej kariery w wydziale zabójstw rzadko kiedy zastanawiał się nad tym, jak postrzegają go inni; nie obchodziło go to zbyt. Teraz więc spojrzął w lustro, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Zobaczył smutne, ciemne oczy. Miał takie, zanim jeszcze po raz pierwszy usłyszał nazwisko Gretchen Lowell, a nawet zanim został policjantem. Jego dziadek pochodził z Irlandii Północnej; był księdzem, ale za jakieś przewinienie otrzymał suspensę i uciekł z kraju. On miał właśnie takie oczy: nawet w najlichnijszym

towarzystwie wyzierała z nich nostalgia. Archie zawsze miał smutne spojrzenie, ale w ciągu ostatnich kilku lat rysy jego twarzy jakby się zatarty, więc zaczęto zwracać szczególną uwagę na te oczy. Podbródek mocno zarysowany, po matce, nos złamany w wypadku samochodowym i dołki w policzkach; było je widać, kiedy pozwalał sobie na jeden ze swoich krzywych uśmiechów. Nie należał do przystojniaków ale nie był też nieatrakcyjny, o ile ktoś lubi wiecznie przygnębionych przeciętniaków. Uśmiechnął się do swojego odbicia i momentalnie wzdrygnął się na ten widok. Kogo ja chcę oszukać, pomyślał. Postanowił jednak chociaż trochę się postarać. Przeczesał palcami gęste, brązowe kędziory i spróbował doprowadzić do porządku nieposłuszny kosmyk wiecznie opadający na czoło. Przygładził brwi. Nosił zawsze tę samą, idiotycznie profesorską marynarkę z jasnobrązowego sztruksu, a do niej srebrno-brązowy jedwabny krawat, który kupiła mu eks-żona. Podobno miała dobry gust; dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy usłyszał takie opinie od innych. Marynarka kiedyś leżała idealnie, ale teraz zwisała luźno na ramionach. Miał za to czyste skarpetki. Wyglądał, przynajmniej we własnym odczuciu, prawie normalnie. A przecież od dwóch lat czuł się notorycznie zmęczony. Miał czterdziestkę, ale każdy dałby mu co najmniej pięć lat więcej. Bezskutecznie walczył z pigułkami. Nie mógł się przemóc, żeby dotknąć własnych dzieci. A jednak wyglądał prawie normalnie. Tak. Radził sobie. Jestem gliniarzem, upomniał się w duchu. Koncertowo wcisnę każdy kit. Zmiał kawałek papieru, który przyciskał do twarzy i wrzucił go do kosza. Potem oparł się dłońmi na umywalce i zbliżył twarz do lustra. Zacięcia prawie nie było widać, naprawdę. Uśmiechnął się szeroko, unosząc krzaczaste brwi. Cześć! Miło cię znów widzieć! Jasne! Wszystko gra! Coraz lepiej! Westchnął i rozluźnił mięśnie twarzy, która przybrała z powrotem swój naturalnie zwiotczały wyraz. Nie myśląc nawet, co robi, zgarnął z rezerwuaru dwie tabletki i połknął je bez popijania.

Kwatera nowego zespołu śledczego znajdowała się w dawnej siedzibie banku, wydzierżawionej kilka miesięcy wcześniej przez władze miasta w charakterze biurowca dla urzędów, których nie było już gdzie pomieścić. Był to piętrowy betonowy budynek z bardzo niewielką liczbą okien, otoczony ze wszystkich stron parkingiem. W jednej ze ścian znajdował się bankomat dla zmotoryzowanych. Urządzenie nie było zepsute.

Archie zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i stał z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie, podziwiając widok. W ramach kompromisu zawartego z pigułkami przyjechał do pracy taksówką. Był nałogowcem, ale niepozbawionym poczucia odpowiedzialności. Na usta wypełził mu przelotny uśmiech. Bank. Szlag by go trafił. Na parkingu stały już trzy wozy transmisyjne lokalnych dzienników informacyjnych. Zauważył, że nie ma ekip z ogólnokrajowych stacji. To jednak, o ile się nie mylił, było już tylko kwestią czasu.

Pooglądał sobie, jak dziennikarze, zakutani w płaszcze przeciwdeszczowe na idiotycznie ciepłych podpinkach, dyskutują ze swoimi brodatymi kamerzystami. Ilekroć na parking zajechał jakiś samochód, zrywali się niecierpliwie, aby po chwili, gdy było już jasne, że to ktoś tutejszy, wrócić do papierosów i termosów z kawą. Czekają na mnie, uświadomił sobie nagle Archie. Nie na dziewczęta. Nie na zespół śledczy. I nawet, szlag by trafił, nie na swój reporterski materiał. Na mnie. „Ostatnią ofiarę” Wirtuoza. Nagły chłód zmroził mu palce aż do samych kości. Archie przecesał dłonią włosy. Były mokre. Dotarło do niego, że stał w mżawce przez bite dziesięć minut. Przeziębisz się na śmierć, pomyślał, ale głos, który zabrzmiał w jego myślach, nie należał do niego. To był jej głos. Śpiewny. Przekorny. - Przeziębisz się na śmierć, kochany.

Zaczerpnął głęboko powietrza, wypchnął ją, na jedną chwilę, ze świadomości i ruszył do czekającej na niego nowej kwatery. Kiedy tylko postawił stopę na mokrej betonowej nawierzchni parkingu, opadł go skłębiony rój dziennikarzy. Nie odpowiedział na żadne pytanie i zdawał się nie zauważać kamer; szedł przez tę „ścieżkę zdrowia” najszybciej jak tylko mógł, zgarbiony dla ochrony przed deszczem. Jak się pan czuje po powrocie do służby? Jak pańskie zdrowie? Czy kontaktował się pan może z Gretchen Lowell? Nie rozprasza się, nakazał sobie. Namacał w kieszeni swoje pudełeczko, czerpiąc pociechę z faktu, że ma je pod ręką. Idź, nie zatrzymuj się.

Pokazał odznakę mundurowemu policjantowi stojącemu przy wejściu i wślizgnął się do środka, pozostawiając za sobą reporterski tłumek, który dalej nie miał już wstępu. W banku roiło się od ludzi: jedni sprząтали, drudzy rozbierali stare stanowiska kasjerów, jeszcze inni nosili meble. Powietrze, gęste od pyłu z po-rozbijanych płyt gipsowych, wibrowało jednostajnym buczeniem elektrycznych narzędzi. Archie rozejrzał się dookoła, a oczy natychmiast zaczęły go piec od kłębiących się wszędzie drobinek. Zaraz za drzwiami stał jego najlepszy przyjaciel, detektyw Henry Sobol. Czekał na niego. To był człowiek, który wziął kiedyś pod skrzydła świeżo upieczonego detektywa Archiego Sherida-na i który od tej pory zawsze troszczył się o niego: olbrzymi facet z lśniąca, gładko wygoloną czaszką i gęstym szpakowatym wąsem. Henry, jeśli tylko zechciał, potrafił deprymować samym wyglądem, ale życzliwe spojrzenie niebieskich oczu, zmrużonych, gdy się uśmiechał, zdradzało łagodniejszą stronę jego charakteru. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej dwoistej aparycji i zawsze wiedział, jak z niej skorzystać. Tego dnia był ubrany w czarny golf, czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy, które podtrzymywał pasek z czarnej, ręcznie tłoczonej skóry, ze srebrną klamrą wysadzaną turkusami. Był to jego codzienny strój; rzadko kiedy widywano go w czym innym.

Na widok Archiego przerwał pedantyczne otrzepywanie czarnych

spodni z białego pyłu.

- Przebrnąłeś przez ten kordon pismaków? - zapytał rozbawionym tonem, chociaż wiedział dobrze, że jego przyjaciel był w swoim czasie obiektem o wiele bardziej zajadłego zainteresowania prasy,
- To był jeszcze mały pikus - wzruszył ramionami Archie.
- Kto to wie, jak nie ty - zgodził się Henry. - Jesteś gotowy?
- Bardziej już nie będę. - Archie rozejrzał się dookoła. - To jest bank.
- Nie jesteś przypadkiem uczulony na azbest?
- A ty nie czujesz się tutaj jakoś dziwnie?
- Zawsze lubiłem banki. Kojarzą mi się z pieniędzmi.
- Wszyscy już są?
- Cała gromadka. Czekają na ciebie w skarbcu.
- W skarbcu?
- Żart - wyjaśnił Henry. - Jest tutaj taki mały socjal. Z mikrofalówką i minilodówką.
- Jasne. W końcu to bank. A jak tam nastroje?
- Jakby mieli za chwilę zobaczyć ducha. Archie uniósł rozcapierzone dłonie.
- Uuu - zahuczał.

Jedną ścianę pokoju socjalnego zajmował zlewozmywak, lodówka i kuchenne szafki. Było tam też kilka niewielkich kwadratowych stolików zsuniętych razem, tak że tworzyły coś w rodzaju stołu konferencyjnego. Detektywi z zespołu śledczego siedzieli przy nim albo stali obok. Kilka osób popijało kawę z turystycznych kubków. Kiedy w drzwiach ukazał się Arenie, rozmowy ucichły jak ucięte nożem.

- Dzień dobry - powiedział, rozglądając się po twarzach swoich podwładnych. Sześcioro z nich, włączając Henry'ego, pracowało przy pościgu za Wirtuozem. Były też dwa nowe nabytki,
 - Nazywam się Archie Sheridan - przedstawił się głośno, chociaż wiedział, że wszyscy i tak go znają. Nawet ci dwaj, których widział pierwszy raz w życiu. Ale cóż, od czegoś trzeba było zacząć.
- Nowi członkowie zespołu nazywali się Mike Flannigan i Jeff Heil. Obaj byli średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Pierwszy był brunetem, drugi miał jasne włosy. Archie momentalnie wymyślił dla nich zbiorowy pseudonim: Ostre Chłopaki. Pozostałych znał: Henry, Claire Masland, Martin Nguyn, Greg Fremont, Anne Boyd i Josh Levy. Były w tej grupie osoby, z którymi pracował przez dobrych kilka lat, na okrągło, w dzień i w nocy - a żadnej z nich, z wyjątkiem Henry'ego, po wyjściu ze szpitala nie widział ani razu. Nie chciał się widzieć ze swoimi podwładnymi. A teraz stał przed nimi, a oni patrzyli na niego z sympatią, ale też z pewnym niepokojem. Było mu ich żal. Zawsze było mu żal ludzi, którzy wiedzieli o tym, co go spotkało. W takiej sytuacji trudno nie czuć się dziwnie. Wiedział, że to on musi sprawić, żeby przestali się krępować, bo tylko kiedy pozbędą się rozprasającego współczucia, będą mogli dla niego pracować ze stuprocentową wydajnością. Doświadczenie

podpowiedziało mu, że najlepiej zachowywać się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło, jakby widział się z nimi nie dalej jak wczoraj. Bo prostu wracamy do pracy. Żadnych ckliwych przemówień. Pokazać, że Archie Sheri-dan nie wypadł z obiegu i trzyma wszystko w garści.

- Claire - zwrócił się wprost do drobnej policjantki - jak wygląda organizacja ochrony w szkołach?

Claire wyprostowała się lekko na swoim krześle, zaskoczona, ale zadowolona, że szef od razu czegoś od niej wymaga.

- Wszystkie zajęcia pozalekcyjne zostały zawieszane do odwołania. W każdej szkole przez cały dzień dyżuruje czterech mundurowych, a do tego pomiędzy siedemnastą a dziewiętnastą sześć pieszych patroli krąży w okolicy. W tych godzinach doszło do poprzednich uprowadzeń. Dziś mają być wykłady na temat bezpieczeństwa, a rodzice wszystkich uczennic dostaną pisemne prośby od dyrekcji i policji, żeby odprowadzali córki do szkoły i odbierali je po lekcjach.

- W porządku - powiedział Archie. - Jak idą poszukiwania?

Martin Nguyn pochylił głowę w nieodłącznej czapce z emblematem Portland Trail Blazers. Archie nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział go z gołą głową.

- Mamy około pięćdziesięciu ludzi i dziesięć psów-tropicieli. Przeczesujemy ulicę po ulicy w promieniu mniej więcej dwóch kilometrów od jej domu. Zgłosiła się też jakaś setka ochotników. Na razie nikt nic nie znalazł.

- Postawić blokadę drogową wokół liceum Jeffersona, dziś, pomiędzy siedemnastą a dziewiętnastą. Zatrzymywać każdego, kto będzie tamtędy jechał. Pytać, czy czegoś nie widzieli. Może trafić się ktoś, kto wczoraj jechał tą samą drogą. Lee Robinson miała komórkę, prawda? Chcę mieć na biurku jej billingi, razem z korespondencją e-mailową, jej i pozostałych dwóch dziewczyn. Odwrócił się z kolei w stronę Anne Boyd, Annę była trzecim psychologiem z FBI skierowanym do pracy z jego zespołem przy pościgu za Wirtuozem i jedynym z tej trójki, który nie okazał się głupim fiutem, Arenie zawsze ją lubił, ale nie odpowiedział na żaden z listów, które w ciągu ostatnich dwóch lat od czasu do czasu od niej dostawał.

- Kiedy będzie gotowy profil psychologiczny? - zapytał.

Anne dokończyła puszkę dietetycznej coli i z cichym brzękiem odstawiła ją na stół. Ostatnim razem, kiedy Archie ją widział, nosiła afro; teraz jej czarne włosy były zaplecione w cieniutkie warkoczyki, tysiąc cieniutkich warkoczyków, które zakołysały się, kiedy przekrzywiła głowę.

- Za dwadzieścia cztery godziny. Najwyżej.

- Wstępne wnioski?

- Mężczyzna, pomiędzy trzydziestką a pięćdziesiątką. Oprócz tego na razie mam tylko oczywiste spostrzeżenia.

- Mianowicie?

- Zadaje sobie trud, żeby zwrócić zwłoki ofiar rodzinom. -Anne

wzruszyła pulchnymi ramionami. - Jest nieszczęśliwy.

- Czyli szukamy nieszczęśliwego mężczyzny w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat - podsumował Archie, myśląc: czy to ci nie brzmi znajomo? - Skoro jest nieszczęśliwy - wypowiedział na głos myśl, która przyszła mu do głowy - to ma słabe punkty, prawda? - Spojrzał na Anne

- Wie, że postępuje źle. I owszem, możliwe, że uda ci się go postraszyć.

Archie oparł dłonie na blacie slotu i pochylił się, wodząc wzrokiem po twarzach swoich podwładnych, którzy patrzyli na niego wyczekująco. To była jego drużyna. I jego odpowiedzialność. Wiedział dobrze, że nie jest najlepszy w roli przełożonego. Współpracownicy zawsze byli dla niego ważniejsi niż całe zwierzchnictwo. Dzięki temu sprawdzał się jako dowódca grupy operacyjnej. Dopóki były wyniki, szefostwo przymykało oczy na jego niedostatki w sferze zarządzania. Detektyw Sheridan pracował w zespole ścigającym Wirtuoza przez dziesięć lat; cztery lata przed aresztowaniem Gretchen Lowell stanął na jego czele i nie było dnia, żeby nie czuł na plecach wzroku zwierzchników, ciężącego niczym kamień zawieszony u szyi. Sprawdzał się, ale niewiele brakowało, a przypłaciłby to życiem, I wiedział, że z tego właśnie powodu nie cieszy się zbyt dużym zaufaniem zgromadzonych przed nim ludzi. Z tym większą niechęcią poinformował ich o tym, o czym należało im powiedzieć.

- Zanim omówimy resztę spraw, musicie wiedzieć, że podczas tego śledztwa przez cały czas będzie mi towarzyszyć dziennikarka z „Heralda”, niejaka Susan Ward.

Wszyscy zamarli w milczeniu.

- Wiem - westchnął Arenie. - To wbrew przepisom. Ale muszę się zgodzić, a wy musicie uwierzyć, że mam ku temu ważny powód. Jeśli tylko macie ochotę, zapraszam do współpracy z prasą. Rozejrzał się, próbując odgadnąć, co jego ludzie mogą sobie teraz myśleć. Szef podlizuje się prominentom? Próbuje się wypromować? A może „Herald” dostał wyłączność w zamian za nieujawnianie jakichś kompromitujących informacji? Zimno, bardzo zimno, odpowiedział im w myślach Arenie.

- Pytania, wątpliwości? - przerwał ciszę. Sześć dłoni wystrzeliło w górę.

8

Powiedz mi, co wiesz o Archiem Sheridanie - zażądała Susan. Było już dobrze po południu. Niedawno skończyła przeglądać materiały, które Derek wyszukał w komputerowym archiwum „Heralda” i wręczył jej rano, dołączając jabłko w cieście zawinięte w folię aluminiową. Czy to miał być żart? Po zapoznaniu się z wycinkami prasowymi poszła prosto do redakcji informacyjnej i

przysiadła z notatnikiem w dłoni na skraju biurka Jeffersona Parkera, prowadzącego w „Heraldzie” kronikę kryminalną. Parker był to łysiejący grubas, który patrzył z góry na wszelkiej maści absolwentów dziennikarstwa, o magistrach sztuk pięknych nawet nie wspominając. To był redaktor starej szkoły. Wojowniczy, protekcyjny i prawdopodobnie uzależniony od alkoholu. Ale nie można mu było odmówić inteligencji, a Susan zawsze go lubiła.

Parker odchylił się razem z fotelem, zaciskając swoje olbrzymie łapska na poręczach. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Myślałem, że przyjdiesz wcześniej - oznajmił.

- Powiedzieli ci o mojej bombie, która ma zarobić Pulitzera?

Parker prychnął.

- A tobie nikt nie powiedział, że dostałaś ją za to, co masz między nogami?

Susan uśmiechnęła się uroczo.

- Moja vagina służy mi z najwyższym oddaniem. Parker zarechotał, obrzucając ją życzliwym spojrzeniem.

- Czy ty aby na pewno nie jesteś moją córką?

- A pozwoliłbyś córce ufarbować włosy na różowo?

Potrząsnął przecząco głową, aż zatrzepotały mu obwisłe policzki.

- Po moim, kurwa, trupie. - Rozejrzał się po redakcji, po rzędach biurek, po ludziach wgapionych w monitory komputerów i paplających przez telefon. - No, popatrz tylko. - Zmarszczył się z niesmakiem, na znak niechęci do panującej ciszy i powagi. - Gdzie ja pracuję: w biurze czy w gazecie?

Westchnął ciężko.

- Idziemy do bufetu - zakomenderował, z trudem wydobywając się z fotela. - Postawię ci głównianą kanapkę i poudajemy dziennikarzy. Bufet znajdował się w piwnicach budynku „Heralda”. Serwowano tam dania jak w zakładzie zbiorowego żywienia: odgrzewaną pomyjowatą zupę, sałatkę z sałaty lodowej, pieczone ziemniaki, zeschnięte i pomarszczone. Jedną ścianę zajmowały dystrybutory, z których każdy miał chyba trzydzieści lat. Można było w nich kupić jabłka wielkości mandarynek, trójkątne kanapki, ciasto na porcje i lekko obite banany. Parker wziął z automatu dwie kanapki z szynką i serem. Jedną z nich wręczył Susan.

Podłe żarcie nie przyciągało do bufetu zbyt wielu pracowni-ków gazety, a ci nieliczni, którzy już tu przyszli kupić coś do zjedzenia, rzadko zostawali na miejscu, by rozkoszować się nastrojem lokalu. Parker i Susan bez problemu znaleźli wolny stolik z beżowym laminatowym blatem.

Redaktor Parker miał to do siebie, że zawsze czuć go było zastałym dymem z papierosów. O każdej porze dnia zalatywał od niego taki zapaszek, jakby właśnie wrócił z przerwy na fajkę, chociaż Susan ani razu nie widziała, żeby ruszał się zza swojego biurka. Jej starszy kolega chapnął olbrzymi kęs kanapki i otarł wierzchem dłoni majonez, który spłynął mu na podbródek.

- Nawijaj - mlasnął.

Susan otworzyła notatnik, posyłając mu olśniewający uśmiech.

- Susan Ward - wymruczała zmysłowym głosem. - Z dziennika „Oregon Herald”. Czy będzie pan uprzejmy odpowiedzieć na kilka pytań?

- Naturalnie. Pierwszorzędna gazeta. Pierwszorzędna.

- Interesuje mnie detektyw Arenie Sheridan. Należał do zespołu śledczego ścigającego Wirtuoza od samego początku dochodzenia, prawda? To on, razem z partnerem, dokonali oględzin zwłok pierwszej ofiary?

Parker potwierdził pochYLENIEM głowy, przy czym natychmiast wyskoczył mu drugi podbródek.

- Zgadza się. Przyszedł do wydziału zabójstw zaledwie kilka tygodni wcześniej. Dostał na partnera detektywa Henry'ego Sobola. To była jego pierwsza sprawa, wyobrażasz to sobie? Pierwsze śledztwo i od razu seryjny morderca? W czepku urodzony skurwiel. Jasne, wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co się kroi. Ktoś zamordował dziwkę i tyle. W Forest Parku. Znalazł ją koleś, który wyszedł sobie pobiegać. Ciało było nagie i nosiło ślady tortur. Popieprzona sprawa. W porównaniu z tym, co wyprawiało się później, to była jeszcze grzeczna zabawa, ale wystarczyło, żeby zwrócić uwagę. Zwłaszcza, że ofiarą była prostytutka. To było w dziewięćdziesiątym drugim roku. W maju.

Susan zajrzała do notatek.

- W lecie tego roku znaleziono zwłoki kolejnych ofiar, tak? W Idaho i Waszyngtonie?

- Tak. Chłopiec z Boise. Dziesięcioletek. Zaginął. Znaleźli go w jakimś rowie. W Olympii zamordowano starszego mężczyznę, a ciało porzucono na jego własnym podwórku. Potem była kelnerka z Salem. Jej zwłoki ktoś wyrzucił z pędzącego samochodu na autostradzie, powodując karambol, w którym rozbiły się cztery inne auta. Cała trasa stała w korku ładnych parę godzin. Mieszkańcy byli wściekli.

- To Sheridan wypatrzył znak rozpoznawczy mordercy, prawda? Te ślady na piersi?

- Zgadza się, to on. Ślady na piersi... Tak właśnie o tym pisaliśmy.

- Parker nachylił się bliżej Susan, a jego wielki brzuch rozlał się na blacie stolika. - Wiesz, jak wygląda nóż modelarski? Takie niby wieczne pióro ze skalpelem zamiast stalówki?

Skinęła głową.

- Wszystkie ofiary miały rany zadane takim ostrzem. Wszystkie. bez wyjątku. Bardzo charakterystyczne obrażenia. Żyli, kiedy im to robiono.

- Charakterystyczne? W jaki sposób?

- To był podpis Gretchen Lowełł. Serce wycięte na skórze. Trudne do zauważenia przy całej masie innych ran. Jakbyś chciała znaleźć w lesie jedno drzewo. Na pewno komuś w końcu wpa-dłoby to w oko ale tak się złożyło, że Sheridan wyprzedził kolegów. Ta

zamordowana prostytutka to była jego pierwsza sprawa, a uwierzy mi na słowo, że wydział zabójstw nie uważał tego wtedy za najważniejsze śledztwo na świecie. Nie mogli nawet znaleźć krewnych, żeby przekazać im zwłoki. Dziewczyna uciekła z rodziny zastępczej. Ale Sheridan się zawiązał, a kiedy jego szefostwo załapało, że w ich rewirze jakiś seryjny morderca masakruje podatników na chybił trafił, utworzenie specjalnej grupy dochodzeniowej trwało krócej niż czołówka wiadomości. - Parker ugryzł jeszcze jeden kęs kanapki, zżuł go dwoma ruchami szczęk i podjął temat: - Trzeba zrozumieć, że śledczy badający tę sprawę kompletnie nie wiedzieli, z której strony ją ugryźć. Niby udało się już wyjaśnić pewne zagadnienia dotyczące seryjnych morderców, ale Gretchen Lowell nie pasowała do żadnego opisu tego zjawiska. Ofiary wybierała bez żadnego klucza. Była konsekwentna tylko w kwestii obrażeń klatki piersiowej. Ofiary miały tam rany cięte, rżnięte, kłute, czasem nawet spalone ciało. Ale poza tym robiła z tych ludzi taką popapraną siekaninę, że głowa mała. Czasami zmuszała ich, żeby pili płyn do czyszczenia rur. Czasami wypreparowywała im organy. Na przykład śledzionę. Albo wyrostek robaczkowy. Albo język. Kilka ciał znaleźli praktycznie w plasterkach. A do tego miała jeszcze współników. No i była kobietą. - Przełknął kęs, który miał w ustach i odłożył kanapkę. - Nie jesz - zauważył.

Susan przestała pisać i przyjrzała się sceptycznie owiniętej w folię śniadaniową kanapce, wyglądającej jak coś, co kiedyś było żywe, a teraz leży martwe. Chwyciły ją lekkie mdłości. Spojrzała na Parkera, ale on tylko wyczekująco unióśł brwi. Odwinęła więc kanapkę z folii i odgryzła maleńki kęs z samego brzegu. Wiedziała, że to szynka, ale smakowało jak ryba. Parker wyglądał na usatysfakcjonowanego. Susan odłożyła kanapkę i powróciła do swoich pytań.

- Opowiedz o tych jej współnikach. To byli sami mężczyźni, zgadza się?

- Biedne palanty. Policja uważa, że wyszukiwała ich za pomocą drobnych ogłoszeń w gazetach, a potem też w internetowych serwisach randkowych. Rejestrowała się pod fałszywym nazwiskiem, a potem tylko przebierała, kto się lepiej nadawał do wykorzystania. Najwidoczniej miała nosa do facetów, którymi łatwo manipulować. Odcinała ich od wszystkich przyjaciół, wyszukiwała słabe punkty, a potem brała w obroty. Nie było takiego, który by się nie złamał. - Parker uśmiechnął się cierpko, przy czym z kącika ust wypłynęła mu kropelka majonezu. - Coś ci powiem: ta babka ma wiele wspólnego z moją żoną.

- Chodziłam kiedyś z facetem, który ożenił się z kobietą poznaną przez ogłoszenie w gazecie. Pewnego pięknego dnia, kiedy wyszedł do pracy, wyczyściła mu konto i wyniosła się do Kanady.

- Otóż to. - Parker uśmiechnął się i otarł usta serwetką. - Taki układ raczej rzadko się sprawdza, co?

- Co sądzisz o samym zespole śledczym? Jak był prowadzony? Dużo o tym pisałeś.

Parker machnął lekceważąco dłonią.

- Było w tym od cholery gównianych podchodów. Nacisków ze strony rodzin ofiar, mediów, różnych polityków. Takiego wzajemnego podgryzania się nie widziałem od czasu, kiedy moje córki miały naście lat. Z grupą współpracowało trzech kolejnych psychologów z FBI, a jej dowódca zmieniał się trzy razy, zanim wreszcie oddali szefostwo Sheridanowi. Żaden detektyw nie wytrzymał dłużej niż kilka lat, potem się wypalał. Pomyśl, dzień w dzień sprawdzasz trop za tropem i nic, ciągle nic. W operacyjnej bazie danych zgromadzono około dziesięciu tysięcy pojedynczych informacji i wskazówek. Profil poszukiwanego, który opracowali ludzie z FBI, okazał się nietrafny. Jednego roku nad sprawą pracowało czterdziestu ośmiu gliniarzy, a rok później, kiedy nzbierało się ciało w prosektorium, a wyników dalej nie było, opinia publiczna zaczęła szaleć, że to marnotrawstwo publicznych funduszy i cały zespół zredukowano do raptem trzech osób. Ale kiedy tylko pojawiły się kolejne zwłoki, skład znów się powiększał i tak dalej. Sheridan był jedynym detektywem, który działał w grupie bez przerwy przez całe dziesięć lat. I jedynym, który nigdy nie poprosił o przeniesienie.

Susan oderwała długopis od kartki w notatniku.

- Znasz go?

- Jasne.

- Ale czy to jest znajomość z rodzaju „proszę nie uciekać, mam do pana kilka pytań”, czy może „chodźmy na kielicha i powiesz mi, co i jak”?

- Raczej to pierwsze. Miał żonę i dwójkę dzieci. Był w nich zakochany po uszy. Żonę poznał jeszcze na studiach. Spotkałem ją kiedyś, tylko jeden raz. Miła kobieta. Z tego co wiem, poza rodziną i tym jednym śledztwem nie miał właściwie życia osobistego.

- Co o nim sądzisz?

- Dobry gliniarz. Inteligentny facet. Niejednego mógłby zagiąć. Zrobił magistra z kryminologii czy tam z czegoś innego, nie wiem. Studencik. Ale koledzy go lubili. Był uczciwy. Uparcie dążył do celu. A poza tym - Parker pomachał dłonią w powietrzu - był trochę zakręcony.

- Jak to? - zapytała Susan. Nie miała już w dłoni długopisu; leżał teraz na stole, obok kanapki.

Parker wzruszył ramionami. Powiedzmy, że mocno koncentrował się na pracy. Ale trzeba pamiętać, że przez dziesięć lat prowadził jedno śledztwo.

Wiesz może, gdzie się podziewał przez ostatnie dwa lata?

- O ile mi wiadomo, nie ruszał się z miasta. Był na rencie inwalidzkiej. Gretchen Lowell porządnie się do niego dobrała. Cały miesiąc leżał w szpitalu. Potem rehabilitacja. Ale nie przepadł bez śladu, bo słyszałem, że współpracował z prokuratorem i pomagał

przygotować umowę pomiędzy oskarżeniem a obroną.

- Gretchen Lowell przyznała się do pięciu morderstw w Ore-gonie i kolejnych sześciu w Waszyngtonie i Idaho, plus uprowadzenie i usiłowanie morderstwa. Podała też, gdzie znajdują się zwłoki dwudziestu innych ofiar. Zgadza się?

- Owszem. W zamian za to nie dostała czapy. Wielu ludzi było zdania, że trzeba dać jej zastrzyk.

- A ty jak uważasz?

- Żałuję, że nie było procesu. Uwielbiam porządne, poruszające widowiska sądowe. Dałbym każde pieniądze, żeby zobaczyć, jak Archie Sheridan składa zeznanie. Susan przygryzła wargę.

- Właściwie dlaczego ona go porwała? To nie ma sensu.

- Był dowódcą grupy dochodzeniowej. Jego zdjęcie bez przerwy pojawiało się w gazetach. Chciała mu się pokazać. Przyszła prosto do jego gabinetu, przedstawiła się jako psychiatra i zaoferowała swoje rzekome pseudo-usługi. Może to było dla niej swojego rodzaju wyzwanie. Poza tym baba jest stuknięta i już. - Parker wepchnął do ust ostatni kawałek kanapki, jakby chciał zakończyć tę obserwację wykrzyknikiem.

- A skąd się wziął pseudonim „Wirtuoz”?

- To mój pomysł - oznajmił z dumą w głosie. - Poprosiłem patologa, który robił sekcję tej prostytutki Sheridana, żeby opisał, w jakim stanie były zwłoki. Zabójca mocno ją pokaieć A on tylko gwizdnął i powiedział: „Koronkowa robota”. To była najciekawsza autopsja, jaka mu się trafiła w ciągu całego roku. Przedtem pracował w Newport i miał tam tylko topielców i samobójców. Był normalnie w siódmym niebie. A że ten finezyjny morderca okazał się kobietą, i to niczego sobie - to tylko dodało sprawie smaczku.

Ale Susan wciąż coś w tym wszystkim nie pasowało. Ta kobieta musiała mieć mocno rozwinięty instynkt przetrwania. Od dziesięciu lat co najmniej - regularnie mordowała ludzi. Porwanie ścigającego ją detektywa nie leżało w jej najlepiej pojętym interesie

- A co sądzisz o teoriach, które mówią, że ona chciała, żeby ktoś ją powstrzymał? Żeby ją w końcu złapano? Gliniarz narzędziem samobójstwa?

- Pieprzenie - skwitował lekceważąco Parker. - Gretchen Lo-well to psychopatka. Ona nie jest taka jak my. Nie postępuje racjonalnie. Lubiła zabijać ludzi. Sama to przyznała, w więzieniu.

Porwała Archiego Sheridana, uspiła go narkotykami, torturowała przez dziesięć dni i zamierzała zamordować. I gdyby jej tego nie wybił z głowy, to dziś już by gryzł ziemię.

- Nie zabiła go, bo on wybił jej to z głowy, Tak po prostu.

- To ona zadzwoniła po pogotowie. Gdyby nie miała medycznego przeszkolenia, to Sheridan by nie przeżył. Od jednego z ratowników dowiedziałem się, że reanimowała go przez prawie trzydzieści minut. Nie dała mu umrzeć, dopóki nie przyjechała karetka.

- Uratowała mu życie.

- Zgadza się.

- Jezu, ale chłop ma przesrane. Wargi Parkera lśniły od tłuszczu.
- Myślę, że masz rację.

9

Burmistrz Portland Bob Anderson, zwany Kolesiem, zwołał na popołudnie konferencję prasową w nowym urzędzie miasta. Ogłosił na niej powołanie nowego zespołu śledczego, Ian postanowił wykorzystać tę okazję i przedstawić mu Susan. Susan szczerze nie znosiła konferencji prasowych z ich sztuczną atmosferą, obowiązkową poprawnością i niemalże stuprocentową nieprawdliwością podawanych do wiadomości faktów, które nie nadawały się do rzetelnego artykułu. Owszem, były to informacje jak najbardziej ściśle i dokładne. Tyle że kompletnie wysrane z palca.

Ian zaproponował, że pojedą jego samochodem, a Susan chętnie się zgodziła. Jej zdezelowany saab był jak zwykle przeładowany rekwizytami, bez których nie wyobrażała sobie życia: czasopismami, butelkami po wodzie mineralnej, starymi, nienoszonymi kurtkami, notatnikami i długopisami. Dziesiątkami długopisów. Zauważyła, że ludzie, którzy z nią jeżdżą, czasami nie potrafią zrozumieć, że nie zbiera z podłogi starych, zaschniętych frytek, nie mówiąc już o odkurzaniu pod szybą. Na konferencję w urzędzie miasta pojechał także Parker, który miał tam być służbowo, ale ponieważ nie lubił Iana (tylko i wyłącznie za to, że naczelny działu reportaży w 1982 roku skończył szkołę dziennikarską), wybrał się na własną rękę.

Deszcz nie przestał jeszcze padać. Niebo było całkowicie zasnuwane białymi chmurami, a otaczające miasto wzgórze majaczyły niewyraźnie w mlecznej mgle. Samochód Iana wjechał na most. Susan przyłożyła dłoń do szyby. Uwielbiała deszcz za to, że rozmywa każdy widok, że zasłania przezroczystą kurtyną świat za każdym oknem. Uwielbiała patrzeć na plamy światła rozlanego na chodnikach, na pulsujące czerwone kleksy chlapnięte na tylne zderzaki hamujących samochodów. Uwielbiała słuchać szurania wycieraczek po szybie.

Musiła zadać Ianowi to jedno pytanie.

- W kwestii tej mojej nowej roboty... - zagadnęła, nie odrywając wzroku od okna, bębniąc palcami po zimnym, twardym szkłe. - Twój fiut nie miał tutaj nic do gadania, prawda?

Ian spojrzał na nią z autentycznym zaskoczeniem.

- O Jezu! Skądże znowu! Nie, Susan, nie. To Howard sobie zażyczył, żeby dać ci ten artykuł. Ja to tylko zatwierdziłem. Nigdy bym nie... - Urwał w pół słowa.

- To dobrze - powiedziała Susan. - Bo jeśli zacznę podejrzewać, że seks psuje nam stosunki zawodowe to będzie koniec. - Odwróciła się od okna i zmierzyła go twardym spojrzeniem swoich zielonych oczu.

- Prawda, że rozumiesz?

Odchrząknął, czerwieniejąc na twarzy i szyi.

- Rozumiem.

Wzrok Susan powędrował z powrotem na zewnątrz, gdzie rzeka Willamette nieprzerwanie toczyła swoje wody pod mostem. - Cudowny ten deszcz, nie uważasz?

Anne Boyd i Claire Masland siedziały naprzeciwko siebie przy stole w pokoju socjalnym, z którego niegdyś korzystali pracownicy banku. Claire była najdrobniejszą kobietą, jaką Anne kiedykolwiek widziała. Nie chodziło nawet o sam wzrost, metr pięćdziesiąt kilka centymetrów; Claire była po prostu tak filigranowa, a przy tym koścista, że gdyby ktoś postury Anne próbował ją kiedyś uściskać, to mógłby przypadkowo zmiażdżyć jej głowę pod pachą, jak w dziadku do orzechów. W każdym razie tak to sobie wyobrażała jej koleżanka, co bynajmniej nie przeszkadzało jej szczerze lubić Claire. Obcięta na chłopaka, drobniutka policjantka wyglądała jak nastolatek, ale była jednym z najbardziej nieustępliwych detektywów, z jakimi Anne Boyd miała okazję współpracować. Przypominała słodkiego pokojowego pieseczka, który, kiedy już wbije ząbki w czyjąś rękę, momentalnie dostaje szczękościsku i trzeba mu wstrzyknąć środek uspokajający, żeby w ogóle mógł otworzyć pyszczek. Zakumplowała się z psycho-łożką podczas pracy nad sprawą Wirtuoza. Reszta grupy widziała w tym normalną przyjaźń dwóch kobiet, na zasadzie „ciągnie swój do swego”. I na swój sposób była to prawda. Wiedziały, że coś je łączy. Chociaż jedna była filigranowa, a druga pulchna, jedna biała, a druga ciemnoskóra, obie miały tę świadomość, że różnią się od innych kobiet na tyle, aby znaleźć drogę do pełnego przemocy świata wciąż zdominowanego przez mężczyzn. Każda z nich rozumiała, że śmierć, na swój sposób, potrafi przyciągać człowieka jak magnes.

- Chcesz omówić to jeszcze raz? - zapytała Claire. Zdążyła już dwa razy przedyskutować z Anne punkt po punkcie swoje materiały operacyjne, aktualnie natomiast wierciła się na krześle, wpatrując się w drzwiczki mikrofalówki, za którymi odgrzewał się jej lunch.

- Na razie chyba nie potrzebuję od ciebie nic więcej. - Anne wzięła kopie notatek, które przyniosła jej Claire i ułożyła je w stosik obok notatek Henry'ego i Martina, z którymi rozmawiała wcześniej. Detektywi nie zawsze przepisują do swoich raportów wszystkie notatki które robią podczas oględzin miejsca zbrodni, a Anne wiedziała nie od dziś, że wystarczy najdrobniejszy szczegół żeby zmienić garść domysłów w rzetelny profil psychologiczny i odwrotnie - Jak twoim wyglądał dziś Archie? - zapytała, starała się, żeby wypadło to naturalnie i od niechcenia.

Claire wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od zegara na obudowie mikrofalówki. Szczupli ludzie chyba nigdy nie przestają jeść; Anne nieraz miała okazję to zaobserwować.

- W porządku - odpowiedziała, odgryzając z palca naderwa-

ną, krwawiącą skórę, - W porządku?

Szare oczy Claire błysnęły stałą, a uniesiona do ust dłoń opadła z powrotem na kolana.

- Tak, Anne. W porządku. Prosił cię, żebyś miała na niego oko? - Martwię się o niego. To mój znajomy — odparła psychologka, spoglądając na trzy puszki dietetycznej coli, stojące przed nią na stole. Wzięła jedną do ręki. Pusta.

- W tej chwili nic mu lepiej nie pomoże niż praca - powiedziała Claire, a jednocześnie mikrofalówka krótko zabrzęczała. Drobną policjantka zerwała się z krzesła. - Poza tym Henry mówi, że Archie się trzyma.

- Henry go kocha.

- Właśnie. Kocha, więc chroni, mam rację? A zresztą, gdyby coś było nie tak, to przecież nie ściągaliby go z powrotem.

- Wiesz, że to nieprawda.

Zamiast coś powiedzieć, Claire otworzyła tylko drzwiczki ku-chenki i wyciągnęła ze środka papierowy talerz, na którym leżało wyschnięte, pomarszczone burrito. Z ponurą miną trąciła je palcem.

- Do dupy ta mikrofała - syknęła.

Ponieważ wciąż mżył deszcz, podwyższenie z pulpitem i pęczkiem mikrofonów ustawiono pod daszkiem osłaniającym bankomat. Kiedy Susan i Ian dojechali na parking, wszyscy przedstawiciele prasy siedzieli już grzecznie na zimnych metalowych krzesłkach. Miasto Portland posiadało następujące środki masowego przekazu: „Heralda”, trzy tygodniki, kilka gazetek osiedlowych, filię NPR, czyli Krajowego Radia Publicznego, regionalną rozgłośnię radiową, niezależnego wysłannika Associated Press i cztery lokalne kuriery telewizyjne. Ze względu na powagę sprawy, jak też szeroko zakrojone śledztwo, na konferencję przyjechało kilku dodatkowych dziennikarzy prasowych i telewizyjnych z Seattle. Ich wozy transmisyjne były bardziej bajeranckie niż wozy ekip z Portland, ale tylko odrobinę.

Burmistrz przemawiał posępnym, majestatycznym tonem, niby głowa państwa, tubalnie obwieszczając wszem wobec, że dochodzenie nie potrwa długo. Aby zaś dodać powagi swym słowom, wzmacniał wypowiedź gestykulacją, która była monotonna.

- Dokładamy wszelkich starań i przeznaczamy wszystkie dostępne środki, aby doprowadzić do zatrzymania potwora w ludzkiej skórze, polującego na młode córki mieszkańców naszego miasta. Apeluje do obywateli: zachowajmy środki ostrożności, ale nie ulegajmy panice. Do służb powraca zespół śledczy ze sprawy Wirtuoza. Pokładam w tych oficerach wielką ufność i jestem pewny, że chaos, który spędza nam sen z powiek, niebawem się zakończy.

Susan otworzyła notatnik i zapisała w nim tylko dwa słowa: kiełbasa wyborcza. Zamknęła okładkę, uniosła głowę - i w tym momencie zobaczyła Archiego Sheridana. Detektyw stał za plecami

burmistrza, oparty o betonową ścianę banku. Ręce trzymał w kieszeniach marynarki. Nie patrzył na gardłującego urzędnika. Patrzył na nich, na prasowy tłumek. Wodził taksującym wzrokiem od twarzy do twarzy, a jego mina nie wyrażała absolutnie niczego. Po prostu obserwował. Susan zauważyła, że jest chyba szczuplejszy niż na fotografiach. I że ma dłuższe włosy. Nie wyglądał jednak na chorego, niepoczytalnego czy innego wariata. Sprawiał tylko wrażenie, że na coś czeka. Jakby stał na peronie metra, wyglądając świeżo w mrocznym tunelu. Nagle dziennikarkę przeszyła elektryczna iskra; dotarło do niej, że Sheridan patrzy wprost na nią. Przez jedną chwilę spoglądali sobie w oczy, Susan poczuła, że nawiązał się swojego rodzaju kontakt. Detektyw posłał jej krótki, krzywy uśmiech. Odpowiedziała uśmiechem, a on powrócił do obserwacji widowni zgromadzonej na krzesłach. Przez cały czas nie poruszył się choćby odrobinę.

- Aby zatem nie być gołosłownym, pozwolę sobie przedstawić państwu mojego dobrego przyjaciela, detektywa Archiego Sheridana - oznajmił burmistrz. Sheridan uniósł głowę, a w jego oczach odbiło się coś w rodzaju zaskoczenia. Wstąpił na podwyższenie, wyjął ręce z kieszeni i lekko oparł się dłońmi o pulpit. Poprawił sobie mikrofon. Przeczesał palcami włosy.

- Czy mają państwo do mnie jakieś pytania?

Jako dowódca zespołu śledczego tropiącego Wirtuoza, Arenie brał udział w setkach konferencji prasowych, ale ta dzisiejsza była jego pierwszą od czasu Gretchen. Przesunął wzrokiem po zwróconych ku niemu twarzach, z których biła niecierpliwość. Było wśród nich wiele nowych, ale rozpoznał też kilka znajomych osób. Wypatrywał tej, która zada mu to najważniejsze pytanie. Chciał, żeby w wieczornych wiadomościach poszedł jasny, dobitny komunikat, więc to pytanie musiało teraz paść. Ci, po których się go spodziewał, podnosili dłonie najwyżej, a twarze mieli aż ściągnięte od determinacji. Archie zmusił się do rozluźnienia zaciśniętego żołądka i skinął głową młodej kobiecie o azjatyckich rysach, siedzącej w pierwszym rzędzie z notatnikiem w pogotowiu.

- Panie detektywie - zaczęła dziennikarka - czy jest pan pewien, że stan pańskiego zdrowia, tak fizycznego, jak i psychicznego, pozwala na objęcie funkcji dowódcy grupy dochodzeniowej ścigającej Dusiciela po Lekcjach?

- Dusiciela po Lekcjach?

- Tak nazywa się tego mordercę na stronie internetowej „Heralda”. Archie skrzywił się.

- Aha. Jasne. - Szybko się z tym uwinęli, pomyślał. - Czuję się znakomicie - skłamał.

- Był pan porwany i przetrzymywany w niewoli. Czy odczuwa pan może jeszcze jakieś dolegliwości?

- Mam drobne problemy z żołądkiem. Nie bardziej dokuczliwe niż wrzody pana burmistrza.

Dostrzegł na twarzach kilka uśmiechów uznania. Wskazał kolejną osobę.

- Czy uważa pan, że prokurator generalny powinien domagać się kary śmierci dla Gretchen Lowell?

Westchnął i przestawił się na automatyczny tryb odpowiedzi.

- obrońca Gretchen Lowell zawarł umowę z prokuraturą. Na mocy tejże umowy oskarżona przyjęła na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć wszystkich swoich ofiar. Na podstawie dowodów, które udało nam się zebrać, można ją było oskarżyć o zamordowanie zaledwie jedenastu osób. Rodziny ofiar, przynajmniej w pewnym sensie, będą mogły uważać tę sprawę za zamkniętą.

Archie robił, co mógł, żeby sprawić wrażenie spokojnego.

Opanowanego.

- Proszę państwa - zaproponował - czy możemy porozmawiać o bieżącym śledztwie? Jeden seryjny morderca w zupełności wystarczy.

Skinął głową w kierunku Jeffersona Parkera.

- Czy pana zdaniem Kristy Mathers jeszcze żyje?

- Nie tracimy takiej nadziei. Kolejna dłoń w górze.

- Ilu detektywów liczy pańska grupa?

- Na stałe? Dziewięciu. Siedmioro z nich brało udział w poszukiwaniach Wirtuoza. Naważemy także ścisłą współpracę z innymi służbami, a jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy dobierać sobie dodatkowy personel.

W tym momencie burmistrz poruszył się niezauważalnie, przybliżając o milimetr do podwyższenia. Arenie zeszytywniał w napięciu.

Najważniejsze pytanie wciąż jeszcze nie padło. Rozejrzał się po twarzach dziennikarzy. No dalej, ponaglił ich w myśli. Niech mnie ktoś zapyta. Przecież to takie oczywiste. Ktoś z was musi o to spytać. Zatrzymał spojrzenie na Susan Ward. Spodobało mu się, że dziewczyna nie traciła czasu, tylko od razu zabrała się do pracy nad swoim artykułem. Ambicja. Dobry znak. Sheridan momentalnie wyłowił ją z tłumu. Wyróżniał ją sposób, w jaki na niego patrzyła. No i te różowe włosy. Henry wspominał coś o tym, ale Archie pomyślał wtedy, że to żart. A teraz widział, że ta dziewczyna, tak samo jak on, rozgląda się po twarzach innych dziennikarzy. W końcu odwróciła wzrok na Archiego. a on uniósł brew. Po chwili wahania uniosła rękę. Skinął na nią.

- Co pan robi, żeby złapać mordercę? - zapytała.

Sheridan odchrząknął i spojrzał prosto w obiektywy kamer.

- Przeszukamy każdą dzielnicę. Przesłuchamy każdego świadka. Zbadamy wszystko, co mogło łączyć te dziewczęta z zabójcą. Zastosujemy każdą ze znanych nam metod naukowych, aby wytropić człowieka odpowiedzialnego za te morderstwa i ustalić jego tożsamość.

Pochylił się do przodu, mając nadzieję, że przedstawia sobą w tym momencie ucieleśnienie autorytetu i niewzruszonej pewności siebie.

- Złapiemy cię - oznajmił twardo. Cofnął się o krok i po chwili dodał: - Dziękuję.

Po zakończeniu konferencji prasowej Ian zaprowadził Susan do kwatery zespołu śledczego. Zgromadzeni dziennikarze pognali do swoich zajęć: pisania artykułów i montowania nakręconego materiału. Susan od razu zrozumiała, dlaczego konferencję urządzono na zewnątrz. Za drzwiami do banku panował kompletny chaos.

Wszędzie stały na wpół rozpakowane kartonowe pudła. Stanowiska kasjerów rozebrano i wyniesiono, tworząc rozległą pustą przestrzeń; w głębi znajdowało się kilka mniejszych gabinetów oraz drzwi, które, jak uznała Susan, musiały prowadzić do dawnego skarbcza. Całe umeblowanie było stricte bankowe. Kanapy z dębowymi poręczami miały wypłowiałe fioletoworóżowe obicia. Biurka, za którymi kiedyś siedzieli pracownicy udzielający pożyczek, były wykonane z taniego drewna, zabójcowanego pod kolor wiśni. Pod sufitem buczały świetlówki. Podłogę pokryto przemysłową wykładziną, na której wyraźnie odznaczała się wydeptana ścieżka wiodąca wzdłuż nieistniejącego już rzędu stanowisk kasjerów.

Ściany miały bladoróżowy kolor niczym w zakładzie pogrzebowym. Wszędzie krzątali się detektywi oraz pracownicy obsługi technicznej: rozpakowywali pudła, zawieszali na ścianach olbrzymie białe tablice ścierane na sucho, podłączali komputery. Urządzali w tej pustej przestrzeni komendę policji. Susan zaczęła się zastanawiać, ile czasu zmarnowano na rozkręcenie tego całego interesu, czasu, który można było poświęcić na poszukiwania Kristy Mathers, żeby zdążyć, zanim porywacz ją zamorduje. Na twarzach pracujących ludzi malowało się przygnębienie.

Burmistrz zakończył przemówienie, które wygłaszał do ekipy swoich pomocników, a Ian wykorzystał ten moment, aby przedstawić mu Susan.

- Panie burmistrzu, to jest Susan Ward, autorka, która będzie pisać o pracy zespołu śledczego - powiedział. Uwagi Susan nie uszło, że nazwał ją „autorką”, a nie dziennikarką.

Jej wygląd w widoczny sposób zaskoczył burmistrza, który jednak mimo wszystko zdołał się uśmiechnąć i podał jej rękę, drugą kładąc na ramieniu. Był wysokim mężczyzną. Miał pedantycznie ułożone, przedwcześnie posiwiałe włosy i należał do tych ludzi, którzy zawsze mają ciepłe dłonie. Jego lśniący szary garnitur w niczym nie ustępował blaskiem paznokciom, wypolerowanym na wysoki połysk. Ogólnie przypominał Susan aktora Roberta Younga w serialu „Father Knows Best”. Nie znosiła tego oglądać, ale tylko dlatego, że jej własne życie w porównaniu trąciło kompletną tandetą. Patrząc na tego człowieka, założyła się sama ze sobą, że za najwyżej pięć lat zostanie on senatorem. Jeśli tylko jest dostatecznie bogaty.

- Bardzo mi miło - powiedział burmistrz, posyłając Susan spojrzenie pełne ojcowskiej życzliwości. - Słyszałem o pani wiele dobrego. Z niecierpliwością oczekuję na pani artykuły.

Nagle Susan poczuła, jak ogarnia ją dziwne uczucie skrępowania. Wcale jej się to nie podobało. - Dziękuję panu - odparła krótko.

- Chciałbym przedstawić pani Archiego Sheridana - zaproponował szef zarządu miasta. - Jak pani wiadomo, służyłem razem z nim w zespole śledczym ścigającym Wirtuoza. To było wiele lat temu. Zanim zostałem komendantem policji. To ja pierwszy prowadziłem tę grupę. Archie był wtedy młody stażem. To było jego pierwsze śledztwo. A ja, można powiedzieć, uchodziłem w wydziale za mądrą głowę, więc zrobili mnie dowódcą. Wytrzymałem trzy lata. Istny koszmar. Natomiast jeśli chodzi o Archiego Sheridana, to wolałbym pracować z nim niż z kimkolwiek innym. W jego ręce powierzyłbym życie własnej córki. -Odczekał chwilę, a kiedy zobaczył, że Susan nie otwiera notatni-ka, dodał: - Może pani to zapisać.

- Przecież nie ma pan córki - zauważyła. Burmistrz odchrząknął.

- Tak się mówi. Czy ktoś już panią oprowadził? - Poprowadził ją dalej, w głąb dawnej siedziby banku, nie odrywając dłoni od jej talii. - Jak pani widzi, dopiero instalujemy wyposażenie. Kiedy prace dobiegną końca, powstanie tutaj komenda z prawdziwego zdarzenia: będzie pokój do przesłuchań, sala konferencyjna, najnowocześniejszy system komputerowy, et cetera. Przystanęli przed gabinetem ze szklaną ścianą niczym ogromne okno wychodzące na główne pomieszczenie. Wisiały w nim białe żaluzje, opuszczone.

- Tutaj rezydował dawny kierownik banku - wyjaśnił burmistrz. - Ale zdaje się, że naszego obecnego kierownika chwilowo nie zastaliśmy.

Rozejrzał się i dostrzegł niewysoką, ciemnowłosą kobietę z policyjną odznaką przypiętą do paska przy džinsach. Policjantka trzymała w ręce na wpół zjedzone burrito zawinięte w papierowy ręcznik, a na jej ustach widniały plamy ostrego sosu.

- Detektyw Masland - zagadnął ją burmistrz - gdzie jest Sheridan? Kobieta miała pełne usta, więc musieli poczekać, aż przełknie.

- Pojechał do szkoły. Przed chwilą. Chce tam porozmawiać z kilkoma osobami i założyć posterunek.

Przez twarz burmistrza przebiegł cień irytacji.

- Przepraszam panią - zwrócił się do Susan. - Uprzedziłem go, że będę chciał panią przedstawić.

- Rozumiem, że detektyw Sheridan jest zajęty - odparła. -Ale w końcu muszę go poznać. Jeśli z nim nie porozmawiam, nie będę mogła go opisać.

- Proszę wpaść jutro rano, o dziewiątej. Dopilnuję, żeby był na miejscu.

Nie wątpię, pomyślała Susan.

Ian i Susan wrócili do redakcji w milczeniu. Samochód zatrzymał się na służbowym parkingu, Ian z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Mogę przyjść do ciebie wieczorem?

Susan pociągnęła palcami za kosmyk bladoróżowych włosów. -

Gdzie twoja żona? — zapytała.

Ian zwiesił głowę, patrząc na swoje dłonie, wciąż zaciśnięte na kierownicy. - W Seattle Wzruszyła ramionami

- Dobra. Tylko nie za wcześnie.

Sumienie ją trochę gryzło. Zaciśnęła usta i otworzyła drzwi

- Jeśli nie będziemy spędzać razem zbyt dużo czasu, łatwiej ci będzie przetrwać tę twoją niewierność małżeńską - powiedziała.

10

Susan wyszła z redakcji tuż przed szóstą po południu, zabierając ze sobą CD-ROM pełen przegranych plików. Miała zamiar pojechać prosto do domu, usiąść przy muzyce, z lampką czerwonego wina, i zabrać się do czytania, kiedy jednak zauważyła, że deszcz przestał padać, ni z tego, ni z owego zaniósł ją na drugą stronę rzeki, do północnego Portland, gdzie znajdowało się liceum imienia Jeffersona. W latach dziewięćdziesiątych ta część miasta mocno ucierpiała w wyniku działalności licznych lokalnych gangów i obecnie powracała dopiero do normalnego życia.

Wciąż jeszcze od czasu do czasu zdarzało się, że jakiś nastolatek ginął od kuli wprost na ulicy, ale coraz więcej pustych działek gruntu, ziejących tu i ówdzie niczym wyrwy pomiędzy budynkami i do tej pory zarośniętych trawą, już ogradzano pod budowę wielofunkcyjnych pawilonów. Ożywienie życia w dzielnicy to była sprawka rozrywkowej białej młodzieży, masowo kupującej albo wynajmującej stare drewniane domy. Choć były mocno nadgryzione zębem czasu, cieszyły się sporym wzięciem, bo były tanie, blisko centrum, a poza tym nie trzeba się było martwić, że sąsiedzi zadzwonią na policję, kiedy kapela, która urządziła sobie w piwnicy salę prób, za bardzo się rozkręci. Ów swoisty renesans przyniósł okolicy wiele korzyści: modne restauracyjki i butikie oraz renowację starych portlandzkich foursquares, czyli piętrowych domów wolno stojących, ale mimo wszystko nie odbił się korzystnie na miejscowym szkolnictwie, chlubiącym się jednym z ostatnich miejsc w rankingu wyników testów edukacyjnych. Do Jeffersona chodziły przeważnie dzieci z ubogich rodzin, najczęściej ciemnoskóre. Dla wielu z nich przemoc była zwykłą, codzienną rzeczą.

Pod szkołą, ceglany gmachem o wyglądzie biurowca, Susan zauważyła zaparkowane radiowozy. W bocznej uliczce przecnicę dalej bez problemu znalazła miejsce dla swojego samochodu i wróciła na piechotę, z notatnikiem w dłoni. Do szkoły zdążyły już dotrzeć lokalne media. Na rogu stała Charlene Wodd z Kanału 8, rozmawiając przed kamerą z grupką nastolatków w obcisłych dżinsach i puchowych kurtkach wyglądających, jakby były napompowane. Nieco dalej, w połowie ulicy, jakiś facet w pomarańczowej wiatrówce pyłtował jak najęty do mikrofonu. Po szkol-

nych schodach snuło się kilkunastu uczniów, którzy prawdopodobnie właśnie skończyli jakieś zajęcia pozalekcyjne. Nerwowe ruchy, pomimo demonstracyjnej niefrasobliwości, zdradzały ich niepokój. Pilnowani przez policjanta w mundurze oraz dwóch woźnych, czekali na rodziców z samochodem, zmotoryzowanych znajomych, autobus albo inny pojazd, aby bezpiecznie dotrzeć do domu. Na drugim brzegu rzeki, nad wzgórzami dzielnicy West Hills, niebo płonęło ceglastą czerwienią i koralowym różem, ale wschód zasnuł się już szarością.

Susan przeszła wzdłuż rzędu samochodów czekających w kolejce do policyjnego posterunku ustawionego na pierwszym skrzyżowaniu za szkołą. Z kierowcą pierwszego pojazdu rozmawiał umundurowany posterunkowy, który po chwili skinął dłonią na znak, że można jechać. Zwolnione miejsce zajął następny wóz. Tuż obok stał wysoki metalowy trójnóg. Wisiał na nim wielki plakat, na którym Susan z daleka rozpoznała fotografię Kristy Mathers, opatrzoną napisem: „Zaginiona”.

- Dziękuję za pytanie - usłyszała nagle.

Odwróciła się błyskawicznie. Kilka kroków za nią stał Archie Sheridan. W kieszeń na piersi sztruksowej marynarki miał wpiętą odznakę, w jednej ręce trzymał czerwony kołnотatnik, a w drugiej papierowy kubek z kawą. Najwidoczniej szedł właśnie w stronę posterunku.

- Był pan bardzo przekonujący - powiedziała. - W tym, co pan powiedział. Potrafi pan wzbudzić postrach.

Archie zatrzymał się i wypił łyżeczek kawy.

- Trochę udawania nie zaszkodzi.

- Czy tamten będzie to oglądał? Detektyw wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Seryjni mordercy mają taką zabawną przypadłość, że na ogół cieszy ich zainteresowanie pani kolegów.

Zeszli na bok, przepuszczając trzech wysokich nastolatków idących chodnikiem. Cała trójka śmierdziała marihuaną. Susan czekała, co zrobi Archie. Nie zrobił nic.

- Za moich czasów nie było takiej dobrej trawki - powiedziała.

- Chyba nie - zgodził się Sheridan.

- Aresztuje ich pan?

- Za to, że czuć od nich nielegalną substancję klasy C? Nie. Susan zmierzyła go rozbawionym wzrokiem.

- Jaki jest pana ulubiony film? Odpowiedział bez namysłu.

- „Amatorski gang” Godarda.

- Bez kitu! Przecież to francuski film. To naprawdę pana ulubiony?

- Wyszło na to, że zadzieram nosa, tak?

- Trochę.

- Na jutro postaram się wymyślić coś lepszego. - Ona nie żyje, prawda?

To miała być pułapka, ale Sheridan nie dał się złapać. Zdradził się tylko jednym drobiazgiem - opuścił wzrok, jednakże trwało to tak

krótko, że gdyby Susan nie patrzyła mu przez cały czas prosto w oczy, przegapiłaby ten szczegół. Potem detektyw opanował się i uśmiechnął blado.

- Nie tracimy nadziei, że odnajdziemy ją żywą - odparł, ale bez wielkiego przekonania.

Susan wskazała głową zamęt na skrzyżowaniu.

- Po co ta blokada?

- W tej chwili jest osiemnasta piętnaście. Przyjaciółki Kristy mówią, że wyszła z próby o szóstej. Pomiędzy szóstą a siódmą będziemy zatrzymywać wszystkich, którzy jadą tą ulicą, ponieważ jest szansa, że wczoraj przejeżdżali tędy o tej samej porze i mogli coś zauważyć. A propos, dzwonił do mnie Koleś. Przepraszam, że się wymknąłem, nie czekając na oficjalną prezentację.

- Koleś? Burmistrz to pana... koleś?

- Pracowaliśmy kiedyś razem - wyjaśnił. - Na pewno pani wie.

- Czy to dlatego zgodził się pan na współpracę z gazetą? Pytam, bo wiem, dlaczego koleś burmistrz był taki chętny. Marzy mu się wiceprezydentura. Ale pan? W tym kraju nie ma chyba dziennikarza, który by nie dzwonił do pana z prośbą o wywiad. Bohaterski policjant, który zajrzał w oczy śmierci. Wymarzony temat.

Arenie napił się jeszcze kawy.

- Widzę, że już pracuje pani nad nagłówkiem. Niezłe.

- Dlaczego zgodził się pan akurat teraz?

- Bo to, co pani robi, pomoże mi w pracy.

- Tak pan sądzi?

- Owszem. Ale możemy to omówić jutro, na tym spotkaniu o dziewiątej. Polecono mi, bym był na nim obecny. A teraz przepraszam. - Uniósł swój czerwony notatnik. - Obowiązki czekają. - Odszedł, ale po kilku krokach odwrócił się jeszcze. - Masz na imię Susan, prawda?

Przytaknęła.

- Możesz mi mówić Archie, chyba że okoliczności będą wymagały formalnego „detektywa Sheridana”. Jesteś może rannym ptaszkiem? - Nie.

- To dobrze. Ja też nie. - Zostawił ją i poszedł w stronę posterunku, wrzucając po drodze pusty kubek do kosza na śmieci. -Do jutra! - zawołał przez ramię.

11

Dochodziła siódma. Było już ciemno. Archie zmagał się z przykrym bólem uciskającym żebra. Bolały go od tego wystawania na ulicy. Albo od wilgoci w powietrzu. A może po prostu z nudów, bo nudził się potwornie. Nie wysuwając dłoni z kieszeni, na-macał swoje blaszane pudełko, otworzył je kciukiem i palcem wskazującym. Nie musiał zaglądać do środka, żeby znaleźć vico-din. Rozpoznawał go

samym dotykiem, po wielkości, kształcie i rowku na tabletcie. Włożył ją do ust. Gdyby nawet ktoś go zobaczył, pomyślałby, że to miętus. Albo aspiryna. Albo kłaczek wy-
ciągnięty z kieszeni. Było mu zresztą wszystko jedno. Gardło i język ścierpły od goryczy zwietrzałej kawy, którą wypił. Zaczął się właśnie zastanawiać, czy nie warto by pójść po jeszcze jeden kubek kiedy zauważył sygnał dany latarką. Wzywał go Chuck Whatley, policjant z patrolu, piegowaty żółtodziób z gęstą szopą nienaturalnie pomarańczowych włosów. Zapadł już zmrok, a w powietrzu czuć było chłód, chociaż chmury wisiały nisko. Archie trzymający się na uboczu, z dala od zamieszania spowodowanego blokadą, ruszył szybkim krokiem przed siebie. Czuł się tak, jakby miał przemoczone ubranie, chociaż deszcz ledwie mżył. Tak to już jest na północnym zachodzie: zawsze pada tam tak, że człowiek chodzi mokry, chociaż nigdy nie widzi potrzeby włożenia płaszcza przeciwdeszczowego albo zabrania z domu

Whatley stał obok brunatnoczerwonej hondy. Wóz miał pordzewiałe błotniki i plamy brudu w miejscach, gdzie z karoserii starta się warstwa wosku. Posterunkowy zachowywał się tak, jak każdy policjant z drogówki: stał pochylony, z jednym kciukiem zatkniętym za pas i rozmawiał z kierowcą, od czasu do czasu rzucając podniecone spojrzenia na zbliżającego się Archiego.

W świetle latarni krople mżawki na karoserii hondy wyglądały jak lśniące cekiny. Posterunkowy Whatley uniósł głowę. Wzrok miał roziskrzony.

- Ta pani mówi, że chyba coś widziała - zameldował. Archie zapanował nad głosem i polecił mu spokojnie:

- Poproś panią, żeby zjechała na bok. Nie możemy blokować ruchu. Whatley skinął głową i pochylił się do okna kierowcy. Honda wyjechała z kolejki samochodów, zatrzymując się za jednym z radiowozów. Siedząca za kierownicą młoda Murzynka otworzyła drzwi i wysiadła z ociąganiem. Była ubrana w szpitalny fartuch, wiszący luźno na jej szczupłych ramionach, a włosy miała zaplecione w warkoczyki, ułożone w równoległych rządkach i zebrane w kucyk.

- O co chodzi? - zapytała Archiego, powoli cedząc słowa.

- Wczoraj, o tej porze, zaginęła nastoletnia dziewczyna - wyjaśnił. - Nie słyszała pani o tym?

Twarz kobiety wyglądała tak, jakby obciągnięto ją zbyt mocno napiętą skórą, pod którą kości rysowały się aż zanadto wyraźnie. Jej palce trzaskały głośno, kiedy wyciągała je sobie po kolei.

- Pracuję w szpitalu Emanuela jako salowa. Na nocnej zmianie. W dzień odsypiam. Nie jestem na bieżąco z wiadomościami. Czy to ma jakiś związek z tymi wcześniejszymi porwaniami?

- Ta pani widziała wczoraj Kristy Mathers - wtrącił posterunkowy Whatley, nie mogąc się już dłużej powstrzymać.

- Dziękuję - powiedział Archie surowym tonem i zwrócił się z powrotem do kobiety: - Jedź pani teraz do pracy?

-Mhm - przytaknęła, wciąż mierząc ich zaniepokojonym

spojrzeniem.

- A wczoraj miała pani tę samą zmianę co dziś, zgadza się? Kobieta nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Jej znoszone białe drewniaki strzeliły głośno o mokry chodnik.

- Tak - odpowiedziała.

Dookoła zaczęli się gromadzić inni policjanci, zaciekawieni i przejęci faktem, że oto być może znalazł się naoczny świadek. Stawali na palcach, nachylali się głowami ku sobie i czekali. Archie czuł, jak szczypta, ciemnoskóra kobieta truchleje, widząc, jakie wzbudziła zainteresowanie. Delikatnie dotknął jej pleców i odprowadził kilka kroków dalej, gdzie było nieco luźniej. Nachylił się do niej.

- A więc wczoraj przejeżdżała pani tędy, mniej więcej o tej samej porze? - zapytał łagodnym głosem. - Nie spóźniła się pani do pracy? A może była pani wcześniej?

- Nie. Nigdy się nie spóźniam. I nigdy nie przychodzę wcześniej. Jestem osobą punktualną.

- Nie będziemy teraz długo rozmawiać - uspokoił ją Archie. - A zatem twierdzi pani, że widziała Kristy Mathers?

- Tę dziewczynę ze zdjęcia? Tak. Widziałam ją. Na skrzyżowaniu Killingsworth i Albina. Przechodziła przez ulicę z rowerem. Stałam i poczekałam, aż przejdzie.

Archie nie pozwolił sobie na żadną reakcję. Nie chciał jej spłoszyć, nie chciał w żaden sposób naciskać. Przesłuchał w życiu setki świadków i wiedział, że kiedy ktoś odczuwa presję, zaczyna się starać w dwójnasób, a wtedy luki w pamięci wypełnia wyobraźnia. Czekał, nie odrywając dłoni od pleców kobiety, oferując jej wsparcie dobrego policjanta, którego nic nie może wyprowadzić z równowagi.

- Prowadziła rower? - zapytał wreszcie. - Nie jechała na nim?

- Nie. To właśnie rzuciło mi się w oczy. Ja i moje siostry zawsze słyszałyśmy od mamy, że przez ruchliwą ulicę nie wolno przejeżdżać, tylko zawsze trzeba zsiąść z roweru i go przeprowadzić. Tak jest bezpieczniej, a zwłaszcza w takiej okolicy. Ludzie jeżdżą tutaj jak wariaci.

- Czyli ten rower nie był uszkodzony? Nie miał na przykład dziurawej dętki?

Kobieta znów zaczęła wyciągać sobie palce.

- Nie wiem. Nie zauważyłam niczego takiego. Czy ktoś ją porwał? Uprowadził?

Archie nie odpowiedział na pytanie.

- A może zauważyła pani coś innego? Czy ktoś szedł za nią? Nie widziała pani na ulicy nikogo podejrzanego? Żadnych pojazdów? Potrząsnęła smutno głową i bezradnie opuściła rękę.

- Jechałam do pracy - odparła.

Archie zapisał dane kontaktowe oraz numer prawa jazdy, po czym pozwolił jej odjechać.

Chwilę później za jego plecami stanęła para detektywów: Henry Sobol i Claire Masland. Claire trzymała w obu rękach białe papierowe kubki z czarnymi pokrywkami. Była w nich kawa. I ona, i

Henry, zauważył Archie, mieli na sobie kurtki przeciwdeszczowe.

- Kto to był? - zapytał Henry.
- Kobieta, która wczoraj widziała Kristy trzy przecznice stąd, przeprowadzając swój rower przez ulicę mniej więcej o... - sprawdził godzinę na zegarku - osiemnastej pięćdziesiąt pięć. Jej przyjaciółki twierdzą, że wyszła z próby o szóstej piętnaście. Nasuwa się pytanie: gdzie się podziewała przez te czterdzieści minut?
- Trzy przecznice to nie jest aż tak daleko, żeby iść tyle czasu - zauważył Henry. - Nawet jeśli się prowadzi rower, i to bardzo powoli.

Claire wręczyła Archiemu jeden ze swoich kubków.

- Czyli musimy jeszcze raz pogadać z przyjaciółkami - powiedziała. Archie zerknął na to, co mu podała.
- Co to jest? - zapytał.
- Kawa. Prosiłeś, żeby ci przynieść.

Spojrzał obojętnie na kubek. Przeszła mu ochota na kawę. Prawdę mówiąc, czuł się całkiem nieźle.

- Nie ma mowy - oznajmiła Claire twardo. - Szłam po tę kawę jedenaście przecznic. Masz ją wypić.
- Przypominam sobie wyraźnie, że prosiłem o beztłuszczową latte - próbował się wykręcić.
- Pocałuj mnie gdzieś - poradziła mu.

12

Przyjaciółki Kristy nazywały się Maria Viello i Jennifer Washington. Cała trójka poznała się jeszcze w gimnazjum i od tego czasu była nierozłączna; liceum nie zatruło dotąd ich przyjaźni. Maria mieszkała tylko kilka przecznic od Jeffersona, więc detektywi udali się najpierw pod jej adres. Stał tam parterowy dom do wynajęcia, drewniany, wybudowany w latach dwudziestych. Miał ogrodzenie z siatki i aż prosił się o odmalowanie, ale podwórko było wysprzątane, nie walały się po nim śmieci, choć w tej okolicy wydawało się to swego rodzaju normą. Drzwi otworzył Armando Viello, ojciec Marii, mężczyzna niższy od Archiego Sheridan, o zwalistej, kwadratowej sylwetce i dłoniach zniszczonych ciężką pracą fizyczną. Twarz miał spustoszoną przez trądzik, po którym pozostały mu głębokie szramy. Angielszczyzną władał płynnie, choć mówił z mocnym akcentem. Jego żona, na ile orientował się Archie, nie znała angielskiego. Była to najprawdopodobniej rodzina nielegalnych emigrantów. Nie uszło to uwagi żadnego z policjantów, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dzwonili do drzwi drewnianego domu - a jednak żaden z nich jakoś nie wspominał o tym w raporcie.

Armando Viello, nie otwierając wysłużonych aluminiowych drzwi z siatką przeciw owadom, zmierzył poważnym spojrzeniem Archiego i pozostałych detektywów. Światło na ganku zaczęło migotać, a po

chwili zgasło zupełnie.

- Był pan tu już rano - powiedział ojciec Marii.

- Mamy jeszcze kilka pytań - wyjaśnił Sheridan.

Viello otworzył drzwi i wpuścił wszystkich do środka. Archie pomyślał, że coś takiego musi wymagać sporej odwagi: facet zdaje sobie sprawę, że może zostać deportowany, ale mimo to wpuszcza bandę gliniarzy do domu, bo istnieje cień szansy, że może w ten sposób pomóc odnaleźć czyjeś zaginione dziecko.

- Maria jest w swoim pokoju - poinformował policjantów ojciec, prowadząc ich krótkim korytarzem. Stał cicho, ponieważ był boso. Z kuchni dobiegał zapach gotowanego posiłku; dziś na kolację było coś pikantnego. - Z Jennifer też chcą państwo porozmawiać?

- Jennifer jest u państwa? - zapytała Claire.

- Przyszła się pouczyć. Ani jedna, ani druga nie była dzisiaj w szkole. - Armando Viello zastukał do drzwi pokoju córki i powiedział coś po hiszpańsku. Po chwili w progu stanęła Maria. Proste, czarne, długie do łokci włosy miała ściągnięte w kucyk i była ubrana w spodnie z fioletowego weluru i żółtą koszulkę z krótkim rękawem, tak samo jak podczas poprzedniej wizyty Archiego, który wpadł ją przesłuchać po porannej, raczej mało konstruktywnej radzie pedagogicznej w liceum Jeffersona.

- Znalazł pan Kristy? - zapytała bez żadnych wstępów dziewczyna.

- Jeszcze nie - odpowiedział ciepłym tonem.

Dzieci i ich spostrzeżenia są często lekceważone w śledztwach. Obiegowa opinia jest taka, że dziecko to z reguły marny świadek, ale Archie nieraz miał okazję zaobserwować, że mali ludzie widzą to, czego dorośli nie dostrzegają. Jeśli przesłuchujący zna się na swojej pracy i nie wymaga odpowiedzi na każde pytanie (bo wtedy dziecko zmyśla, żeby powiedzieć mu to, co chce usłyszeć), może otrzymać cenne informacje już nawet od sześciolatka. Kłopot w tym, że Maria miała lat piętnaście. Nastolatki są nieobliczalne. Archie nigdy nie potrafił dojść z nimi do porozumienia. Kiedy sam miał naście lat, wszelkie jego próby nawiązania rozmowy z dziewczynami nieodmiennie kończyły się sromotną porażką. Do dziś zresztą nie opanował tej sztuki.

- Czy możemy jeszcze trochę porozmawiać? - zapytał.

Maria spojrzała na niego. W oczach zakręciły jej się łzy. Ma się jeszcze ten urok osobisty, pomyślał Archie. Dziewczyna pociągnęła nosem i skinęła głową, cofając się w głąb pokoju. Archie spojrzał na swoich towarzyszy. Cała trojka weszła do środka.

Była to kwadratowa sypialnia pomalowana na żółto, z oknem zagląającym prosto w okno podobnego domu stojącego po sąsiedzku. Zamiast zasłony wisiała w nim szeroka kapa w tureckie wzory. Na łóżku pod oknem siedziała Jen Washington, trzymając na kolanach przytulankę, pamiątkę z dzieciństwa: starego wypchanego aligatora. Miała krótką fryzurę afro, koszulkę z indyjskiego sklepu i dzinsy obszyte u dołu frędzelkami i koralikami. Była to piękna

dziewczyna, ale widoczna na pierwszy rzut oka apatia odzierała ją z urody.

Wczoraj wszystkie trzy spotkały się w szkolnej auli na próbie do przedstawienia. Jen malowała dekoracje. Maria była odpowiedzialna za rekwizyty. Tylko Kristy dostała rolę, pomimo że na przesłuchanie zgłosiły się wszystkie trzy. Dlatego właśnie wyszła wcześniej. I prawdopodobnie już nie żyła. Ale Archie nie chciał tak myśleć. Bał się, że jej przyjaciółki wyczytają to z jego twarzy. Maria rzuciła się na łóżko przykryte meksykańskim kocem i usiadła obok Jen, która opiekuńczym gestem położyła dłoń na jej łydce. Archie podszedł do stojącego obok biurka, wziął krzesło, odwrócił je i usiadł. Henry oparł się o framugę drzwi, splatając ręce na piersi Claire przycupnęła na rogu pościeli.

Sheridan otworzył swój czerwony notatnik.

- Czy Kristy miała chłopaka? - zapytał spokojnie

- Już pan nas o to pytał - syknęła Jen, wykręcając aligatora w rekach i piornując go pogardliwym wzrokiem. Archie nie miał do niej pretensji o takie zachowanie. Piętnaście lat to o wiele za wcześnie na naukę o tym, jaki popieprzony jest ten świat.

- Powiedźcie jeszcze raz - poprosił.

Jen rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Aligator sprawiał wrażenie znudzonego. Maria skrzyżowała nogi, siadając po turecku i przetrzuciła swoje długie włosy przez ramię, machinalnie okręcając je na palcach.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Nie miała żadnego chłopaka. - W odróżnieniu od ojca mówiła bez najmniejszego śladu meksykańskiego akcentu.

- Żadnego? - Claire uśmiechnęła się porozumiewawczo do obu dziewczyn. - Nawet takiego, który niekoniecznie musiał podobać się jej rodzicom? Którego trzeba było trzymać w tajemnicy?

Jen przewróciła oczami.

- Żadnego to znaczy żadnego.

- A czy jesteście pewne, że Kristy wyszła z próby piętnaście po szóstej? - zapytał Archie.

Maria przestała bawić się włosami i spojrzała na niego. W jej ciemnych oczach lśniła niewzruszona pewność.

- Jesteśmy - odpowiedziała. - Czemu pan pyta?

- Czterdzieści minut później ktoś widział Kristy zaledwie kilka przecznic od szkoły - wyjaśnił detektyw. - Nie wiecie przypadkiem, co mogła robić przez ten czas?

Jen cofnęła dłoń, którą wciąż trzymała na łydce Marii i usiadła prosto. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- To nie ma sensu - oznajmiła.

- Przecież nie patrzyłyście, jak wsiada na rower i odjeżdża, prawda?

- zauważyła Claire. - Widziałyście tylko, że wyszła z auli.

- To prawda - zgodziła się Maria - Omówili po kolei wszystkie sceny z jej udziałem i pani Sanders puściła ją do domu. - I nikt nie wyszedł razem z nią? - zapytał Archie. Maria potrząsnęła przecząco

głową.

- Przecież panu mówiliśmy: wszyscy aktorzy wychodzili po kolei, kiedy skończyli układać sobie swoje sceny. Pierwsza była Kristy. Reszta musiała zostać do wpół do ósmej. Ale rozmawiał pan już ze wszystkimi, prawda?

- Nikt jej nie widział - odparł Archie. - W takim razie co robiła przez tyle czasu? - zdenerwowała się Jen, wbijając wzrok w żółtą ścianę.

- To przecież nie ma sensu.

- Czy Kristy pali papierosy? - zapytała Claire.

- Nie - odpowiedziała Maria. - Nie znosi dymu.

Jen zajrzała swojemu aligatorowi głęboko w plastikowe oczy, drapiąc paznokciem jeden z twardych, czarnych krążków, w którym dostrzegła jakąś skazę.

- Mógł się jej popsuć rower. - Wzruszyła ramionami, nie unosząc głowy.

Arenie pochylił się lekko.

- Dlaczego tak uważasz?

Jen wygładziła potargane zielone futerko swojej przytulanki.

- Ciągłe spadał mu łańcuch. Ten jej rower był całkiem do dupy. Kilka razy musiała prowadzić go do domu na piechotę. - Po policzku dziewczyny spłynęła łza. Jennifer otarła ją rękawem i pokręciła głową. - Nie wiem. Chyba głupio powiedziałam.

Arenie wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej dłoni. Jen uniosła wzrok. Jej twarde, pociemniałe spojrzenie rozjaśniło się odrobinę, nagłym błyskiem nadziei.

- Moim zdaniem miałaś bardzo dobre skojarzenie - powiedział detektyw. Uściśnął jej dłoń. - Dziękuję.

- A więc Kristy ma zepsuty rower. - W samochodzie Claire powróciła do tematu. Na zewnątrz było ciemno, a na szybach połyskiwały krople deszczu. - Nie udaje jej się go naprawić, więc postanawia, że zaprowadzi go do domu na piechotę. Widzi to nasz facet, zatrzymuje samochód, proponuje, że ją podrzuci albo pomoże zreperować usterkę i już ma swoją ofiarę.

- Opisujesz przypadkową zbrodnię - zaprotestował Henry, który prowadził ich wóz, nieoznakowanego forda crown victoria. Henry nie znosił tych fordów, a zawsze tak jakoś wychodziło, że musiał nimi jeździć. - A Kristy pasuje do rysopisów pozostałych ofiar. Uważasz, że on tak sobie jeździ po okolicy i wypatruje uczennic o odpowiednim wyglądzie? Że liczy na szczęście?

- To on zepsuł jej rower - odezwał się cicho Archie z tylnego siedzenia, wyciągając z kieszeni swoje pudełko i bezwiednie obracając je w palcach,

- On - przytaknął dobitnie Henry, kiwając głową. - A to oznacza, że ją sobie specjalnie upatrzył. Wiedział, że jeździ na rowerze.

Wiedział, który rower jest jej. Być może wiedział nawet, że często się psuje. Że jeśli znów się rozkraczy, dziewczyna poprowadzi go do domu na piechotę, tak jak zawsze. Obserwuje swoje ofiary.

- Ale wciąż mamy tę dziurę w czasie - przypomniała im Claire. Następny dzieciak wyszedł z próby o szóstej trzydzieści. Nie widział jej. A stojak na rowery jest przy samych drzwiach. Archie skrzywił się, czując nagły, pulsujący ból głowy.

- Jutro znów postawimy blokadę na ulicy. Może trafi się nam jeszcze ktoś, kto ją widział. - Wyjął z pudełka trzy tabletki i jedna po drugiej wsunął je do ust.

- Wszystko gra, szefie? - zapytał Henry, przyglądając mu się w lusterku.

- To zantac - skłamał Sheridan. - Na żołądek.

Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Susan Ward miała rację. Nie wierzył w to, że Kristy Mathers jeszcze żyje. Ale musiał odsunąć od siebie te myśli. Musiał uwierzyć, że dziewczyna wciąż czeka na ratunek. Ten morderca nie przestanie zabijać, a jeśli śle-dził Kristy, to prawdopodobnie już niedługo zacznie się rozglądać za kolejną ofiarą.

- Czy inne licea na pewno są dobrze strzeżone? - zapytał, nie otwierając oczu.

- Jak fort Knox - potwierdziła Claire.

- Załóżcie jutro monitoring we wszystkich czterech - polecił Archie.

- Spiszcie numery każdego samochodu, który przejedzie pod szkołą między siedemnastą a dziewiętnastą.

Otworzył oczy i wsunął głowę pomiędzy siedzenia.

- Koledzy — poprosił - podrzucicie mnie do domu?

Kiedy wszedł do mieszkania, zadzwonił telefon. Archie wziął bezprzewodową słuchawkę ze stolika w korytarzu, a obok ładowarki położył klucze.

- Halo?

- To ja.

- Cześć, Debbie - przywitał się ze swoją byłą żoną. Rozluźnił naprężone mięśnie. Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki puszkę piwa i otworzył ją.

- Jak ci się udał pierwszy dzień w pracy?

- Fantastycznie. Chyba naprawdę polubię czwartoklasistów. — Odpiął kaburę od paska i odłożył ją na stolik, a sam zasiadł na kanapie.

- Widziałam cię w telewizji. Potrafisz wzbudzić postrach. - Założyłem ten krawat który mi kupiłaś.

- Zauważyłam. - Zawiesiła głos. - Przyjdiesz w niedzielę na mecz Bena?

Przełknął i wysiłkiem.

- Wiesz, że nie mogę.

- Bo będziesz u niej - westchnęła z rezygnacją.

Mieli to już przerobione. Powiedzieli sobie na ten temat wszystko, co było do powiedzenia. Archie opuścił słuchawkę, która zsunęła mu się po policzku i szyi, aż wreszcie zatrzymała się na obojczyku. Docisnął ją z całej siły do kości, aż zaczęło boleć. Wciąż słyszał jej głos, stłumiony i daleki, brzmiący tak, jakby dobiegał spod wody.

- Wiesz, że to, co robisz, jest chore, prawda?

Słowa, wibrujące głęboko w piersi, przynosiły mu ulgę. Zupełnie jakby tam w środku siedziało coś żywego.

- O czym wy w ogóle ze sobą rozmawiacie?

Pytała go już o to. Nigdy jej nie wyjaśnił i wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha. Teraz słyszał jej oddech.

- Nie rozumiem tylko, jak chcesz dojść do siebie - powiedziała - jeśli raz na zawsze nie wyrzucisz tej suki ze swojego życia.

Ja nigdy nie dojdę do siebie, pomyślał, ale powiedział co innego:

- Na razie nie mogę.

- Kocham cię, Archie. Ben też cię kocha. I Sara.

Wiem, próbował powiedzieć, ale chciał, żeby to było coś więcej, ale nic więcej nie chciało mu przejść przez gardło, więc w końcu nie powiedział ani słowa.

- Odwiedzisz nas kiedyś?

- Kiedy tylko będę mógł. - Oboje wiedzieli, co to miało znaczyć.

Archie poczuł pierwsze ukłucia kolejnego bólu głowy. - Ale muszę ci powiedzieć o czymś innym. Jest taka jedna dziennikarka, nazywa się Susan Ward. Ma napisać o mnie serię artykułów do „Heralda”. Prawdopodobnie zadzwoni do ciebie.

- Co mam jej powiedzieć?

- Że nie chcesz z nią rozmawiać. A potem, kiedy zadzwoni drugi raz, powiedz jej wszystko, co będzie chciała wiedzieć.

- Prawdę?

Archie przesunął palcami po supełkowym obiciu swojej ponurej kanapy i wyobraził sobie Debbie, siedzącą na ich wspólnej kanapie, w ich wspólnym domu, gdzie zostało jego dawne życie.

- Tak - powiedział.

- I to ma się ukazać w „Heraldzie”? - Tak.

- Co ty chcesz przez to osiągnąć, Archie? Łyknął piwa z puszki.

- Chcę doprowadzić do zamknięcia pewnej sprawy - zaśmiał się nieszczerze.

13

Tej pierwszej nocy Gretchen nie pozwala mu spać, więc Archie zaczyna tracić poczucie czasu. Dostaje zastrzyk amfetaminy albo czegoś podobnego, a potem porywaczka zostawia go samego na wiele godzin. Serce wali mu jak szalone, a może tylko wodzić wzrokiem po białym suficie, wsłuchiwać się w głucho pulsowanie nabrzmiątych tętnic i dygotać na całym ciele. Plamy krwi na klatce piersiowej skrzępy i wyschły, a teraz zaczynają swędzieć. Każdy oddech sprawia mu potworny ból, ale to właśnie owo swędzenie doprowadza go do prawdziwego szału. Przez chwilę usiłuje liczyć, żeby orientować się w upływie czasu, ale nie może pozbiierać myśli i myli się w dodawaniu. Sądząc po fetorze, jaki wydzielają

zwłoki leżące obok na podłodze, spędził tutaj co najmniej dwadzieścia cztery godziny. To wszystko, co udaje mu się odgadnąć. Więc tylko leży i patrzy. I mruga oczami. Oddycha. I czeka. Nie słyszy kroków ani żadnych innych dźwięków, ale niespodziewanie u jego boku pojawia się Gretchen, uśmiechnięta. Gładzi go po włosach, mokrych już od potu.

- Czas na lekarstwa, kochany - mruczy miękko i jednym błyskawicznym ruchem zrywa mu taśmę z ust.

Przy wkładaniu lejka do gardła jest bardzo delikatna, ale Archie i tak się dławi. Zaczyna się opierać, szarpie głową to w jedną to w drugą stronę, próbuje unieść się na łokciach, ale Gretchen łapie go za włosy i przytrzymuje mocno.

- No, no...! - mówi karzącym tonem.

W drugiej dłoni ma garść pigułek, które wrzuca mu kolejno do gardła. Archie krztusi się, próbuje je wycharczeć, ale Gretchen wyjmując lejek, siłą zamyka mu usta i masuje przełyk jak nieposłusznemu psu, zmuszając do połknięcia.

- Co to? - chrypi Arenie

- Mówić będziesz później - słyszy w odpowiedzi i już ma usta zaklejone nowym kawałkiem taśmy. Jest jej za to prawie wdzięczny, bo co można powiedzieć w takiej sytuacji?

- Co chcesz dzisiaj robić? - pyta Gretchen.

Arenie patrzy w sufit. Oczy go pieką. Marzy o tym, żeby zasnąć.

- Spójrz na mnie — cedzi Gretchen przez zaciśnięte zęby. Wykonuje polecenie

- Co chcesz dzisiaj robić?

Unosi brwi. co ma wyrażać, że trudno mu się zdecydować.

- Mam wrócić do gwoździ?

Nie udaje mu się powstrzymać drżenia. Gretchen uśmiecha się promiennie. Arenie widzi, że jego cierpienie sprawia jej radość.

- Szukają cię - nuci mu Gretchen do ucha. - Ale cię nie znajdą. Dokądkolwiek mnie zawiozła, myśli on, ma tutaj gazety, ogląda telewizję.

Widzi jej twarz tuż obok swojej: skóra gładka niczym kość słoniowa, olbrzymie, okrągłe źrenice.

- Chce, żebyś się zastanowił, co im wyślemy - informuje go rzeczowym tonem, przesuwając palcami po jego ramieniu, potem po nadgarstku. - Dłoń, stopę, coś w tym stylu. Coś ładnego, żeby wiedzieli, że o nich nie zapomnieliśmy. Sam będziesz mógł wybrać.

Archie zaciska oczy. Nie ma mnie tu. To się nie dzieje naprawdę. Gorączkowo usiłuje przypomnieć sobie twarz Debbie, wymalować ją na czarnym płótnie rozpiętym pod powiekami. Widzi ją, taką, jak ją widział dzień wcześniej. Ma już spisany w pamięci każdy szczegół jej stroju. Zielony wełniany sweter w grube warkocze. Szara spódnica. Długi płaszcz, w którym wygląda jak rosyjski żołnierz.

Archie po kolei przywołuje przed oczy wszystkie piegi na jej twarzy. Maleńkie kolczyki z diamentami. Pieprzyk na szyi, tuż nad samym mostkiem.

- Spójrz na mnie - rozkazuje Gretchen.

Zaciska powieki jeszcze mocniej. Obręczka. Okrągk kolana. Piegi na jej bladym udzie.

- Spójrz na mnie - powtarza Gretchen jeszcze raz, już prawie bez tchu.

Sperdalaj, odpowiada jej w myśli.

Gretchen wbija mu coś w lewy bok, tuż pod żebro. Archie wy-je i szarpie się z bólu, a oczy otwierają mu się same, odrobcowo.

Gretchen przytrzymuje mu głowę za włosy i pochyla się nad nim nisko, tak, że jej piersi nieledwie muskają jego pierś. Obraca skalpel, wciskając go jeszcze głębiej w jego ciało. Przez ułamek sekundy owiewa go jej zapach - mieszanka bzu, delikatnego potu i talka - przynosząc ulgę nozdrzom, cierpnącym od smrodu gnijących zwłok.

- Nie lubię być lekceważona. - Jej głos jest tylko o ton głośniejszy od szeptu. - Rozumiesz?

Archie kiwa głową, prężąc się i usiłując uciec przed jej dłońią. - To dobrze. - Gretchen wyciąga skalpel i upuszcza go na tackę.

14

Susan zaparkowała samochód pod kwaterą zespołu śledczego, na jednym ze świeżo oznaczonych miejsc dla odwiedzających. Miała jeszcze całe pół godziny. Susan nigdy i nigdzie nie zjawiała się za wcześnie i nie przepadała za ludźmi, którzy tak robią. Tego ranka obudziła się jednak już o świcie, z piekącym, pulsującym żołądkiem, co u niej zawsze oznaczało, że artykuł, do którego się zabiera, będzie naprawdę dobry. Iana już wtedy nie było. Susan lubiła seks z mężczyznami, ale spanie z nimi w jednym łóżku nigdy nie sprawiało jej większej przyjemności. Nie znosiła, kiedy ją się przytula jak kota.

Aby zabić trochę czasu, otworzyła telefon, wybrała numer. Włączyła się poczta głosowa; jej powitanie знаła już na pamięć. Nagrała wiadomość.

- Cześć, Ethan. Mówi Susan Ward. Ta spod baru. Spod baru? No nie...

- To znaczy Susan Ward z „Heralda”. Jestem ciekawa, czy miałeś okazję porozmawiać z Molly o mnie i o mojej propozycji. Naprawdę uważam, że ta dziewczyna zasługuje na to, żeby ktoś jej wysłuchał. Zadzwoń do mnie, jakby co, dobrze?

Ian powiedział, żeby się tym nie zajmować. Że szkoda czasu. Ale tak się złożyło, że Susan miała odrobinę czasu do stracenia, więc co jej szkodzi trochę powęszyć? To wcale jeszcze nie znaczy, że chce się zająć tą sprawą. Wcale a wcale.

Posiedziała w samochodzie jeszcze kilka minut, paląc papierosa i obserwując ludzi wchodzących i wychodzących z budynku.

Zazwyczaj paliła raczej w towarzystwie. Poza domem. Przy

alkoholu. A czasami sięgała po papierosa, kiedy brały ją nerwy. Nie znosiła się denerwować. Wyrzuciła niedopałek przez okno, przyglądając się, jak sypie iskrami w zetknięciu z chodnikiem. Potem przejrzała się w lusterku. Ubrała się dziś od stóp do głów na czarno, spinając włosy w koński ogon. Jezu, pomyślała na swój widok. Wyglądam jak ninja-punk. Ale na to już nie można było nic poradzić. Należało przełknąć problem wyglądu i wejść do środka. Tak też zrobiła.

Tym razem wewnątrz banku po prostu zachwyciło ją klimatem. W głowie Susan momentalnie zaczęły się układać dowcipne opisowe zdanka, godne wszelkich nagród dziennikarskich. A jeśli nawet niegodne, to z całą pewnością dowcipne. Tylko czy dla takiej tematyki nie byłby bardziej odpowiedni nieco posępniejszy ton? Odłożyła tę kwestię na później i rozejrzała się dookoła, starając się zanotować w pamięci jak najwięcej szczegółów. Ekipy remontowe pracowały przez całą noc, żeby przekształcić bank w funkcjonujący posterunek policji. Pudła, jeszcze wczoraj do połowy pełne, leżały teraz obok drzwi, złożone i gotowe do wyniesienia. Biurka zestawiono parami naprzeciwko siebie, a na każdym z nich stał czarny, płaski monitor komputera. Nic dziwnego, że w budżecie brakuje pieniędzy na szkolnictwo publiczne, pomyślała Susan. Jedną ze ścian w całości zajmowała olbrzymia tablica informacyjna, do której przypięto powiększone zdjęcia wszystkich zaginionych dziewcząt oraz dziesiątki innych, mniejszych fotografii. Wisiały tam też mapy miasta, usiane kolorowym maczkiem powbijanych w różne punkty pinezek. Hałaśliwa fotokopiarka wypluwała z siebie kartkę za kartką. Na każdym biurku stał kubek oraz butelka wody. W powietrzu rozchodził się zapach świeżo zaparzonej kawy. Susan naliczyła siedmiu detektywów, a każdy z nich wisiał na telefonie. Zaraz za drzwiami znajdowało się długie biurko, za którym siedziała policjantka w mundurze.

- Przyszłam do detektywa Archiego Sheridana - wyjaśniła Susan w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. - Nazywam się Susan Ward. Jestem umówiona. - Wyjęła z torebki przepustkę prasową i pomachała nią.

Dyżurna zerknęła na dokument, podniosła słuchawkę i poinformowała o przybyciu dziennikarki.

- Może pani wejść - powiedziała, nie patrząc już na Susan, tylko na monitor swojego komputera.

Susan przeszła przez salę bankową i stanęła przed gabinetem Archiego Sheridana. Tym razem żaluzje były uniesione; zobaczyła go za biurkiem, przeglądającego jakieś papiery. Drzwi były uchylone. Zapukała cicho, czując jak żołądek skręca jej się lekko ze zdenerwowania.

- Dzień dobry - powiedział Archie, wstając zza biurka. Susan podeszła i uścisnęła jego wyciągniętą dłoń.

- Dzień dobry. Przepraszam, że przyszłam za wcześnie.

- Za wcześnie? Naprawdę? - Uniósł brwi.

- Prawie pół godziny.

Sheridan wzruszył ramionami. Nic nie powiedział, tylko stał. Susan patrzyła na jego włosy; były w cudownym nieładzie.

Boże. Czeka, aż usiądę. Jasne. Opadła na jedno z krzeseł ustawionych naprzeciwko biurka.

Detektyw wrócił na swój fotel. Gabinet nie był duży. Zmieściło się w nim tylko biurko pokryte wiśniowym fornirem i połączone z biblioteczką oraz dwa krzesła dla gości. Niewielkie okno wychodziło na ulicę, po której regularnie przejeżdżały samochody. Sheridan miał na sobie tę samą marynarkę co poprzedniego dnia, ale zmienił koszulę na niebieską. Susan poczuła się tak, jakby przyszła tutaj po pożyczkę.

- A więc jak to ma wyglądać? - odezwała się pierwsza. Archie położył dłonie płasko na blacie biurka.

- Sam chętnie się dowiem. - Uśmiechnął się życzliwie, zachęcająco.

- Widzę to tak... - zaczęła powoli. - Muszę mieć stały dostęp. Do ciebie.

- Jasne. - Skinął głową.

- Nie przeszkadza ci, że będę wszędzie za tobą łązić i podglądać cię przy pracy?

- Nie.

- Chcę też porozmawiać z ludźmi z twojego otoczenia. -

Spojrzała na niego uważnie. Wciąż był swobodny i opanowany, wręcz obojętny. - Na przykład z twoją byłą żoną. Sheridan nawet nie drgnął.

- W porządku. Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać, ale możesz ją sama o to zapytać.

- No i z Gretchen Lowell.

Jego twarz stężała, ale tylko odrobinę. Otworzył usta. Zamknął. Otworzył z powrotem.

- Gretchen nie rozmawia z dziennikarzami.

- Potrafię być bardzo przekonująca.

Archie zatoczył dłonią niewidzialne koło na blacie biurka.

- Ona przebywa w więzieniu stanowym. To jest zakład karny o najsurowszym rygorze. Może się spotykać wyłącznie ze swoimi prawnikami, policjantami i rodziną. Z tym, że ona nie ma rodziny. A ty nie jesteś policjantką.

- Możemy pisać do siebie listy. Jak za dawnych czasów. Archie odchylił się na oparcie fotela i zmierzył Susan wzrokiem.

- Nie.

- Nie?

- Pozwalam ci chodzić za mną krok w krok. Możesz rozmawiać z Debbie i z moimi współpracownikami. Będziemy rozmawiać na temat śledztwa w sprawie tego, jak go nazywają. Dusiciela po Lekcjach. Opowiem ci, jak tropiliśmy Wirtuoza. Jeśli tylko chcesz, możesz zrobić wywiad z moim lekarzem. Ale nie z Gret -chen. Śledztwo w jej sprawie wciąż trwa, a przepytывanie jej utrudni pracę policji. I unieważni naszą umowę.

- Proszę wybaczyć, detektywie, ale dlaczego pan uważa, że jeśli do niej napiszę, to pan się w ogóle o tym dowie?

Odpowiedzią był spokojny, cierpliwy uśmiech.

- Dowiem się. Uwierz mi na słowo.

Utkwiła w nim baczne spojrzenie. To, że nie życzył sobie, żeby rozmawiała z Gretchen Lowell, nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Facet przeszedł przez piekło i nic dziwnego, że nie chciałby zobaczyć w gazecie jakiegoś głupiego wywiadu ze swoim katem.

Ale Susan zaniepokoiło coś innego: zaczęła dochodzić do przekonania,

że cały ten artykuł o Archiem Sheridanie to wcale nie jest dobry pomysł. Że ten człowiek coś ukrywa, a ona koniec końców to odkryje. Źle się stało, że wzięła tę robotę. A jeśli ona zdawała sobie z tego sprawę, to można było mieć pewność, że ten mądrała Sheridan myśli dokładnie tak samo. Więc dlaczego jej na to pozwala?

- Masz jeszcze jakieś warunki pod rygorem zerwania umowy? - Jeden.

No, to jesteśmy w domu, pomyślała. - Wal.

- Niedziele chcę mieć wolne.

- W niedzielę widzisz się z dziećmi, tak?

Archie odwrócił wzrok, wyjrzał przez okno za plecami Susan.

- Nie.

- Chodzisz do kościoła? Cisza.

- Grasz w golfa? Wypychasz zwierzęta?

- Jeden dzień dla siebie - przerwał jej stanowczym tonem, spoglądając prosto w oczy. Dłonie trzymał teraz zaciśnięte na kolanach. - Sześć dla ciebie.

Susan pokiwała głową. Wiedziała, że da sobie radę z tymi artykułami. Da sobie radę? To za mało powiedziane! Napisze bombę. Ma to już w kieszeni. A dlaczego dzieje się tak a nie inaczej -to się samo wyjaśni z biegiem czasu.

- W porządku - zgodziła się. - Od czego zaczniemy?

- Od początku - odparł Archie. - Liceum Cleveland High. Lee

Robinson. - Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wybrał numer wewnętrzny. - Jesteś gotowy? - zapytał i rozłączył się.

Spojrzał na Susan. - Pojedzie z nami detektyw Henry Sobol.

Zrobiła co mogła, żeby nie okazać konsternacji, która ją ogarnęła.

Wolałaby mieć Sheridana na wyłączność, żeby lepiej zrozumieć jego myśli.

- To był twój partner, prawda? - zapytała. - Przy pierwszej ofierze Gretchen Lowell?

Zanim Archie zdążył odpowiedzieć, w drzwiach stanął Henry, naciągając źle dopasowaną skórzaną kurtkę na swoje szerokie ramiona. Wyciągnął do Susan olbrzymią łapę.

- Henry Sobol - przedstawił się. Wyglądał jak wielki pluszowy miś. Ucisnęła mu dłoń, starając się zrobić to z taką samą siłą jak on.

- Susan Ward. Z „Heralda”. Piszę artykuł o...

- Przyjechała pani za wcześnie - przerwał jej Henry.

15

Fred Doud przyszedł na plażę, żeby wypalić sobie fajeczkę ziółka. Przykucnął za potężnym, odartym z kory pniem, który rzeka wyrzuciła na brzeg zeszłej zimy. Zrobił tak, chociaż ostrożność była w zasadzie niepotrzebna. W promieniu półtora kilometra, bo tyle już przeszedł do tej pory, nie było widać żywej duszy. Zwykle przyjeżdżał tutaj po południu, ale tego dnia miał wezwanie do sądu. Pociągnął ostatni raz ze swojej małej szklanej fajki i schował ją do skórzanego woreczka, który zawiązał grabieżącymi już nieco od zimna palcami i zawiesił z powrotem na szyi. Spojrzał po sobie. Skóra na ramionach, udach, brzuchu, nawet na kolanach, zaróżowiła się mocno, ale mimo to nie czuł już chłodu. Lubił przychodzić zimą na

plażę. O każdej innej porze roku zjeżdżało się tutaj mnóstwo ludzi, ale w zimie bardzo często był sam jak palec. Fred mieszkał razem z paroma kumplami ze studiów na tej samej wyspie, kilka kilometrów dalej, więc dojazd miał łatwy i szybki. Zgodnie z plażowym regulaminem przyjechał na parking w szlafroku i tak ubrany przeszedł ścieżką wiodącą przez jeżynowe zarośla, a kiedy już dotarł na plażę, zsunął szlafrok ze swoich chudych ramion i pozwolił mu opaść na piasek. Dalej poszedł w stroju Adama, au naturel. To było dla niego najwspanialsze uczucie, prawdziwa wolność.

Prawdę mówiąc, zazwyczaj dochodził tylko do tego nagiego pnia i tutaj zawracał, ale od czasu do czasu decydował się na przedłużenie trasy i docierał aż do cypla, skąd widać było latarnię. I właśnie dziś, kiedy wyszedł zza pnia, rozkoszując się nagością i odlotem po wypalonym zielu, zrozumiał, że oto znów nadszedł taki dzień. Zwykle spacerował w głębi plaży, gdzie piasek był drobniejszy i łagodniejszy dla bosych stóp, ale kiedy miał ruszyć w dalszą drogę, schodził raczej nad samą wodę i maszerował po gliniastym brzegu rzeki. Kiedyś znalazł tutaj grot od strzały i chciał znaleźć drugi. Zimna glina była śliska, a sama plaża, jak to czasem bywało, cuchnęła jak sto pięćdziesiąt. Tu i ówdzie fale wyrzuciły śniętą rybę albo stertę zbutwiałych wodorostów, które schły na piasku, przyciągając robactwo. Kraby, upolowane i wypatroszone przez ptaki, gniły, porzucone gdzie popadnie.

Fred dreptał po twardej glinie, z twarzą ściągniętą w wyrazie absolutnej koncentracji i przekrwionymi oczyma wbitymi w ziemię, z całym rozmysłem lekceważąc narastający fetor. I tak znalazł Kristy Mathers. Najpierw zobaczył stopę, do połowy zanurzoną w glinie. Potem podążył wzrokiem dalej, wzdłuż łydki, uda, tułowia. Przez dobrych parę chwil nie do końca dowierzał własnym oczom; przyjęcie tego do wiadomości zajęłoby mu znacznie mniej czasu, gdyby nie pewien fakt: otóż wiele razy wyobrażał sobie, że znajduje

trupa właśnie tutaj, na tej plaży. Jakoś nigdy nie wydawało mu się to niemożliwe. I kiedy tak stał i patrzył na bladą, niemalże nierozpoznawalną ludzką postać leżącą u jego stóp, załało go nowe, przeraźliwe uczucie: trzeźwość. Fred Doud jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak kompletnie nagi.

Serce zaczęło mu walić jak młotem, a po całym ciele rozpełzło się przeszywające zimno. Odwrócił się w kierunku parkingu, skąd przyszedł, a potem spojrzął przed siebie, tam, gdzie w oddali widać było latarnię. Odosobnienie, które jeszcze przed chwilą sprawiało mu tyle radości, teraz napełniło go grozą. Zrozumiał, że musi sprowadzić pomoc. Ale najpierw trzeba było się dostać do samochodu, do pikapa. Rzucił się pędem przed siebie.

16

Pojechali do liceum Cleveland High nieoznakowanym policyjnym wozem: Henry za kierownicą, obok niego Archie, a Susan z tyłu, notując jak nawiedzona. Zaparkowali pod samą szkołą, dwupiętrowym gmachem z jasnobrązowej cegły. Wysiedli, a Henry skinął dłonią parze policjantów w radiowozie stojącym przed samym wejściem. Odpowiedzieli mu pozdrowieniem.

Inne rzeczy, które Susan zapamiętała z dzieciństwa, teraz wydawały się jej mniejsze niż kiedyś, ale ta stara buda wyrosła teraz przed nią dokładnie tak samo olbrzymia jak za szkolnych lat.

I tak samo jak wtedy ścisnął jej się żołądek na widok trzech par dwuskrzydłowych drzwi u szczytu szerokich betonowych schodów.

W odróżnieniu od Jeffersona, który miał wygląd biurowca, Cleveland mogło się poszczycić swego rodzaju architektoniczną elegancją, dopełnioną greckimi kolumnami i skrawkiem trawnika przed wejściem. Ale Susan i tak ten budynek kojarzył się z więzieniem, tak jak kiedyś.

- Nie stać! Zwiedzać! - usłyszała nagle.

Mrugnęła oczami, powracając do rzeczywistości. Archie i Henry czekali na nią kilka kroków dalej, bo zdążyli już ruszyć z miejsca, a ona wciąż stała i patrzyła na swoją starą szkołę, zatracona we wspomnieniach z młodości.

- Przepraszam - powiedziała. - Chodziłam do tego liceum. Archie uniósł brwi.

- Do Cleveland High?

- Dziesięć lat temu. - Dogoniła ich szybko. - Do tej pory liżę rany.

- Nie było się gwiazdą, co? - zapytał Henry.

- Przeciwnie. Wszyscy mnie lubili. Brylowałam zawsze i wszędzie, Chcieli nawet, żebym reprezentowała szkołę w konkursie piękności podczas Święta Róż, ale się nie zgodziłam. Wydawało mi się to obrzydliwe.

Przeszli za róg szkoły. Susan zauważyła nowe szyby w wysokich oknach. Zajrzała do sali na parterze; w ławkach zalegała grupka

uczniów w różnych stadiach rozkładu. Boże! Przypomniała sobie z całą dokładnością, jak bardzo nie znosiła liceum.

- Lee Robinson nie cierpiała tej szkoły, prawda? - zapytała.

- Dlaczego tak uważasz? - Archie zadął głowę.

- Widziałam jej szkolne zdjęcie. I pamiętam, jak to jest być nastolatką.

- Są - powiedział Henry, wskazując metalowe drzwi przeciwpożarowe. - Jej zespół miał próby na parterze. Lee wyszła tędy. Archie stanął przed drzwiami, trzymając się pod boki. Susan rzuciła się w oczy jego broń w skórzanej kaburze wiszącej przy pasku spodni. Detektyw obrócił się powoli na pięcie, omiatając wzrokiem boczną ścianę budynku, rejestrując każdy szczegół. Po chwili skinął głową:

- W porządku.

Henry poprowadził ich dalej chodnikiem.

- Poszła tędy - powiedział, Susan ruszyła za Archiem, który szedł za Henrym. Nikt się nie odzywał. Słońce stopiło już poranną szadź; było około dziesięciu stopni powyżej zera. Kiedy na niebie, tak jak zazwyczaj o tej porze roku, wisiały chmury, świat wydawał się stłumiony, przygaszony, czarno-biały. Ale gdy wiatr je przeganiał każdy kolor lśnił w pełnej krasie: igły drzew ciemniały głębszą, bogatszą barwą, jasne pąki na śliwach ociekały so-czystą zielenią, skrywającą obietnicę wiosny, roi i festynów nad rzeką. Nawet szary chodnik, powybrzuszany tu i ówdzie przez korzenie drzew zasadzonych przed stuleciem, w niepojęty sposób zyskiwał żywszą barwę. Dzisiejszy dzień był po prostu piękny. A w piękne dni z mieszkańcami północno-zachodnich stanów, tych położonych nad Pacyfikiem, dzieje się dziwna rzecz: nagle się ożywiają. Wychodzą z domów, koszą trawniki, a potem idą do kawiarni i siadają na zewnątrz, ściągając z grzbietu flanelę i polar. I uśmiechają się od ucha do ucha. Ludzie wyglądają wtedy tak, jakby wszystkim, w jednej chwili, zakręciło się w głowie. Tylko Susan nigdy nie dała się porwać tej fali zbiorowego optymizmu. Ją widok czystego nieba zawsze niepokoił, czuła się bezbronna, zdana na łaskę i niełaskę żywiołów, które ni stąd, ni zowąd mogą ją porwać z powierzchni ziemi i cisnąć w zimną otchłań lazurowego nieboskłonu. Zdarzyło się raz, w 1992 roku, że deszcz padał bez przerwy przez trzydzieści dwa dni. Jeszcze jedna doba i padłby nowy rekord długości opadów. Całe miasto wstrzymało oddech. W telewizji ględzili o tym non stop. Nowy rekord! Opłacało się znosić ten deszcz przez okrągły miesiąc! I wtedy, trzydziestego trzeciego dnia wyszło słońce, a ludzie zapomnieli o biciu rekordu i zabrali się do koszenia trawników, roześmiani kretyńsko od ucha do ucha. A Susan płakała.

Kiedy uszli już cztery przecznice od szkoły i byli w połowie piątej, Henry zatrzymał się nagle.

- To tu - oznajmił. - Tutaj psy straciły trop.

- Wsiadła do samochodu? - zapytała Susan.

- Prawdopodobnie - odparł. - Albo na rower. Albo na motor. Albo pomachała na autobus. Albo deszcz zmył trop. Albo może po prostu psy miały wtedy kiepski dzień do węszenia.

Archie, tak samo jak pod szkołą, obrócił się powoli. Po kilku minutach zagadnął partnera:

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że szła na piechotę. - Mówiąc to, Henry wskazał ręką gęsty wawrzynowy żywopłot otaczający dom, pod którym psy straciły trop Lee Robinson. - Moim zdaniem zaczął się na nią za tym ogrodzeniem.

- Ryzykowne - mruknął Archie z powątpiewaniem, przechodząc za róg. - Rosło na tym wtedy tyle samo liści co teraz?

- To jest wawrzyn. Wiecznie zielony. Archie zastanowił się nad tym.

- Czyli zaczął się na nią za tym żywopłotem - powiedział, przesuwając dłonią po grubych liściach. - Wyszedł, kiedy się zbliżyła. I co dalej? Zaprosił ją do samochodu?

- Nastolatka wsiada do samochodu faceta, który wyskoczył z krzaków? Za moich czasów: niemożliwe - wtrąciła Susan.

- Racja - powiedział Henry. - On wcale nie wyskoczył. Archie, po chwili namysłu, przytaknął.

- Widzi ją z daleka i wychodzi z za rogu. Tam. - Przeszedł wzdłuż żywopłotu do miejsca, gdzie zbiegały się dwa boki ogrodzenia. - Udaje, że po prostu skręcił w tę stronę. - Pokazał. -Przypadkowe spotkanie.

- Zna ją - powiedział Henry.

- A ona jego - przytaknął Archie. Przez chwilę milczeli. -Mogło też być tak - odezwał się w końcu Archie, wzruszając ramionami - że wyskoczył z za rogu z nożem, przyłożył go jej do gardła i zmusił, żeby wsiadła do samochodu.

- Mogło tak być - skinął głową Henry.

- Szukaliście włókien na żywopłocie?

- Mieliliśmy cztery dni w plecy. Deszczowe dni. Archie odwrócił się do Susan.

- Kiedy chodziłaś do liceum, wracałaś do domu na piechotę?

- Tylko w pierwszej i drugiej klasie. Potem już miałam samochód.

- No tak... - zamyślił się Archie. - To jest ten wiek, kiedy się chodzi do szkoły na piechotę. Pierwsze dwie klasy liceum. - Przekrzywił głowę. - Lubiłaś swoją szkołę?

- Już ci mówiłam. Nie znosiłam Cleveland High.

- Nie. Powiedziałaś tylko, że nie znosiłaś liceum. W innej szkole byłoby to samo, czy może Cleveland było pod jakimś względem szczególne?

Susan jęknęła.

- Nie wiem. Kilka rzeczy nawet mi się podobało. Chodziłam na zajęcia teatralne. I pisałam olimpiadę z matematyki, jeśli naprawdę musisz wiedzieć. Ale tylko w pierwszej klasie. Potem znormalniałam.

- Instruktor teatralny pracuje tu od dawna - powiedział Henry. -

Nazywa się Reston.

- Znam go.

- Odwiedzasz go czasami?

- Czy odwiedzam nauczycieli z liceum? - parsknęła Susan, nie wierząc własnym uszom. - Spadaj. Mam własne życie, dziękuję ci bardzo. - Ale w tej chwili błysnęła jej straszna myśl. - Po-dejrzewacie go?

Henry potrząsnął głową.

- Jest czysty, chyba że zmusił dziewięcioro dzieciaków, żeby nas oszukały. Za każdym razem, kiedy morderca porywał uczennicę, on prowadził wieczorem próby do szkolnego przedstawienia.

Susan chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamknęła usta, kiedy rozdzwoniła się komórka Archiego. Detektyw wyjął telefon z kieszeni marynarki, otworzył klapkę i odszedł kilka kroków.

- Tak? - powiedział, a potem przez minutę słuchał bez słowa. Henry i Susan obserwowali go jak urzeczeni. W pewnym momencie dziennikarka wyczuła pewną niemalże niedostrzegalną zmianę. Nie wiedziała, czy to Archie zdradził się jakimś gestem, czy atmosfera nagle zrobiła się inna, czy może nastąpiła projekcja jej własnych myśli; była jednak absolutnie pewna, że coś się zmieniło.

Archie skinął kilka razy głową.

- W porządku. Już tam jedziemy.

Zatrzasnął telefon, wsunął go ostrożnie z powrotem do kieszeni i powoli odwrócił się do swojej ekipy.

- Znaleźli ją? - domyślił się Henry. Jego twarz nie wyrażała niczego.

Archie przytaknął bez słów.

- Gdzie?

- Na wyspie Sauvie.

Henry wskazał oczami Susan.

- Chcesz odstawić ją do banku?

Susan wbiła wzrok w Sheridana, usiłując telepatycznie nakłonić go, żeby pozwolił jej jechać. Niech jedzie z nami, powtarzała w myślach. Niech jedzie z nami. Niech jedzie z nami. Pragnęła usłyszeć te słowa. Jeszcze nigdy w życiu nie była na miejscu zbrodni. Miałaby relację z pierwszej ręki. Idealny motyw przewodni do pierwszego artykułu. Co przeżywa człowiek, który ma przed sobą ofiarę morderstwa? Odór gnijących zwłok. Horda techników kryminalnych przeprowadzających oględziny. Żółta policyjna taśma. Susan uśmiechnęła się, czując znów to znajome pulsowanie w żołądku. Ale po chwili przyszło opamiętanie; szybko ukryła zadowoloną minę. Archie, niestety, zdążył już wszystko zobaczyć. Posłała mu błagalne spojrzenie, ale jego twarz była jak z kamienia. Odwrócił się i ruszył z powrotem tam, gdzie zaparkowali samochód. Kurwa, zakłęła Susan w myślach. Wszystko spieprzyłam. Pierwszy dzień wspólnej pracy, a on już myśli, że jestem jakąś spragnioną krwi i flaków kretynką.

- Niech jedzie z nami - powiedział Archie do Henry'ego, nie zatrzymując się, ale potem jednak przystanął i spojrzał bardzo

wymownie na Susan. - Tylko nie łudź się, że będzie wyglądała tak jak na szkolnej fotografii.

17

Wiecie, na Sauvie jest truposzów jak mrówek - zagała Susan z tylnego siedzenia. - Cała kupa gejów, którzy chodzili na tamtejszą plażę dla nudystów, umarła na AIDS i tam są rozsypane ich prochy. Na górnej plaży, powyżej linii zasięgu wód przyptywu, wszędzie popiół i kawałki kości. - Ścisnęła dłońmi twarz, robiąc zbrzydzoną minę. - Ludzie przychodzą się poopalać, kładą się tam cali wysmarowani kremem, a potem wszędzie mają kawałki jakiegoś nieboszczyka. - Odczekała chwile. — Pisałam o tym kiedyś. Czytaliście może?

Nie doczekała się odpowiedzi. Henry wyłączył się już jakieś piętnaście kilometrów wcześniej. Archie rozmawiał przez telefon. Splotła ręce na piersi i nakazała sobie zamknąć buzię. To było właśnie przekleństwo wszystkich reportażystów. Głowa pełna nieistotnych faktów. A ona, Susan, pisała o wyspie Sauvie tysiąc razy: o ekologicznych farmerach, o labiryncie pól kukurydzy, o plaży dla nudystów, klubach kolarskich, orlich gniazdach, uprawach jagód, gdzie można nie tylko kupić świeże owoce, ale i samemu je sobie zebrać. Czytelnicy „Heralda” uwielbiali takie pierdoły, skutkiem czego Susan wiedziała o Sauvie więcej niż gros jej mieszkańców Powierzchnia: 9712,5 hektara. Nazywana „oazą rolnictwa” ze względu na położenie pomiędzy korytem rzeki Columbia a zanieczyszczonym kanałem Multnomah. Dwadzieścia minut jazdy samochodem od centrum Portland. W celu ochrony dzikiej przyrody władze stanowe utworzyły na wyspie rezerwat o powierzchni 4856 hektarów, nazwany The Sauvie Is-land Wildlife Area. To właśnie tam, z dala od gospodarstw tworzących krajobraz rodem z Iowa, znaleziono zwłoki porwanej dziewczyny. Susan nigdy nie przepadała za tą okolicą. Za dużo otwartej przestrzeni.

Asfaltowa szosa przeszła w żwirową drogę.

-Tak - mówił Arenie do słuchawki. - Kiedy...? Gdzie...? Tak. - Trudno było z tego wynotować jakieś sensacyjne treści. -Nie... Jeszcze nie wiemy... Dowiem się.

Na żwirze trzeba było zwolnić i teraz samochód włókł się w ślimaczym tempie, a w jednostajnym grzechocie drobnych kamieni o podwozie wybijały się, niczym przecinki, pojedyncze stukoty, kiedy któryś z nich, wyrwany bieżnikiem opony do góry, lądował na przedniej szybie. Archie bez przerwy rozmawiał przez telefon: - Jesteś teraz na miejscu? Za mniej więcej pięć minut.

Kiedy tylko się rozłączył, od razu dzwoniła kolejna osoba. Susan wyjrzała przez okno, za którym przesuwiała się, niczym ruchoma scenografia, zwarta ściana gęstych jeżynowych zarośli, wsparta o

dębowy las. W końcu dziennikarka zobaczyła kilka radiowozów, starego pikapa i karetkę, zaparkowane na skraju drogi, którą blokował ustawiony w poprzek wóz szeryfa. Wartował przy nim miody policjant ze stanowej drogówki. Jego zadanie polegało na zatrzymywaniu przejeżdżających samochodów. Su-san wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Notatnik miała w pogotowiu, otwarty, na kolanie. Henry zatrzymał wóz i mignął wartownikowi odznaką przed oczami, a ten skinął głową i ich przepuścił.

Zaparkowali obok jednego z radiowozów. Sekundę później Henry'ego i Archiego nie było już w samochodzie, a Susan musiała ich gonić, żałując, że nie włożyła jakichś praktyczniejszych butów. Sięgnęła do torebki po szminkę: nic dramatycznego, delikatny naturalny kolor. Nałożyła ją, idąc za detektywami i natychmiast poczuła się jak idiotka. Z drugiej strony radiowozu stał policjant, a obok niego młody człowiek z brodą, otulony fro-towym szlafrokiem. Był boso. Susan uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi pokazał jej dwa palce złożone w znak wiktorii.

Na plażę szło się ścieżką wydeptaną w jeżynowych zaroślach, w miejscu, gdzie gęstwina naturalnie się rozstępowała. Dalej droga prowadziła skosem przez wysokie trawy, za którymi, nieco poniżej, zaczynał się już piasek. Był sypki. Archie z trudnością utrzymywał na nim równowagę. „Wszędzie popiół i kawałki kości”, przypomniał sobie. Przed nim niespiesznie toczyła swoje brunatne wody Columbia, na której drugim brzegu był już stan Washington. W odległości kilkuset metrów od wylotu ścieżki detektyw dostrzegł grupę funkcjonariuszy z oregońskiej drogówki, stojących na gliniastym brzegu rzeki.

Na plaży czekała już na nich Claire Masland. Miała na sobie dżinsy, gładki czerwony T-shirt i wiatrówkę, którą zdjęła i przewiązała wokół bioder. Archie nigdy jej o to nie pytał, ale miał wrażenie, że Claire jest turystką, z takich, które dużo chodzą i nocują pod namiotem. A zimą pewnie jeździ na nartach. Albo nawet, jasna cholera, wędruje na rakietach śnieżnych. Przy pasku jego podwładnej wisiała odznaka, a na koszulce pod pachami ciemniały plamy potu. Dołączyła do nich i ruszyli razem w kierunku miejsca, gdzie znajdowały się zwłoki.

- Znalazł ją nudysta, około dziesiątej - odezwała się Claire. - Musiał wrócić stamtąd do samochodu, a potem dojechać do domu, więc zadzwonił do nas dopiero o dziesiątej dwadzieścia osiem.

- Zwłoki wyglądają tak samo jak poprzednio?

- Identycznie.

Archie myślał gorączkowo. To nie miało sensu. Morderca zwiększył tempo, ale zbyt nagle, zbyt gwałtownie. Przecież lubił przetrzymywać ofiary. Dlaczego z tą postąpił inaczej? Może uznał, że musi się jej pozbyć?

- Boi się - powiedział. - Wystraszyliśmy go.

- Czyli ogląda wieczorne wiadomości - wywnioskował Henry.

Napędzili mu strachu, a on pozbył się ciała. I co teraz? Porwie

kolejną ofiarę. Będzie musiał. Archie poczuł w gardle kwaśne pieczenie. Sięgnął do kieszeni, wyjął tabletkę na zgagę i rozgryzł ją nerwowo. Spłoszyli go. Teraz będzie musiał zabić kolejną dziewczynę.

- Kto już przyjechał? - zapytał podwładną.

- Greg. Josh. Martin. Anne będzie za jakieś dziesięć minut.

- To dobrze. Chcę z nią pogadać.

Archie nagle stanął jak wryty, a inni przystanęli razem z nim. Od miejsca zbrodni dzieliło ich już tylko kilkanaście metrów. Nasłuchiwał przez chwilę.

- Co jest? - zapytała Claire.

- Dziennikarze przyjechali - odpowiedział, unosząc wzrok i patrząc ze zboląłą miną na dwa śmigłowce, które w tej samej chwili wychyły z za linii drzew. - Lepiej rozstawcie namiot - polecił.

Claire skinęła głową i zawróciła pospiesznie w kierunku parkingu.

Archie odwrócił się do Susan, która zapisywała w swoim notatniku stronę za stroną, wypełniając papier dużymi, pochyłymi literami.

Wyczuwał wyraźnie jej ekscytację; przypomniał sobie dzień, kiedy on i Henry pojechali na wezwanie do tamtej pierwszej ofiary Gretchen Lowell. Czuł się wtedy podobnie, ale z biegiem czasu mu to przeszło.

- Susan - powiedział. Dziennikarka uniosła palec, prosząc o chwilę czasu, aby mogła dokończyć myśl, którą właśnie zajadłe notowała.

- Spójrz na mnie - powiedział Archie. Uniosła wzrok. Jej zielone oczy były wielkie jak spodki. Nagle Archie poczuł się odpowiedzialny za tę dziwną dziewczynę z różowymi włosami, która udawała przed nim, że jest z tych, których nic nigdy nie rusza.

Wiedział, że prawda wygląda inaczej, ale jednocześnie zrobiło mu się głupio, że zakłada to z góry, chociaż jej nie zna. Przez chwilę patrzeli sobie w oczy, aż w końcu uznał, że Susan skoncentrowała się już na tyle, żeby go wysłuchać. - Jakkolwiek to sobie wyobrażasz - wskazał dłonią w kierunku miejsca, gdzie w zimnym błocie leżało nagie ciało Kristy Mathers - na pewno będzie gorzej, niż myślisz.

Skinęła głową.

- Wiem.

- Widziałaś już kiedyś martwego człowieka? - zapytał Archie. Znów ten sam gest.

- Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, umarł mi ojciec. Na raka.

- To będzie coś zupełnie innego - powiedział Arenie łagodnie.

- Poradzę sobie. - Susan pociągnęła mocno nosem. - Czujecie? - zapytała. - To chlor?

Archie i Henry wymienili spojrzenie, a potem Henry wyciągnął z kieszeni kurtki dwie pary lateksowych rękawiczek i podał jedną partnerowi. Archie spojrzał jeszcze raz na spokojną rzekę, pobłyskującą w promieniach przedpołudniowego słońca, po czym otworzył usta i odetchnął głęboko.

- Nie oddychaj przez nos - ostrzegł Susan. - I nie płacz mi się pod

nogami.

Naciągnawszy rękawiczki, przeszedł ostatnie kilkanaście metrów dzielących go od znalezionych zwłok, a Henry i Susan ruszyli parę kroków za nim.

Kiedy Archie przykucnął nad ciałem Kristy, jego myśli nabrały całkowitej klarowności. Rozjaśniło mu się w głowie, a ściśnięty żołądek przestał dokuczać. Wyostrzyła się koncentracja. Uświadomił sobie też, że przez kilka minut nie myślał o Gret-chen Lowell.

Brakowało mu tego.

Dziewczyna została uduszona, a morderca wymoczył jej zwłoki w chlorowym płynie do czyszczenia. Leżały w odległości półtora metra od linii wody, na plecach. Głowa była obrócona na bok. Jedna pulchna ręka schowana pod spodem. Na skórze i we włosach pełno piasku, jakby ktoś toczył ciało przez kilka kroków. Druga ręka była zgięta w łokciu, a stulona dłoń spoczywała tuż pod brodą; na obgryzionych do żywego paznokciach pobłyskiwały jeszcze drobinki brokatowego lakieru. Dzięki tej ręce upiornie wyglądające zwłoki zachowały, pozory człowieczeństwa. Archie patrzył dalej, prowadząc wzrok niżej, od głowy do samych stóp, rejestrując każdy szczegół. Jedna noga lekko przygięta, druga wyprostowana, oplatana wodorostami. Detektyw zauważył krew pod nosem i na ustach, groteskowo spuchnięty język i taką samą jak u poprzednich ofiar wyraźną szramę u podstawy szyi, ślad po narzędziu zbrodni, którym, jak przypuszczali śledczy, był pasek do spodni. Na skórze, w okolicach karku i ramion, widniały fioletowe plamy opadowe. Brzuch nabrał już zielonkawo-sinego zabarwienia, natomiast usta, nos,

krocze oraz uszy były czarne. Chlor spowolnił proces rozkładu, zabijając część bakterii powodujących obrzęk tkanek, dzięki czemu zwłoki zachowały przynajmniej odrobinę podobieństwa do Kristy Mathers, w zarysie policzka, w profilu twarzy. Przynajmniej tyle. Płyn do czyszczenia nie odstraszył jednak robactwa. Roje maleńkich owadów oblepiały wargi i oczy, mrowiły się w okolicy genitaliów. We włosach plątały się kraby. W miejscu, gdzie kiedyś było oko, ział lej pełny szerniałej galarety, a skóra na policzku i czole była podziurawiona; stał tam ptak, który wbił pazury w ciało, aby nie spaść z głowy trupa. Archie rozejrzał się i w odległości kilku kroków zobaczył mewę przyglądającą mu się czujnym wzrokiem. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a ptak zadrobił pospiesznie krótkimi nogami i zerwał się do lotu, szukając jakiegoś bezpieczniejszego punktu obserwacyjnego. Archie odchrząknął.

- Porzucił ją na plaży. - Zaczął głośno myśleć. - Nie w wodzie. Na plaży.

- Skąd to wiadomo? - zapytała Susan.

Zerknął na nią. Twarz miała bladą, a na tle tej bladości mocno odbijała się szminka i piegi, ale trzymała się lepiej niż on za pierwszym razem.

- Bo jeszcze by nie wypłynęła - wyjaśnił. - Zwłoki toną. Wypływają

trzy do siedmiu dni po zatonięciu z powodu metanu wytwarzanego w gnijących tkankach. A ona zniknęła dopiero dwa dni temu. - Archie rozejrzył się po plaży. Nad ich głowami krążyły śmigłowce. Wydawało mu się, że dostrzegł odbłysek światła w soczewce teleobiektywu. - Nie. Porzucił ją na plaży, dziś w nocy, kiedy jeszcze padało. Zrobił to wcześniej, na tyle, żeby deszcz i fale zdążyły zmyć wszelkie ślady, jakie mógł zostawić. Chciał, żebyśmy ją znaleźli.

- Dlaczego ona jest w takim stanie? - Głos Susan zadrżał po raz pierwszy.

Archie odwrócił wzrok z powrotem ku zwłokom. Brązowe włosy Kristy teraz były bladopomarańczowe, a skóra cała w oparzelinach. Identyczne obrażenia widział na fotografiach zwłok Lee Robinson i Dany Stamp.

- Zanurza zwłoki w płynie do czyszczenia - wyjaśnił cichym głosem. - Morduje. Gwałci. A na koniec wkłada ciało do wanny pełnej chlorowego roztworu i tam ono czeka, aż postanowi się go pozbyć. - W ustach czuł smak tego preparatu; jego gryząca woń, od której nieznosnie piekły oczy, mieszała się w powietrzu z odorem gnijącego ciała.

Nagle zauważył, że Susan zamyśliła się na chwilę, a potem na jego oczach dokonała się drobna zmiana jej punktu widzenia całej sprawy.

- Nie podałeś tego do wiadomości publicznej. Arenie posłał jej znużony uśmiech.

- Właśnie to zrobiłem.

- Więc on morduje od razu - szepnęła Susan, tak cicho, jakby mówiła do siebie. - Zanim ktokolwiek zauważy zaginięcie, ofiara już nie żyje.

- Zgadza się. Zmrużyła oczy.

- A ty pozwoliłeś wszystkim mieć nadzieję, chociaż wiedziałeś, że ona już nie żyje. - Przygryzła wargę i zapisała coś w swoim notatniku. - Co za chory skurwysyn... - mruknęła pod nosem.

Archie nie miał pewności, czy ten ostatni epitet odnosił się do mordercy, czy może do niego samego. To zresztą w sumie było nieważne.

- Trafna opinia - zgodził się.

- Skoro porzucił ją tutaj - odezwał się Henry - to musiał zaparkować w tym samym miejscu co my. I przejść tą samą ścieżką. Innej drogi nie ma. Chyba, że przywiózł ją łodzią i wyrzucił na brzeg.

- Obejdźcie okolicę od drzwi do drzwi. Pytajcie, czy ktoś tędy nie przejeżdżał, czy ktoś nie zauważył jakiegoś samochodu. Albo łodzi. A Ostre Chłopaki niech poszukają prezerwatyw na plaży i w pobliżu. Może nie mógł się powstrzymać i musiał sobie ulżyć.

- Mają szukać kondomów na plaży dla nudystów? - Henry jakby nie wierzył własnym uszom. - To może przy okazji niech obskoczą kilka akademików i poszukają lufek do marihuany?

Archie uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko co znajdziecie, prześlijcie do laboratorium, a wyniki badań DNA wprowadźcie do COIDUS-a. Może szczęście się do nas uśmiechnie. - Wsunął do ust kolejną już pastylkę vico-dinu.
- Znowu ten zantac? Boli cię brzuch? - spytał Henry. Archie odwrócił wzrok.
- To aspiryna.

18

Trzeciego dnia - chyba trzeciego - Archie już nie próbuje się szarpać, kiedy Gretchen wciska mu do gardła lejek i wrzuca do niego swoje pigułki. Połyka je bez oporu. Kiedy ostatnia znika w jego gardle, ona odkłada lejek i szybko zakleja mu usta przygotowanym kawałkiem taśmy izolacyjnej. Nie powiedziała dziś do niego ani słowa. Białym ręcznikiem ociera mu ślinę z policzków i wychodzi. Archie czeka, aż pigułki zaczną działać; każda komórka jego ciała jest wyczulona na najmniejszą nawet zmianę. Tym sposobem można też mierzyć czas. Nie wie, jakie to pigułki, ale podejrzewa, że dostaje amfetaminę, coś przeciwbólowego, jakiś halucynogen. Czuje mrowienie, najpierw w nosie, potem podchodzące falą coraz wyżej, po czole aż na sam czubek głowy. Siłą woli zmusza się, żeby z nim nie walczyć.

Odplywa myślami. W wyobraźni powraca na miejsce przestępstwa. Widzi Henry'ego i Claire. Na pewno dotarli już jego tropem do tego wielkiego, żółtego domu, który Gretchen wynajęła w okolicy o nazwie Vista. Widzi taśmę policyjną. Dziennikarzy. Techników kryminalnych. Tabliczki z numerami, do oznaczania śladów i dowodów. Obchodzi teren, wydając polecenia swoim ludziom, tak jakby to była kolejna ofiara Wirtuoza.

- Upłynęło już za dużo czasu - mówi do Claire. - Do tej pory na pewno mnie zabiła. - Wszyscy mają ponure miny, a w oczach rozpacz. - No, rozchmurzcie się! Jest dobrze! Przynajmniej w końcu wiemy, kim jest ten cholerny morderca! Tak? Tak czy nie? - Patrzą na niego apatycznie. Claire płacze. - Musicie zauważyć, że moje zniknięcie ma związek z naszym śledztwem. - Jego głos robi się piskliwy od napięcia. - To nie jest przypadek. Ekipa przeczesuje cały dom w poszukiwaniu tropów.

- Złóżcie fakty do kupy - błaga Archie. Znają przecież nazwisko Gretchen, mają zdjęcie z plakietki identyfikacyjnej. Odtwarza w pamięci wizytę u niej, szuka wszystkich powierzchni, jakich dotykał, włókien, które po sobie zostawił, jakichkolwiek śladów swojej obecności. Jest. Kawa. Rozlał kawę na dywan.

- Widzisz to? - woła do Henry'ego, wskazując palcem pociemniałą plamę. Henry przystaje. Kuca. Wzywa technika kryminalnego. Analiza laboratoryjna wykryje ślady substancji, którą Gretchen podała Archiemu w tej kawie. To potwierdzi podejrzenia jego ludzi. Czy ktoś widział, jak detektyw Sheridan wchodził do tego domu?

Gdzie się podział jego samochód? Archie kuca obok Henry'ego.

- Kiedy przyjdą wyniki - mówi mu - musicie zrobić wszystko, żeby powiązać tę kobietę z resztą morderstw z tej serii. Roześlijcie jej zdjęcie wszędzie, gdzie tylko się da. Kiedy już mnie zabije, wyniesie się z tego domu. I wtedy będziecie mogli ją złapać.

- Majaczyłeś - mówi Gretchen.

Gwałtownie wyrwany ze snu, Archie powraca do piwnicy. Ona znów jest przy nim, przykładając mu do czoła mokrą, chłodną ściereczkę.

Archie zauważa, że się spocił, chociaż nie jest gorąco.

- Coś mruyczysz - zauważa Gretchen.

Jest jej wdzięczny, że zakleiła mu usta. Dzięki tej taśmie nie mogła usłyszeć jego na wpół obłąkanego bełkotu.

- Naprawdę, nie wiem, jak ty możesz znieść ten smród - mówi

Gretchen, spoglądając na trupa wciąż leżącego na podłodze.

Mówi coś jeszcze, ale Archie ma już jej dosyć, więc wraca do krainy własnych myśli.

Idzie zobaczyć się z Debbie.

Debbie siedzi na kanapie, otulona w polarowy koc. Oczy ma czerwone od płaczu.

- Znaleźliście go? - pyta szybko, kiedy tylko widzi Archiego w drzwiach.

- Nie - odpowiada on. Bierze z lodówki puszkę piwa i siada obok niej. Twarz Debbie jest pusta, bez cienia jakiegokolwiek grymasu, a jej dłonie się trzęsą, kiedy podciąga koc wysoko, pod brodę.

- On żyje - oznajmia jego żona tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ten kategoryczny optymizm w jej głosie łamie Archiemu serce. - Wiem, że on żyje.

Archie namyśla się przez chwilę. Nie chce sprawiać jej przykrości. Ale nie może też kłamać.

- Całkiem możliwe, że już jest po mnie - mówi. - Musisz się na to przygotować.

Debbie unosi na niego przerażone oczy. Całe jej ciało tężeje.

Archie, zaskoczony i oszołomiony, próbuje ją pocieszyć.

- To nic złego, naprawdę - przekonuje. - Im prędzej ta kobieta mnie zabije, tym lepiej. Uwierz mi.

Oczy Debbie napełniają się łzami, a usta ściągają się mocno.

- Chyba powinieneś już iść - informuje go chłodnym tonem.

- Spójrz na mnie. - To głos Gretchen. Z powrotem w piwnicy. Na skraju pola widzenia rzeczywistość fałduje się i drży. Archie nie ma ochoty wykonywać poleceń, ale już raz dostał nauczkę i zapamiętał ją, więc odwraca głowę i słucha.

Jej twarz nie wyraża niczego. Ani gniewu, ani przyjemności, ani litości. Niczego.

- Boisz się? - pyta Gretchen, muskając ściereczką jego czoło, policzek, kark, obojczyk. A potem Archiemu wydaje się, że dostrzegł w jej oczach nikły przebłysk jakiejś emocji. Współczucie?

Trwa to tylko chwilę.

- Jakkolwiek to sobie wyobrażasz - szepcze Gretchen - na pewno będzie gorzej, niż myślisz.

19

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Susan po powrocie do domu z wyspy Sauvie, było ściągnięcie butów. Rozpiąwszy długie suwaki, bez pomocy rąk zsunęła swoje czarne, skórzane kozaczki i energicznymi kopnięciami posłała je prosto na stos obuwia zalegającego obok drzwi. Były brudne i cuchnęły chlorem; nadawały się tylko do wyrzucenia.

Susan lubiła podkreślać, że mieszka w lofcie; prawdę mówiąc, była to spora kawalerka w zaadaptowanym starym budynku. Znajdował się on w Pearl, artystycznej dzielnicy w zachodniej części Portland, niedaleko centrum. Na przełomie wieków był to browar, który przed kilkoma laty przebudowano na mieszkania.

Potężna ceglana elewacja nie zmieniła się wcale, pozostawiono nawet stary przemysłowy komin, ale całe wnętrze urządzono od nowa, instalując najnowocześniejsze udogodnienia ku wygodzie lokatorów. „Loft” zamieszkiwany przez Susan znajdował się na drugim piętrze i formalnie należał do jej byłego wykładowcy, obecnie przebywającego z żoną na rocznym urlopie naukowym w Europie, gdzie pisał swoją nową książkę. W Stanach profesor mieszkał również w Oregonie, w mieście Eugene, gdzie był wychwalanym pod niebiosa kierownikiem kursu powieściopisarstwa na Akademii Sztuk Pięknych. Mieszkanie w Portland trzymał jako tak zwany „azyl twórczy”, rzadko jednak służyło ono jakimkolwiek twórczym celom. Susan pragnęła mieć je dla siebie, odkąd spędziła tam swój pierwszy weekend. Otwarty aneks kuchenny był wyposażony w supernowoczesne urządzenia, łącznie z lodówką z nierdzewnej stali i potężną lśniącą kuchenką. Susan miała tutaj wszystko, czego jej brakowało w domu rodzinnym. Jasne, blaty nie były granitowe, tylko z corianu, a kuchenka to był Viking z przeceny, ale z daleka wystrój mógł swobodnie uchodzić za sam szczyt miejskiego szyku. Susan uwielbiała też stary, ozdobny sekretarzyk Wielkiego Pisarza. Przepadała za księgozbiorem Wielkiego Pisarza, wypełniającym szczelnie, w dwóch rzędach, wszystkie półki biblioteczeki, która zajmowała całą ścianę. Lubiła oprawione w ramki zdjęcia, na których widniał Wielki Pisarz w towarzystwie innych Wielkich Pisarzy. Jeśli chodzi o umeblowanie mieszkania, to łóżko stało za japońskim parawanem, a na resztę sprzętów składały się: kanapa obita niebieskim aksamitem, czerwony skórzany fotel, niski stolik, nieduży telewizor oraz jedyna w tym domu osobista własność Susan, czyli ogromny zestaw stereo, który sama skompletowała ze starych elementów pamiętających jeszcze lata osiemdziesiąte. Lubiła słuchać nagrań,

tak samo jak czytać książki, więc ciągle myszkowała w zbiorach pana domu, które dzięki jej staraniom przeszły ewolucję od alfabetycznego porządku do totalnej dezorganizacji. Nigdy nie mogła znaleźć tego, czego szukała.

Ściągnęła koszulę przez głowę, zdjęła czarne spodnie, skarpetki, majtki, stanik. Dalej czuła smród tego płynu do czyszczenia. A tak lubiła te buty. Przez chwilę stała nago, dygocząc, nad stertą szmatek leżących u jej stóp; potem owinęła się w kimono zdjęte z mosiężnego haczyka na drzwiach łazienki, zebrała ubranie z podłogi i wyszła bosą na korytarz, po drodze zgarniając swoje piękne i drogie buty. Obok drzwi do windy znajdowała się nieduża kłapa z napisem „zsyb”. Susan uniosła ją i wrzuciła wszystkie rzeczy do środka. Nie czekała, tak jak zwykle, aż spadną na sam dół, tylko wróciła prosto do mieszkania i odkręciła wodę w wannie. Zrzuciła z siebie kimono i cisnęła je w kąt obok drzwi. Kiedy tylko na dnie wanny zebrały się dwa centymetry parującej wody, weszła do niej i kucnęła, patrząc, jak skóra na stopach robi się czerwona. Usiadła powoli, krzywiąc się nieco, a potem stopniowo wyciągnęła się na całą długość, prostując swoje chude jak patyki nogi. Patrząc na własne nagie ciało, pomyślała o tamtych młodych dziewczynach. Czy ta jego wanna, pełna chlorowego roztworu, jest podobna do mojej? Woda sięgała jej już do bioder. Susan oparta się mocniej o zimną ściankę, zmuszając się, aby poczekać, aż porcelana rozgrzeje się od jej ciała. Całe ramiona miała pokryte gęsią skórą i chociaż usilnie próbowała, nie mogła opanować dreszczy. Zakręciła kran stopą i zamknęła oczy, starając się nie myśleć o bladych i posiniaczonych włoskach Kristy Mathers.

Archie siedział za swoim nowym biurkiem i przesłuchiwał rozmowę, którą odbył z Fredem Doudem. Główne pomieszczenie było oświetlone, ale on wyłączył światło w swoim gabinecie i siedział w prawie całkowitych ciemnościach, rozproszonych tylko jasną smugą wpadającą przez drzwi. Z plaży ekipa wróciła osobno: Henry, na jego prośbę, odwiózł Susan Ward tam, gdzie zostawiła samochód, Archie i Claire Masland pojechali zaś razem z lekarzem sądowym do kostnicy, gdzie umówili się z ojcem Kristy na identyfikację zwłok. Archie był specjalistą od wykańczania rodzin ofiar. Czasami nie musiał nawet nic mówić: wiedzieli wszystko po jego jednym spojrzeniu. Innym trzeba było powtarzać Wszystko w nieskończoność, a i tak tylko mrugali błyszczącymi oczami w totalnym osłupieniu i potrząsali głowami, nie chcąc uwierzyć w to, co dyszą, uparcie nie dopuszczając do siebie faktów. W końcu jednak tama pękała, a prawda biła w nich z siłą powodziewej fali. Dla Archiego to był zawsze olbrzymi wysiłek: nie zapomnieć, że to nie on jest sprawcą cierpienia tych ludzi. Mimo to nie odstraszało go oglądanie ludzkiej rozpacz. Bo wydawało mu się, że nawet najbardziej bezczelny sukinsyn po stracie ukochanej osoby doznaje jakiejś łaski. Taki człowiek

funkcjonuje zupełnie inaczej niż wszyscy. Kiedy patrzy na kogoś, ta osoba zawsze ma wrażenie, że naprawdę jest dostrzegana. Cały jego wszechświat koncentruje się na tym jednym tragicznym zdarzeniu, tej bolesnej stracie. Przez kilka tygodni udaje mu się trzymać na dystans od wszystkiego, a potem życie, jego błahe, główniane życie, z powrotem zaczyna domagać się swoich praw. Arenie podniósł głowę. W drzwiach jego gabinetu stała Anne Boyd, patrząc na niego tak, jak to miała w zwyczaju - wzrokiem matki czekającej, aż mały winowajca przyzna się do tego, co narobił.

Przetarł oczy, uśmiechając się ze znużeniem i skinął, żeby weszła. Anne była inteligentną kobietą. Archie dużo by dał, żeby wiedzieć, czy potrafi, dzięki swojemu psychologicznemu wykształceniu, go przejrzeć i nie złapać się na starannie podtrzymywane pozory zdrowia psychicznego.

- Przepraszam - uśmiechnął się. - Odpłynąłem. - Wyłączył dyktafon.
- Możesz zapalić światło.

Dotknęła włącznika i gabinet zalała biała, migotliwa jasność, od której Archiego jeszcze bardziej rozboleła głowa. Zesztywniał na całym ciele. Wykręcił szyję, aż usłyszał cichy trzask.

Anne usiadła na jednym z krzeseł dla gości i założywszy nogę na nogę, rzuciła mu na biurko pięćdziesięciostronicowy dokument. W FBI pracowało tylko kilka kobiet-psychologów, a wśród nich ona była jedyną ciemnoskórą. Archie poznał ją przed sześcioma laty, kiedy Biuro przysłało ją do sporządzenia profilu Wirtuoza.

Przepracowali razem setki godzin, moknąc na deszczu przy oględzinach miejsca zbrodni, analizując o czwartej nad ranem zdjęcia ran zadanych ofiarom, usiłując odgadnąć myśli Gretchen Lowell. Arenie wiedział, że Anne ma dzieci. Nieraz słyszał, jak rozmawia z nimi przez telefon. A jednak przez te wszystkie lata - teraz to sobie uświadomił - ani razu nie zdarzyło im się pogadać na wspólne rodzicielskie tematy. Ich życie zawodowe było na to zbyt okropne. Rozmowy o dzieciach wydawały się jakoś nie na miejscu.

- To jest to, co myślę? - zapytał, wskazując dokument.

- Owoc mojej pracy - przytaknęła.

Od długiego siedzenia na fotelu bolały go zębra, a żołądek piekł od wezbranego kwasu. Czasami Arenie budził się w środku nocy, zwinięty w kłębek i nagle uświadamiał sobie, że nic go nie boli. Próbował wtedy pozostać w bezruchu, przedłużyć ten błogostan, ale w końcu musiał się obrócić, zgiąć nogę w kolanie albo wyprostować rękę; wystarczyło, że drgnął, a powracało jakieś dobrze znane ukłucie, pieczenie albo rwanie. Pigułki pomagały gliwości. Ale wciąż miał kłopoty z koncentracją. Problemem było jego ciało. Żeby skupić się na profilu mordercy, musiał odetchnąć świeżym powietrzem.

- Przejdźmy się - zaproponował. - Streścisz mi główne wnioski.

- Nie ma sprawy. - Anne zgodziła się chętnie.

Przeszli przez opustoszałą salę główną, mijając nocną sprzątaczkę,

która właśnie rozwijała kabel od odkurzacza. Archie otworzył przed Anne szerokie skrzydło szklanych drzwi wejściowych, po czym wyszedł za nią na chodnik. Ruszyli przed siebie w kierunku północnym, Było chłodno, Archie wsunął dłonie do kieszeni marynarki; pod palcami poczuł swoje pudełeczko z pigułkami. Jak zwykle był ubrany nieodpowiednio do pogody. Mrok rozmywał mdłe, żółtawe światło latarni, w którym całe miasto wyglądało tak, jakby było brudne. Ulicą przejechał samochód, przekraczając dozwoloną prędkość o dobrych piętnaście kilometrów na godzin.

- Uważam, że nasz morderca ma początki socjopatii - zaczęła Anne. Ona w odróżnieniu od Archiego, miała na sobie długi skórzany trencz koloru czekolady i buty w lamparcie cętki. Anne zawsze potrafiła dobrać sobie strój.

- Podobają ci się? - zapytała, zauważywszy, że Archie przygląda się jej stopom. Zatrzymała się i uniosła długą dzianinową spódnicę o kilka centymetrów, żeby pochwalić się wysokimi butami. - Kupiłam je w dziale z rozmiarami XXL. Są dodatkowo poszerzane. Jak się ma takie łydki jak ja...

Archie chrząknął.

- Mówiłaś, że morderca ma początki socjopatii, tak?

- Nie chcesz rozmawiać o moich łydkach? - zapytała Anne.

Uśmiechnął się lekko.

- Staram się nie podpaść pod paragraf o molestowaniu seksualnym. Anne opuściła spódnicę i wyszczerzyła do niego zęby.

- Po raz pierwszy od dwóch dni widzę cię uśmiechniętego. Serio!

Znow ruszyli przed siebie. Anne podjęła swoją analizę:

- Zgwałcił i zamordował te dziewczyny, ale męczą go wyrzuty sumienia - powróciła do poważnego tonu - więc je czyści. I oddaje.

- Ale potem znowu zabija.

- To dla niego przymus nie do odparcia. Ale jemu chodzi o gwałt, nie o morderstwo. To gwałciiciel, który morduje, a nie morderca, który gwałci. Jego obsesją nie jest zabijanie. To nie jest nekrofil. Morduje ofiary, żeby oszczędzić im traumy związanej z gwałtem.

- Co za facet - mruknął Archie.

Minęli ciemną witrynę sklepu z farbami, budkę dla zmotoryzowanych, za dnia serwującą espresso, a teraz zamkniętą na głucho, modny bar. W oknie lokalu płonęły neonowe reklamy różnych marek piwa: PBR, Rainiera, Sierra Nevada. Na czymś udającym markizę widniała nazwa jakiejś kapeli: Rejestr Zaginionych.

Ślicznie, pomyślał Archie, zaglądając do środka. Zobaczył w przelocie szeroko otwarte usta śmiejących się ludzi, złowił uchem odgłosy beztroskiej, zakropionej alkoholem zabawy.

Anne mówiła dalej:

- Moim zdaniem on nie czerpie z mordowania przyjemności. Robi to szybko, nie przeciąga. Używa narzędzia, nie gołych rąk. Uważam, że powinniśmy poszukać jego korzeni. On musiał już kiedyś gwałcić. A ofiary dobierał według tych samych kryteriów co teraz. Archie potrząsnął głową.

- Dotarliśmy do wszystkich niewyjaśnionych gwałtów z ostatnich dwudziestu lat. Żadna z poszkodowanych osób nie pasuje do profilu ofiar tych zabójstw.

Przystanęli na skrzyżowaniu. Gdyby Archie był sam, przeszedłby na czerwonym, ale ponieważ była z nim Anne, wcisnął guzik dla pieszych i zaczął udawać, że cierpliwie czeka. Wiedział dobrze, że światło nie zmieni się szybciej po naciśnięciu tego guzika, ale to złudzenie kontroli było całkiem przyjemne.

- Poszukajcie w innych stanach. Jeśli dalej niczego nie znajdziecie, to znaczy, że ofiary nie zgłosiły gwałtów. To też jest cenna informacja.

Archie zastanowił się nad tym.

- Ten facet potrafi wpływać na kobiety.

- Potrafi albo potrafił - poprawiła go Anne.

- Traci swój wpływ i ucieka się do przemocy, żeby to sobie odbić.

Anne przytaknęła kilka razy, poruszając mocno szczęką.

- Myślę, że potrzeba gwałtu seksualnego narastała w nim od dawna. Wywołał ją jakiś stresor w domu albo w pracy. Prawdopodobnie już od dzieciństwa miał brutalne fantazje erotyczne, ale potrafił je stłumić, zaspokajając się pornografią i pierwszymi gwałtami. Potem zdecydował się na kolejny krok. Opracował plan. Zrealizował go. I udało się, nikt go nie złapał.

- Więc powtórzył całą akcję. - Archie westchnął. Światło w końcu się zmieniło. Przeszli przez ulicę i ruszyli jej drugą stroną z powrotem w stronę banku, na południe. Nie był to specjalnie wyczynowy spacer, ale przyjemnie było się trochę poruszać.

- Zgadza się. I znów uszło mu na sucho, więc teraz jego poszanowanie reguł społecznych, tych samych, które zawsze tak mu przeszkadzały, chwieje się w posadach. Sądzę, że za pierwszym razem w głębi serca był pewien, że zostanie złapany. Może nawet chciał, żeby go zatrzymano, chciał ponieść karę za swoje zboczone fantazje. Ale nikt go nie ukarał, więc nabrał przekonania, że stanął ponad prawem. Poczul się wyjątkowy.

- A ten chlorowy płyn do czyszczenia? To ma być rytuał oczyszczenia czy umyślnie zacieranie śladów?

Zauważył, że Anne przygryzła wargę.

- Nie wiem - odpowiedziała. - To do niego nie pasuje. Skoro zabija ofiary z troski o nie, po co ta kąpiel w żrących chemikaliach? Bo chlor to przesada, nawet jeśli faktycznie chodzi o obmycie, oczyszczenie. A ja uważam, że nasz morderca to człowiek skrupulatny, a więc z natury unikający przesady. Zna dokładną proporcję i nie przekroczy jej w żaden sposób.

- Morderstwo to dla niego sprawa intymna - dodał Archie miękko. - Wybiera swoje ofiary.

- To inteligentny facet - zawyrokowała Anne. - Wykształcony.

Pracuje. Przewozi zwłoki, a więc dysponuje jakimś pojazdem.

Prawdopodobnie ma też dostęp do łodzi. Wnioskując z pory, kiedy dochodziło do porwań, wcześniej kończy pracę. Jest mężczyzną rasy

białej. Nie wyróżnia się wyglądem. Praktyczny. Schludny. Jeśli przyjmiemy, że potrzeba gwałtu wykształciła się u niego w wyniku pewnego procesu, to musi być teraz dobrze po trzydziestce, a być może nawet skończył już czterdzieści lat. Jest drobiazgowy i potrafi manipulować ludźmi. Porywając młode dziewczyny prosto z ulicy, podejmuje bardzo wysokie ryzyko, jest więc pewny siebie można nawet powiedzieć, że arogancki. I przebiegły. Umie wymyślić taki podstęp, żeby ofiara z nim poszła.

- Ted Bundy chodził z ręką albo nogą w gipsie.

- A Kenneth Bianchi udawał policjanta. Może wymyślić cokolwiek: że popsuł mu się samochód, że jest łowcą talentów z agencji reklamowej, albo po prostu powiedzieć dziewczynie, że jej rodzice mieli wypadek i proponuje, że zawiezie ją do szpitala. - Anne potrząsnęła lekceważąco głową. - Ale on ma coś lepszego. Dlaczego tak uważam? Bo Kristy zgodziła się z nim pójść w momencie, kiedy w mieście porwano i zamordowano już dwie dziewczyny w jej wieku.

Archie wyobraził sobie pulchną, brązowowłosą Kristy Mathers, przeprowadzającą swój zepsuty rower przez ulicę, zaledwie kilka przecznic od domu. Co się stało z rowerem? Po co porywacz go zabrał, skoro miał już dziewczynę? A jeśli faktycznie zabrał rower, to jego samochód musi być na tyle duży, żeby można było szybko do niego wstawić rzecz takich rozmiarów.

- Jeśli Kristy z nim poszła z własnej woli, musiała go znać - powiedział.

- Zakładając, że to naprawdę było dobrowolne, to tak. Musiała go znać. - Dotarli już na parking pod bankiem. - To mój wóz. - Annepołożyła dłoń na dachu wynajętego mustanga w kolorze burgunda.

- Jutro przesłucham jeszcze raz nauczycieli i szkolny personel, ale tylko mężczyzn, którzy odpowiadają twojemu profilowi - zapowiedział Archie. Ból głowy zaczynał robić się poważny. Czuł się z tym tak, jakby cierpiał na permanentnego kaca.

- Wybierasz się dziś do domu, czy będziesz spał na fotelu?

Zerknął na zegarek i ze zdziwieniem zobaczył że już jedenasta.

- Jeszcze ze dwie godzinki i skończę - powiedział.

Anne otworzyła pilotem drzwi, rzuciła torebkę na tylne siedzenie i odwróciła się z powrotem do Archiego.

- Gdybyś chciał kiedyś pogadać - wzruszyła bezradnie ramionami - to wiesz, że jestem psychiatrą.

- Specjalistką od zbrodniarzy z zaburzeniami psychicznymi. - Arenie uśmiechnął się blado. - Postaram się nie spełnić wszystkich kryteriów.

I wtedy, w tym ostrym świetle parkingowych jarzeniówek, zauważył, jak bardzo Anne się postarzała przez te ostatnie kilka lat. Jej oczy otoczyła siateczka zmarszczek, we włosach pobłyskiwała siwizna. Ale mimo to i tak wyglądała lepiej od niego.

- A czy ona je spełniała?

Archie dobrze wiedział, o kogo jej chodzi.

- Ona celowo zafałszowała swój profil, Anne. Przecież wiesz o tym. Uśmiechnęła się pochmurnie.

- Byłam absolutnie pewna, że morderca to mężczyzna. I że działa w pojedynkę. Kobiety nie brałam nawet pod uwagę. A ty i tak ją podejrzewałeś. Pomimo że miałeś w ręku mój profil. Sposób, którego użyła, żeby przeniknąć do zespołu prowadzącego śledztwo, to podręcznikowe zachowanie psychopaty. Nie mogę uwierzyć, że tego nie zauważyłam.

- Odstąpiła się tylko tyle, żebym dał się namówić na spotkanie, ale za mało, żebym miał się na baczności. To była pułapka. Poszedłem tam, bo mnie podpuściła. To nie była zasługa mojej biegłości zawodowej.

- Wiedziała, że rozwiązanie tej sprawy to dla ciebie najważniejsza rzecz na świecie. Psychopaci doskonale umieją odgadywać myśli innych ludzi.

Zdziwiłabyś się, jak doskonale, pomyślał Archie.

- Tak czy inaczej - westchnęła Anne - mieszkam w Heathma-nie. To na wypadek, gdybyś jednak nabrał chęci na rozmowę.

- Anne?

- Słucham? - Obejrzała się.

- Dzięki za propozycję.

Przez chwilę stała tylko bez ruchu w tych swoich butach w lamparcie cętki i miała taką minę, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć. Coś w stylu „przykro mi, że tak ci się popieprzyło w życiu”, albo „wiem, co byś najchętniej teraz zrobił”, albo „daj znać, gdybyś chciał dostać skierowanie do jakiegoś przytulnego, zacisznego zakładu”. A może myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do swojego hotelu i zadzwonić do dzieci. W sumie to było nieistotne. Archie poczekał, aż psycholożka odjedzie, a potem wrócił do gabinetu, włączył z powrotem dyktafon, zamknął oczy i zaczął słuchać, jak Fred Doud opowiada o potwornie zmasakrowanych zwłokach Kristy Mathers.

20

Susan siedziała przy sekretarzyku Wielkiego Pisarza, wyglądając oknem i obserwując przepływ klientów przez jadłodajnię ze zdrową żywnością. Była pora lunchu, a jadłodajnia znajdowała się naprzeciwko jej domu, nieco w bok. Pierwszy artykuł był już skończony i wysłany do redakcji. Susan szczerze nie znosiła tego, co działo się dalej, po wysłaniu. Cholera ją brała, że musi czekać, aż Ian potwierdzi przyjęcie tekstu, a jednocześnie ma-rzyła o tym potwierdzeniu. Kliknęła myszą przycisk „odśwież”

w oknie swojej skrzynki pocztowej. Nic. Nagle ogarnęła ją nieodpartą, absolutną pewnością, że Ian odrzucił artykuł. Że ta jej żałosna zabawa w ambitny reportaż zniesmaczyła go tylko. I tak

oto Susan Ward spaliła swoją jedyną szansę na stworzenie czegoś poważnego. Prawdopodobnie teraz ją wyleją. Nie chciało jej się nawet przejrzeć tekstu od nowa, bo wiedziała, że zauważy każdą literówkę, każde niepoprawne użycie strony biernej, każde kulawe zdanie, a raczej karykaturę zdania. Jeszcze raz kliknęła „odśwież”. Nic. Zerknęła na zegar wyświetlony w rogu monitora, żeby zapamiętać czas i powlokła się na aksamitną kanapę Wielkiego Pisarza. Zwinęła się na niej w kłębek i włączyła telewizor. Właśnie leciały południowe wiadomości. Na ekranie pojawiła się twarz Archiego Sheridana; pasek na dole informował, że jest to transmisja specjalna na żywo. Wygląda na zmęczonego, pomyślała Susan. A może lepiej powiedzieć „znużonego”? Był jednak ogolony i porządnie uczesany, a choć minę miał zakłopotaną, to nie można mu było odmówić autorytetu. Pociągał ją ten autorytet.

Wysłuchiwała, jak Archie ponurym głosem informuje o śmierci Kristy Mathers. Następnie na ekranie pojawiła się para prezenterów lokalnego dziennika i zaczęły się podszyte niepokojem żarciki na temat grasującego w mieście potwora w ludzkiej skórze.

Konferencję prasową zwołano na dziesiątą rano, co znaczyło, że dobiegła końca przed mniej więcej dwoma godzinami. Susan była ciekawa, co robi teraz Archie Sheridan.

Nagle zadzwonił telefon, a ona rzuciła się do niego, żeby odebrać przed trzecim sygnałem, zanim włączy się poczta głosowa. Mało brakowało, a wyłożyłaby się jak długa na podłodze. Zerknęła na wyświetlacz i od razu wiedziała, kto dzwoni.

- Super - oświadczył Ian prosto z mostu, bez żadnych wstępów. Na te słowa całe poranne napięcie spadło jej z ramion jak wielki ciężar.

- Naprawdę? - zapytała.

- Świetny tekst. To zestawienie: najpierw idziemy śladem porwanej uczennicy w jej własnym liceum, a potem razem z policją odnajdujemy zwłoki... Dokładnie o to nam chodziło. Tylko o Sheridanie nie napisałaś zbyt dużo. Połknęliśmy twój haczyk, a teraz chcę dostać tego gościa na talerzu. Masz go tak spreparować, żeby było widać, jak mu bije serce.

- To dopiero w przyszłym tygodniu - zaszczebotała Susan radośnie, biorąc kubek wystygłej kawy i wstawiając go do mikrofalówki. -

Hołotka musi mieć niedosyt, prawda?

- Hołotka?

Roześmiała się głośno.

- Czytelnicy.

- Aha - zająknął się Ian. - No tak.

Garderobę na ten dzień skomponowała sobie z czarnej, długiej, prostej spódnicy, czarnych rajstop, wysokich czarnych butów na płaskim obcasie, żarówiastozielonej koszulki i czerwonej aksamitnej marynarki. Do prawej kieszeni schowała swój reporterski notatnik, a do kieszeni na chusteczkę wsunęła dwa niebieskie długopisy

firmy Bic. Włosy szeszała równo w dół, sięgały do samego policzka. Makijaż: tylko tusz do rzęs i błyszczak, ale taki, od którego wargi lekko puchną. Susan lubiła, kiedy usta minimalnie bolą. Nie była przeciwniczką kosmetyków, kiedy już ich używała, efekt musiał być uderzający. A na te wszystkie kredki i pędzelki nigdy nie starczało jej cierpliwości.

Kiedy była już gotowa do wyjścia, otworzyła notatnik na stronie pełnej niewyraźnie nagryzmołonych telefonów, które dostała od Archiego Sheridana. Zamyśliła się na chwilę, zdjęta obawą, co detektyw pomyśli o tym jej pierwszym tekście, kiedy już się ukaże, ale potem odpędziła niepokój. Ten człowiek był jej te-matem, a ona - autorką. Pierwszy artykuł poszedł. Zostały jeszcze trzy. Wystukała numer telefonu.

- Dzień dobry - powiedziała pogodnie do słuchawki. - Czy rozmawiam z panią Debbie Sheridan?

Chwila wahania.

- Tak? - padła niepewna odpowiedź.

- Nazywam się Susan Ward. Jestem z „Heralda”. Czy mąż uprzedził panią, że zadzwonię? - Tak, wspominał mi o tym.

Nie poprawiła mnie, kiedy powiedziałam "mąż", pomyślała Susan.

Nie powiedziała: „Chodzi pani o mojego byłego męża. Rozwiodłam się z nim, a najchętniej w ogóle unieważniłabym cały mój cholerny związek z tym sukinsynem”. Dziennikarka zapisała w notatniku słowo „mąż”, opatrzone znakiem zapytania.

Następnie przywołała na usta szeroki uśmiech, który Debbie Sheridan miała usłyszeć w jej głosie. Był to stary sposób na wywiad przez telefon; Parker nauczył ją tej sztuczki.

- A więc - zaczęła - piszę o nim artykuł. Miałam nadzieję, że zechce pani odpowiedzieć na kilka pytań. To ubarwi jego sylwetkę, a tekst nabierze charakteru.

- Czy mogę prosić... czy może pani zadzwonić później? - zapytała Debbie.

Przepraszam, jest pani w pracy? Zadzwonię o innej porze. Kiedy będzie pani wygodnie? Chwila milczenia.

- Nie jestem w pracy. Muszę się tylko namyślić.

- To znaczy: chce pani porozmawiać z Archiem? Już go o to pytałam i zgodził się, żebyśmy przeprowadziła z panią wywiad.

- Nie. Nie. Po prostu nie lubię wracać do tych wspomnień.

Potrzebuję tylko trochę czasu do namysłu. - Jej ton stał się nieco cieplejszy. - Proszę zadzwonić za jakiś czas, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Susan z żalem w głosie. Rozłączyła się i natychmiast, nie czekając, aż straci pewność

siebie, wybrała następny numer. Lekarz Archiego był jednak nieosiągalny przez telefon, więc zostawiła numer swojej komórki jego sekretarce.

Z ciężkim westchnieniem opadła z powrotem na fotel za biurkiem Wielkiego Pisarza i wystukała w okienku Google'a dwa słowa:

„Gretchen Lowell”. Wyszukiwarka wyświetliła ponad osiemdziesiąt tysięcy adresów. Przez pół godziny przeglądała te najciekawsze, dziwiąc się, ile stron poświęconych wyczynom seryjnych morderców wisi w Sieci.

Podczas lektury internetowego studium opisującego przypadek Wirtuoza, jej wzrok przykuło jedno zdanie: „Gretchen Lo-well zadzwoniła pod numer alarmowy, żeby oddać się w ręce policji i wezwać karetkę”.

Susan wzięła telefon i wybrała komórkę Iana.

- Jestem na zebraniu działu - powiedział od razu po odebraniu.
 - W jaki sposób można zdobyć nagranie z telefonu alarmowego?
 - Jakie nagranie?
 - Jak Gretchen Lowell wzywa karetkę do Sheridana. Słyszałeś to?
 - Nigdy nie zostało ujawnione. Dostaliśmy tylko transkrypcję.
 - Chcę usłyszeć, jak brzmiała ta rozmowa. Możesz mi to załatwić?
- Ian cmoknął językiem.
- Spróbuję.

Susan rozłączyła się i wystukała w okienku Google'a „więzienie stanowe Oregon”. Zapisała adres, a następnie otworzyła nowy dokument w Wordzie. „Szanowna pani Lowell”, brzmiało pierwsze zdanie tekstu, „Piszę aktualnie artykuł o detektywie Archiem Sheridanie i chciałabym zadać pani kilka pytań”. Pracowała nad tym listem przez prawie dwadzieścia minut. Skończywszy, wydrukowała go, włożyła do koperty, nakleiła znaczek i wypisała adres.

Wyszła z domu, zapłaciła kilka rachunków i pojechała na pocztę, żeby nadać dowody wpłaty. Razem z nimi do skrzynki wpadł list do Wirtuoza. Z poczty Susan ruszyła do swojego starego liceum.

Następny artykuł miała otwierać jakaś osobista anegdotka, wspomnienie dawnej uczennicy Cleveland High School. Wizyta w szkole mogła przywołać jej na myśl jakieś ciekawe wydarzenia, drobne, ale działające na wyobraźnię czytelników. Prawda natomiast wyglądała nieco inaczej: Susan unikała swojego liceum. I swojego nauczyciela teatru. Wyrzuciła Paula Restona z pamięci, ale mimo to w jej sercu wciąż jeszcze pozostały jakieś echa tamtego nastoletniego zabujania. Ucieszyła się, słysząc, że ma alibi. Nie chciała mówić Archiemu tego, co wiedziała o Paulu Restonie i nie musiała, dopóki nie był podejrzany.

Niejedno można było o nim powiedzieć, ale z całą pewnością nie skrzywdziłby żadnej nastolatki. Kto kocha, nie krzywdzi.

Aula w Cleveland High School znajdowała się w północnym skrzydle, na parterze. Właśnie przed chwilą rozległ się dzwonek po ostatniej lekcji, więc szeroki korytarz wiodący do wyjścia był szczelnie wypełniony uczniowskim tłumem. Dzieciaki grzebały w szafkach, upychając do plecaków swoje rzeczy; tu i ówdzie zbijały się w ciasne grupki; parki obściskowały się pod ścianami; błyskały unoszone do ust puszki, słychać było gwar głośnych rozmów. Wszyscy z dużą szybkością ciągnęli w kierunku rozświetlonego

prostokąta drzwi wyjściowych. Poruszali się zwinnie, z luźną swobodą nastolatków znajdujących się w swoim naturalnym środowisku; Susan nie mogła sobie przypomnieć, czy sama kiedykolwiek czuła się w nim swobodnie. Uderzyła ją za to w oczy różnica pomiędzy pierwszą klasą a starszymi rocznikami. Pierwszaki wyglądały strasznie młodo, co ją rozbawiło, ponieważ kiedy ona miała lat czternaście, uważała się już za całkiem dorosłą.

Kilkoro uczniów spojrzało na Susan z ukosa, ale znakomita większość nawet nie zwróciła na nią uwagi. W ich świecie różowe włosy to byk normalka. Susan zanotowała kilka spostrzeżeń na potrzeby artykułu: szczegóły, wrażenia. Atmosfera szkoły.

Dotarła do drzwi auli teatralnej, dwuskrzydłowych, z ciemnobrązowego drewna. Zatrzymała się z dłonią na klamce, uderzona falą wspomnień ze swojej nastoletniej młodości. Liceum. Powinno się zdelegalizować tę instytucję. Oczekała chwilę, po czym przeczesła włosy palcami, przywołała na twarz swoją najlepszą dorosłą ruinę i przestąpiła próg.

W środku pachniało tak samo jak kiedyś. Mieszanka farby, trocin i płynu do dywanów o zapachu pomarańczowym.

Widownia liczyła dwieście pięćdziesiąt czerwonych plastikowych siedzeń amfiteatralnie otaczających małą scenę z czarnych desek.

W tej chwili scena była oświetlona. Niedokończone jeszcze dekoracje ze sklejki i płótna miały udawać salon z przełomu wieków. Stała tam także sofa w stylu epoki królowej Anny. Susan rozpoznała ją; ten sam rekwizyt grał za jej czasów w „Arszeniku i starych koronkach” i w „Cheaper by the Dozen”. A kinkiety - w „Morderstwie na plebanii”. No i te schody. Zawsze te same, tylko czasem po lewej stronie sceny, a czasem po prawej.

Susan nienawidziła liceum, ale to miejsce darzyła wielką miłością. Robiło jej się słabo na samą myśl o tym, ile czasu tutaj spędziła, ile godzin po lekcjach trwały próby do kolejnych spektakli. Teatr był dla niej całym światem, zwłaszcza po śmierci ojca. Świat ten kręcił się wokół osoby Paula Restona, który prawie zawsze dawał jej główną rolę. A ona, tak jak wszyscy bez wyjątku uczniowie na zajęciach teatralnych, oddawała mu boską cześć. Dla nich to był ideał dorosłego: mądry, przystojny, z poczuciem humoru. Słuchał, co mieli do powiedzenia. Przy nim czuli się jak ludzie, nie jak dzieci. Kiedy Susan chodziła do liceum, Paul Reston co roku zajmował pierwsze miejsce w uczniowskim głosowaniu na najlepszego nauczyciela. Po skończeniu szkoły obiecała mu, że kiedyś go odwiedzi. Nie dotrzymała słowa.

A teraz przyszło jej do głowy, że to się da wykorzystać: to rozdzielenie odczuć, tęsknotę za liceum z jednej strony, a z drugiej przemożną chęć jak najszybszego zapomnienia o tym życiowym epizodzie. To jest właśnie cała tragedia, pomyślała Susan, przywołując w pamięci fotografię Lee Robinson: aparat korekcyjny i cień do powiek. Lee zawsze już będzie tylko taka, jak na tym szkolnym zdjęciu, nigdy nie ucieknie z tego kretyńskiego młyna,

nie przekona się, co na nią czeka dalej.

Ruszyła w kierunku sceny, w dół pomiędzy rzędami krzesel. I nagle stanęła jak słup soli: na scenę swobodnym krokiem wyszedł Paul Reston. Od ich ostatniego spotkania upłynęło dziesięć lat. Teraz jej dawny nauczyciel był dobrze po czterdziestce. Jego jasnobrązowe włosy przerzedziły się, a czoło lekko cofnęło. Brzuch zrobił się pulchniejszy. Ogólnie wyglądał na wyższego niż kiedyś. Grzbiet miał bardziej kościsty, bruzdy na twarzy głębsze i bardziej wyraziste. Zamiast prostokątnych okularów z czerwonego plastiku, w jakich pamiętała go Susan, nosił teraz owalne, druciane oprawki. Bezpieczne. Zwyczajne. Zauważyła z zaskoczeniem, że to nie jest ten młody, energiczny nauczyciel, którego nosiła w pamięci. Czy w ogóle kiedyś taki był? Stał na scenie z kartkami w dłoni i w asyście jakiegoś ucznia o fajtłapowatym wyglądzie sprawdzał ustawienie oświetlenia sceny. Susan ruszy z miejsca i podeszła bliżej, wychodząc z ciemności prosto w krąg światła. Reston podniósł wzrok.

Susan widziała wyraźnie, jak do jego świadomości dociera fakt jej obecności: najpierw puste, choć uprzejme spojrzenie, a ułamek sekundy później - rozpoznanie i, jak się jej wydawało, ciepło w jego oczach. Reston w kilku szybkich krokach podszedł na skraj sceny.

- Susan Ward. - Uśmiechnął się szeroko. Odpowiedziała uśmiechem.

- Witaj, Paul.

Zeskoczył lekko na podłogę. Położył dłonie na ramionach Susan, a po chwili uściśnął ją serdecznie. Susan odwzajemniła uścisk.

- Miło cię widzieć - powiedziała.

Reston wypuścił ją z objęć i przysiadł na brzegu sceny.

- Jak się miewasz? W naszej gazecie pojawia się twoje nazwisko.

Susan wzdrygnęła się wewnątrz. Miała ogromną przyjemność z publikacji swoich tekstów, ale niechętnie myślała o tym, że ludzie faktycznie je czytają, a zwłaszcza o tym, że mogą to być ludzie, którzy kiedyś ją znali. Było jej głupio, ale czuła się wtedy trochę tak, jakby ktoś się jej narzucał.

- Chyba wszystko w porządku - odpowiedziała. - Nie masz dzisiaj próby?

- Mam, za dwadzieścia minut. Dzieciaki się rozgrzewają. - W tym momencie przypomniał sobie o chłopaku, który wciąż stał na scenie z dyndającymi bezwładnie rękoma i patrzył na niego wyczekująco. - Casey - powiedział do niego - idź do grupy. Skończymy to później, dobrze?

Casey skinął głową. Szyję i podbródek miał usiane nieprzyjemnie wyglądającymi krostkami trądziku.

- Dobrze, panie Reston - zgodził się i zszedł ze sceny, za kulisy.

Susan wiedziała, że są tam drzwi do klasy, w której odbywają się zajęcia teatralne.

- Panie Reston? - powtórzyła, kiedy chłopaka już nie było.

- Tak - roześmiał się jej dawny nauczyciel. - Kilka lat temu zmieniła

nam się dyrektora i otrzymałem oficjalne zawiadomienie, że postępuję niewłaściwie, pozwalając uczniom zwracać się do siebie po imieniu. - Wzruszył ramionami, a Susan pomyślała, że wygląda w tej chwili jakoś wyjątkowo staro. - Czasy się zmieniają, prawda?

- Prawda - przytaknęła.

- Co słyszała u twojej mamy? - zapytał. - Pamiętam, że kiedy pojawiała się na premierze, zawsze potrafiła zrobić wrażenie.

- Masz na myśli, że przychodziła wystrojona w długie suknie i boa z ptasich piór? Faktycznie, zawsze wiedziała, jak dobrać sobie kreację. I na razie nie znormalniała ani trochę.

- A zatem - powiedział Reston po chwili milczenia - wnosząc po twojej wizycie, mam rozumieć, że piszesz artykuł o Dusicielu po Lekcjach?

- Wszyscy o tym piszą - odparła. - Znałeś Lee Robinsona?

- Tylko z widzenia. - Reston obrzucił Susan wzrokiem od stóp do głów, a ona poczuła znajome ukłucie nastoletniego zażenowania. Wciąż był z niego taki sam czarujący jak kiedyś. - Świetnie wyglądasz.

- Skinął głową z uznaniem. - Jestem z Ciebie dumny.

Susan obiała się rumieńcem i od razu poczuła się przez to jak idiotka.

- Dzięki - odpowiedziała, postanawiając za wszelką cenę wrócić do tematu. - Jaka ona była? - zapytała. - Chodzi mi o to, z kim trzymała. Z jaką paczką. Wiesz czy nie wiesz?

- To była cicha dziewczyna. Nikt z moich uczniów się z nią nie kolegował. Była chyba za bardzo zamknięta w sobie, żeby ciągnęła ją nasza scena. Nic więcej nie wiem. Naprawdę chciałbym jakoś pomóc. Uwierz mi. - Spojrzał ponad ramieniem Susan, na ścienny zegar wiszący nad kabiną oświetleniowca. Wzruszył ramionami, robiąc smętną minę. - No nic. Muszę wracać do dzieciaków. Powodzenia we wszystkim. - Pochylił się i jeszcze raz szybko ją uściskał. Spotkanie po latach dobiegło końca.

- Wiesz co? - Susan wyciągnęła z torebki wyświechtaną firmową wizytówkę z „Heralda”. - Zadzwoń do mnie, gdybyś o czymś usłyszał, dobrze? Na odwrocie masz zapisaną moją komórkę.

Reston skinął głową.

- Tak jest. - Wziął od niej wizytówkę. - Drżysz - zauważył. Susan spojrzała na swoją rękę. Faktycznie się trzęsała. Ekstra, warknęła w myślach, chowając ją do kieszeni.

- To pewnie z zimna - zbyła go nieszczerze.

Po jego twarzy przesunął się cień niepokoju. Zawahał się przez chwilę, a potem zapytał:

- Mogę liczyć na twoją dyskrecję, prawda? Wyszło szydło z worka, pomyślała Susan.

Spojrzała Restonowi w oczy, szukając w nich jakiegokolwiek fałszu, podstępstwa. Niech się spróbuje chociaż zająknąć, powiedziała sobie, to idę prosto do Archiego i mówię mu wszystko, co wiem.

- To już stare dzieje - odpowiedziała. - Tak? Jego wzrok nawet nie

drgnął.

- Stare dzieje - zgodził się.

- No, chyba ktoś sobie jaja robi - oznajmiła Susan, biorąc się pod boki. Jej stary saab miał blokadę na kole. Metalowy but siedział mocno na lewej przedniej oponie. Zacisnęła z całych sił powieki i wydała z siebie gardłowe warkniecie. Zgoda, zaparkowała na kopcach dla nauczyciela. Ale lekcje już się skończyły. I nie było jej ledwie piętnaście minut. Przez parę chwil dreptała w miejscu, próbując wziąć się w garść.

- Blokada, co?

Podrwała głowę, wystraszona. Kilka miejsc dalej stało kanciaste pomarańczowe bmw, a obok niego - młody chłopak, oparty o maskę. Wyglądał przyjemnie, miał potargane, średnio długie włosy, skórę czystą, bez trądziku, wysoki. Jego samochód natomiast był wprost bajecznie piękny: stary model 2002, z lat siedemdziesiątych: lśniąca karoseria polakierowana na soczysty kolor mandarynki, bez najmniejszej skazy, chromowane detale elegancko lśniące. Szpanerska tablica rejestracyjna wykonana na zamówienie, a na niej napis: JAY2.

- Ładne cacko, nie? - powiedział chłopak. - Od ojca. Na pocieszenie, że zostawił mamę dla właścicielki agencji nieruchomości.

- I co, pomogło?

- Jemu na pewno. - Skinął głową w kierunku samochodu Susan. - Musisz iść z tym do sekretariatu. Zapłacisz karę, a oni zadzwonią po woźnego, żeby ci to zdjął. Tylko lepiej się pospieszyć. Dzisiaj jest mecz w kosza i sekretariat zamykają wcześniej. - Odepchnął się od swojego wozu, podszedł do Susan. Wbił wzrok w ziemię. Uniósł głowę z powrotem. Zmrużył oczy. - A nie chcesz kupić trochę zioła? Susan cofnęła się odrobinę i rozejrzała dookoła, sprawdzając, czy nikt tego nie słyszał. Wszędzie było pełno gliniarzy. Na obu rogach szkoły parkowały radiowozy, a do tego przed samym wejściem, nie dalej jak dziesięć metrów od nich, stał samochód, w którym siedział jakiś facet. Policjant? A może tatuś czekający na swoje dziecko? Tak właśnie niewinni dziennikarze lądują w areszcie.

- Jestem dorosła - poinformowała chłopaka głośnym szeptem. Jego wzrok przesunął się po jej różowych włosach, potem po koszulce z nadrukiem The Pixies i kowbojkach, zatrzymując się wreszcie na zdezelowanym samochodzie, przed którym stała.

- Na pewno? Kolumbijska!

- Mhm - mruknęła Susan i od razu dodała bardziej konkretnie: - Na pewno. - Spojrzała jeszcze raz na koło unieruchomione metalową obręczą. Dlaczego zawsze musi ją spotkać coś takiego? - Sekretariat? - upewniła się jeszcze.

Chłopak skinął głową.

- Dzięki. - Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do szkoły, mijając faceta w samochodzie, który nagle wyciągnął skądś „Heralda” i zaczytał się w nim po uszy. To musi być gliniarz,

uznała. Weszła po szerokich schodach, pchnęła skrzydło drzwi i skręciwszy w korytarz, odszukała sekretariat. Był zamknięty.

- Żarty?! - krzyknęła. - Żarty? - I trzepnęła w drzwi otwartą dłonią. Rozległo się głucho, głośnie plaśnięcie. Susan wrzasnęła, przyciskając piekącą dłoń do piersi.

- W czym mogę pomóc?

Obejrzała się błyskawicznie. Za nią stał woźny, a obok niego - olbrzymi, zielony pojemnik na śmieci, z kółkami do przetaczania.

- Może pan zdjąć mi z koła tę zasraną blokadę - warknęła. Woźny miał na oko trzydzieści kilka lat, ciemne włosy, kozią bródkę i profil przedwojennego amanta filmowego. Kiedy Susan chodziła do Cleveland High, nie było tam ani jednego woźnego w tym typie. Ten facet był tak przystojny, że prawie zapomniała, co ją tak rozzłościło. Prawie.

Spojrzał na nią, a jego szare oczy nagle otworzyły się szeroko.

- Ten saab na miejscu dla nauczycieli to pani wóz?

- Mój.

- Przepraszam. - Wzruszył ramionami, robiąc skruszoną minę. - Byłem pewien, że to samochód któregoś z uczniów.

- Bo wygląda jak psu z gardła. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- A oprócz tego na zderzaku ma naklejkę Blink 182. Susan wbiła wzrok w podłogę.

- Kupiłam go razem z tą naklejką.

- Tak czy inaczej w naszej szkole stosujemy zasadę zero tolerancji dla parkowania na miejscach dla nauczycieli. Gdyby nie to, wszyscy uczniowie stawialiby tam swoje bryki. - Wciąż nie przestawał uśmiechać się do niej szeroko. - Ale panią chyba mogę puścić. - Wyciągnął z kieszeni ogromny pęk kluczy; tak wielkiego Susan nie widziała jeszcze nigdy w życiu. - Proszę. - Ruszył korytarzem w kierunku głównego wejścia, zostawiając pojemnik na śmieci oparty o ścianę.

- Rozumiem, że jest pan tu woźnym? - zapytała, doganiając go. I natychmiast skarciła się w myślach: „A kim ma być w tym kombinezonie i z pojemnikiem na śmieci?”.

- Czasowo. Dopóki nie zrobię doktoratu z literatury francuskiej.

- Naprawdę? - zaszczebiotała radośnie. Otworzył drzwi na zewnątrz i puścił ją przodem. - Nie.

Na dworze silny podmuch zimnego wiatru uderzył im w twarz.

Susan z trudem wcisnęła dłonie do kieszeni swojej aksamitnej marynarki.

- Znał pan Lee Robinson? Odniosła wrażenie, że woźny się zjeżył.

- To po to pani tutaj przyjechała?

- Piszę o tym artykuł do „Heralda”. Znał ją pan?

- Raz sprzątałem po niej podłogę, kiedy zwymiotowała w gabinecie lekarskim.

- Poważnie?

- Poważnie. A innym razem dostałem od niej okolicznościową kartkę z okazji Krajowego Dnia Uznania dla Dozorców.

- Naprawdę?

Dotarli na parking, na którym nie było już pomarańczowej beemki i jej właściciela. Facet sprzed szkoły też zniknął. Urodziwy woźny przyklęknął obok samochodu Susan.

- Nie naprawdę.

- Zabawny z pana facet.

- Dzięki. - Pochylił się nad kołem, otworzył blokadę i bez żadnego wysiłku ściągnął metalowy but z opony. Potem wyprostował się, trzymając cały ten ciężar pod pachą. Wyglądał tak, jakby czekał, aż Susan coś powie.

- Ile jestem panu winna? - zapytała.

- Coś pani powiem - odpowiedział. - Puszczę panią bez żadnej kary za jedną obietnicę: że nie będzie pani żerować na zamordowanej dziewczynie tylko dlatego, że musi pani napisać artykuł.

Susan poczuła się tak, jakby strzelił ją prosto w twarz. Odebrało jej mowę, a woźny stał tylko i patrzył. Przystojny w tym swoim kombinezonie.

- Ja przecież na nikim nie żeruję - wyjąkała, próbując się bronić. Chciała wyjaśnić, że to, co robi, jest ważne. Że społeczeństwo ma prawo do informacji. Że dzielić z drugim człowiekiem ludzkie uczucia to piękna rzecz, a świadek to kluczowa postać. Ale nagle wszystkie te argumenty wydały jej się nic niewarte.

Woźny wyjął z kieszeni mandat i wręczył jej bez słowa. Potem zrobił w tył zwrot i poszedł. Susan obróciła druczek w palcach. Pięćdziesiąt dolarów! Pewnie pójdą na jakąś zasraną drużynę futbolową albo inne przedsięwzięcie tego typu.

Chciała powiedzieć coś mądrego, żeby nie czuć się jak ostatnia kretyńska, ale zamiast popisać się elokwencją, zawołała tylko:

- Ja też tutaj chodziłam. I żeby pan wiedział, że ani razu nie wymiotowałam na terenie szkoły.

Woźny odwrócił się i spojrzał na nią miażdżącym wzrokiem. Jeszcze nigdy w życiu nikt tak na nią nie patrzył.

- Oczywiście, że nie - powiedział zimno. - Pani to robi na łamach swojej gazety.

Susan siedziała na skraju swojego łóżka. Na jej otwartej dłoni leżał bezprzewodowy telefon. Oczywiście, mogła zadzwonić do Archiego i powiedzieć mu, że Paul Reston romansował z własną uczennicą. Ale co by to dało? Miał przecież alibi, a poza tym tamtej sprawy nic nie łączyło z obecnym śledztwem. To było bardzo dawno temu, a ta uczennica sama tego chciała. Uwielbiała go. Susan była absolutnie pewna, że Paul nie miał nic wspólnego z morderstwami. Nie mógł mieć. Odłożyła telefon na stolik obok łóżka i wyciągnęła się na plecach. Znow zaczęły drżeć jej ręce. Wsunęła dłonie pod pachy i tak leżała, błędząc wzrokiem po sklepionym suficie, gdzie widać było odkryte przewody i drewnianą belkę, biegnącą przez całą długość mieszkania. Jeśli chodzi o Paula Restona, to zawsze miała do niego słabość. Czasami martwiła się, że ta słabość odbiera jej

zdolność właściwej oceny.

- Co je łączy? - zapytał Archie Henry'ego.

Detektywi szli wzdłuż plaży na wyspie Sauvie, tam, gdzie znaleziono zwłoki Kristy Mathers. Archie zawsze tak robił. Brakuje wskazówek? Nie można określić konkretnego kierunku śledztwa? Wróć na miejsce zbrodni. Czas, który Archie poświęcił na chodzenie po śladach Gretchen Lowell, można by prawdopodobnie mierzyć w latach. Ta metoda gwarantowała właściwy sposób myślenia - no i zawsze istniała szansa, że trafi się na jakiś trop. A trzeba było koniecznie na niego trafić.

Fale rzeki obijały się z pluskiem o plażę, rysując na twardej glinie esy-floresy z brudnej piany. W oddali sunął frachtowiec z nazwą wypisaną na burdę jakimś azjatyckim pismem. Powyżej widniało tłumaczenie: Prawość i Sukces. Na plaży nie było żywej duszy. Zapadał zmierzch, a cienie były już długie; trzeba jednak powiedzieć, że na północnym zachodzie niebo zimą potrafi zatrzymać światło, tak, że przez całą noc wydaje się, jakby słońce niedawno zaszło. Jednak już wkrótce na plaży robi się ciemno, zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Archie niósł latarkę, żeby mogli łatwo wrócić do samochodu.

- Wszystkie były podobne do siebie - odpowiedział Henry na jego pytanie.

- Myślisz, że może mu chodzić tylko o to? Obserwuje szkołę i wybiera sobie dziewczynę, która odpowiada mu wyglądem? Archie przez całe przedpołudnie przesłuchiwał pracowników Cleveland High School. Mężczyzn, którzy odpowiadali charakterystyce określonej w profilu mordercy, było w sumie dziesięciu. Przesłuchania nie przyniosły żadnego rezultatu.

- Wszystkie chodziły do drugiej klasy - myślał dalej Henry.

- A co łączy wszystkie drugoklasistki? - zapytał Archie. Sześciu pracowników liceum podało mu alibi. Pozostali go nie mieli. Archie sprawdził te alibi: wszystkie były wiarygodne. W grę wchodziło więc czterech podejrzanych z personelu szkoły: woźny, kierowca szkolnego autobusu, fizyk oraz matematyk, który prowadził jednocześnie drużynę siatkówki. A oprócz tej czwórki - jakieś dziesięć tysięcy zбочeńców grasujących swobodnie w całym mieście.

- Że rok wcześniej były w pierwszej klasie? - strzelił Henry. Archie zatrzymał się. Czy rozwiązanie mogło być aż tak proste?

- Masz rację - strzelił palcami. Henry podrapał się w łysą głowę.

- Żartowałem.

- Chcę usłyszeć, że sprawdziliśmy, czy przypadkiem nie chodziły w pierwszej klasie do jednej szkoły.

- Każda uczyła się od początku w tej samej szkole.

- Czy jest jakiś wspólny egzamin dla wszystkich pierwszoklasistów?

- Chcesz mi powiedzieć, że mordercą jest psychicznie chory

egzaminator?

Archie wyciągnął z kieszeni tabletkę na zgage i wsunął ją do ust; jakby położył na języku kawałek kredy o smaku owoców cytrusowych.

- Nie wiem - odparł, zmuszając się do rozgryzienia i połknięcia tabletki. Włączył latarkę i omiół piasek promieniem światła, płosząc kilka małych krabów. - Wiem tylko, że chcę złapać tego skurwysyna. - Na oględzinach miejsca zbrodni Archie używał latarki nawet za dnia. Zawęzła jego pole koncentracji, pomagała obserwować przestrzeń powoli i dokładnie, centymetr po centymetrze. - Wzmocnij ochronę w szkołach - polecił. - Nic mnie to nie obchodzi, że będziemy musieli odwozić każdego dzieciaka do domu. Henry zadarł głowę, spoglądając w ciemne niebo.

- Wracamy? - zapytał z nadzieją w głosie.

Archie zatoczył koło latarką, patrząc, jak kraby uciekają przed światłem.

- Jeszcze nie przeszukaliśmy miejsca zbrodni - odpowiedział.

- To zrobili technicy kryminalni.

- Więc sprawdzimy, czy czegoś nie przeoczyli.

- Ciemno już.

Archie podstawił sobie latarkę pod brodę, upodabiając się do upiора ze starego horroru. - I dlatego zabraliśmy latarkę.

21

Susan wstała rano, narzuciła na siebie swoje stare kimono i zjechała windą na parter, do holu, gdzie na granitowej podłodze leżał stos porannej prasy dla lokatorów. Znalazła w nim „Heralda” ze swoim nazwiskiem, ale z wyciągnięciem go z plastikowego opakowania wstrzymała się aż do powrotu na górę, do mieszkania. Za każdym razem, gdy szukała w gazecie swojego artykułu, czuła treść, dziwną mieszaninę niecierpliwości i lęku, dumy i zażenowania. Najczęściej w ogóle nie chciało jej się czytać własnych tekstów, kiedy już ukazały się drukiem, ale ta dawka zażartego potępienia, którą uraczył ją urodziwy woźny z Cleveland High, podsycała w niej nigdy niegasnący płomień wątplenia w siebie. Bo prawdę mówiąc, czasami rzeczywiście czuła się jak oszustka. I bywało, że pozwalała sobie na coś, co w jej własnej opinii było żerowaniem na ludziach. Kiedyś wkurzyła niemiłosiernie pewnego radnego, kiedy w jego sylwetce napisała o nim „łysiejący liliput”, zresztą zgodnie z prawdą. Ale tym razem sytuacja była zupełnie inna, a stawka o wiele wyższa.

Ten artykuł o zespole śledczym ścigającym seryjnego mordercę był dla niej wyjątkowy, bo jeszcze nigdy nie miała tekstu na pierwszej stronie. Usiadła na łóżku i, posapując ciężko ze zdenerwowania, otworzyła numer. Przygotowała się na to, że materiał cofnęli w ostatniej chwili, ale nie: był tam, gdzie miał być. Na pierwszej

stronie. Na jedyńce. Poniżej widniał odsyłacz do dalszego ciągu w części z wiadomościami lokalnymi. Zdjęcie lotnicze ilustrujące tekst przedstawiało miejsce zbrodni, fragment plaży na wyspie Sauvie. Susan zaśmiała się zaskoczona, dostrzegając na nim siebie w postaci drobnutkiej sylwetki, a tuż obok - Archiego Sheridana w otoczeniu innych detektywów. Niech się wypcha ten woźny, pomyślała. Była zachwycona.

Żałowała tylko, że nie ma nikogo, z kim mogłaby się podzielić radością ze swojego małego dziennikarskiego triumfu. Bliss już od dawna nie czytała „Heralda”. Zrezygnowała z prenumeraty po kontrowersyjnej sprawie ze starym lasem, który właściciele gazety polecili wyciąć. Niemniej dziś na pewno by go kupiła, gdyby wiedziała, że Susan pisze serię artykułów o śledztwie. Ale Susan nie miała zamiaru informować jej o tym. Wodząc palcami po sylwetce Archiego Sheridana na zdjęciu, zastanawiała się, czy detektyw czytał już jej tekst i co sobie pomyślał o nim i o jego autorce, ale znów naszło ją zażenowanie, więc otrząsnęła się z takich rozważań.

Wstała, żeby zaparzyć sobie kawy, a potem wróciła na łóżko i znalazła lokalną część gazety, gdzie znajdował się dalszy ciąg jej artykułu. Kiedy ją otworzyła, spomiędzy kartek wypadła koperta. Z początku Susan myślała, że to bloczek bonów albo jakaś inna głupia promocja, na którą gazeta zgadza się, bo dostaje ku-pę forsy za reklamę. I wtedy zauważyła, że na kopercie widnieje jej nazwisko. Napisane na maszynie. I to nie na jakiejś naklejce. Na samej kopercie. „Susan Ward”. Kto opisuje kopertę na maszynie? Podniosła ją z podłogi.

Była to zwykła, biała koperta formatu biurowego. Susan obróciła ją kilka razy w palcach, a potem otworzyła. Wewnątrz znajdowała się równo złożona kartka papieru, a na niej, na samym środku, wypisano w jednej Unii na maszynie: „Justin Johnson: 021038299”. Kto to jest Justin Johnson, do nagłej cholery?

Poważnie! Susan nie miała bladego pojęcia, kto to może być. A skoro tak, to po co ktoś przysłał jej w wielkiej tajemnicy kartkę z jego nazwiskiem i jakimś numerem?

Uświadomiła sobie, że jej puls nagle zaczął galopować. Zapisała cyfry na marginesie gazety, mając nadzieję, że to jej pomoże zrozumieć, czego mogą dotyczyć. Było ich w sumie dziewięć. Nie mógł to być numer telefonu. Ani ubezpieczenia. Po kilku chwilach gapienia się na ciąg znaków, które absolutnie nic jej nie mówiły, podniosła słuchawkę i wybrała bezpośredni numer służbowy Jeffersona Parkera w redakcji „Heralda”.

- Parker - usłyszała jego warkliwy głos.

- Susan z tej strony. Podam ci pewien numer, a ty mi powiedz, co to może być. - Odczytała go do telefonu.

- Numer akt sprawy sądowej - odpowiedział bez namysłu. - Pierwsze dwie cyfry oznaczają rok. Czyli w tym wypadku dwa tysiące drugi. Susan powiedziała mu o tajemniczej kopercie.

- Widzę, że ktoś tu się dorobił anonimowego informatora - za-rechotał Parker. - Poczekaj, zadzwonię do swojego człowieka w są-dzie i sprawdzę, czego można się dowiedzieć o tych twoich aktach. Laptop Susan leżał na stoliku. Otworzyła go i wstukała do Google'a nazwisko Justin Johnson. W odpowiedzi wyskoczyło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy linków. Dodała do nazwiska na-zwę miasta: „Justin Johnson Portland”. Tym razem odnośników było tylko tysiąc sto. Zaczęła je przeglądać. Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Akta z sądu dla nieletnich - powiedział Parker. - Zastrzeżone. Przykro mi.

- Z sądu dla nieletnich - powtórzyła. - O jakie przestępstwo chodziło?

- Zastrzeżone. To znaczy tyle, co niejawne.

- Jasne. - Rozłączyła się i przez kilka chwil siedziała, patrząc na numer. Wypiła trochę kawy. Popatrzyła na numer. Akta z sądu dla nieletnich. Dlaczego ktoś chciałby ją informować o sprawie, którą miał jakiś nieletni Justin Johnson? Czy to mogło mieć związek z Dusiciem po Lekcjach? Czy powinna teraz zadzwonić do Archiego? I co mu powie? Że znalazła w gazecie jakąś dziwną kopertę? Ta koperta - to może być cokolwiek. Na przykład głupi kawał. Susan nie знаła nawet nikogo o imieniu Justin. I w tym momencie przypomniała sobie ucznia, który chciał jej sprzedać trawkę na parkingu pod Cleveland High i tablicę rejestracyjną na jego samochodzie: JAY2. Jot do kwadratu? Warto by to sprawdzić. Wystukała numer sekretariatu liceum.

- Dzień dobry - powiedziała do słuchawki - mówi matka Justina Johnsona. Ponieważ mieliśmy ostatnio w domu kryzys wagarowy, chciałam zapytać, czy mój syn dotarł dziś do szkoły.

Uczennica pracująca społecznie w sekretariacie poprosiła ją, żeby poczekała i po chwili wróciła do telefonu.

- Pani Johnson? Proszę się nie martwić. Justin jest w szkole. No proszę. Justin Johnson chodzi do Cleveland High. I był karany.

Susan zadzwoniła na komórkę Archiego. Odpowiedział od razu po pierwszym dzwonku.

- To zabrzmiało dziwnie - uprzedziła na wstępie i opowiedziała o kopercie i o tym, co się wydarzyło na parkingu.

- Chłopak ma alibi - poinformował ją Archie.

- Znasz go, że tak rzucasz to z głowy?

- Sprawdzaliśmy go. Siedział za karę po lekcjach. Każdego dnia, kiedy porywano uczennice. Wiemy, co robił.

- Chcesz numer jego sprawy?

- Wiem, że był karany.

- Susan, ja jestem z policji.

Nie mogła się oprzeć, żeby nie zapytać:

- Czytałeś mój artykuł?

- Bardzo mi się podobał.

Zakończyła rozmowę, skręcając się z przyjemności. Podobał mu się jej artykuł. Odłożyła kopertę na stosik listów leżących na stoliku. Na zegarku dochodziła dopiero dziesiąta rano. Justin Johnson skończy lekcje za mniej więcej pięć i pół godziny. A Susan już będzie na niego czekać. Tymczasem głównym obiektem jej zainteresowania był Archie Sheridan. Dolała sobie kawy i zadzwoniła ponownie na numer stacjonarny Debbie Sheridan. Był piątek, ale Archie powiedział, że w piątki jego była żona pracuje w domu. I faktycznie, odebrała telefon.

- Dzień dobry - przywitała się Susan. - Tu jeszcze raz Susan Ward. Miałam zadzwonić później.

- No tak. Dzień dobry - odpowiedziała Debbie.

- Czy teraz jest lepszy moment na rozmowę? Bo ja nadal chciałabym się z panią spotkać.

Po krótkiej chwili milczenia Debbie westchnęła.

- Czy może pani przyjechać teraz? Dzieci akurat są w szkole. Susan najchętniej zawyłaby z radości, ale przecież była profesjonalistką.

- Świetny pomysł. Gdzie pani mieszka?

Zapisała wskazówki, jak ma jechać i ubrała się szybko: obcisłe dżinsy, koszulka w czerwono-niebieskie paski, a na nogi czerwone pantofle. Chwyciła w biegu swój krótki czarny płaszcz i wsiadła do windy. Winda była wspaniałym urządzeniem: wszędzie szkło i stal. Susan wybrała poziom podziemnego garażu, ale przyglądając się, jak liczby na wyświetlaczu maleją, w ostatniej chwili wcisnęła klawisz z napisem „hol”. Wpadł jej do głowy pewien pomysł. Drzwi windy rozsunęły się cicho. Wyszła, kierując się prosto do administracji budynku, eleganckiego biura, w którym mieściła się także agencja sprzedaży mieszkań. Świetnie. Monica była dziś w pracy.

Susan przybrała swoją popisową minę siostry-studentki z korporacji uczelnianej (wychodziło jej to całkiem nieźle, nawet z tymi różowymi włosami) i podeszła do bambusowej lady recepcyjnej, za którą siedziała Monica, ze zmarszczoną brwią przeglądając jakiś magazyn mody.

- Czeeeeść - przywitała się Susan, rozciągając to krótkie słowo do długości mniej więcej czterech sylab.

Monica uniosła głowę. Był to typ zaprzysięgłej platynowej blondynki. Takiej, która nie zapuszcza korzeni. Nigdy i nigdzie. Która uśmiecha się automatycznie, przez co każdy uśmiech z definicji nic nie znaczy. Susan trudno było się zorientować, na czym - oprócz przeglądania magazynów - polega praca Moniki. Wydawało się, że funkcjonuje ona w charakterze dopingu dla ekipy z agencji sprzedaży mieszkań, na tej samej zasadzie, co w pokazowym domu rozpyła się aromat świeżo upieczonych ciasteczek. Na oko miała dwadzieścia kilka lat, ale kładła na twarz taką tapetę, że trudno było dokładnie określić jej wiek. Susan dobrze wiedziała, że Monica nie potrafi jej rozgryźć. Różowe włosy musiały być dla niej nie lada zagadką; w jej ocenie było to prawdo-

podobnie coś zbliżonego do samookaleczenia. Ale może właśnie dlatego tym bardziej starała się zawsze być miła dla Susan.

- Słuchaj, wiesz co? - zaczęła dziennikarka. - Mam cichego wielbiciela!

Monica ożywiła się w jednej chwili.

- Niemożliwe! - zawołała.

- No, absolutnie! Dziś rano znalazłam w swojej gazecie liścik miłosny od niego!

- O Boże!

- No, wiem! I tak chciałam cię spytać, czy byś mogła mi pokazać nagranie z kamery w holu, żebym zobaczyła, kto to jest.

Monica klasnęła z przejęciem w dłoń, odepchnęła się od blatu i przejechała na swoim fotelu na kółkach, obitym sztuczną skórą zebry, do białego, lśniącego czystością monitora. Dzięki takim zadaniom jej praca nabierała sensu. Chwyliła w dłoń identycznie lśniącego jak monitor pilota i zaczęła cofać nagranie z kamery.

Przez kilka minut przyglądały się wspólnie ludziom wchodzącym tyłem do wind, aż wreszcie hol opustoszał. Stosik gazet leżał na swoim miejscu pod skrzynkami na listy. W pewnej chwili głównymi drzwiami wszedł tyłem jakiś mężczyzna i pochylił się nad gazetami.

- Jest - szepnęła Susan.

Cofnęły taśmę jeszcze o minutę. Z windy wyszła kobieta z kubkiem turystycznym w dłoni. Przecięła hol i zniknęła w drzwiach, w których sekundę później pojawił się mężczyzna w ciemnym garniturze. Stał nad gazetami, poszperał w nich, a potem wsunął coś do jednego egzemplarza. Było to widać bardzo wyraźnie. Najwidoczniej czał się pod drzwiami, czekając, aż tamta kobieta wyjdzie.

- Przystojny! - zapiszczała Monica.

- Skąd wiesz? - Susan była raczej zawiedziona. - Przecież nie widać twarzy.

- Ale ma świetny garnitur. Założę się, że to prawnik. Bogaty.

- Możesz mi wydrukować tę jedną klatkę?

- Absolutnie - zachłysnęła się Monica, wciskając klawisz.

Przetoczyła się z fotelem do lśniąco białej drukarki i kiedy wydruk był gotowy, wręczyła go Susan. Dziennikarka przyjrzała się dokładnie. Mężczyzny na zdjęciu nie można było rozpoznać, postanowiła jednak pokazać ten portret Justinowi Johnsonowi i sprawdzić, czy zmobilizuje go to do rozmowy. Złożyła kartkę i schowała ją do torebki.

- Dzięki - rzuciła, odwracając się do wyjścia.

- Wiesz co? - Monica zrobiła minę świadcząca o kompletnej bezradności. - Powinnaś ufarbować sobie włosy na blond. Byłoby ci o wiele ładniej.

Susan patrzyła przez chwilę w jej oczy, które były kompletnie puste.

- Zastanawiałam się nad tym - odparła wreszcie - ale słyszałam w telewizji, że podobno w jednym laboratorium blond farba do włosów

wywołała raka u małych kotków.

- U małych kotków? - Monica zrobiła wielkie oczy. Susan wzruszyła ramionami.

- Muszę już lecieć.

22

Debbie Sheridan mieszkała w dzielnicy Hillsboro, w domu, który z wyglądu przypominał ranczo, a znajdował się zaledwie kilka minut drogi od autostrady. Susan wychowała się w Portland, ale w Hillsboro była dosłownie parę razy. Przejeżdżała tędy, wybierając się nad Pacyfik; to przedmieście nigdy nie było dla niej celem podróży samym w sobie. Zazwyczaj na przedmieściach czuła się niespokojna. Dom Debbie Sheridan był typowy dla swojej okolicy: z zielonym, zadbanym trawnikiem, okopanym i od-chwaszczonym rękami zawodowego ogrodnika do ostatniego ździebka. Dookoła biegł bukszpanowy żywopłot. Obok domu rósł japoński klon i kilka świerków srebrzystych, widać też było klomby obsadzone ozdobnymi trawami. Do jednej ze ścian był dobudowany garaż na dwa samochody. Ogólnie domostwo sprawiało wrażenie rodzinnej szczęśliwości. Susan w najdzikszych marzeniach nie wyobrażała sobie nigdy, że mogłaby mieszkać w takim domu. Zamknęła samochód, podeszła do drewnianych, stylizowanych na średniowieczne drzwi i dotknęła dzwonka.

Debbie Sheridan otworzyła, wyciągając dłoń na powitanie. Susan podała jej rękę.

Wyglądała inaczej, niż dziennikarka sobie wyobrażała. Miała pod czterdziestkę, ciemne, bardzo krótko (i bardzo elegancko) ostrzyżone włosy, szczupłe, wysportowane ciało. Była ubrana w czarne legginsy, T-shirt i tenisówki. Sprawiała atrakcyjne i sztywne wrażenie; ani trochę nie przypominała typowej pani z przedmieścia. Susan weszła za nią do domu, który okazał się pełen przeróżnych dzieł sztuki. Na białych ścianach wisiały olbrzymie abstrakcyjne oleje na płótnie. Podłogi wyłożono dywanami w orientalne wzory. Na wszystkich płaskich powierzchniach stały książki. Wszystko to było niezwykle kosmopolityczne. Światowe. A dla Susan - kompletnie niespodziewane.

- Świetne obrazy - odezwała się dziennikarka. Zawsze czuła się trochę niezręcznie w towarzystwie kobiet bardziej wyrafinowanych niż ona sama.

- Dziękuję. - Debbie Sheridan uśmiechnęła się uprzejmie. - Pracuję w firmie Nike, w dziale projektów. Kiedy chcę się znowu poczuć artystką, siadam i maluję takie rzeczy jak to.

Dopiero wtedy Susan zauważyła podpis „D. Sheridan” w rogach płócien.

- Robią niesamowite wrażenie - powiedziała.

- Dzięki temu mam się czym zająć. Ale czasami wydaje mi się, że

moje dzieci mają więcej talentu niż ja.

Gospodyni poprowadziła Susan korytarzem zawieszonym czarno-białymi fotografiami dwójki bardzo ładnych, ciemnowłosych dzieci. Na niektórych zdjęciach były same, na innych towarzyszyli im rodzice: Archie i Debbie. Cała czwórka wyglądała na nieprzytomnie szczęśliwą i zachwyconą sobą nawzajem.

Weszły do jasnej, nowoczesnej kuchni z drzwiami balkonowymi, które wychodziły na duży ogród w stylu angielskim.

- Napije się pani kawy? - zapytała Debbie sięgając po kafe-tierkę.

- Jasne - odparła Susan. Przyjęła od gospodyni filiżankę i usiadła na wysokim barowym stołku przy kuchennym kontuarze. Na blacie leżał numer „New York Timesa”, otwarty na krzyżówce. Krzyżówka była rozwiązana. Debbie nie usiadła razem z gościem.

Naprzeciwko kontuaru znajdował się salonik dzienny. Były w nim podobne drzwi balkonowe jak w kuchni, również wychodzące na ogród. Sądząc po obecności stołu kreślarskiego i licznych szkiców przypiętych pinezkami do ściany, Debbie Sheridan urządziła w nim swoją domową pracownię. Tymczasem na podłodze tej pracowni walały się porzucane zabawki. Debbie uśmiechnęła się z zakłopotaniem, zauważywszy, że Susan przygląda się szkicom na ścianie.

- Pracuję nad butami do jogi - wyjaśniła.

- Przecież asany wykonuje się bosy. Projektantka rozpromieniła się.

- Powiedzmy, że jest to niewykorzystany sektor rynku.

- To pani główna dziedzina? Buty?

- Nie zajmuję się technologią produkcji. Biorę to, co przysyłają mi chłopcy z laboratorium i staram się nadać temu ładny wygląd.

Czytałam dziś rano pani artykuł. Był interesujący. Dobrze napisany.

- Dziękuję. - Susan spieszyła się nieco. - To dopiero przygotowanie terenu. W następnych tekstach wgrzęzę się w temat głębiej. Nie usiadzie pani?

Debbie Sheridan z ociąganiem położyła dłoń na oparciu krzesła, ale po chwili wahania cofnęła ją, spoglądając w stronę saloniku i zabawek porzuczanych na podłodze.

- Muszę posprzątać po dzieciach - powiedziała i okrążyła kontuar, wchodząc do przyległego pokoju. Podniosła z podłogi wypchanego goryla.

- Co chce pani wiedzieć? - zapytała. Susan wyjęła z torebki mały dyktafon.

- Pozwoli pani, że będę nagrywać? To łatwiejsze niż robienie notatek.

- Proszę bardzo - odparła Debbie, nie przerywając pracy. Po gorylu przyszła kolej na kolejne pluszaki: kotka, królika i pandę.

- A zatem... - zaczęła Susan, rozkazując sobie w myślach: od razu idź na całość. - Domyślam się, że nie było pani łatwo.

Debbie Sheridan wyprostowała się, z rękoma pełnymi pluszowych zwierzątek. Westchnęła.

- Kiedy zaginął? Nie, nie było łatwo. - Podeszła do czerwonego stolika, przy którym stały dwa czerwone dziecięce krzeselka i

zaczęła układać na nim zabawki, jedną po drugiej. - Kiedy umówił się z nią na spotkanie, zadzwonił do mnie jeszcze przed samym wyjściem. A potem nie wrócił do domu. - Urwała, patrząc na goryla, którego wciąż trzymała na rękach. Wypchany zwierzak był wielkości małego dziecka. Po chwili zaczęła mówić, starannie dobierając słowa: - Z początku myślałam, że utknął w korku. Ja mam stąd całkiem blisko do siedziby Nike, ale szosą dwadzieścia sześć jeździ się koszmarnie. Dzwoniłam do niego na komórkę z tysiąc razy. Nie odbierał. - Debbie Sheridan spojrzała na Susan i posłała jej wymuszony uśmiech. - Nie był to w sumie pierwszy raz. Pomyślałam, że może znaleźli zwłoki kolejnej ofiary, ale potem... - Znow umilkła i odetchnęła głęboko, dławiąc się przez chwilę tym oddechem. - W końcu zadzwoniłam do Henry'ego. Henry pojechał do domu tamtej kobiety. Stał przed nim zaparkowany samochód Archiego, ale w środku nie było nikogo. I wtedy wszystko zaczęło się sypać. - Spojrzała jeszcze raz na goryla, po czym powoli odłożyła go na stół, pomiędzy pandę a kotka. - Rzecz jasna, nie wiedzieli, co zaszło, ani że Gret-chen Lowell miała z tym cokolwiek wspólnego, ale dopasowali fakty do siebie. - W głosie Debbie zabrzmiało napięcie. - Mimo to nie udało im się znaleźć Archiego. - Dziesięć dni to dużo.

Debbie Sheridan usiadła po turecku na podłodze i podsunęła sobie dużą drewnianą układankę.

- Myśleli, że on nie żyje - powiedziała chłodnym, rzeczowym tonem. - A pani?

Żona Archiego odetchnęła dwa razy, równo, rytmicznie. A potem przyznała, że skrzywioną nagle twarzą:

- Ja też.

Susan ukradkiem podsunęła dyktafon odrobinę bliżej.

- Gdzie pani była, kiedy dowiedziała się pani, że go odnaleziono?

Debbie zaczęła zbierać elementy układanki rozrzucone dookoła.

- Tutaj - odparła. - Tu gdzie teraz. - Zaśmiała się smutno. - W tym saloniku. - Na każdym fragmencie układanki był obrazek jakiegoś pojazdu. Podniosła z podłogi klocek z wozem strażackim, włożyła go do ramki. - Pamiętam kanapę. Kawę. Tłum policjantów. Claire Masland. - Zamarła, trzymając w palcach drewniany klocek z obrazkiem. I kwiaty. Ludzie zaczęli zostawiać kwiaty pod domem. Pokazywali to w telewizji. Różni ludzie zjeżdżali się tutaj, żeby położyć nam na trawniku jakiś bukiet. - Podniosła wzrok na Susan. Na jej twarzy malowały się naraz bezradność, rozpacz i zmieszanie. - Albo pluszowego zwierzaka. Albo wstążkę. Albo kilka słów na kartce. - Opuściła głowę, przyglądając się klockowi, na którym widniał kolejny samochód: policyjny radiowóz. - No i te kwiaty. Cały trawnik przed domem był zarzucony zwiędłymi kwiatami. - Jej palce zacisnęły się na drewnianej kostce, a mięśnie na skroniach i czole stężały. - Tony cholernych kondolencji nabazgranych na jakichś świstkach albo na specjalnych okolicznościowych kartkach. „Współczujemy straty najbliższej osoby”.

„Wyraży najszczęśliwszego współczucia”. Pamiętam, jak raz patrzyłam przez okno na ten pogrzebowy kwietnik. Smród gnijących liści było czuć aż tutaj, w domu. - Dołożyła radiowóz do ramki, uniosła dłoń, przyjrzała się jej. - I wiedziałam, że on nie żyje.

Z powrotem odwróciła wzrok do Susan.

- Podobno to się czuje, wie pani? Czuje się, kiedy umiera ukochana osoba. Ja to czułam. Czułam, że go nie ma. Wiedziałam, że to już koniec. Moje ciało mówiło mi, że Archie nie żyje. A potem zadzwonił Henry. Znaleźli go. Żywego. Wszyscy krzyczyli z radości. Claire zawiozła mnie do szpitala Emanuela. Nie wychodziłam stamtąd przez pięć dni.

- W jakim stanie był Archie?

Debbie Sheridan wzięła głęboki oddech. Wyglądała tak, jakby zastanawiała się nad tym pytaniem.

- Kiedy się obudził? Bardzo długo musieliśmy go przekonywać, że już nie jest w tamtej piwnicy. Czasami wątpię, czy to się nam naprawdę udało.

- Rozmawiał z panią o tym, co przeszedł? - Nie.

- Ale na pewno orientuje się pani, co tam zaszło?

Oczy żony Archiego Sheridana pociemniały, jej spojrzenie stało się zimne jak lód.

- Zabiła go. Zamordowała mojego męża. Wierzę, że to się wie.

Wiem, co czułam. - Spojrzała znacząco na Susan. - I wiem, kim stał się Archie po powrocie.

Susan zerknęła na swój dyktafon. Czy to na pewno się nagrywa?

Małeńka czerwona dioda powyżej mikrofonu błysnęła uspokajająco.

- Dlaczego to zrobiła, jak pani myśli?

Na jedną chwilę Debbie Sheridan zamarła w absolutnym bezruchu.

- Nie wiem. Ale uważam, że cokolwiek zamierzała, osiągnęła swój cel. Inaczej ciągnęłaby wszystko dalej. To jest ten typ osoby.

- Jak długo po tych wydarzeniach byliście jeszcze państwo razem?

- Porwała go pod koniec listopada, w okolicy Święta Dziękczynienia.

Na wiosnę byliśmy już w separacji. - Debbie odwróciła głowę, wędrując wzrokiem po ogrodzie, drzewie rosnącym za oknem, po ogrodowej huśtawce, po żywopłocie. - Wiem, że to brzmi okropnie. Archie był strzępem człowieka. Nie mógł spać. Miał napady paniki. Przepraszam, może dolać pani kawy?

- Słucham? - Susan spojrzała na swój nietknięty kubek. - Nie, dziękuję.

- Na pewno? To żaden kłopot.

- Dziękuję.

Debbie skinęła kilka razy głową, jakby do siebie, po czym wstała, żeby odłożyć układankę na półkę niewielkiej biblioteczki stojącej obok czerwonego stolika. Biblioteczka była pełna książek dla dzieci, gier planszowych i drewnianych układanek; ta z pojazdami znalazła swoje miejsce razem z innymi. Gospodyni rozejrzała się po saloniku. Widocznie wszystko było jak należy, bo opuściła ręce.

- Archie nie chciał wychodzić z domu. Nie potrafił wytrzymać przy

dzieciach. Brał mnóstwo leków. Całymi godzinami siedział beczynn timer. Bałam się, że coś sobie zrobi.

Po tych słowach milczała przez chwilę, a potem nagle jej twarz zaczęła się zmieniać, krzywić. Zasłoniła dłonią usta, drugą złapała się za brzuch. Susan zsunęła się ze stołka, ale Debbie gestem zatrzymała ją w miejscu.

- Nic mi nie jest - potrząsnęła głową. Odczekała jeszcze chwilę, a potem kciukiem otarła łzy spod oczu, uśmiechając się przezpraszająco do dziennikarki. Weszła z powrotem do kuchni, wzięła kafetierkę i wyciągnęła z niej tłoczek, żeby wylać fusy do zlewu. Odkręciła kran.

- Trzy miesiące po odnalezieniu Archiego przyszedł do nas Henry - podjęła opowieść. - Powiedział, że Gretchen Lowell zgodziła się na ugodę z oskarżeniem i chce wskazać miejsce ukrycia zwłok dziesięciu zaginionych osób. Ale postawiła warunek, że powie to tylko Archiemu. Inaczej nici z umowy. Albo jemu, albo nikomu. - Wypłukała kafetierkę i wstawiła ją do zmywarki. Potem podsunęła pojemnik z tłoczkiem pod strumień zimnej wody, przyglądając się z przekrzywioną głową, jak drobiny zmielonej kawy spływają do zlewu. - Ta kobieta ma manię kontrolowania innych. Myślę, że bardzo jej się podobało, że może mieć władzę nad Archiem, nawet siedząc za kratkami. Ale on wcale nie musiał przyjmować jej warunków. Tak powiedział Henry. Wszyscy by to zrozumieli. Tylko że Archiemu bardzo na tym zależało.

Pojemnik był już czysty, ale gospodyni nie wyjmowała go spod wody.

- Prowadził to śledztwo tak długo, że zrobiłby wszystko, aby każda rodzina ofiar doczekała się wreszcie zamknięcia sprawy. Myślę, że Gretchen o tym wiedziała. Wiedziała, że on musi się zgodzić. Ale to jeszcze nie było wszystko. Mniej więcej tydzień później Henry zawiózł go do Salem na widzenie. Dotrzymała słowa. Dokładnie opisała, gdzie należy szukać zwłok siedemnastolatki, którą zamordowała w Seattle. I powiedziała, że wskaże więcej takich miejsc, jeśli Archie będzie odwiedzał ją co tydzień, w każdą niedzielę. Henry odwiózł go do domu i tej nocy Archie zasnął. I spał przez bite dziesięć godzin. Bez koszmarów. -W oczach Debbie zapłonęła dzika zjadłość. - Spał, kurwa, jak dziecko. A kiedy się obudził, był tak spokojny jak jeszcze nigdy, odkąd to wszystko się zaczęło. Jakby po spotkaniu z nią poczuł się lepiej. Z każdym kolejnym takim spotkaniem coraz bardziej oddalał się od nas. Nie chciałam, żeby tam jeździł. To nie było normalne. Kazałam mu więc wybrać. Albo ona, albo ja. - Zaniósł się ponurym, głuchym śmiechem. - A on wybrał ją.

Susan nie miała pojęcia, co ma powiedzieć.

- Współczuję pani. - Zdecydowała się wreszcie. Pojemnik z tłoczkiem leżał na dnie zlewu. Debbie stała, wyglądając przez okno. Oczy szklity jej się od łez.

- Przysłała mi kwiaty. Z internetowej kwiaciarni. Zamówiła je

pewnie przed samym aresztowaniem. Tuzin słoneczników. -Debbie Sheridan wykrzywiła usta. - „Wyraży szczerego współczucia z powodu tej strasznej tragedii. Pozdrawiam serdecznie. Gretchen Lowell". Przyszły do domu, kiedy Archie leżał w szpitalu. Nigdy mu o tym nie powiedziałam. Słoneczniki. Moje ulubione kwiaty. Kiedyś byłam naprawdę niezłą ogrodniczką. Teraz wynajmuję do tego ludzi. Przestałam lubić kwiaty. - Uśmiechnęła się sztucznie do samej siebie. - Nie mogę znieść ich zapachu.

- Rozmawia pani jeszcze z Archiem?

- Codziennie do niego dzwonię. Proszę zapytać, jak często się widzimy.

- Jak często?

- Co dwa tygodnie. Nigdy częściej. Czasami, kiedy siedzimy razem, Ben, Sara, on i ja, wydaje mi się, że najchętniej wydrapałby sobie oczy. - Debbie Sheridan przesunęła wzrokiem po plu-szakach ułożonych na stoliku, po zlewie, kontuarze. - Rzadko sprzątam tak porządnie - przyznała się.

Susan wzięła głęboki oddech, wiedząc, że musi o to zapytać.

- Dlaczego powiedziała mi pani o tym wszystkim? Debbie zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Archie mnie o to prosił.

Kiedy tylko Susan usiadła za kierownicą, natychmiast cofnęła taśmę w swoim dyktafonie, żeby sprawdzić, czy wywiad na pewno się nagrał. Z głośnika rozległ się głos Debbie Sheridan: „Czasami, kiedy siedzimy razem, Ben, Sara, on i ja, wydaje mi się, że najchętniej wydrapałby sobie oczy". Dzięki Bogu, pomyślała Susan. Zadzwoniła z komórki na swój redakcyjny numer, żeby sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce. Dzwonił do niej Ian z informacją, że jej artykuł wywołał bardzo pozytywne reakcje w całym „Heraldzie". Chciał też wiedzieć, kiedy będzie mogła znów się z nim zobaczyć, co jak wiedziała, jest eufemistycznym pytaniem o to, kiedy mu zrobi laskę. Wiadomość kończyła się zapewnieniem, że Ian pracuje nad zdobyciem nagrania z linii alarmowej i że w przyszłym tygodniu będzie już coś wiedział. Susan spojrzała na maleńki dyktafon leżący na jej dłoni. Drugi tekst pisał się już sam. Było tylko jedno ale: nie od-dzwoniła do niej sekretarka lekarza Archiego Sheridana. Jej szef najprawdopodobniej właśnie ratował komuś życie albo naciągał państwowy fundusz opieki zdrowotnej, albo coś w tym rodzaju. Dziennikarka otworzyła swój notatnik i jeszcze raz odszukała właściwy numer.

- Dzień dobry - powiedziała do słuchawki. - Chciałabym porozmawiać z doktorem Fergussem. Mówi Susan Ward. Dzwonię w sprawie jednego z jego pacjentów, Archiego Sheridana. W końcu była na fali, tak czy nie?

23

Widzisz coś? - zapytała Anne.

Razem z Claire Masland wybrały się na wschodni brzeg Willamette, na Esplanade, w miejsce, gdzie znaleziono zwłoki Dany Stamp. Zeszły betonowym chodnikiem nad rzekę. Claire, w greckiej czapce rybackiej nasuniętej głęboko na oczy, spoglądała na drugi brzeg, gdzie drzewa parku Waterfront otaczały zielonym pierścieniem śródmieście, czyli konglomerat nowej zabudowy i historycznych gmachów.

- Nie - odparła na pytanie psycholożki. - Wdycham zapach rzeki. Woń ścieków to coś zupełnie wyjątkowego, nie uważasz?

Propozycja objazdu wszystkich miejsc, gdzie znaleziono ciała ofiar, wyszła od Anne, która podpatrzyła tę metodę u Archiego podczas pracy nad sprawą Wirtuoza. Patent był prosty: obejść i obejrzeć miejsca przestępstwa. Po wyspach Ross i Sauvie przyszła kolej na Esplanadę. Dochodziło wczesne przedpołudnie; Anne miała przemoczone buty i zziębnięte stopy, a wszystko wskazywało na to, że niedługo zacznie padać. Westchnęła, zbierając na piersi poły skózanego płaszcza. Obok policjantek przemknął poranny biegacz, nawet nie próbując się za nimi oglądać. Poniżej miejsca, gdzie stały, na rzece unosiły się dwie gigantyczne, brudne mewy, przebierając łapami w błotnistej, brązowawej wodzie i niespiesznie zataczając koła.

- Co mają wspólnego te trzy miejsca? - zamyśliła się Anne. Claire westchnęła.

- Wszystkie leżą nad Willamette, Anne. To znaczy, że ten palant ma łódź.

- To wcale nie jest takie wygodne. Ross, Esplanada, Sauvie. Coraz bardziej na północ. Ale dlaczego? Mordercy porzucają ciała ofiar w miejscach, gdzie czują się bezpieczni Ross i Sauvie leżą na uboczu i w nocy nikogo tam nie ma, ale tutaj jest inaczej. - Mrużąc oczy, obejrzała się na estakadę przebiegającą ponad Esplanadą i na staromodne latarnie służące jako nocne oświetlenie alei. Ryk pędzących samochodów był ogłuszający.

- Stąd nie widać brzegu - zauważyła Claire. - Jeśli to jest mała łódka, przechodnie nie mają szans go zobaczyć. Nikt po tej stronie rzeki nie mógł widzieć, jak pozbywał się zwłok. A drugi brzeg jest za daleko, żeby można było dojrzeć, co on robi.

- Ale po co tak ryzykować, skoro ma się łódź? Dlaczego nie porzucić ciała w bezpiecznym miejscu, tak jak tamte dwa?

Claire wzruszyła ramionami.

- Może chciał, żeby znaleziono ją wcześniej niż Lee Robinson?

- Może. Tylko że to nie ma sensu. Ten facet to metodyczny zabójca. Pierwsze miejsce mogło być przypadkowe, ale potem powinien się pojawić jakiś system doboru. Porzucić zwłoki na widoku, ot tak? Ryzykowne. Tego się nie robi, jeśli się nie zna okolicy na tyle, żeby mieć pewność, że da się to zrobić bezpiecznie. Musi w tym być

jakaś metoda.

Jedna z pływających po wodzie mew nagle zaskrzeczała i odleciała w kierunku Steel Bridge. Druga zadarła łeb, świdrując Claire spojrzeniem swoich czarnych paciorkowatych oczu.

- Ile nam zostało, jak myślisz? - zapytała filigranowa policjantka.
- Do kolejnego porwania? Dwa dni. Może trzy.

Archie przeczytał artykuł Susan, kiedy tylko wstał rano z łóżka. To nie był zły tekst. Ukazywał śledztwo z frapującej perspektywy outsidera. Tylko, że jemu, pomimo tego, co powiedział dziennikarce przez telefon, było potrzebne coś innego. Ale Justin Johnson? Ciekawe. Chłopak wpadł, kiedy miał trzynaście lat. Próbował sprzedać trawkę tajniakowi w cywilu. Pół kilo towaru. Ale nie poszedł do poprawczaka, dostał tylko kuratora, co już samo w sobie było interesujące. Z tego właśnie powodu został teraz sprawdzony. Wykazał jednak żelazne alibi, więc list, który Susan otrzymała w gazecie, zaniepokoił Archiego o wiele mniej niż tożsamość osoby, która go przekazała. Ktoś usiłował manipulować artykułem o śledztwie albo też samym śledztwem. Ktoś, kto miał dostęp do akt sprawy tego chłopaka. Archie zadzwonił do drogówki i poprosił, żeby przez najbliższych kilka nocy jeden patrol przejeżdżał dodatkowo kilka razy pod domem Susan. Prawdopodobnie była to przesada, ale kiedy wydał to polecenie, poczuł się lepiej. Usiadł za swoim biurkiem, w otoczeniu fotografii zamordowanych nastolatków. Hałas i biegania nie docierały do niego prawie wcale.

Funkcjonariusze z posterunku pod liceum Jeffersona nie zdobyli żadnych nowych informacji. Nie znaleziono zgłoszonego w innym stanie przypadku gwałtu, który pasowałby do metody działania ściganego przestępcy, a system COIDUS nie zidentyfikował dotąd żadnej próbki DNA z prezerwatyw znalezionych na wyspie Sauvie. Zadzwonił telefon na biurku Archiego. Detektyw spojrzał na wyświetlacz. To była Debbie.

- Halo - powiedział do słuchawki.
- Przed chwilą wysłała ode mnie twoja biografka. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.
- Opowiedziałaś jej, jak mam popieprzone w głowie?
- Opowiedziałam.
- Dobrze.
- Zadzwonię wieczorem. - Tak.

Odłożył słuchawkę. Połknął dziś już sześć vicodinów i ręce mu drżały, a w tyle głowy odczuwał znajome pulsujące rozkołysanie. Pierwsze uderzenie kodeiny było zawsze najlepsze. Wszystkie ostre wrażenia nagle łagodniały. Kiedy Archie był jeszcze prostym krawężnikiem, nie raz i nie dwa musiał się szarpać z narkomanami, którzy bez przerwy włamywali się do samochodów, żeby ukraść jakieś drobne monety albo inny szajs zostawiony na tylnym siedzeniu: książki, stare ciuchy, puste butelki do zwrotu w sklepie. Taki człowiek wybija szybę i ryzykuje areszt dla trzy-

dziestu pięciu centów w bilonie. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczy się policjant, jest to, że narkoman ma własny system wartości. Jest gotowy ponieść najsurowsze konsekwencje, jeśli widzi choćby cień szansy na to, że będzie miał na kolejną działkę. To go czyni kompletnie nieprzewidywalnym. Archie nigdy nie potrafił zrozumieć takiego sposobu myślenia, teraz jednak wydawało mu się, że jest już bliższy rozwiązania tej zagadki.

W tym momencie musiał nagle porzucić te rozważania i szybko przybrać wygląd zapracowanego zawodowca; w drzwiach jego gabinetu stanęli Flannigan i Heil, Ostre Chłopaki. Obaj aż dygotali z emocji. Heil wysforował się do przodu, nieśmiało podchodząc do biurka szefa. To on będzie mówił, pomyślał Archie i nie pomylił się.

- Sprawdziliśmy czterech pracowników Cleveland High, z tej listy, którą nam wczoraj dałeś. Jeden facet tak jakby odstaje od reszty - oznajmił Heil.

- McCallum? - zapytał Archie automatycznie. W nauczycielu fizyki było coś takiego, co budziło nieufność detektywa.

- Zgadza się. On ma łódź i tej łodzi nie ma tam, gdzie powinna być.

- A gdzie jest?

- Spłonęła wczoraj w tym pożarze, który wybuchł w przystani niedaleko wyspy Sauvie.

Archie uniósł brwi.

- No właśnie - powiedział Heil. - Pomyśleliśmy, że to może być jakiś trop.

Szpital pod wezwaniem Emanuela był jednym z dwóch centrów leczenia obrażeń w regionie. Archie Sheridan, po tym, jak go wydobyto z piwnicy Gretchen Lowell, trafił od razu właśnie tam. Był to też ulubiony szpital ratowników medycznych. Krążyły plotki, że wielu z nich nosi T-shirty z nadrukiem „Zawieźcie mnie do Emanuela” - na wypadek, gdyby któremuś kiedyś przydarzył się, dajmy na to, udar. Główny budynek szpitala powstał w roku 1915, ale późniejsze dobudówki zasłoniły go niemal całkowicie ścianami ze szkła i stali. Tutaj, na chłoniaka nieziarniczego, zmarł ojciec Susan; było to dzień przed tym, jak zdjęto jej aparat korekcyjny. Dziennikarka zostawiła samochód na podziemnym parkingu dla gości i skierowała się do przychodni, gdzie była umówiona z lekarzem Archiego. Wjechała windą na trzecie piętro, wybrawszy przycisk łokciem, nie palcem. Chorzy ludzie to zarazki. Trzeba się pilnować.

Czekała na doktora Fergusa trzydzieści pięć minut. Poczekalnia była całkiem w porządku. Z okien roztaczał się widok na West Hills, szczyt Mount Hood i kręte zakola Willamette. Zapach był jednak identyczny z tym, który Susan tak dobrze zapamiętała z dzieciństwa, kiedy chodziła z tatą do lekarza: coś podobnego do mieszanki goździków i jodiny. Tak pachniały środki czystości, których używano, żeby nie było czuć woni umierających ludzi. Na niskim stoliku leżał stosik numerów magazynu „In-Style”, ale

Susan oparła się pokusie marnowania czasu; zamiast tego wyjęła notatnik i przez dwadzieścia minut pisała i poprawiała wstęp do kolejnego artykułu. Potem wyjęła komórkę i sprawdziła wiadomości. Nie było żadnych. Wybrała numer Ethana Poole'a, zapisany w pamięci szybkiego dostępu. Dodzwoniła się tylko na pocztę głosową.

- Ethan - powiedziała do słuchawki - przy telefonie moi. Chciałam zapytać, czy przypadkiem nie rozmawiałeś już z Molly Palmer. Zaczynam brać sobie twoje milczenie do serca. - W tym momencie zauważyła, że sekretarka lekarza patrzy na nią bardzo nieprzyjemnym wzrokiem, pokazując palcem znak na ścianie, przedstawiający przekreślony telefon komórkowy. - Zadzwoń do mnie - skończyła szybko i rozłączywszy się, wrzuciła aparat do torebki.

Na stoliku, na samym szczycie sterty numerów „U. S. News” i „World Report” leżał najnowszy „Herald”. Susan wzięła gazetę i odwróciła pierwszą stronę do wierzchu, żeby jej tekst był dobrze widoczny dla wszystkich zainteresowanych. W tym momencie w drzwiach pojawił się doktor Fergus. Wzruszywszy przepaszczając ramionami, podał dziennikarce wilgotną dłoń i poprowadził do swojego gabinetu, mijając po drodze sale do przyjmowania pacjentów. Miał pięćdziesiąt kilka lat. Siwiejące włosy nosił ostrzyżone na jeża, co upodabniało go do trenera szkolnej drużyny futbolowej z Teksasu. Szedł szybkim krokiem, zgarbiony i lekko pochylony, ze stetoskopem dyndającym na szyi i pięściami wbitymi w kieszenie białego fartucha. Susan musiała dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

Jego gabinet był urządzone z klasą, w eleganckim powojennym stylu. Z okien było widać zarówno wytworną zachodnią dzielnicę West Hills, gęsto zarośniętą wiecznie zielonymi drzewami, jak i zrujnowane zabudowania przemysłowe we wschodniej części miasta. Pośrodku szerokim nurtem wiała się rzeka o brunatnych wodach. W pogodny dzień w Portland można podziwiać trzy szczyty: Mount Hood, Mount St. Helens i Mount Adams. Ale kiedy portlandczyk mówi „góra”, to ma na myśli górę Hood i to właśnie ją było widać z okien gabinetu doktora Fergususa -a taki widok doprawdy trudno przecenić. Lśniący od wciąż zalegającego śniegu, przypominała żąb rekina rozpruwający czyste, błękitne niebo. Tak przynajmniej widziała to Susan, która, trzeba powiedzieć, nigdy nie połączyła bakcyli narciarstwa.

Szarą wykładzinę zasłaniał drogi, ręcznie tkany dywan we wschodnie wzory. Półki, zajmujące całą ścianę, dźwigały księgozbiór, na który składały się teksty medyczne, ale również współczesna powieść oraz opracowania na temat religii Wschodu. Na drugiej ścianie wisiała olbrzymia czarno-biała fotografia pana doktora opartego o harleya-davidsona, przytłaczając rozmiarami zawieszony tuż obok nieodzowny w lekarskim gabinecie dyplom naukowy. Przynajmniej wie, co w życiu ważne, pomyślała Susan, zauważając na jednej z półek drogi radioodbiornik, z całą pewnością

nastawiony na rozgłoszenie typu „classic rock”.

- Mamy więc rozmawiać o Archie Sheridan - zaczął doktor Fergus, otwierając niebieską teczkę.

Susan uśmiechnęła się do niego.

- Rozumiem, że rozmawiał pan z nim?

- Tak. Przesłał mi faksem zgodę na ujawnienie dokumentacji lekarskiej. - Fergus położył dłoń na kartce leżącej na blacie biurka.

- W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele, jeśli chodzi o prawo pacjenta do prywatności. Towarzystwa ubezpieczeniowe wiedzą o nas wszystko. A przyjaciel albo członek rodziny, żeby czegoś się dowiedzieć, musi otrzymać pisemną zgodę.

Susan położyła na biurku swój dyktafon, unosząc pytająco brwi.

Fergus skinął głową. Wcisnęła klawisz nagrywania.

- Zatem mogę pytać pana o wszystko? - upewniła się.

- Zgadza się w skrócie opisać obrażenia, które detektyw Archie Sheridan odniósł w listopadzie dwa tysiące czwartego roku w trakcie pełnienia obowiązków służbowych.

- Proszę bardzo. - Susan otworzyła notatnik, uśmiechając się zachęcająco.

Fergus przebiegł wzrokiem kartę Archiego Sheridana i zaczął referować szorstkim, rzeczowym tonem:

- Pacjenta przywieziono na izbę przyjęć trzydziestego listopada dwa tysiące czwartego roku, o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści trzy. Jego stan był krytyczny. Sześć złamanych żeber, liczne rany szarpane tułowia, rana kłuta brzucha, a oprócz tego niebezpiecznie wysokie stężenie substancji toksycznych w organizmie. Musieliśmy operować w trybie nagłym, aby usunąć uszkodzenia przełyku i ściany żołądka. W trakcie operacji obrażenia przełyku okazały się tak rozległe, że ostatecznie trzeba było przeszczepić w to miejsce fragment jelita. Kobieta, która go przetrzymywała, usunęła mu także śledzionę.

Susan przerwała robienie notatek, które skrzętnie sporządzała, kiedy lekarz mówił. Uniosła wzrok.

- Śledzionę?

- Owszem. Ten fakt nie został ujawniony. Operacja została przeprowadzona jak należy, zespolenie naczyń wykonano prawidłowo, a szwy założono wprawnie, ale zostało tam jeszcze niewielkie krwawienie wewnętrzne, które musieliśmy zatamować.

Susan w dalszym ciągu trwała nieruchomo, z długopisem przyciśniętym do papieru.

- To da się zrobić? - Nie mogła uwierzyć. - Można tak po prostu wziąć i wyciąć komuś śledzionę?

- Można, o ile ma się doświadczenie - potwierdził doktor Fergus. - To mało istotny organ.

- A co ona... - Susan nerwowo stuknęła długopisem w kartkę - ...z nią zrobiła?

Fergus odetchnął powoli.

- O ile mi wiadomo, przysłała wypreparowaną śledzionę na policję.

Razem z portfelem swojego więźnia.

Susan wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy i szybko zapisała w notatniku jedno zdanie.

- To najbardziej popieprzona historia, jaką w życiu słyszałam - oznajmiła, potrząsając głową.

- Owszem. - Lekarz wyprostował się w swoim fotelu. Zagadnienie najwyraźniej rozbudziło jego zawodową ciekawość. - My również się dziwiliśmy. To jest poważna operacja. U pacjenta rozwinął się wstrząs septyczny, a wydolność organów krytycznie spadła. Gdyby tamta kobieta nie udzieliła mu natychmiastowej pomocy, umarłby na miejscu.

- Podobno go reanimowała.

Fergus przyglądał się jej przez chwilę bez słowa. - Tak twierdzą ratownicy medyczni. Zrobiła jeszcze inną rzecz: za pomocą digoksyny zatrzymała mu serce, a potem podała lidokainę, aby przywrócić pracę organu.

Susan skuliła się, jednocześnie wyciągając szyję do przodu

- Po co?

- Nie mam pojęcia. To się wydarzyło kilka dni przed tym, jak trafił do nas. Mniej więcej w tym samym czasie opatrzyła mu rany. Był pod dobrą opieką. - Kiedy dotarło do niego, co właśnie powiedział, urwał i przetarł ręką czoło. - To znaczy, od tego momentu zaczęła dbać o niego. Czyste bandaże, każda rana zaszyta. Podawała mu kroplówki, przetaczała krew. Ale wywiązało się zakażenie, którego nie mogła wyleczyć. Nie dysponowała odpowiednimi antybiotykami ani sprzętem podtrzymującym pracę organów.

- Skąd miała krew do przetoczenia?

Fergus wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Nie mamy pojęcia. To była krew uniwersalna, grupy 0 Rh minus, ale nie jej własna. Mężczyzna, którego zabiła na oczach Sheridana, miał natomiast grupę AB.

Susan zapisała w notatniku słowo „krew” i postawiła po nim znak zapytania.

- Powiedział pan, że stężenie substancji toksycznych w organizmie było wysokie. Co dokładnie dostawał?

- Cały koktajl różnych związków. - Fergus zerknął na kartkę wyjętą z teczki. - Morfina. Benzedryna. Dantrolen. Sukcynylo-cholina.

Piperazyna. To są tylko te substancje, które miał jeszcze we krwi, kiedy do nas trafił.

- Jaki skutek wywołały te leki? - dopytywała się Susan, jednocześnie łamiąc sobie głowę, jak się pisze „sukcynylocholina”.

- Musiałbym wiedzieć, w jakiej kolejności pacjent je otrzymywał. Inaczej nie jestem w stanie tego określić. Na pewno wywołały bezsenność, pobudzenie, porażenie mięśni i halucynacje, a do tego prawdopodobnie pacjent był na niezłym haju.

Susan spróbowała sobie wyobrazić, co czuje człowiek w takiej sytuacji. Samotne cierpienie. Odłot narkotykowy, od którego nie można pozbiierać myśli. Całkowite uzależnienie od osoby, która

prowadzi cię prosto do śmierci.

Przyjrzała się uważnie doktorowi Fergusowi. Był mało rozmowny, to fakt, ale podobało jej się, że twardo stoi po stronie Archiego.

Jezu, ktoś przecież musi go bronić. Przekrzywiła głowę i posłała lekarzowi najbardziej zniewalający uśmiech ze swojego arsenału.

- Proszę mi powiedzieć, czy pan go lubi? Archiego? Fergus zacisnął wargi.

- Moim zdaniem Archie nie ma już przyjaciół. Ale gdyby było inaczej, sądzę, że zaliczyłby mnie do nich.

- A co pan sądzi o mnie i o tym, że piszę ten artykuł? Że opisuję Archiego i to, co mu się przydarzyło?

Lekarz odchylił się na oparcie fotela, zakładając nogę na nogę.

Szczyt góry widocznej za jego plecami zaśnił w świetle słońca.

Kiedy się ma taki widok z okna, pomyślała Susan, to po jakimś czasie pewnie przestaje się zwracać na niego uwagę.

- Próbowałem mu to wyperswadować - przyznał doktor Fergus.

- Jak zareagował?

- Nie udało mi się go przekonać.

- Ale mimo to nie jest pan ze mną do końca szczery.

- Archie nie wspomniał ani słowem, że mam pani powiedzieć wszystko od A do Z. To jest mój pacjent i stawiam jego dobro ponad pani artykułem. Niezależnie od tego, że Archie może uważać takie upublicznienie za właściwe rozwiązanie. Kiedy go odnaleziono, przez kilka tygodni mieliśmy tutaj plagę dziennikarzy. Moi podwładni odsyłali każdego z nich do rzecznika szpitala. Czy wie pani, dlaczego?

Zaraz, pomyślała Susan, znam ten dowcip!

- Bo dziennikarze to sępy i wydrukują wszystko jak leci, nie dbając w najmniejszym stopniu, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie albo związek ze sprawą i czy w ogóle jest zgodne z prawdą?

- Otóż to. - Fergus spojrzął na swój zegarek za pięćset dolarów. -

Jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej, proszę zapytać bohatera swojego artykułu. Ja muszę już iść. Jestem lekarzem i mam obowiązek leczyć pacjentów. Władze szpitala bardzo drażni, jeśli przynajmniej nie próbuję robić tego, co do mnie należy.

- Jasne - przytaknęła szybko Susan. - Jeszcze tylko kilka pytań.

Czy detektyw Sheridan w dalszym ciągu przyjmuje leki? Fergus spojrzął jej prosto w oczy.

- Żaden z leków, które przyjmuje, nie obniża jego zdolności do pracy.

- Świetnie. Chcę wyjaśnić jeszcze jedną kwestię. Czy powiedział pan, że Gretchen Lowell torturowała detektywa Sheridana i zabiła go, a następnie przywróciła do życia lekami i otoczyła opieką, aby ostatecznie po upływie kilku dni wezwać do niego pogotowie?

- To właśnie powiedziałem.

- A czy detektyw Sheridan to potwierdza?

Fergus odchylił się jeszcze mocniej na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na piersi.

- On raczej unika rozmowy o tym, co go spotkało. Mówi, że niewiele pamięta.

- Nie wierzy mu pan?

Lekarz spojrzał na nią uważnie.

- To kompletna bzdura. Powiedziałem mu to w oczy.

- Jaki jest pana ulubiony film?

- Proszę?

Susan uśmiechnęła się uprzejmie, jakby to wcale nie było dziwne pytanie.

- Pański ulubiony film - powtórzyła.

Biedny doktor był, zdaje się, lekko oszołomiony.

- Nie mam czasu oglądać filmów - oświadczył w końcu. -Uprawiam narciarstwo.

- Przynajmniej nie próbował pan niczego zmyślić. - Susan kiwnęła głową, zadowolona. Na temat filmów wszyscy zawsze kłamią. Ona sama nieraz mówiła, że jej ulubiony film to „Annie Hall”, a nigdy w życiu go nie widziała. - Dziękuję za rozmowę, panie doktorze.

- Cała przyjemność po mojej stronie - westchnął Fergus.

24

O trzeciej trzydziści po południu Susan znów była pod liceum Cleveland High. Za swoich uczniowskich czasów nigdy nie chodziła do szkoły tak regularnie. Zamierzała zacząć się na Justina Johnsona przy jego samochodzie, ale nigdzie na parkingu nie było widać pomarańczowego bmw. No, świetnie, pomyślała. Przecież na żywo nie podszyję się pod jego matkę.

Miała do pana JAY2 wiele pytań, na przykład, za co miał sprawę w sądzie dla nieletnich. Albo dlaczego mają w ogóle obchodzić on i jego zatargi z prawem. Albo, co najważniejsze, dlaczego ktoś trzeci uważa, że powinna się tym zainteresować.

Ale nigdzie nie mogła go dostrzec.

Na dworze było dziesięć stopni ciepła, a dzieciaki biegały w letnich ubraniach. Wszędzie migają T-shirty, szorty, krótkie spódnice, sandały. Najwidoczniej cała szkoła zamierzała popełnić zbiorowe samobójstwo. Wszędzie dookoła objuczeni wypchanymi torbami i plecakami uczniowie wsiadali do swoich samochodów, a Susan stała na środku parkingu, bezradnie drapiąc się w głowę.

I wtedy zauważyła chłopaka bardzo podobnego do Justina.

Identyczna fryzura, podobne ciuchy, ten sam wiek. Szedł w kierunku fordą bronco, wystukując SMS-a na klawiaturze telefonu.

Postanowiła zaryzykować, przypominając sobie złotą zasadę uczniowskiej mentalności: kto z kim przestaje, taki się staje.

- Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Justina Johnsona? - zagadnęła chłopaka, starając się nie sprawiać wrażenia jakiejś dziwnej albo niebezpiecznej osoby.

Zmarszczył brwi.

- J. J.? Nie ma go - odpowiedział.
- Jak to: nie ma?
- Zabrali go na szóstej przerwie. Dziadek mu umarł, czy coś. Miał pojechać prosto na lotnisko i wsiąść w samolot do Palm Springs.
- Kiedy wróci?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Mam zapisywać mu prace domowe przez tydzień. Facet od fizyki strasznie się pienił i mówił, że to ścierna, bo już raz mu dziadek umarł, w pierwszej klasie. Odgrażał się, że znów go posadzi za karę po lekcjach. - Przyjrzał się Susan krytycznie i najwidoczniej doszedł do jakiegoś konstruktywnego wniosku. - Chcesz kupić produkt?
- Tak - potwierdziła. - J. J. dał mi swój numer, ale gdzieś go posiałam. Pomożesz mi?

Naprzeciwko Archiego, na drugim końcu stołu, siedział Dan McCallum. Przed detektywem leżało sprawozdanie ekspertów z brygady do spraw podpaleń. McCallum był to niski człowiek z gęstą szopą brązowych włosów i sumiastym wąsem, który wyszedł z mody chyba jeszcze przed jego urodzeniem. Miał pękaty korpus, przy którym ręce i nogi wydawały się zbyt krótkie, a jego dłonie były nieduże i kwadratowe. Nosił koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka, włożoną w spodnie spięte szerokim skórzanym pasem z mosiężną klamrą w kształcie głowy pumy. Stół, przy którym siedzieli, stał w bankowym skarbcu, przerobionym na salę do przesłuchań. Towarzyszyła im Claire Masland. Stała z rękami założonymi na piersi, oparta o drzwi skarbcza, pół metra solidnej stali. McCallum był zajęty: sprawdzał klasówki. Na palcach miał zgrubiałe odciski od długopisu. Rzadko już się widuje coś takiego, pomyślał Archie.

- Przepraszam, można przeszkodzić? - zapytał nauczyciela. McCallum nie uniósł nawet głowy. Jego ściągnięte, krzaczaste brwi wyglądały jak dodatkowa para wąsów.
- Do jutra muszę sprawdzić sto trzy prace klasowe - powiedział szorstkim głosem. - Uczę od piętnastu lat. Zarabiam czterdzieści dwa tysiące dolarów rocznie, nie licząc dodatków. W tym roku dostałem pięć tysięcy mniej niż w zeszłym. Chce pan wiedzieć, dlaczego?
- Dlaczego, Dan?
- Ponieważ władze stanowe obcięły budżet szkoły o piętnaście procent, a dyrekcja nie mogła zwolnić wszystkich pielęgniarek i woźnych. - McCallum starannie ułożył swoje czerwone pióro na stercie klasówek i spojrzał na Archiego, unosząc brew. - Ma pan dzieci, panie detektywie?

Archie wzdrygnął się lekko.

- Dwoje.
- Niech je pan pośle do prywatnej szkoły.
- Co się stało z twoją łodzią, Dan?

McCallum wziął z powrotem pióro do ręki, postawił na klasówce

ocenę - cztery z minusem - i zakreślił ją kółkiem.

- W przystani wybuchł pożar. Spaliła się. Ale zakładam, że o tym już pan wie.

- Prawdę mówiąc, wygląda na to, że to właśnie twoja łódź by-ła przyczyną pożaru przystani - powiedział Archie. McCallum nadstawił ucha. - Ślady płomieni wskazują, że ogień wybuchł na twojej łodzi. I że użyto środka łatwopalnego. Konkretnie benzyny.

- Ktoś spalił mi łódź?

- Ktoś spalił ci łódź, Dan.

Jedna krzaczasta brew fizyka zaczęła drżeć nerwowo. McCallum zacisnął owłosioną dłoń na swoim czerwonym piórze.

- Proszę posłuchać - zaczął, a głos momentalnie skoczył mu oktawę wyżej. - Powiedziałem już detektywom, gdzie byłem, kiedy zaginęły te dziewczyny. Nie miałem z tym nic wspólnego. Jeśli chcecie, dam wam próbkę DNA. Nie uczę biologii, bo nie lubię kroić żab. Nie jestem tym, kogo szukacie. Nie wiem, dlaczego ktoś spalił mi łódź, ale to też nie ma nic wspólnego z tymi dziewczynami.

Archie wstał. Oparł się zaciśniętymi pięściami o blat stołu, górując nad nauczycielem.

- Chodzi o to - powiedział - że ogień wybuchł w kabinie, Dan. A skoro tak, to naszym zdaniem podpalacz musiał mieć klucz. Bo po co wybijać drzwi do kabiny, żeby podpalić łódź? Wystarczy chyba rozlać trochę wachy na pokładzie i będzie się palić tak samo, nie uważasz?

Twarz fizyka pociemniała. McCallum wodził wzrokiem od Archiego do Claire, a w jego oczach odbijała się rosnąca desperacja.

- Nie wiem. Ale jeśli ogień wybuchł w kabinie, to znaczy, że ktoś się do niej włamał. Nie wiem dlaczego, ale tak musiało być.

- Kiedy ostatni raz widziałeś swoją łódź?

- W zeszły poniedziałek. Wypłynąłem na pierwszy rejs w tym sezonie. Parę kilometrów w dół rzeki.

- Czy na pokładzie coś było nie w porządku?

- Nie. Wszystko dokładnie tak, jak zostawiłem. W każdym razie nic nie wpadło mi w oko.

- Kto wie, że masz łódź?

- Pomyślmy... Kupiłem ją dziewięć lat temu. Trzeba to po-mnożyć przez sto, bo tylu nowych uczniów mam co roku. Czyli samych absolwentów Cleveland High będzie dziewięciuset. Proszę mnie posłuchać. Nie należę do najbardziej lubianych nauczycieli w tej szkole. Jestem surowy. - Uniósł w zaciśniętej dłoni kilka klasówek, jakby na potwierdzenie swoich słów. - W zeszłym semestrze na kursie dla zaawansowanych nie postawiłem ani jednej piątki. Może któryś dzieciak się wkurzył i postanowił mnie ukarać. Kochałem tę łódź. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli ktoś chciał trafić w mój czuły punkt, to dobrze wybrał.

Archie przyjrzał się fizykowi uważnie. Miał wrażenie, że z każdą chwilą McCallum coraz bardziej się poci. Nie podobał mu się ten facet. Zawód detektywa nauczył go jednak już dawno, że niechęć

do kogoś nie jest jeszcze dowodem, że ten ktoś kłamie.

- W porządku, Dan - powiedział. - Możesz iść. Weźmiemy tylko od ciebie tę próbkę DNA. Claire powie ci, gdzie masz się zgłosić.

McCallum wstał i pozbierał ze stołu wszystkie klasówki, upychając je w odrapanej teczce z miękkiej skórki. Claire otworzyła drzwi.

- Proszę poczekać na mnie w korytarzu, dobrze? - poprosiła/
Nauczyciel skinął głową i wyszedł, powłócząc nogami. Claire

odwróciła się z powrotem do Archiego. - Nie mamy żadnej porównawczej próbki DNA - przypomniała mu.

- Ale on o tym nie wie - odparł. - Pobierz od niego co trzeba i niech Ostre Chłopaki go pilnują. To naprawdę był pożar, Archie.

- To nasz jedyny trop.

Susan wsiadła do samochodu i nie ruszając sprzed szkoły, zadzwoniła na komórkę Justina.

- Heja - zabrzmiało w słuchawce.

Dziennikarka bez wstępów zapodała mu przygotowany tekst.

- Cześć, J. J. Mówi Susan Ward. Poznaliśmy się na parkingu pod Cleveland High. Założyli mi blokadę na koło, pamiętasz?

Zapadła długa cisza.

- Nie wolno mi z panią rozmawiać - powiedział wreszcie chłopak. I rozłączył się.

Susan zamarła. Siedziała za kierownicą i patrzyła tępo na trzymaną w dłoni komórkę. Co się dzieje, do diabła?

25

Przed wizytą u Archiego Susan przebierała się trzy razy. Ale kiedy wreszcie stanęła z nim twarzą w twarz na progu jego mieszkania, momentalnie pożałowała swojej ostatecznej decyzji w kwestii stroju. Trzeba było postawić na kompletnie inny styl. No, ale skoro już ją zobaczył, było za późno, żeby wracać do samochodu.

- Cześć - przywitała się. - Dzięki, że się zgodziłeś na rozmowę.

Przed chwilą minęła godzina dwudziesta. Archie miał na sobie te same ciuchy, w których chodził w dzień. Susan uznała, że tek się po prostu ubiera do pracy: mocne skórzane buty, grube ciemnozielone sztruksy i błękitna koszula z przypinanymi rogami kołnierzyka, rozpięta pod szyją. Pod koszulą T-shirt. Susan spojrzała po sobie. Jej strój składał się dziś z czarnych dżinsów, koszulki z krótkim rękawem i obcisłej czarnej siatkowej koszulki z długim rękawem włożonej pod spód. Do tego ciężkie motocyklowe buty. Różowe włosy związane w mysie ogonki. Sama musiała przyznać, że wygląda nieco idiotycznie. Przydałby się do tego jakiś intelektualny akcent. Na przykład sweter.

Archie otworzył szeroko drzwi i odstąpił na bok, żeby wpuścić gościa. To, co Susan powiedziała mu przez telefon, było szczerą prawdą: wywiad z nim był jej bardzo potrzebny. Następnego dnia

musiała złożyć drugi artykuł, a miała jeszcze mnóstwo pytań do swojego bohatera. Chciała jednak również zobaczyć, gdzie mieszka. Przekonać się, jakim jest człowiekiem. I kiedy zobaczyła to puste wnętrze, w którym miał swój dom, musiała się bardzo starać, żeby niczym nie zdradzić rozczarowania. Nie było tam ani jednej książki. Ani jednej ozdoby na ścianie. Ani jednej rodzinnej fotografii, pamiątki z wakacji, płyty z muzyką czy starej gazety czekającej na wyrzucenie. Smutny wygląd brązowej kanapy i obitego sztruksem rozkładanego fotela zdradzał, że mieszkanie zostało wynajęte razem z umeblowaniem. Nie miało za grosz osobowości. Żadnej. Co to za ojciec, który po rozwodzie z żoną nie wiesza na ścianie zdjęć swoich dzieci?

- Jak długo tutaj mieszkasz? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Półtora roku - padła odpowiedź. - Przykro mi. Wiem, że to mieszkanie mało o mnie mówi.

- Nie mów mi tylko, że nie masz telewizora, proszę. Zaśmiał się sucho.

- W sypialni.

Ale bez podłączonej kablówki, idę o każde pieniądze, pomyślała Susan, rozglądając się ostentacyjnie po pokoju.

- A gdzie trzymasz swoje rzeczy? Przecież musisz mieć jakieś stare klamoty. Wszyscy mają.

- Większość moich klamotów została u Debbie. - Skłonił się z galanterią, wskazując kanapę. - Proszę siadać. Możesz pić, kiedy prowadzisz wywiad?

- O, jak najbardziej - zapewniła, zauważając na stoliku policyjne aktówki, starannie ułożone w dwa równe stosiki. Zaciekało ją, czy ta dbałość o porządek to u niego naturalna cecha, czy może przyswojona metoda kompensacji jakichś braków. Przysiadła na kanapie, wyciągając z torebki podniszczony egzemplarz „Ostatniej ofiary”, który położyła obok aktówek.

- Mam tylko piwo - zawołał Archie z kuchni.

Susan nie kupiła tej książki, kiedy ukazała się w sprzedaży, ale przeglądała ją pobieżnie. „Ostatnią ofiarę”, szmirowaty kryminał oparty na autentycznej historii uprowadzenia detektywa Archiego Sheridana, można było wtedy dostać w każdym supermarkecie. Na okładce widniał portret Gretchen Lowell. Jeśli to prawda, że uroda pomaga sprzedawać książki, to piękna seryjna morderczyni potrafi wywindować ostatnią chałę na sam szczyt listy bestsellerów.

- Mój Boże - parsknęła Susan, rzucając okiem w stronę kuchni. - Co za koneser. Uważaj, bo jeszcze przypadkiem ktoś cię przejrzy.

Archie wrócił do pokoju i podał dziennikarce butelkę średniej klasy piwa jakiejś mało znanej marki, a sam usiadł na rozkładanym fotelu. Obserwowała go, żeby nie przeoczyć momentu, kiedy zauważy książkę. Nie musiała długo czekać: obrzucił ją jednym szybkim spojrzeniem i od razu odwrócił wzrok.

- Przepraszam - powiedział. - Lubię też wino. I mocniejsze

procenty. Ale dziś akurat mam tylko piwo. Nie, nie posiadam ulubionej marki. Kupuję, co mają w sklepie, byle tylko nie smakowało jak pomyje.

Susan zasalutowała mu swoją butelką, przy czym nie uszło jej uwagi, że Archie nie pije.

- Więc chyba będę musiała trochę pozmyślać - powiedziała, wyjmując z torebki dyktafon i kładąc go pomiędzy sobą a swoim rozmówcą, na stoliku, tuż obok „Ostatniej ofiary”. - Pozwolisz, że będę nagrywać?

- Oczywiście.

Milczała przez chwilę, oczekując że może powie coś na temat książki, a tymczasem on czekał na pierwsze pytanie. Z okładki biło śmiałe spojrzenie Gretchen Lowell, błyszcząły złote, wypukłe litery tytułu. Susan poczuła chęć, żeby go przeprosić i pojechać do domu. Przebrać się i dopiero wrócić.

A, do diabła z tym. Wcisnęła klawisz nagrywania i otworzyła swój notatnik. Miała nadzieję, że książka wybije Archiego z roli, sprowokuje do jakiegokolwiek reakcji. Cóż. Zmiana planu.

- Rozmawiałam dzisiaj z twoją żoną.

- Byłą żoną.

Nie dał się złapać. Trzeba spróbować bardziej wprost, pomyślała.

- Ona ciągle cię kocha. - Spojrzała mu w oczy. Nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę.

- Ja też ją kocham - odparł.

- Hej, wiesz co, mam pomysł - zaszczębiotała radośnie. - Pobierzcie się.

Archie westchnął.

- Ze względu na moje upośledzenie emocjonalne nasz związek mocno się skomplikował.

- Czy żona mówiła ci o rozmowie ze mną?

- Mówiła.

- Co konkretnie?

- Martwiła się, że zbyt szczerze opowiedziała ci o... - urwał, szukając właściwych słów - mojej relacji z Gretchen.

- Relacji - powtórzyła Susan powoli. - Zabawne określenie. Archie potrząsnął głową.

- To nic zabawnego. Zbrodniarz i detektyw. Porywacz i zakładnik.

Morderca i ofiara. To wszystko są wzajemne relacje. -Skrzywił wargi w cierpkim uśmiechu. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak, jakbym chodził z nią na randki.

Siedział wygodnie rozparty na fotelu. Nogi szeroko rozstawione. Stopy na dywanie. Łokcie na poręczach. Ale pomimo że starał się zachowywać swobodnie, z całą pewnością tak się nie czuł. Susan obserwowała go, dbając o to, aby nie gapić się beczelnie.

Pochylona głowa, źle leżąca koszula, cienie pod oczami. Gęste brązowe włosy skudłone i posklejane. Koniecznie musiał iść do fryzjera, chociaż, skoro już o tym mowa, to ona też.

Prawda była taka, że przy Archie'm Sheridanie Susan czuła się nie w

porządku. Było to dla niej nowe, nieznane doznanie. Kiedy robiła z kimś wywiad, zazwyczaj miała przewagę nad swoim rozmówcą, ale w obecności tego faceta coraz częściej przyłapywała się na tym, że ciągnie ją, żeby zapalić. Albo coś w tym rodzaju.

Archie patrzył na nią. Tak to właśnie jest z tymi wywiadami, pomyślała. Każdy zawsze czeka, żeby ta druga osoba coś powiedziała. Jak na pierwszej randce. Wszystkie jej wywiady przypominały jedną długą pierwszą randkę. „No, to skąd jesteś?”. „Co studiowałeś?”. „A miałaś może w rodzinie chorych na chorobę św. Wita?”. Albo tak jak teraz:

- Jak sądzisz, dlaczego Gretchen Lowell cię porwała?
- Gretchen Lowell to seryjna morderczyni. Chciała mnie zabić. - Głos Archiego był spokojny. Zupełnie jakby rozmawiali o pogodzie.
- Ale cię nie zabiła - zauważyła Susan.

Wzruszył ramionami.

- Rozmyśliła się.
- Dlaczego?

Arenie uśmiechnął się blado.

- Bo kobieta zmienna jest?
- Pytałam poważnie.

Przybrał z powrotem neutralny wyraz twarzy i strzepnął z nogawki jakiś niewidzialny pyłek.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć.
- Nigdy jej o to nie pytałeś? - Uniosła z niedowierzaniem brwi. - Przecież jeździsz do niej co niedzielę.
- Nie było okazji.
- To o czym rozmawiacie? Spojrzał jej prosto w oczy.
- O morderstwach.
- Niewiele się od ciebie dowiaduję.
- Bo nie zadajesz właściwych pytań.

Piętro wyżej po pokoju biegało dziecko. Susan słyszała wyraźnie tupot przebijający przez sufit. Archie chyba nawet tego nie zauważał.

- W porządku - powiedziała powoli dziennikarka. - Chyba najbardziej interesuje mnie to, dlaczego akurat ciebie potraktowała inaczej. Bo w twoim wypadku zmieniła repertuar tortur, prawda? No i pozostałe ofiary zabijała już po kilku dniach. Ciebie trzymała przy życiu. Więc byłeś inny niż wszyscy. Od samego początku. Byłeś dla niej wyjątkowy.

- Jako główny śledczy prowadzący dochodzenie w jej sprawie. Inne ofiary były zawsze przypadkowe. O ile nam wiadomo, nie znała ani jednej z nich, poza współnikami, których zlikwidowała. A my znaliśmy się osobiście. Łączyła nas wzajemna relacja.

Susan podkreśliła w notatniku wyraz „relacja”.

- Ale żeby dotrzeć do ciebie, przeniknęła do twojego zespołu. Bo to przecież w tym celu przyjechała do Portland i zgłosiła się do was, tak czy nie? Byłeś jej celem.

Archie zdjął ręce z poręczy fotela i położył dłonie na kolanach, na

przemian splatając i rozplatając palce. Patrzył na okładkę „Ostatniej ofiary”. Na Gretchen Lowell. Wzrok miał ciężki i ani razu nawet nie mrugnął. Susan wodziła spojrzeniem od niego do książki i z powrotem. Miała wrażenie, że Archie nie może oderwać oczu od tej okładki.

- Psychopaci często próbują zbliżyć się do śledztwa - wyjaśnił detektyw, wciąż twardo wpatrując się w książkę na stoliku. - Lubią obserwować rozwój wydarzeń. To im daje poczucie wyższości. Susan pochyliła się lekko, opierając łokcie na udach i przysunęła się nieco bliżej do Archiego. Pierwszy ruch na pierwszej randce zawsze należał do niej.

- Przecież to było olbrzymie ryzyko - powiedziała miękko. - Poniosła je, żeby dotrzeć do ciebie. A potem cię nie zabiła.

Archie w dalszym ciągu nie odrywał wzroku od okładki. Susan nagle poczuła chęć, żeby zrzucić ją na podłogę. I zobaczyć, co zrobi.

- Nie mogę tego zrozumieć - poskarżyła się. - To do niej nie pasuje.

- Przepraszam. - Archie poderwał się z fotela i poszedł do kuchni. Dziennikarka wykręciła szyję, żeby móc go obserwować, ale nie widziała jego twarzy. Stał tyłem do niej, a przodem do smętnych kuchennych szafek z białego laminatu. Ręce trzymał oparte na biodrach. W końcu westchnął i odezwał się:

- Zrób to dla mnie i zabierz tę książkę, dobrze?

Książka. Co mu bardziej przeszkadzało: okładka ze zdjęciem Gretchen Lowell wyglądającym jak reklama szamponu do włosów czy to, co było w środku?

- Wybacz - zawołała Susan, chowając „Ostatnią ofiarę” do torebki. Pochyliła głowę. Czuła się jak patentowana kretyńska. - To był tylko taki rekwizyt. Do wywiadu.

Nie odpowiedział. Potarł dłonią kark. Susan żałowała, że stanął tyłem; chciała widzieć jego twarz, wiedzieć, co myśli. Chciała coś zrobić, a nie tak siedzieć i gapić się smętnie na jego plecy. Żeby więc czymś się zająć, zaczęła notować. „Co za debilizm”, napisała. „Archie Sheridan ma nierówno pod sufitem. Czegoś mi nie mówi o Gretchen Lowell, tylko czego?”. A potem machnęła

szybko swoje własne imię, ale z jego nazwiskiem. I narysowała dookoła serduszko. Ha, zawołała w myślach. Napisała jeszcze raz: Susan Sheridan. Pani Sheridan. Pani Susan Ward-Sheridan.

Parsknęła cicho i zasłoniła usta dłonią.

Dotarło do niej, że Archie coś powiedział. Uniosła głowę. Stał teraz obok lodówki, trzymał w ręce butelkę piwa i patrzył na nią. Była pewna, że przed chwilą coś mówił.

- Słucham? - zachłysnęła się, przewracając zabazgraną stronę tak szybko, że rozdarła ją tuż przy samej spiralce.

- Powiedziałem, że tobie się wydaje, że to była z jej strony litość. A ten znów o Gretchen Lowell. Nic tylko ona i ona. Susan odwróciła się w jego stronę, podwijając nogi pod siebie. Jej ciężkie buty odcisnęły ślad na piankowym materacu.

- Zabiła wszystkich, których porwała - przypomniała mu. - Ciebie też. Ale przywróciła cię do życia. Można nawet powiedzieć, że uratowała ci życie.

Archie, stojący samotnie na środku kuchni, pociągnął łyk piwa z butelki. Susan nie umiała powiedzieć, czy w ogóle ją słyszy. Wtem drgnął, wrócił do pokoju i usiadł na fotelu, ostrożnie stawiając piwo na stoliku. Wszystko robił ostrożnie. Jakby się bał, że zniszczy każdą rzecz powierzoną jego opiece. Opuścił głowę, patrząc na swoje splecione dłonie, poznaczone siateczką żył. Po chwili ponownie spojrzął na Susan.

- Gdyby Gretchen chciała okazać miłosierdzie, pozwoliłaby mi umrzeć - poinformował ją chłodnym, rzeczowym tonem. - Pragnąłem śmierci. Byłem na nią gotowy. Gdyby włożyła mi do ręki skalpel, wbiłbym go sobie prosto w szyję i z radością wykrwawił się tam na miejscu, w jej piwnicy. Oszczędzając mi życie, nie okazała żadnych specjalnych względów. Gretchen czerpie przyjemność z cierpienia innych ludzi. To, co zrobiła, to był jej sposób na przedłużenie mojego cierpienia i swojej przyjemności. Zapewniam cię, że nie mogła gorzej mnie skrzywdzić. Gdyby udało jej się wymyślić coś jeszcze okrutniejszego, zrobiłaby to bez wahania. Gretchen nie okazuje ludziom litości.

W tym momencie włączyło się centralne ogrzewanie. Coś zadudniło, a potem z niewidocznego otworu nawiewnego dmuchnęło ciepłym powietrzem. Susan poczuła, że ma sucho w ustach. Dziecko na górze wciąż biegało. Gdyby to ona tutaj mieszkała, ten szczeniak już by nie żył.

- Przecież zamknęli ją w więzieniu. Niemożliwe, żeby miała taki właśnie plan.

- Trzeba wiedzieć, jak dobrze zakończyć karierę.

- Mogła dostać karę śmierci.

- Miała zbyt wiele argumentów przetargowych.

- Mówisz o jej nieodnalezionych ofiarach? Archie pociągnął kolejny łyk piwa. - Tak.

- Jak sądzisz, dlaczego chciała rozmawiać tylko i wyłącznie z tobą?

- Bo wiedziała, że przyjmę jej warunki.

- A dlaczego je przyjąłeś? Kiedy żona kazała ci wybierać, dlaczego wybrałeś Gretchen?

- Była żona - podkreślił z naciskiem. - Zrobiłem to dla rodzin ofiar. Bo każda z nich zasługuje na to, żeby doczekać się zamknięcia sprawy. I dlatego, że taką mam pracę.

- I dlaczego jeszcze?

Archie przycisnął chłodną butelkę do policzka. Zacisnął powieki.

- To skomplikowane.

Susan zerknęła na swoją otwartą torebkę. Z głównej przegródki wystawał grzbiet schowanej przed chwilą książki. Oprócz niej była tam jeszcze garść tamponów luzem, portfel, plastikowe pudełko pigułek antykoncepcyjnych i jakieś trzydzieści długopisów.

- Czytałeś „Ostatnią ofiarę”?
- Mój Boże, nie - jęknął Archie. Susan oblała się rumieńcem.
- To wcale nie jest najgorsza książka. Jak na thriller oparty na faktach. Oczywiście z dziennikarstwem niewiele ma wspólnego. Dzwoniłam do autorki. Powiedziała mi, że nie chciałeś z nią rozmawiać. Twoja była żona też nie chciała z nią rozmawiać. Tak samo twój lekarz i cały twój wydział. Musiała polegać na doniesieniach prasowych, materiałach archiwalnych i własnej gorącej wyobraźni. Na końcu książki jest scena, w której namawiasz Gretchen Lowell, żeby zgłosiła się na policję. Udaje ci się ją przekonać, że dzięki temu stanie się lepszym człowiekiem, a ona nie potrafi się oprzeć twojej dobroci i szlachetności. Archie parsknął głośnym śmiechem.

- Co, nie było tak? - zapytała Susan. - Nie.

- Co pamiętasz?

Wzdrygnął się nagle na całym ciele.

- Dobrze się czujesz? - Spojrzała na niego uważnie.

- Boli mnie głowa - wyjaśnił. Wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko na lekarstwa, wyjął z niego trzy białe, owalne pigułki i połknął je, popijając piwem.

- Co to? - chciała wiedzieć Susan.

Zrobiła powątpiewającą minę.

- Naprawdę nie pamiętasz tych dziesięciu dni? Archie mrugnął oczami, bardzo powoli, a potem utkwiał wzrok w dziennikarce. Trwało to całą wieczność, zanim wreszcie oderwał od niej oczy i spojrzał na zegarek stojący na półce pustej biblioteczki. Zegarek pokazywał złą godzinę, ale Archie najwidoczniej nie przejmował się tym szczegółem.

- Pamiętam te dziesięć dni lepiej niż narodziny własnych dzieci - powiedział.

Ogrzewanie wyłączyło się i w pokoju zapadła cisza.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła Susan, głosem piskliwym jak u nastolatki. Archie taksował ją baczным spojrzeniem, więc poczęstowała go swoim uśmiechem numer jeden, który opanowała już bardzo dawno temu. Na jego widok każdy mężczyzna zaczynał nagle rozumieć, że niezależnie od wagi jego problemów ta właśnie kobieta potrafi go pocieszyć. Ale Archie jakoś tego nie kupił.

- Jeszcze nie teraz - odezwał się w końcu. - Zostały ci trzy artykuły do napisania, prawda? Przecież nie chcesz zdradzić wszystkiego na samym początku.

Susan spuściła głowę i ścisnęła ją rękami w udawanym wyrazie frustracji.

- Dojdziemy do tego - uspokoił ją Archie. - Obiecuję ci.

Dziennikarka wyłączyła dyktafon.

- Mogę skorzystać z łazienki?

- Drzwi w przedpokoju.

Wstała i wyszła do przedpokoju. Łazienka była tak samo nijaka jak całe mieszkanie. Stała tam wanna z włókna szklanego z

zamontowanymi przesuwными drzwiczkami prysznicowymi. Drzwiczki były z matowego szkła. Obok - szafka z tanią, byle jaką umywalką. Krany na umywalce miały plastikowe uchwyty. Z dębowych wieszaków zwisały smętnie dwa szare ręczniki z cienkiej, niskogatunkowej tkaniny. Dwa podobne, świeżo uprane, leżały złożone na rezerwuarze toalety. Było tu czysto, ale nie bardzo czysto, bez pedantycznej przesady. Susan stanęła przed umywalką i spojrzała w lustro. Kurwa mać, pomyślała. Kurwa.

Mać. Największą bombę w całej mojej karierze mam już prawie w garści, więc dlaczego czuję się tak podle? I po jaką cholere zrobiłam sobie te mysie ogonki? Ściągnęła gumki, przeczesała włosy palcami i związała je z powrotem - z tyłu, na karku. W świetle, jakie było w tej łazience, jej skóra wyglądała jak u kurczaka w sklepie mięsnym. Ciekawe, jak Archie Sheridan znosi codziennie swoje odbicie w tym lustrze: ziemista cera, każda zmarszczka podkreślona ostrym cieniem. Nic dziwnego, że mu odbija. Wyciągnęła z kieszeni błyszczący do ust i nałożyła go sobie grubo na wargi. A jeśli on specjalnie chce doprowadzić się do takiego stanu, że będzie musiał wrócić na zwolnienie chorobowe? Może o to mu właśnie chodzi?

Spuściła wodę w toalecie i skorzystała z szumu, żeby zajrzeć do ściennej apteczki. Znalazła tam maszynki i krem do golenia. Szczoteczkę i pastę do zębów. Dezodorant. I dwie półki pełne bursztynowych buteleczek z lekarstwami. Poodwracała buteleczki, żeby przeczytać przyklejone do nich recepty. Vicodin. Colace. Percocet. Zantac. Ambien. Xanax. Prozac. Duże butelki. Małe butelki. „Żaden z leków, które przyjmuje, nie obniża jego zdolności do pracy”. Jasne. W tej szafce było dość pigułek, żeby uśpić słońca. A każda recepta wypisana na nazwisko Archiego Sheridana. Kurwa mać. Skoro musiał brać tyle chemii, żeby normalnie funkcjonować, to było z nim gorzej, niż myślała. Nie doceniła też należycie jego zdolności aktorskich.

Wbiła sobie do głowy nazwy wszystkich leków, starannie poodwracała buteleczki z powrotem tak, jak stały i zamknąwszy szafkę, wróciła do pokoju.

Archie nawet nie podniósł głowy.

- Gdybym nie chciał, żebyś zobaczyła moje leki, schowałbym je gdzieś.

Susan nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Mogła udać zdziwienie: Jakie leki? Ale nie wiedzieć dlaczego, nie miała ochoty kłamać.

- Dużo ich bierzesz.

Kiedy wchodziła do pokoju, spojrzał na nią, ale poza tym nawet nie drgnął. Siedział sztywny jak trup.

- Nie czuję się dobrze - wyjaśnił.

Dziennikarka nagle odniosła bardzo irytujące wrażenie, że wszystko, czego dowiedziała się dziś o Archim Sheridanem, to były tylko i wyłącznie te informacje, które on sam chciał jej przekazać.

Każdy szczegół, każdy trop. W jakim celu? Być może zmęczyły go już te ciągłe kłamstwa. Może postanowił zdradzić komuś wszystkie swoje tajemnice, żeby nie musieć już z takim trudem ich ukrywać? Ciągłe blefowanie jest wyczerpujące.

Schowała dyktafon i notatnik do torebki, a wyciągnęła paczkę papierosów.

- Sypiam ze swoim szefem. Żonatym - zakomunikowała Archie.
Archie znieruchomiał, otwierając lekko usta.

- Nie jestem pewien, czy ta informacja była mi potrzebna.
Zaciągnęła się dymem.

- To tak tytułem wzajemności.

- W porządku.

26

Anne Boyd wyjadła wszystkie czekoladowe słodycze z lodówki w swoim hotelowym pokoju: najpierw zwykłe m&msy, potem trójkątne batoniki Toblerone, a na końcu m&msy z orzechami. Rozprawiwszy się ze wszystkim, starannie wygładziła papierki, układając je na łóżku, obok fotografii zamordowanych nastolatków. Po słodyczach myślała jej się lepiej. Na dietę przyjdzie czas, kiedy na świecie zabraknie zabójców.

Znała na pamięć twarz każdej z trzech ofiar, wiedziała, jak wyglądały przed i po śmierci, ale ułożenie ich zdjęć obok siebie to był przydatny zabieg. W raporcie, który przekazała Archie, znajdował się także profil ofiary poszukiwanego mordercy. Ten człowiek miał swój określony typ: białe dziewczyny z ciemnymi włosami, w trudnym okresie dojrzewania. Każda chodziła do innego liceum. Czego on szuka, pomyślała Anne, co w nich widzi? Zabija wciąż tę samą dziewczynę, a potem ją gwałci - to mu pozwala w najpełniejszy sposób narzucić jej swoją wolę. Kim ona jest? Młodzieńczą sympatią? Jego matką? Miłością, która złamała mu serce, nawet o tym nie wiedząc? Z całą pewnością kimś, kogo morderca w swoim czasie nie zdołał sobie podporządkować. Anne powoli zaczęła nabierać pewności, że to właśnie jest klucz do odszukania tego człowieka.

Sturlała się z łóżka i otworzyła lodówkę. Na półce stała puszka dietetycznej coli. Ostatnia. Trzeba będzie zadzwonić do obsługi i zamówić więcej. Jej dzieci zaczęły już się dopytywać, kiedy wróci do domu, ale tak naprawdę chodziło im o fanty, które mama obiecała przywieźć z firmowego sklepu Nike. W tej chwili nie miała pojęcia, kiedy znajdzie wolną chwilę, żeby tam zajrzeć.

To już nie były te czasy, kiedy Anne często jeździła w delegacje, ale w tym wypadku sama poprosiła o przydział. Po dochodzeniu w sprawie Wirtuoza zastanawiała się, czy nie odejść z pracy.

Sporządziła błędny profil, a Archie Sheridan o mały włos nie przypłacił życiem jej pomyłki. Anne była absolutnie pewna, że

morderca jest mężczyzną i że działa w pojedynkę. Wszystkie wskazówki były isticie podręcznikowe. Mogło się tak wydawać, ponieważ Gretchen Lowell czytała podręczniki i wiedziała, co w nich piszą. Porażka Anne Boyd stała się słynna, a psycholożka w pełni zdawała sobie sprawę, że nie zawinił nikt inny, tylko ona. Była dobrym fachowcem, jednym z najlepszych w FBI, a Biuro szczyliło się tym, że zatrudnia najlepszych psychologów kryminalnych na świecie. Ale Gretchen Lowell nadszarpnęła, i to mocno, jej wiarę w siebie, tę wiarę, która jest kluczem do sporządzania profiliw psychologicznych. Trzeba wierzyć we własne umiejętności, żeby nie bać się kojarzenia faktów.

A zatem teraz należało skojarzyć fakty. Impulsem mordercy jest określone wspomnienie, pamięć o jakimś wydarzeniu sprzed wielu lat. Co to mogło być? Możliwości było wiele: sytuacja finansowa, związek intymny, relacje z rodzicami, ale też problemy w pracy, czyjaś śmierć albo narodziny, jakaś zniewaga. Morderca sam szuka kontaktu z ofiarami. Wybiera je sobie. Zbrodnia jest dokładnie zaplanowana. Przestępca zadaje sobie wiele trudu, żeby zatrzeć ślady, lecz mimo to nie ukrywa zwłok, zwraca je. Dlaczego? Anne odgryzła koniuszek paznokcia i zaczęła miażdżyć go w zamyśleniu zębami. Obiecała sobie, że tym razem niczego nie schrzani. Nie potrafiła cofnąć nieszczęścia, które spotkało Archiego Sheridana, ale mogła mu pomóc w tym nowym śledztwie. Bo Arenie potrzebował pomocy. Tego była zupełnie pewna.

Po pożegnaniu z Susan Arenie dokończył swoje piwo, a następnie otworzył policyjne aktówki, rozkładając to, co w nich było, na stoliku. Poukładał je w dwa równe stosiki tuż przed samym przyjściem dziennikarki. Nie dlatego, że chciał posprzątać, ale dlatego, że nie widział potrzeby, aby pokazywać jej zdjęcia z autopsji trzech zamordowanych nastolatek. Połknął kolejne trzy tabletki vicodinu i usiadł na dywanie obok stolika. To właśnie dzięki analizom takich zdjęć udało mu się dostrzec podpis Gretchen Lowell. Tym razem nie wiedział dokładnie, czego szuka, ale nawet jeśli coś tam było, nie umiał tego dostrzec. Dziecko na górze śpiewało. To była dziewczynka. Archie nie rozumiał słów, ale melodia wydawała mu się znajoma; pamiętał ją z czasów, kiedy jego własne dzieci dopiero uczyły się chodzić.

Spojrzał na wyświetlacz zegarka na półce. Policzył w pamięci. Było kilka minut po dziewiątej. Gretchen jest już w swojej celi. Światło gaszą dopiero o dwudziestej drugiej. Tę godzinę Gretchen przeznaczna na czytanie. Archie wiedział, że wypożycza książki z więziennej biblioteki, bo co miesiąc dostawał wykaz zamawianych przez nią pozycji. Czytała prace psychoanalitików, od Freuda po podręczniki do psychoanalizy, a obok masowych dreszczowców psychologicznych - ambitną powieść współczesną, książki z rodzaju tych, które większość ludzi czyta tylko po to, żeby mieć czym błysnąć w towarzystwie. Interesowały ją też kryminały, koniecznie

oparte na faktach. Właściwie czemu nie, pomyślał Archie. To była dla niej literatura branżowa. W zeszłym miesiącu wypożyczyła „Ostatnią ofiarę”. Archie nie pisał o tym Henry'emu ani słowa. Gdyby jego przyjaciel wiedział, że Gretchen czyta tę wstrętą historyjkę o uprowadzeniu detektywa Sheridana, napisaną bez polotu i zilustrowaną makabrycznymi fotografiami zamordowanych ludzi, Archiego, całej ekipy, wściekłby się na pewno. Wycofałby ją ze zbiorów więziennej biblioteki. Kto wie, może nawet próbowałby uniemożliwić Archie-mu odwiedzanie Gretchen. Nie miałyby z tym specjalnych trudności, wystarczyło pogadać od serca z Kolesiem Andersonem. I tak nikt za bardzo nie wierzył, że detektyw Sheridan jest zdolny do służby. Udało mu się wytargować tak wiele tylko dzięki własnemu uporowi, w połączeniu z głębokim współczuciem ze strony kolegów i przełożonych, obwiniających się za to, co go spotkało. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego pozycja jest chwiejna.

Patrzył na kredowobiałą skórę zamordowanych dziewczyn, na ziejące cięcia sekcyjne, na ślady uduszenia, sine pręgi odcisnięte na ich gardłach. Miały szczęście, pomyślał, że zginęły od razu. Są o wiele gorsze rodzaje śmierci niż uduszenie.

Dziewczynka na górze skakała w najlepsze po całym pokoju. W końcu ktoś dorosły wziął ją na ręce. Archie słyszał, jak mała piszczy i chichocze.

27

Tego dnia, kiedy Gretchen przychodzi z pigułkami i zdejmuje mu plaster z ust, Archie zdobywa się na wypowiedzenie dwóch siów:

- Sam połknę.

Gretchen odkłada lejek na tackę, a on otwiera usta, wysuwając język; wzorowy pacjent. Kobieta kładzie mu na języku pigułkę i przykłada do spierzchniętych warg szklaneczkę pełną wody. Odkąd się tu znalazł, nie miał wody w ustach. Wilgoć na języku i w gardle to wielka przyjemność. Gretchen wkłada mu palce do ust, sprawdzając, czy na pewno połknął tabletkę. Powtarzają to ćwiczenie cztery razy.

Kiedy już jest po wszystkim, Archie pyta:

- Jak długo tutaj jestem?

- Nieważne - pada odpowiedź.

Słysząc jakieś brzęczenie. Z początku Archiemu wydaje się, że dzwoni mu w uszach, ale po chwili rozpoznaje ten dźwięk: to muchy. Na podłodze wciąż leżą gnijące zwłoki. To mu przypomina o drugim z mężczyzn, którzy nieśli go do furgonetki. Na jeden moment odzywa się w nim gliniarz.

- Co z tym drugim facetem? - pyta. - Gdzie on jest? Też go zabiłaś? Gretchen unosi brew w wyrazie niebotycznego zdumienia.

- Kochany, pleciesz jak kompletny wariat.
Ale Archie chce rozmawiać, zebrać jak najwięcej informacji.
Rozgląda się dookoła, po tym pomieszczeniu bez okien, po kafelkach jak w metrze, po medycznym sprzęcie.

- Gdzie jesteśmy?
Tylko że ona przestała już odpowiadać na jego pytania.

- Pamiętasz, o co cię prosiłam? Zastanowiłeś się? - zmienia temat.
Archie nie ma zielonego pojęcia, czego od niego chce.

- Co?
- Miałeś wybrać, co wyślemy twoim przyjaciółom. - W jej głosie wyraźnie pobrzmiwa ledwo maskowane zniecierpliwienie. - Zamartwiają się o ciebie, kochany. - Gretchen delikatnie przesuwa palcami po jego rękę, zatrzymując dłoń na podbitym filcem skórzanym pasie, którym nadgarstek Archiego jest przykrępowany do stołu na kółkach. - Jesteś praworęczny, prawda?
Archie wie, że musi teraz myśleć bardzo szybko, dopóki ma jasno w głowie, bo za chwilę zaczną działać pigułki, które połknął.

- Dlaczego, Gretchen? - pyta. - Nigdy nie wysyłałaś policji żadnych części ciała. - I wtedy doznaje olśnienia. Wszystkie jej ofiary ginęły w ciągu trzech dni po porwaniu. - To już czwarty dzień - wypowiada na głos swoją myśl. - Zaczynają podejrzewać, że nie żyję. Chcesz im pokazać, że jeszcze nie umarłem.

- Pozwolę ci wybrać, ale musimy to zrobić natychmiast. Choć z przerażenia stają mu włosy na głowie, Archie wie, że nie może przyjąć jej warunków. Jeśli raz się zgodzi, zostanie jej współnikiem.

- Nie - mówi.

- Jeśli chodzi o śledzoną, to mam doświadczenie, robiłam to setki razy - mamrocze Gretchen. - Ale zawsze post mortem. Wytrzymasz operację bez ruchu?
Archie kurczy się wewnątrz.

- Nie rób tego, Gretchen.

- To pytanie było oczywiście zbędne. - Gretchen bierze z tacki strzykawkę. - Tutaj jest sukcylinylocholina, środek paraliżujący stosowany w chirurgii. Nie będziesz mógł nawet drgnąć, ale pozostaniesz całkowicie przytomny. Wszystko dokładnie poczujesz. - Posyła mu znaczące spojrzenie. - Uważam, że to konieczność, a ty? Skoro masz stracić organ, powinieneś świadomie przeżyć jego usunięcie. Bo jeśli zaśniesz i obudzisz się bez niego, to skąd będziesz wiedział, czy czujesz się inaczej czy nie?
Wstrzykuje lek do kroplówki i ustawia przepływ.
Archiego zalewa fala niepokojącego spokoju. Czuje w sobie identyczną rezygnację, jaką nieraz widział na twarzach więźniów skazanych na śmierć. Nie ma wpływu na nic, więc walka o cokolwiek przestaje mieć sens. To prawdziwa ulga. Zawsze tak zaciekłe walczył, żeby zapanować nad chaosem, odeprzeć przemoc, zapobiec zbrodni; poświęcił na to całą swoją śmieszoną karierę. A teraz może ulec, tak po prostu.

- Do kogo to wyślesz? - pyta.

- Myślałam o Debbie.

Myślami Archiego targa nagły zawrót głowy; widzi oczyma duszy twarz Debbie otwierającej przesyłkę.

- Do Henry'ego - szepcze. - Proszę cię, Gretchen. Wyślij to do Henry'ego Sobola.

Gretchen przerywa swoje przygotowania i uśmiecha się do niego.

- Jeśli tak zrobię, będziesz musiał być grzeczny. Tym uśmiechem uświadamia mu, że dał się ograć. Poprosił swojego mordercę o przysługę. Teraz musi już ją tylko przyjąć. Archie kiwa głową, zauważając z oschłą obojętnością, że jest nawet wdzięczny tej kobiecie.

Po chwili może już tylko wbijać oczy w dobrze znane jarzeniówki i rury biegnące po białym suficie. Jak przez mgłę dociera do niego, że Gretchen krząta się dookoła: myje ręce, układa narzędzia na tacce, dokładnie goli mu brzuch. Czuje na skórze chłodną wilgoć jodyny, a następnie ostrze skalpela. Powłoki rozchodzą się z łatwością pod jej palcami. Potem przychodzi kolej na mięśnie; przecięte, cofają się sprężysto. Archie oddycha głęboko, usiłując dostroić się do bólu, wmówić sobie, że niczego nie czuje. Na chwilę udaje mu się uwierzyć, że będzie dobrze. Że wytrzyma. Że wcale nie boli bardziej niż gwoździe. Ale potem Gretchen zakłada haki, którymi rozszerza, rwie, szarpie jego rozplątane ciało. Archie wyje z bólu, ale przecież nie może mówić, otworzyć ust, podnieść głowy. Krzyczeć może jedynie w myślach; to zduszone wycie towarzyszy mu nawet wtedy, gdy opuszcza go świadomość.

Gretchen pozwala mu spać do woli. Po odzyskaniu przytomności Archie ma wrażenie, że musiało minąć chyba kilka dni, bo jego myśli zdążyły odzyskać klarowność. Odwraca głowę i widzi jej twarz opartą na zaciśniętych pięściach, tuż obok swojej, niemalże ocierającą się nosem o jego nos. Gretchen nie zmrużyła oka, widać to wyraźnie. Na czole, pod bladą skórą, odbijają się sine żyły. Archie wie, co oznacza wyraz jej twarzy. Zna ją już prawie tak samo dobrze jak twarz Debbie.

- Co ci się śniło? - pyta Gretchen.

Przed jego oczami przemyka się korowód kolorowych obrazów.

- Jechałem samochodem przez miasto. Szukałem swojego domu - opowiada słabym głosem. - Nie mogłem go nigdzie znaleźć.

Zapomniałem adresu, więc jeździłem w kółko. - Krzywi popękane usta w ponurym uśmiechu. Głęboko w piersi tkwi ostra zadra bólu.

- Ciekawe, co to znaczy.

Gretchen nawet nie drgnie.

- Już ich nigdy nie zobaczysz, wiesz o tym.

- Wiem. - Archie unosi głowę, spoglądając na bandaż, którym ma owinięty brzuch. Teraz połamane żebra znów bolą bardziej, o wiele bardziej. Cały tors ma oblepiony sińcami koloru zgniłych owoców. Czuje się tak, jakby jego ciało było utoczone i mokrego

piachu. Smród rozkładających się zwłok nie dociera już do niego prawie wcale. Dziwnie jest być żywym. Jego przywiązanie do życia słabnie z każdą chwilą.

- Dostali przesyłkę? - pyta.

-Wysłałam ją do Heary'ego - odpowiada Gretchen. - Nie podali tego do publicznej wiadomości. -Tak się nie robi. - Dlaczego?

— Najpierw trzeba potwierdzić, że to naprawdę ja — wyjaśnia

- Przecież wysłałam do kompletu twój portfel.

- Muszą zrobić test DNA - uspokaja ją. - To zajmie kilka dni.

Gretchen ponownie pochyla nad nim swoją piękną twarz.

- Zorientują się, że żyłeś, kiedy wyjmowałam ci śledzionę. I znajdą w niej środki, które ci podaję.

- Zależy ci na tym, prawda? - pyta on. - Żeby pokazać im, co ze mną robisz?

- Tak.

- Dlaczego?

- Chcę, żeby wiedzieli, że cierpisz. Mają o tym wiedzieć, kiedy będą cię szukać i nie znajdą. A potem chcę cię zabić. - Gretchen kładzie mu dłoń na czole, jak matka sprawdzająca, czyjej dziecko nie ma gorączki. - Ale coś mi mówi, że cię nie oddam, kochany. Pozwolę im na niepewność. Lubię czasami trzymać ich w niepewności. W życiu nie zawsze wszystko musi być podane na talerzu.

Archie pamięta tak wielu zamordowanych przez nią ludzi, nad którymi pochylał się w deszczu. Widok jej ofiar zawsze robił na nim niesamowite wrażenie. Za każdym razem zadawał sobie to samo pytanie: ile ich jest? Często się zdarza, że seryjny morderca grasuje całymi latami, zanim policja dostrzeże związek pomiędzy ofiarami i odkryje schemat jego działania. A on chciał znać tę liczbę. Przez dziesięć lat swojego życia szukał odpowiedzi na dwa pytania: kim jest Wirtuoz i ile ofiar ma na sumieniu. Teraz, gdy już poznał pierwszą z nich, rodzi się w nim przekonanie, że jeśli znajdzie też drugą, to za człowiekiem, którym kiedyś był, raz na zawsze zamkną się jakieś drzwi. Im więcej swych sekretów Gretchen mu powierzy, tym pełniej go posiadzie. Gretchen zaczyna się niecierpliwić.

- No, zapytaj mnie, ilu ludzi zabiłam. Chcę ci to powiedzieć. Archie wzdycha.

- Ilu ludzi zabiłaś, Gretchen?

- Ty będziesz moją dwusetną ofiarą.

Archie przełyka z wielkim trudem. Jezu Chryste, myśli. Kurwa mać.

- To bardzo dużo - wyrzuca z siebie.

- Czasami kazałam zabijać swoim kochankom. Ale zawsze sama decydowałam, kogo. Każdy z nich zabijał na moje polecenie. Mogę chyba to zaliczyć na swoje konto, prawda?

- Możesz.

- Boli cię? - Jej twarz jaśnieje. Archie kiwa głową.

- Opowiedz. - Głos Gretchen jest miękki, kojący.

- Nie mogę oddychać. Kiedy próbuję zrobić pełniejszy wdech, żebra

wbijają mi się w ciało.

- Jakie to uczucie? - Jej oczy lśnią.

Przez chwilę Archie szuka właściwych słów.

- Jakby ktoś owinął mi płuca drutem kolczastym, który kaleczy mnie do krwi przy każdym oddechu.

- A cięcie operacyjne?

- Zaczyna pulsować. Ten ból jest inny. Właściwie bardziej mnie piecze niż boli. Kiedy się nie ruszam, jest dobrze. Głowa mi pęka. Najbardziej boli za oczami. Ta rana na brzuchu, gdzie dźgnęłaś mnie skalpelem, jest chyba zakażona. I do tego wszystko mnie swędzi. Całe ciało. Mam wrażenie, że moje ręce śpią. W ogóle ich nie czuję.

- Chcesz dostać tabletki?

Archie wyobraża sobie skutki ich działania: nagłe dreszcze i mgłę, która spowija wszystko. Na tę myśl zaczyna się ślinić.

- Tak - mówi.

- Wszystkie?

- Nie. - Odpowiedź ma gotową. - Nie chcę znów dostać halucynacji. Oglądałam wtedy swoje życie. I widzę ich wszystkich, jak na mnie patrzą. I Debbie.

- Czyli tylko amfetaminę i kodeinę?

- Tak.

- Może trochę więcej kodeiny?

- Tak - dyszy Archie. - Poproś mnie o ta

- Czy mogę dostać trochę więcej kodeiny? Gretchen uśmiecha się słodko. - Możesz.

Na stole pod ścianą są ustawione butelki z lekarstwami. Gretchen wytrząsa z nich tabletki, nalewa wody do szklanki i wraca do Archiego. Wkłada mu tabletki do ust, daje pić. Nie sprawdza już, czy połknął. Nie musi.

Środki zaczną działać dopiero po kwadransie, więc Archie próbuje jakoś oderwać uwagę od swojego ciała, skazanego na powolną śmierć. Gretchen siedzi obok na krześle. Dłonie grzecznie złożone na kolanach. Nie odrywa od niego wzroku.

- Dlaczego zostałam psychiatrą? - pyta Archie po długiej chwili milczenia.

- Nie jestem psychiatrą - odpowiada ona. - Czytałam tylko trochę książek.

- Ale masz przeszkolenie medyczne.

- Pracowałam w szpitalu na izbie przyjęć. Studiowałam medycynę, ale rzuciłam studia. - Gretchen uśmiecha się szeroko. - Byłby ze mnie świetny lekarz, nie uważasz?

- Chyba pytasz niewłaściwą osobę.

Znów zapada cisza, ale Gretchen jest niespokojna.

- Chcesz usłyszeć, jakie miałam poronione dzieciństwo? - pyta z nadzieją w głosie. - Opowiedzieć ci o kazirodztwie? O biciu? Archie potrząsa głową.

- Nie - bełkocze. - Może później.

Pierwszy dreszcz rodzi się na samym środku jego twarzy i spływa wezbraną falą aż do stóp. Zostań tam, gdzie jesteś, rozkazuje sobie Archie. Nie myśl o Debbie. Nie myśl o dzieciach. Zostań, gdzie jesteś.

Gretchen patrzy na niego z zachwytem. Wyciąga dłoń i czule gładzi go po policzku. Ten gest, jak miał już okazję się przekonać, często oznacza, że zaraz zrobi coś strasznego.

- Chcę cię zabić, Archie - mówi łagodnie. - Obmyślałam to sobie. Marzę o tym od lat.

Muska płatek jego ucha opuszkami palców. To bardzo przyjemne. Archie oddycha już nieco lżej; kodeina zgłuszyła ból połamanych żeber i rozplatanego ciała.

- Więc zrób to - mówi.

- Chcę, żebyś wypił płyn do czyszczenia rur - informuje go Gretchen takim tonem, jakby chodziło o gatunek wina, które mają podać na przyjęciu. - Do tej pory zawsze robiłam to szybko. Kiedy trzeba było kończyć, wszyscy pili dużo na raz. Wtedy śmierć przychodzi momentalnie i niespodziewanie. - Jej twarz ożywia się nagle. - Ale z tobą chcę to zrobić bez pośpiechu. Chcę patrzeć, jak doznajesz śmierci. Chcę, żebyś pił ten płyn powoli. Jedną łyżkę dziennie. Chcę sprawdzić, jak długo to potrwa. Jak na ciebie podziała. Nie chcę się spieszyć.

Archie patrzy w jej oczy, utkwione w nim. Niesamowite, myśli, co za straszliwa otchłań psychopatii kryje się pod tą spokojną urodą. Gretchen wyczekująco unosi brwi.

- Czekasz na moje błogosławieństwo? - pyta Archie.

- Mówiłeś, że będziesz grzeczny. Wysłałam przesyłkę do Henry'ego. Tak jak prosiłeś.

- Więc tak to sobie wymarzyłaś? Mam dobrowolnie pić truciznę?

Gretchen kiwa głową, przygryzając wargę.

-Zabiję cię, Archie - oznajmia z niezachwianą pewnością w głosie. - Mogę cię pokroić i wysłać w porcjach twoim dzieciom. Ale możemy też zrobić to po mojemu.

Archie rozważa swoją sytuację. Z całą dokładnością zdaje sobie sprawę, że został postawiony przed niemożliwym wyborem, którego tak czy inaczej musi dokonać. Ta kobieta chce mieć nad nim absolutną władzę. Jego jedyną bronią jest zatrzymanie jakiejś części tej władzy dla siebie - choćby nawet to miało być tylko złudzenie.

- Dobrze - zgadza się cichym głosem. - Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Cztery dni. Dłużej nie wytrzymam. Jeśli to mnie nie zabije w cztery dni, skończysz ze mną w inny sposób.

- Cztery dni. - Gretchen przyjmuje warunek, a jej błękitne oczy lśnią zadowoleniem. - Możemy zacząć od razu?

Archie obserwuje zmianę w jej gestach, w całej mowie ciała, które aż wibruje z podniecenia. Kiwa głową na znak kapitulacji, a ona błyskawicznie zrywa się z krzesła, pochodząc do stołu pod ścianą.

Napełnia szklanę wodą, wyjmując skądś zlewkę pełną przejrzystego złotego płynu i wraca z tym wszystkim do Archiego.

- Będzie parzyło - uprzedza. - Musisz powstrzymać odruch wymiotny. Zatkam ci nos i podam wodę do popicia. - Nabiera ze zlewki pełną łyżkę stołową złocistego roztworu. Podsuwa mu ją pod brodę. Zapach jest znajomy i mdlący. - Jesteś gotowy? - pyta. Archie w tym momencie zupełnie nie jest świadomy konsekwencji tego, co robi. To nie on leży w piwnicy u Gretchen Lowell. To ktoś inny. Otwiera usta, a ona zatyka mu nos, wkłada łyżkę głęboko, aż do samego gardła i przechyla ją, wlewając truciznę. Archie przełyka. Gretchen przystawia mu do ust szklanę z wodą,

a on siorbie pospiesznie, ile tylko zdoła. Gardło i przełyk palą go potwornie, płoną żywym ogniem. Na jedną chwilę powraca świadomość tego, co się z nim stało; każdy nerw w jego ciele szaleje w panicznym przerażeniu. Wszystkie mięśnie twarzy napinają się jak postronki, a Archie wbija zęby w język, żeby nie zwymiotować. Ale po chwili wszystko przechodzi, a on opada na posłanie, dysząc ciężko. Gretchen podtrzymuje mu głowę dłońmi.

- Już, już, cicho - uspokaja go. - Bardzo ładnie ci poszło. - Gładzi go po włosach i całuje kilka razy w czoło. A potem sięga do kieszeni i wyjmuje z niej sześć dużych, białych tabletek. - Dam ci jeszcze kodeiny - wyjaśnia głosem pełnym życzliwości. - Ile tylko zechcesz. Od tej pory dostaniesz każdą ilość.

28

Susan pisała przez całą sobotę, a kiedy drugi artykuł był wreszcie gotowy, dla uczczenia tego wyczynu przygotowała sobie uroczystą kąpiel w pianie. Wielki Pisarz miał w łazience radio, ale Susan nie lubiła słuchać go w wannie. To był dla niej czas rozmyślań. Muzyka zbyt łatwo rozprasza uwagę. Po pół godzinie wylegiwania się pod pianą woda ostygła. Susan sięgnęła stopą do kurka i napuściła gorącej, tyle, ile tylko mogła wytrzymać. Skóra pod linią wody zaróżowiła się, a na twarz wystąpił palący rumieniec. Tak właśnie lubiła: nie czuć nic oprócz gorąca.

Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła się w wodzie jak spłoszona ryba. Wchodząc do wanny, zawsze kładła sobie pod ręką komórkę i słuchawkę aparatu stacjonarnego, ale w tej chwili była tak odprężona, że dała się zaskoczyć. Próbując dosięgnąć bezprzewodowej słuchawki stojącej na brzegu umywalki, strąciła na podłogę niedokończony kieliszek czerwonego wina. Szkło roztrzaskało się na kafelkach, a karminowy płyn opryskał dosłownie wszystko.

- Kurwa - zakląła głośno, biorąc słuchawkę do ręki. Wielki Pisarz miał zestaw ośmiu kieliszków do wina. Do tej pory udało jej się zbić pięć z nich. Ten był szósty. Tak właśnie Susan poruszała się w

świecie: nic, co delikatne i kruche, nie było przy niej bezpieczne. Kiedy siadała z powrotem na dnie wanny, mało brakowało, a słuchawka wyslizgnęłaby się jej z palców i wpadła do mydlanej wody.

- Ian? - zapytała, przykładając telefon do ucha.

- Nie, kotku, to ja.

- O. - Zrobiła co mogła, żeby ukryć rozczarowanie. - Cześć,

- Czytałam twój artykuł.

Susan usiadła prosto, podciągając kolana pod brodę.

- Tak?

- Leaf, wiesz, ta dziewczyna z naszej spółdzielni mieszkaniowej, dała mi gazetę.

Poczuła, jak całe jej ciało zaczyna drżeć od wielkiej przyjemności. Nie lubiła chwalić się przed matką swoją pracą. Nie chciała się przyznawać, że zależy jej na tym, aby Bliss interesowała się tym, co robi.

- Posłuchaj mnie, kochanie - zatrzeszczało w słuchawce. - Wiem, że nie muszę cię uczyć zawodu - pauza - ale nie uważasz, że to jest trochę żerowanie na tych zamordowanych dziewczynach?

Drżenie ustało. Susan z całej siły zacisnęła zęby, czując, jak trą o siebie, a kolejna warstwa szkliva odchodzi w niepamięć.

Zadziwiająca, że jej matka zawsze potrafiła powiedzieć dokładnie to, czego nie powinna.

- Muszę kończyć, Bliss - rzuciła do słuchawki. - Siedzę w wannie.

- W tej chwili?

- Aha. - Płasnęła dłonią o wodę. - Słyszysz?

- W porządku. Później porozmawiamy.

- Spoko.

Rozłączyła się i wyciągnęła w wannie na całą długość, zanurzając głowę powyżej uszu. Leżała tak, dopóki nie poczuła, że jej tętno się uspokoiło. Dopóki żył ojciec, była z matką bardzo blisko; po jego śmierci Bliss zrobiła się nie do wytrzymania. A może to wcale nie ona, tylko Susan? Trudno powiedzieć. Największe boje toczyły się o wannę. Susan kąpała się wtedy dwa albo nawet trzy razy dziennie. Tylko w gorącej wodzie nie było jej zimno.

Uśmiechnęła się do siebie. Archie Sheridan, pomyślała. Trzeba przyznać: w skrytości ducha miała nadzieję, że to właśnie on dzwoni. Był, koniec końców, w jej typie. Nieżonaty. Ale co z tego, kiedy i tak totalnie niedostępny? Gównu. Wiedziała, że sama jest przypadkiem z gatunku beznadziejnych. Ale przynajmniej nie romantycznym wrakiem, a to już coś, prawda?

Dziesięć minut później wyszła z wanny i pozbierała kawałki rozbitego kieliszka rozprysnięte na podłodze. Była jednak tak głęboko zamyślona, że przez nieuwagę skaleczyła się w palec jednym z najmniejszych odprysków. Zawinęła dłoń w białą myjkę (Wielki Pisarz miał ich kilka w łazience) i czekając, aż krew przestanie lecieć, zadzwoniła do Archiego, żeby zapytać, jak idzie śledztwo. Nie zaproponował jej spotkania. Zanim skończyła z nim

rozmawiać, biała myjka miała już czerwoną plamę; kolejna zniszczona rzecz na koncie Susan.

Gałęzie śliw rosnących przed domem, w którym kiedyś mieszkała Gretchen, były obsypane kwiatami. Tak to właśnie jest. Jednego dnia drzewa stoją nagie i martwe jak szkielety, jak wyciągnięte z pogorzelska, a nazajutrz - uginają się pod ciężarem bladoróżowego kwiecia i pysznią własną urodą.

- Chce pan tutaj tak stać? - zapytał taksówkarz.

Archie wsunął telefon komórkowy do kieszeni. - Tylko chwilę - powiedział.

Oparł skroń o rozgrzaną promieniami słońca szybę taksówki, rozkoszując się jej ciepłem. Dom wybudowano w stylu przypominającym z grubsza styl georgiański; wyglądał jak plantatorska rezydencja w skali 2:3. Jego ściany miały kolor bladożółty, a okna były uzbrojone w wysokie białe okiennice. Stał na wzniesieniu; z ulicy do drzwi wejściowych szło się najpierw wyłożoną cegłami ścieżką, a potem schodami o stopniach również ułożonych z cegieł. To był ładny dom. Archie zawsze tak uważał.

Rzecz jasna, nigdy nie należał do Gretchen. Kiedy powiedziała, że wynajęła go na jesień od rodziny, która wyjechała do Włoch, mówiła prawdę. Zrobiła to przez Internet, pod fałszywym nazwiskiem; w ten sam sposób korzystała z domu w Gre-sham.

- Pan co, podglądacz? - Taksówkarz uważnie przyglądał się Archie'emu w lusterku.

- Policjant.

Kierowca tylko prychnął, jakby nie widział różnicy pomiędzy jednym a drugim.

Przez całe rano razem z Henrym przerzucili wielką górę papieru, bo tak właśnie przedstawiała się pomoc obywatelska w sprawie ich śledztwa. Były tam tysiące kartek: listy, zapisy rozmów z linii specjalnej, nawet pocztówki. Przeglądanie tego stanowiło niezmiernie nużące zajęcie. Archie mógł zlecić je komuś innemu, ale dzięki temu miał co robić, a poza tym zawsze istniała szansa, jakkolwiek nikła, że gdzieś pośród tej hekatombi lasu natrafi na informację, której szuka.

W ciągu sześciu godzin przejrzeni prawie dwa tysiące kartek. I nie zbliżyli się ani na jotę do rozwiązania zagadki Dusiciela po Lekcjach.

- Idź do domu - powiedział Henry, a Archie go posłuchał.

Ale kiedy taksówkarz zapytał, gdzie ma jechać, jakoś tak wyszło, że podał mu ten adres.

I tak siedział w taksówce i patrzył, jakby sam widok tej rezydencji mógł pomóc mu zrozumieć to wszystko, co się z nim stało od momentu, kiedy po raz ostatni stanął w jej drzwiach.

Lśniące, czarne audi kombi skręciło z ulicy na podjazd, zatrzymując się przed garażem. Wsiadła z niego ciemnowłosa kobieta i dwaj chłopcy, także bruneci. Kobieta otworzyła bagażnik i wręczyła

starszemu chłopcu papierową torbę z zakupami. Chłopiec zabrał ją i poszedł do domu, a za nim podreptał ten drugi, młodszy. Kobieta wyjęła z bagażnika jeszcze jedną torbę, taką samą, po czym odwróciła się i ruszyła prosto w stronę stojącej przy krawężniku taksówki.

- To ją pan przyjechał podglądać? - zapytał kierowca.

- Nie przyjechałem nikogo podglądać - odpowiedział Archie. Kobieta z zakupami szła z całą pewnością w ich stronę i widać było, że chce coś powiedzieć. Na przykład: po jaką cholere wystajecie pod moim domem z włączonym silnikiem? Archie pomyślał, żeby kazać taksówkarzowi odjechać, ale nie chciał jeszcze bardziej drażnić tej kobiety, która była już dosłownie o dwa kroki, uciekając jej sprzed nosa w chmurze spalin. No i co? Siedzę w taksówce pod pani domem. W takiej okolicy jak ta jest dużo domów. I dużo powodów, żeby stały przed nimi taksówki. Wystarczyło wybrać jeden z tych powodów. Archie otworzył okno i poczekał, aż nieznajoma pokona ostatnie metry. Bardzo się przy tym starał zrobić przyzwoite wrażenie; mógł się nie starać, bo i tak mu nie wyszło.

- Pan jest Archie Sheridan - powiedziała kobieta.

Rozpoznała go. To pozostawiało niewiele przestrzeni do manewru. Na jej twarzy zobaczył pełen troski uśmiech. Przyjrzał się bliżej: nieznajoma była ubrana w czarne legginsy i tego samego koloru bluzę z podwiniętymi rękawami i białą sanskrycką literą na piersi. Strój do uprawiania jogi. Kręcone czarne włosy miała związane w koński ogon. Na oko była po czterdziestce, ale trzymała się świetnie: cieniutkie zmarszczki dookoła ust i oczu widać było prawdopodobnie tylko przy naturalnym oświetleniu.

Archie skinął głową. Tak, to ja. Archie Sheridan. Przypadek beznadziejny. Tym razem wolny, niczym niezwiązany. Do usług. Kobieta wyciągnęła do niego dłoń na powitanie. Ręce miała szczupłe i silne.

- Nazywam się Sarah Rosenberg. Może pomógłby mi pan z tymi zakupami?

Zaprowadziła go do kuchni, obarczywszy torbę z Whole Foods, pełną artykułów spożywczych. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz szedł tak z rękoma pełnymi zakupów; kojarzyło mu się to z jego rodziną, z przyjemnościami normalnego życia. Ale dom był przecież ten sam. Wyglądał zupełnie identycznie. Drzwi, przedpokój, kuchnia. Arenal szedł jak we śnie. Starszy chłopiec, właściwie już nastolatek, zdążył częściowo rozpakować swoją torbę. Olbrzymi kuchenny stół był zarzucony pakowanym jedzeniem: pory, jabłka, ser jakiegoś drogiego gatunku.

- To jest pan detektyw Sheridan - przestawiła Archiego Sa-

Chłopiec wyjął mu z rąk torbę z zakupami.

- Mój syn, Noah. - Mama dokonała drugiej części prezentacji. Noah skinął Archiemu głową.

- Niektórzy koledzy mojego brata nie chcą do nas przychodzić - poinformował go. - Pewnie się boją tamtej kobiety. Jakby wciąż tutaj była i mogła ich porwać.

- Przykro mi - powiedział Archie.

Wszędzie dookoła czuł obecność Gretchen, zupełnie jakby stała tuż obok niego. Czuł nawet jej oddech na szyi. Pokój, który odegrał rolę jej gabinetu, znajdował się za kuchnią, po drugiej stronie drzwi wejściowych. Archie uświadomił sobie, że trzyma rękę głęboko w kieszeni, ściskając kurczowo w palcach swoje pudełeczko z lekarami. Zmusił się do rozluźnienia dłoni.

- Wszystko wygląda mniej więcej tak samo jak wtedy - powiedziała Sarah, układając jedzenie na półkach przepastnej stalowej lodówki.

- Policjanci mówili, że to się stało w moim gabinecie. To prawda? Przetrawiła kilka rzeczy, ale wszystko zostało tak, jak było podczas pana wizyty. - Posłała Archie'emu znaczące spojrzenie. - Jeśli chce pan zajrzeć, proszę.

- Tak - odparł, zanim zdążył pomyśleć. - Chętnie.

Skinęła głową, na znak, że może iść sam. Był jej za to wdzięczny. Zostawił ją razem z synem w kuchni i wszedł do pokoju, w którym Gretchen Lowell podała mu środek odurzający w kawie.

Grube zasłony z zielonego aksamitu były zasunięte, ale pomiędzy nimi jaśniała cienka szczelina, rozcięta promieniami słońca niczym ostrzem noża. Archie włączył żyrandol i połknął dwie tabletki ze swojego pudełeczka.

Dywan był inny. Wymienili go. Może technicy z laboratorium kryminalnego wycięli plamę po kawie; może policjanci nanieśli za dużo błota; a może po prostu właściciele chcieli położyć nowy. Masywne drewniane biurko stało w innej części pokoju, pod ścianą, a nie tak, jak ustawiła je Gretchen, czyli pod oknami, ale poza tym wszystko było tak samo. Biblioteczka z półkami pełnymi książek poustawianych w dwóch rzędach. Zegar szafkowy ze wskazówkami zatrzymanymi na tej samej godzinie: trzeciej trzydzieści.

Wyściełane fotele obite tkaniną w pasy. Archie opadł na ten z nich, w którym siedział podczas rozmowy z Gretchen. Przypomniał sobie już wszystko. Czarną sukienkę z długimi rękawami, którą miała wtedy na sobie, kaszmirowy kardigan w kolorze świeżego masła. Kiedy usiadła, patrzył na jej nogi ze szczerym podziwem; nieszkodliwe i zupełnie oczywiste spostrzeżenie. Był w końcu mężczyzną, a ona była piękna; można mu wybaczyć, że zwrócił na to uwagę.

- Zauważyłam pana kilka razy przed naszym domem. Obejrzał się; w drzwiach pokoju stała Sarah.

- Przepraszam - bąknął Archie. - Ten dom, państwa dom, to ostatnie miejsce, gdzie czułem się dobrze.

- Przeżył pan naprawdę straszne chwile - powiedziała. - Chodzi pan z tym do kogoś?

Archie zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie fotela.

- Boże... - westchnął z uśmiechem. - Pani jest psychiatrą.

- Psychologiem - poprawiła, wzruszając ramionami. - Wykładam na Lewis and Clark College. Tak właśnie Gretchen Lowell na nas trafiła. Ogłosiliśmy się z wynajęciem domu na wydzielonej tablicy informacyjnej. Ale oprócz prowadzenia zajęć mam też pa-cjentów. - Zawiesiła głos. - O ile jest pan zainteresowany.
 - Chodzę na terapię - odparł Arenie, wyszukując wzrokiem miejsce, gdzie upadł, pozbawiony władzy nad własnym ciałem. Nagle załała go fala przerażająco wyraźnych wspomnień. - Co niedzielę.
 - Pomaga to panu? Zastanowił się nad pytaniem.
 - Moja terapeutka używa dość niekonwencjonalnych metod - odpowiedział powoli - ale gdyby ją pani spytała, na pewno byłaby przekonana o ich skuteczności.
 - Miło mi to słyszeć - uśmiechnęła się Sarah.
- Archie ostatni raz rozejrzał się po pokoju, a potem zerknął na zegarek.
- Muszę już iść. Dziękuję, że zaprosiła mnie pani do środka To bardzo uprzejmie z pani strony.
 - To był zawsze mój ulubiony pokój - powiedziała, odwracając wzrok do olbrzymiego okna. - Kiedy te zasłony nie są zaciągnięte, widać śliwy rosnące przed domem.
 - Tak - mruknął Arenie i takim tonem, jakby rozmawiali o jakiejś wspólnej znajomej, dodał:
 - Gretchen też się tutaj podobało.

29

Archie był pewien, że Debbie zadzwoni do niego od razu po przeczytaniu drugiego artykułu Susan, bez względu na to, że jest akurat niedziela i nie minęła jeszcze siódma rano. Wiedziała, że o tej porze Archie już nie śpi. I faktycznie, siedział właśnie na kanapie i przeglądał wydruki miłosnych e-maili Lee Robinson. Czuł się jak kliniczny przypadek chorego na podgląd-dactwo. Tak działa na człowieka poznawanie intymnych myśli zmarłej nastolatki. Był już po śniadaniu, a konkretnie po kawie i rzadkiej jajecznicy; zjadł tylko po to, żeby nie brać vicodinu na pusty żołądek. W niedzielę zawsze wydzieliał sobie kilka tabletek ekstra.

- Czytałeś? - zapytała Debbie.

Archie opadł na oparcie kanapy i zamknął oczy.

- Nie. Opowiedz mi, co tam jest.

- Napisała o Gretchen. O tym, co ci zrobiła.

Nie wiedzą nawet połowy z tego, co mi zrobiła, pomyślał.

- Świetnie. Są jakieś zdjęcia?

- Jedno twoje i jedno Gretchen.

Otworzył oczy. Przed nim, na stoliku, leżały tabletki vicodi-nu.

Ułożył je w rzędzie. Wyglądały jak białe zęby.

- Gretchen? Które?

- Policyjne, z aresztowania.

Archie znał to zdjęcie. To był pierwszy ślad, jaki Gretchen pozostawiła w policyjnych bazach danych. Aresztowano ją w Salt Lake City w 1990 roku za zapłatę fałszywym czekiem. Miała dziewiętnaście lat, wychudłą twarz i tapirowane włosy do ramion, a kiedy ją fotografowano, zrobiła wystraszoną minę. Archie pozwolił sobie na mały uśmiezek.

- Świetnie. Nie znosi tego zdjęcia. Wkurzy się. Coś jeszcze? - Wziął w palce jedną tabletkę i zaczął się nią bawić.

- Susan Ward zapowiada ujawnienie krwawych faktów dotyczących twojego porwania, o którym wszyscy mówili, a każdy chciałby wiedzieć, jak było naprawdę.

- Świetnie. - Archie wsunął tabletkę do ust i przez chwilę trzymał ją na języku, kontemplując gorzki, kredowy posmak. Potem popił vicodin wystygłą czarną kawą.

- Posługujesz się nią - wytknęła mu Debbie. Mówiła cicho, a on niemalże czuł jej gorący oddech na szyi. - To nie fair z twojej strony.

- Posługuję się sobą samym. Ona spełnia tylko rolę nagłośnienia.

- A dzieci?

Opiaty zawsze działały na niego tak, że kiedy dotykał swojej głowy, czaszka wydawała mu się miękka, jak u noworodka. Przesunął palcami po włosach na potylicy. Kiedy Ben miał dziesięć miesięcy, spadł ze stolika do przewijania. Pękła mu kość czaszki. Zawieźli go do szpitala i przesiedzieli całą noc na izbie przyjęć. Nie, poprawił się w myślach: Debbie siedziała tam całą noc. On nad ranem wyjechał. Dostał wezwanie. Do kolejnej ofiary Wirtuoza. Tyle razy zostawiał Debbie i szedł do Gretchen. Pamiętał z całą dokładnością wszystkie miejsca zbrodni. Każdy szczegół. Ale tego, ile dni Ben leżał w szpitalu, nie potrafił sobie przypomnieć. Tak samo jak tego, gdzie dokładnie się uderzył.

- Jesteś tam? - odezwał się w słuchawce bezcielesny głos Debbie. - Powiedz coś, Archie.

- Przeczytaj dzieciom ten artykuł. To im pomoże zrozumieć.

- Wystraszają się na śmierć. - Przerwała, zawiesiła głos. - Masz taki głos, jakbyś był na haju.

Wydawało mu się, że jego głowa jest pełna waty namoczonej w ciepłej wodzie zmieszanej z krwią.

- Czuję się dobrze. - Wziął w palce jeszcze jedną tabletkę, turlając ją między opuszkami.

- Dziś jest niedziela. Chcesz jechać do niej na haju? Uśmiechnął się do swojej tabletki

- Ona to lubi.

Prawda. Pożałował jej, zanim jeszcze te słowa zdążyły przebrzmieć. Słuchawka zaciążyła nagłą ciszą. Archie czuł wyraźnie, jak Debbie oddala się od niego o kolejny mały krok.

- Rozłączam się - powiedziała.

- Przepraszam - wymamrotał, ale jej już nie było.

Kiedy dziesięć minut później jeszcze raz zadzwonił telefon, Archie

myślał, że to znów Debbie i odebrał już po pierwszym dzwonku. Ale to nie była Debbie.

- Mówi Ken, z Salem. Mam dla pana wiadomość. Od Gret-chen Lowell.

Bomby zostały zrzucone, pomyślał Archie.

30

Susan obudziła się blisko dwie godziny później. Głowa pękała jej z bólu, a żołądkiem targały nudności. Wypiła wczoraj do końca tę otworzoną do kąpieli butelkę wina. Na czczo. Przewróciła oczami, nie mając pojęcia, dlaczego zrobiła sobie taką krzywdę. Opuściła stopy na podłogę i usiadła na łóżku, podpierając się rękami dla utrzymania równowagi; słyszała wyraźnie, jak jej skatowany mózg wyje o litość. Wstała, poszła do łazienki i nalała sobie dużą szklanekę wody. Popiła nią trzy ibuprofeny. Zauważyła, że w nocy spadł jej plaster, którym zakleiła skaleczony palec.

Obejrzała ranę. Zrobił się na niej strup, brzydki, czerwony półksiężyc. Poszła nago do kuchni, żeby nastawić kawę, a potem usiadła na niebieskiej kanapie Wielkiego Pisarza i skręciła sobie jointa.

- Wyłącznie w celach terapeutycznych - oznajmiła głośno wszystkim ewentualnie zainteresowanym.

Dzień był jasny i pogodny. Jej okna wychodziły na północ, więc o tej porze słońce jeszcze do nich nie dotarło, ale nad dachem budynku naprzeciwko widać było skrawek czystego, błękitnego nieba. W jasnym świetle świat zawsze wydawał się Susan szczególnie mrocznym miejscem. A z kolei blask słońca miał dla niej w sobie coś złowieszczy. Kiedy wypaliła już jointa do połowy i piła drugą kawę, ktoś zadzwonił do drzwi.

Susan zgasiła skręta w popielniczce i schowała go starannie w rzeźbionym drewnianym pudełku. Owinąwszy się szczelniej kimonem, otworzyła. Za drzwiami stał detektyw Henry Sobol. Jego łysa czaszka połyskiwała w świetle lamp z korytarza.

- Dzień dobry, pani Ward - przywitał się. - Ma pani może kilka godzin wolnego czasu?

- A na co miałabym je poświęcić?

- Archie pani wyjaśni. Czeka na dole, w samochodzie. Za cholerę nie mogłem zaparkować. Pełno tu u pani jakichś porąbanych snobów.

- To prawda, z nimi nie ma lekko. Mogę się przebrać? Za kilka minut będę gotowa.

Skłonił się, robiąc wspaniałomyślną minę. - Poczeka tutaj.

Susan zamknęła drzwi i wróciła do pokoju, żeby się przebrać. Po chwili dotarło do niej, że szczerzy zęby w szerokim uśmiechu.

Dobry znak. Chyba nastąpił przełom w śledztwie. A to oznacza więcej materiału. Wciągnęła na siebie parę obcisłych, modnie po-

rozdzieranych dżinsów, a do tego białą koszulę w prążki, z długim rękawem; w jej mniemaniu to był styl francuski. Przeczesła swoje różowe włosy. Śmierdziały alkoholem i papierosami. Miło byłoby wziąć teraz prysznic, ale czas nie pozwalał.

Wygrzebała z szafy parę kowbojskich butów, złapała dyktafon i notatnik, wepchnęła do torebki całą butelkę ibuprofenu i ruszyła do drzwi.

Nieoznakowany służbowy ford crown victoria detektywa Sobola stał z niewyłączonym silnikiem przed wejściem do domu. Po prawej stronie z przodu siedział Archie Sheridan, przeglądając jakieś dokumenty, które miał rozłożone na kolanach. Zimowe słońce wiszące na czystym, bladobłękitnym niebie było niemalże białe. Samochód lśnił i błyszczał w jego promieniach. Wsiadając, Susan spojrzała lękliwie w górę. Kolejny piękny dzień, cholera jasna.

- Dzień dobry - westchnęła, wsuwając na nos nieco za duże ciemne okulary. - Co się dzieje?

- Napisałaś list do Gretchen Lowell. - Ton Archiego był rzeczowy i spokojny.

- Zgadza się.

- Prosiłem, żebyś tego nie robiła.

199

- Jestem dziennikarką - przypomniała mu. - Muszę zbierać informacje.

- No cóż. Udało ci się ją zaintrygować tym listem i swoimi artykułami. Chce cię poznać.

Susan poczuła, jak jej ból głowy ulatnia się momentalnie.

- Poważnie?

- Zgadzasz się?

Wcisnęła się pomiędzy przednie siedzenia. Jej twarz promieniała dzikim entuzjazmem.

- Żartujesz? Kiedy? Teraz?

- Właśnie tam jedziemy.

- To jedźmy - powiedziała, poklepując niecierpliwie zagłówek fotela, na którym siedział Archie. Może wyjdzie mi z tego cała książka, pomyślała.

Archie odwrócił się do niej, a powaga malująca się na jego wynędzniałej twarzy natychmiast zdusiła płomienny zapal Susan.

- Gretchen jest chora psychicznie - poinformował ją. - Interesuje się twoją osobą, ale na tyle, na ile będzie mogła tobą manipulować. Jeśli pojedziesz z nami, będziesz musiała wykonywać moje polecenia i panować nad sobą.

Susan przywołała na twarz minę pełną zawodowej powagi.

- Jestem znana ze swojej powściągliwości - zapewniła go.

- Pożałuję tego, sam zobaczysz - powiedział Archie do Hen-ry'ego.

Henry wyszczerzył do niego zęby, opuścił na nos okulary przeciwsłoneczne, które miał odsunięte wysoko na czoło i wrzucił bieg.

- A w ogóle to skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? - zapytała Susan, kiedy wjeżdżali na autostradę prowadzącą w kierunku południowym.

- Jestem detektywem. Wykryłem - odparł Archie.

Susan była bardzo zadowolona, że nie zastali u niej Iana. W swoim niedużym mieszkanku nie bardzo miała gdzie schować człowieka i Henry musiałby go zobaczyć, a wtedy na pewno powiedziałby o wszystkim swojemu kumplowi. Jasne, Archie wiedział, że Susan sypia z Ianem, ale to jeszcze nie znaczy, że trzeba mu o tym przypominać. Wcale tego nie chciała, a wręcz przeciwnie - miała nadzieję, że w ogóle wymaże tamto niefortunne wyznanie z pamięci.

- W każdym razie dobrze się stało, że byłam sama - powiedziała. - Mogłam wszystko rzucić i wyjść w jednej chwili.

Kątem oka zauważyła, że Henry jakby się uśmiechnął.

- No, bo gdybym miała na przykład gościa - ciągnęła dalej - to bym była zajęta. Ale nie miałam żadnych gości. Byłam sama. Więc miałam czas. - Skubnęła białe nitki otaczające jedną z dziur na udzie. - Mówię to tak na wszelki wypadek, gdyby, wiesz, przyszło ci to do głowy.

- Nie mój interes - mruknął Archie, nie odrywając oczu od swoich dokumentów.

Susan oblała się rumieńcem.

Mieli przed sobą godzinę jazdy do więzienia. Dziennikarka skrzyżowała ręce na piersi, usiadła wygodnie i zmusiła się do oglądania widoków za oknem.

- No właśnie - powiedziała w stronę Archiego. - Wiem.

Dlaczego ja cały czas muszę coś mówić, pomyślała, obiecując sobie solennie, że nie odezwie się już ani słowem, dopóki Archie albo Henry czegoś do niej nie powiedzą.

Jechali w milczeniu.

Oregońskie więzienie stanowe był to kompleks szarosinych budynków najprzeróżniejszej proveniencji, otoczony murem z drutem kolczastym na szczycie. Znajdował się niedaleko zjazdu z autostrady. Były tam zarówno bloki o minimalnym stopniu zabezpieczenia, jak i o zaostrowym rygorze, część męska oraz żeńska, a także jedyne w całym stanie cele dla skazanych na śmierć. Susan na studiach przejeżdżała tędy setki razy, wracając z uczelni do domu, ale nigdy jakoś nie miała okazji zwiedzić tej instytucji, chociaż trudno też powiedzieć, żeby wypatrywała takiej okazji. Henry zaparkował wóz w pobliżu wejścia, na miejscu zarezerwowanym dla policji. Na schodach prowadzących do jednego z głównych budynków kompleksu czekał na nich mężczyzna w średnim wieku, ubrany w zawodowo wyprasowane spodnie koloru khaki i koszulkę golfową. Opierał się o barierkę, splótłszy ręce na piersi. Miał łagodną twarz, wysokie czoło i bardzo wyraźnie rysujący się pod koszulą brzuch. Przy pasku wisiała mu komórka i zawa-

diacka skórzana saszetka. Prawnik, pomyślała ponuro Susan. Kiedy wysiedli we trójkę z samochodu, mężczyzna podszedł do nich.

- W jakim jest nastroju? - zapytał go Archie.

- Wkurzona - odpowiedział prawnik, ocierając ciekący nos chusteczką z białego materiału. - Jak co niedzielę. To ta dziennikarka?

- Mhm.

Mężczyzna wyciągnął do Susan nieumytą rękę. Podała mu swoją z niejakim wahaniem. Uścisk dłoni miał mocny i pewny, jak ktoś, komu zależy na tym, żeby zrobić z niego jak najlepszy użytek.

- Darrow Miller - przedstawił się. - Zastępca prokuratora okręgowego.

- Darrow? - powtórzyła, rozbawiona*.

- Zgadza się - przytaknął, nie wyglądając na urażonego, Mój brat ma na imię Scopes. I to jest ostatni dowcip, na jaki so-bie dziś pozwoliliśmy.

* Clarence Darrow - amerykański prawnik, obrońca w słynnym procesie Johna Thomasa Scopesa, oskarżonego w 1925 r. o złamanie uchwalonej przez władze stanu Tennessee ustawy zakazującej wykładania w szkołach teorii ewolucji (przyp. tłum.).

Mężczyźni szli szybkim krokiem. Susan ledwie mogła za ni nadążyć. Wszyscy trzej poruszali się po szerokich korytarzach gmachu więzienia ze swobodą stałych bywalców, znających na pamięć każdy zakręt i każde schody. Po drodze trzeba było przejść przez dwa punkty kontrolne. W pierwszym strażnik sprawdził dokumenty, zapisał nazwiska w księdze odwiedzających i postawił każdemu pieczętkę na dłoni. Henry i Archie, nie przerywając sobie rozmowy, złożyli u niego broń do depozytu i ruszyli dalej. Susan, która szła kilka kroków za nimi, została za-

trzymana przez strażnika, niewysokiego, żylastego faceta w jasnobrązowym mundurze. Stał jej na drodze, z pięściami wspartymi na biodrach, jak superbohater z kreskówki.

- A ulotki to pani nie czytała? - zapytał, powoli cedząc słowa, jakby mówił do dziecka. Był od niej niższy, więc musiał zadzierać głowę. Susan natychmiast się zjeżyła.

- W porządku, Ron - wtrącił się Archie. - Pani jest ze mną. Krępy strażnik przez chwilę przyglądał się jej, przygryzając policzek od środka, potem zerknął z ukosa na Archiego, skinął głową i odstąpił na bok.

- Ulotki to już nikt nie czyta - mruknął pod nosem.

- Co ja mu zrobiłam? - zapytała Susan po kilku krokach.

- Oni tutaj nie lubią, jak goście przychodzą w dzinsach - wyjaśnił jej Archie. - Więźniowie noszą ubrania z niebieskiego drelichu i można się pomylić.

- Ale na pewno nie tak szpanersko podarte jak moje.

- Zdziwiłabyś się. - Archie błysnął uśmiechem. - Są nadzwyczaj

kreatywni.

Stanęli przed bramką z wykrywaczem metali. Archie przeszedł przez nią bez żadnych problemów, ale Susan, zanim zdążyła wejść, znów została zatrzymana, tym razem przez grubą strażniczkę.

- Ma pani na sobie biustonosz? - padło pytanie. Dziennikarka oblała się rumieńcem.

- Co proszę?

Strażniczka spojrzała na nią z najwyższym znudzeniem.

- Jest zakaz noszenia biustonoszy z metalowymi fiszbinami.

Wykrywacz metali to sygnalizuje.

Susan nie wiedziała, czy to tylko jej wyobraźnia, ale miała wrażenie, że nagle wszyscy zaczęli się gapić na jej koszulę.

- Aha - powiedziała. - Nie, nie. Ja noszę koronkowe haleczki. Żadne staniki na mnie dobrze nie leżą. Nigdzie nie mogę znaleźć takich z małą miseczką, ale na szerokich ramiączkach. Wie pani, jak to jest.

- Uśmiechnęła się uroczo do strażniczki, patrząc na jej ogromny biust. Kobieta miała piersi wielkości arbuzów. I zapewne całe mnóstwo własnych problemów z kupowaniem staników.

Strażniczka przyglądała jej się przez chwilę, a potem westchnęła.

- Ma pani na sobie biustonosz z fiszbinami? - powtórzyła pytanie

- Aha. Nie.

- To może łaskawie się pani ruszy i przejdzie przez tę bramkę.

- To tutaj - oznajmił Archie, otwierając niczym nieoznaczone stalowe drzwi. Susan weszła do środka, a za nią Henry i prokurator Miller. Znaleźli się w salce o betonowych ścianach, z imponujących rozmiarów weneckim lustrem, przez które widać było całe sąsiednie pomieszczenie. Zupełnie jak w telewizji. Susan rozglądała się, oczarowana. Salka była ciasna i niska, a pod oknem stał długi składany stół z metalowym blatem, zajmujący prawie całą przestrzeń. Skrawek wolnej podłogi był minimalnie szerszy od przejścia pomiędzy siedzeniami w samolocie. Przy stole siedział mężczyzna o latynoskich rysach. Przed sobą miał monitor komputera, ekran telewizyjny pokazujący obraz z kamery pod sufitem w pomieszczeniu obok oraz schludnie rozłożony obiad z Taco Bell: równy stosik serwetek, taki sam rząderek torebek z pikantnym sosem i dwa taco, jedno zjedzone do połowy, drugie nietknięte, czekające na swoją kolej. W całej salce unosił się zapach odgrzewanej fasoli i taniego sosu.

- To jest Rico - przedstawił Archie, wskazując Latynosa ruchem podbródka.

Rico uśmiechnął się szeroko do Susan.

- Jego prawa ręka - dodał.

- Myślałam, że jego prawa ręka to Henry - zdziwiła się.

- A nie - wyszczerzył się Rico. - Henry to jego partner. Prawa ręka - to ja.

Archie też się uśmiechnął, ale raczej blado.

- Poczekaj tu - polecił Susan. - Zaraz po ciebie wrócę. Wyszedł z salki.

- Oto i Zła Królowa. - Rico skinął głową w kierunku pomieszczenia za weneckim lustrem.

Susan podeszła do szklanej tafli. To była jej pierwsza okazja, żeby dobrze się przyjrzeć Gretchen Lowell. Morderczyni siedziała na wprost przed nią, żywe wcielenie opanowania i pewności siebie. Dżinsowe wdzianko: spodnie i bluza z napisem „Więzień” na plecach zupełnie do niej nie pasowało. Susan, rzecz jasna, nieraz widziała ją na zdjęciach. Gazety uwielbiały je drukować, bo Gretchen Lowell była bardzo piękna. Piękna seryjna morderczyni. Idealne połączenie. A każda olśniewająca kobieta jest zdolna do morderstwa, zdawały się mówić te fotografie. Ale teraz, widząc ją na własne oczy, Susan zobaczyła, że Gretchen Lowell jest jeszcze piękniejsza. Miała duże, bladobłękitne oczy, a jej twarz była idealnie symetryczna: kształtem zbliżona do serca, z szerokimi kośćmi policzkowymi, smukłym nosem i drobnym podbródkiem. Skóra mlecznobiała, jakby bez kropli krwi. Włosy, które w momencie aresztowania miały najjaśniejszy odcień blond, teraz były płowe i szesane do tyłu, w wysoko upięty koński ogon, odkrywając długą, arystokratyczną szyję. To nie była ładna kobieta. Takie określenie zupełnie do niej nie pasowało. „Ładna” mówi się raczej o dziewczynie. Gretchen Lowell była piękna, w bardzo dorosły sposób, wyrafinowany, dojrzały. Za nią stało coś więcej niż samo piękno: siła świadomego piękna. Biła od niej aura tej siły. Susan patrzyła, zauroczona.

Stała przed szybą, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Do sali za weneckim lustrem wszedł Archie. Głowę miał zwieszoną, a pod pachą niósł teczkę z dokumentami. Zamknął za sobą stalowe drzwi i przez chwilę tkwił nieruchomo, odwrócony tyłem, jakby zbierał się w sobie. Potem odetchnął, wyprostował plecy i stanął twarzą do kobiety siedzącej przy stole. Spojrzenie miał ujmujące i sympatyczne; można by powiedzieć, że przyszedł na kawę do starej znajomej.

- Witaj, Gretchen - przemówił.

- Dzień dobry, kochany. - Odpowiedzią było przekrzywienie głowy i uśmiech. To nagłe ożywienie jeszcze dodało jej rysom blasku. Uśmiech nie był fałszywy, jak u miss piękności, ale autentycznie ciepły i uradowany. Z drugiej strony, uznała Susan po chwili namysłu, możliwe też, że ta kobieta jest mistrzynią - arcy-mistrzynią - fałszywego uśmiechu miss piękności. Kiedy Gretchen wyjęła ręce spod stołu i położyła dłonie na blacie, dziennikarka zauważyła kajdanki na jej nadgarstkach. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć nogi - tak samo skrępowane. Olbrzymie błękitne oczy Gretchen otworzyły się szerzej, błysnął w nich figlarny ognek.

- Przywiozłeś mi coś? - zapytała Archiego.

- Za chwilę ją przyprowadzę - obiecał. Susan zrozumiała, że mówią o niej; przeszył ją przejmujący dreszcz.

Archie podszedł do stołu i bardzo ostrożnie otworzył przyniesioną teczkę. Wyjął z niej pięć fotografii formatu 20 na 25 cm. Rozłożył je

po kolei przed Gretchen.

- Która to? - zapytał krótko.

Gretchen wytrzymała spojrzenie, a z jej twarzy nie zniknął bardzo udatny wyraz sympatii. Po chwili, ledwie rzuciwszy okiem na stół, położyła dłoń na jednym ze zdjęć.

- Proszę. - Jej uśmiech stał się nieco szerszy. - Czy teraz już możemy się pobawić?

- Zaraz wracam - odparł Archie.

Kiedy zjawił się z powrotem w salce z weneckim lustrem, pokazał wszystkim fotografię wskazaną przez Gretchen. Widniała na niej młoda Latynoska, na oko dwudziestolatka. Miała krótkie czarne włosy, a na twarzy niemądry uśmiech. Jedną ręką obejmowała kogoś, kto został wycięty z fotografii, drugą pokazywała dwa palce złożone w znak wiktorii.

- To ta - powiedział krótko Archie.

- Kto to jest? - zapytała Susan.

Rico obrócił się do niej na swoim stołku.

- Gloria Juarez, lat dziewiętnaście. Studentka. Zaginęła w Utah w dziewięćdziesiątym drugim roku. Dziś rano Gretchen podała nam jej nazwisko i obiecała wskazać miejsce ukrycia zwłok, jeśli przyprawimy cię na widzenie.

- Dlaczego akurat mnie? - spłoszyła się Susan.

- To był mój pomysł - odpowiedział jej Archie. Zamknął na chwilę oczy i przesunął dłonią po swoich ciemnych włosach. Przez chwilę patrzył w sufit, aż wreszcie zaczął: - Od prawie sześciu miesięcy nie doprowadziła nas do żadnej ze swoich ofiar.

Wymyśliłem sobie, że może uda mi się ją trochę poruszyć, jeśli w „Heraldzie” ukaże się artykuł na mój temat. Ona jest bardzo zazdrosna. Gdyby się dowiedziała, że utrzymuję bliski kontakt z dziennikarką, na tyle bliski, żeby rozmawiać z nią o pewnych sprawach, to być może zechciałaby dać mi... - urwał, szukając właściwych słów - ...dowód sympatii.

Susan rozejrzała się po twarzach ludzi zgromadzonych w ciasnej salce. Wszyscy na nią patrzyli. Czekali, jak zareaguje.

- Czyli wydać zwłoki którejś ze swoich ofiar? - przełożyła słowa Archiego.

- Tak. Przez cały zeszły rok nie rozmawiała z nikim oprócz mnie. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Nie przyszło mi do głowy, że będzie chciała się z tobą zobaczyć.

Posłuzyli się mną, pomyślała Susan. Kurwa. Nie znoszę tego.

Spojrzała na Gretchen siedzącą za weneckim lustrem z oczami utkwionymi w blacie stołu. Wzór dobrego zachowania. Okaz rasy genetycznie wyższej. Dlaczego musi być tak nieskazitelnie piękna?

- Czy to dlatego zgodziłeś się na te artykuły? Bo myślałeś, że to ci pomoże wyciągnąć od niej, gdzie ukryła zwłoki swoich ofiar? - Susan potoczyła wzrokiem dookoła, czekając, aż ktoś się odezwie. Prawnik o imieniu Darrow potarł dłonią czerwony kark i kichnął. Rico wbił oczy w swój obiad. Henry stał z założonymi rękoma, oparty o

ścianę, wyglądając jakiegoś sygnału ze strony Archie-go. Każdy z nich wiedział, o co w tym wszystkim chodziło.

Archie zbliżył się do Susan.

- Jeśli ona zacznie myśleć, że coś nas łączy, będzie chciała wzmocnić swoją władzę nade mną i wyda mi więcej swoich ofiar. - Rzucił okiem przez weneckie lustro, zatrzymał wzrok na Gret -chen, po czym wrócił do Susan. - Rozmawialiśmy o twoich artykułach. Ona je czytała. Dlatego właśnie wybrałem ciebie.

Spojrzenie, bijące spod jego ciężkich powiek, wyrażało jednocześnie skrucę i determinację, ale oprócz tego coś jeszcze. Było coś w wyrazie jego twarzy, jakieś spóźnione o pół sekundy echo. I po pół sekundzie Susan zrozumiała. Jezu Chryste, przemknęło jej przez głowę. On jest naćpany.

- Pomóż mi - poprosił Arenie.

Naćpany. To te jego prochy. Dostrzegła błysk w jego oku; zauważył, że się domyśliła. Mógł powiedzieć, że na wszystko ma receptę, że musi brać środki przeciwbólowe. Ale on nie próbował się tłumaczyć. Roześmiał się tylko.

- Kurwa - zaklął, przecierając oczy dłonią i oparłszy czoło o szybę, zapatrzył się na Gretchen Lowell. Nikt nie odezwał się nawet słowem. Susan wydawało się, że słyszy tykanie czyjegoś zegarka. Prokurator wytarł sobie nos. Wreszcie Archie obejrzał się z powrotem na Susan.

- Źle zrobiłem, że cię tu przywiozłem. Przepraszam. Dziennikarka ruchem głowy wskazała weneckie lustro.

- Czego ona ode mnie chce? - zapytała.

Archie zmierzył ją wzrokiem. Potarł palcami wargi, przeczesał włosy.

- Chce cię ocenić. Sprawdzić, co wiesz.

- O tobie.

- Mhm - przytaknął, kiwając głową.

- Co mam jej powiedzieć? Zrobię, co zechcesz. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Mów prawdę. Ona ma wbudowany niesamowicie czuły wykrywacz kitu. Ale ostrzegam: jeśli pójdziesz ze mną do tamtej sali, Gretchen przejedzie się po tobie, i to ostro. To nie jest miła osoba i do tego cię nie lubi.

Susan spróbowała się uśmiechnąć.

- Jestem czarującą dziewczyną.

Na pobrużdżonej twarzy Archiego malował się wyraz śmiertelnej powagi.

- Ona czuje z twojej strony zagrożenie i będzie złośliwa. Musisz to rozumieć.

Susan położyła dłoń na szybie, tak, że głowa Gretchen Lowell znalazła się pomiędzy końcem jej kciuka i palca wskazującego.

- Będę mogła o tym napisać? - zapytała.

- Nie mogę ci tego zabronić.

- To prawda.

- Ale żadnych długopisów w tamtej sali - oświadczył Archie bezwzględny tonem.

- Dlaczego?

Odwrócił oczy, spoglądając na Gretchen za szybą. Susan widziała, jak jego wzrok wędruje po jej szyi, ramionach, dłoniach. Tak się błędzi spojrzeniem po ciele kochanki, pomyślała.

- Bo nie chcę, żeby wbiła ci ten długopis w gardło - odpowiedział Archie na jej pytanie.

31

Gretchen - powiedział Archie - to jest Susan Ward. Susan, poznaj Gretchen Lowell.

Nagle dziennikarce wydało się, że w tej salce brakuje tlenu. Przez chwilę stała w miejscu jak kołek, nie wiedząc, co robić. Może podać Gretchen rękę? Nie. Przecież siedzi w kajdankach. To seryjna morderczyni. Tylko spokojnie, powtórzyła w myślach Susan po raz dziesiąty, chociaż minęło dopiero pół minuty. Przysunęła sobie krzesło, ustawiając je naprzeciwko Gretchen, po drugiej stronie stołu. Krzesło szurnęło przeraźliwie po podłodze, a jej zrobiło się głupio, że jest taka niezdarna. Puls galopował.

Pęcherz cisnął. Dlaczego nie poszłam się wysikać, pomyślała Siadając na krześle, wstydliwie unikała wzroku Gretchen, myśląc z zażenowaniem o swoich idiotycznych, podartych dzinsach i żałując, że przed wejściem tutaj nie uczesała włosów. Archie usiadł obok. Susan zmusiła się do spojrzenia przed siebie, na drugą stronę stołu. Gretchen uśmiechnęła się do niej. Z bliska jej uroda była jeszcze bardziej zniewalająca. Jasna cholera, zgrzytnęła w myślach dziennikarka.

- No proszę, jaka śliczna dziewczuszka - zaszczebotała Gretchen. - Jak z kreskówki.

Susan nigdy w życiu się tak nie wstydziła swoich głupich różowych włosów ani dzieciennych strojów. Ani tego, że jest płaska jak decha.

- Pisziesz niezłe teksty - mówiła dalej Gretchen, śpiewnie modulując głos, tak, żeby Susan nie potrafiła się domyślić, czy szczerze ją chwali czy tylko sobie kpi.

Dziennikarka położyła swój dyktafon na stole, cały czas usiłując przy tym uspokoić wariacko bijące serce.

- Mogę nagrywać? - zapytała, starając się zrobić profesjonalne wrażenie. W pomieszczeniu unosił się zapach przemysłowego środka odkażającego. Toksyczny opar.

Gretchen przekrzywiła głowę, wskazując lustro, zza którego ich obserwowano.

- I tak wszystko się nagrywa. Susan spojrzała jej w oczy.

- Proszę. To taki mój kaprys.

Gretchen uniosła brwi i skinęła przyzwalająco głową.

Susan wcisnęła klawisz nagrywania, mając nieprzyjemne, lecz

nieodparte wrażenie, że ta kobieta ją pochłania. Czuła się jak kochanka, której nagle przedstawiono piękną i elegancką żonę mężczyzny, z którym sypia. Pasowała do tej roli; ironia owego faktu nie umknęła jej uwagi. Zerknęła na Archiego, czekając na jakiś znak, na wskazówkę, co ma teraz zrobić, jak się zachować.

Detektyw siedział wygodnie na krześle, złożone ręce trzymał na kolanach i nie spuszczał wzroku z Gretchen. Była jakaś niewymuszona swoboda w ich wzajemnym odnoszeniu się do siebie. Jakby znali się od urodzenia. Ohyda. Debbie miała rację.

- Podobasz się jej - powiedziała Gretchen przekornym tonem, patrząc na Archiego.

Detektyw położył przed sobą na stole swoje blaszane pudełeczko, wyjęte z kieszeni.

- To dziennikarka - przypomniał, obracając je palcem w prawo, dookoła własnej osi. - Kiedy ma o kogoś pisać, jest dla niego miła, żeby mówił jej to, co chce wiedzieć. Taką ma pracę.

- A ty mówisz jej to, co chce wiedzieć?

- Tak - odpowiedział, wciąż patrząc na pudełko.

- Ale nie wszystko. Podniósł głowę.

- Oczywiście, że nie. - Posłał Gretchen znaczące spojrzenie. To ją, zdaje się, zadowoliło, bo zwróciła się z kolei do Susan:

- Jakie masz pytania?

- Pytania? - powtórzyła, spłoszona.

Gretchen wskazała jej dyktafon. Nosiła kajdanki w taki sposób, jakby to były bransolety; pyszne, drogocenne błyskotki, budzące równie wielki podziw, co zazdrość. - Przecież chyba w tym celu tutaj przyszedł z tym swoim magnetofonikiem, nastroszona jak kwoczek? Chcesz zrobić ze mną wywiad. Bez tego nie możesz pisać o Archim Sheridanem. To dzięki mnie jest dzisiaj tym, kim jest. Gdyby nie ja, nie byłoby jego kariery.

- Pocieszam się myślą, że mógłbym trafić na innego mordercę-psychoopatę, chorego do kompletu na manię wielkości - westchnął Archie. - Jest ich jeszcze kilku.

Gretchen jakby w ogóle tego nie usłyszała.

- Proszę bardzo - skinęła na Susan. - Pytaj o co chcesz. Myśli dziennikarki gonily jedna drugą z prędkością światła.

Setki razy układała sobie listę pytań, które zadałaby Gretchen Lowell, gdyby tylko miała okazję, ale nigdy nie wierzyła, że to naprawdę jest możliwe. A teraz miała w głowie wielką pustkę. W ustach jej zaschło, z trudem poruszała językiem i wargami. Tyle dobrego, że pęcherz przestał cisnąć. Weź się w garść, zbesztala się w myślach. Zapytaj ją o coś. O byle co. O pierwszą rzecz, jaka przyjdzie ci do głowy.

- Dlaczego porwała pani Archiego Sheridana?

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zauważyła, że Gretchen Lowell ma gładką, lśniącą skórę. Ciekawe, czy w więzieniu można używać kremów, pomyślała. A może po prostu robi sobie maseczki, kiedy w jadłospisie pojawiają się truskawki. Gretchen pochyliła się nad

stołem.

- Chciałam go zabić - oznajmiła radośnie. - Zadać mu najciekawsze i najbardziej bolesne tortury, jakie można sobie wyobrazić, a na koniec usłyszeć, jak błaga mnie, żebym poderżnęła mu gardło.

- I błagał? - Susan ledwie mogła mówić. Gretchen spojrzała na Archiego z uwielbieniem.

- Mam odpowiedzieć, kochany?

- Błagałem. - Archie odpowiedział sam, bez chwili zastanowienia. Położył na stole otwartą dłoń, umieścił na niej swoje pudełko i zapatrzył się na nie.

- A jednak go nie zabiłaś - powiedziała Susan.

- Zmiana planów. - Gretchen wzruszyła ramionami, robiąc bezradną minę.

- Dlaczego właśnie on?

- Doskwierała mi nuda, a on wykazywał szczere zainteresowanie moją pracą. Pomyślałam, że chciałby zobaczyć z bliska, jak to się robi. A czy teraz ja mogę zadać tobie jedno pytanie?

Susan drgnęła nerwowo, zastanawiając się, jak ma zareagować. Gretchen nie dała jej czasu do namysłu. Zadała swoje pytanie, ale nie patrzyła na nią. Świdrowała wzrokiem Archiego. A Archie nie odrywał oczu od pudełka.

- Rozmawiałaś już z Debbie? Co u niej słyhać? - Głos Gretchen brzmiał troską, jakby chodziło o starą, dobrą znajomą: Co u Debbie? Ach, cudownie! Niedawno przeprowadziła się do Des Moines. Wyszła za męża, urodziła dwójkę dzieci. Pozdrawia serdecznie.

Susan zerknęła jeszcze raz na Archiego. Nie wpatrywał się już w pudełko; obserwował Gretchen. Ale zamarł w absolutnym bezruchu, nie drgnął nawet. Błyszczący pojemniczek połyskiwał na jego otwartej dłoni. Między nimi dwójkiem nagle narosło olbrzymie napięcie, Susan poczuła, jak jej żołądek skręca się w twardą kulę.

- Nie powinnam chyba odpowiadać na to pytanie - wyjąkała cicho, znacznie ciszej, niż zamierzała. Czuła się jak nastolatka, jakby cofnęła się do czternastego roku swojego życia. To wrażenie było tak dojmujące, że zaczerwieniła się po same uszy.

- Znam pewien cmentarz - oznajmiła Gretchen nonszalanckim tonem. - W Nebrasce, tuż przy autostradzie stanowej. Pochowaliśmy tam Glorię, w cudzym grobie, na samym wierzchu. Chcesz wiedzieć, gdzie to jest?

Przez chwilę wszyscy siedzieli nieruchomo, jak posągi, aż w końcu Arenie uniósł wzrok i spojrzał na Susan. Oczy miał zaszklone łzami. Teraz rozumiem, dlaczego przyjechałaś tutaj na-ćpany, pomyślała.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Naprawdę. Gretchen lubi się upajać tym, że totalnie spieprzyła mi życie. Wałkujemy ten temat na okrągło, wydawałoby się, że po jakimś czasie będzie miała dość - odłożył pudełeczko z powrotem na stół, delikatnie, jak obite jabłko - ale ona nigdy nie przestaje się tym cieszyć.

Susan nie umiała do końca rozgryźć, o co chodzi. Wiedziała tylko,

że tych dwoje prowadzi ze sobą jakąś popieprzoną gierkę i miała nadzieję, że Archie wygrywa, chociaż nie bardzo na to wyglądało. Wzruszyła ramionami, dając znak, że może się przyłączyć.

- Debbie cię nienawidzi - poinformowała Gretchen. - Nienawidzi cię za to, że zamordowałaś mężczyznę, którym był jej mąż. - Spojrzała na Archiego. Zero reakcji. - Uważa go za zmarłego. Teraz Archie jest dla niej kimś innym.

Po błysku w oczach i nagle wyostrzonych rysach twarzy poznała, że sprawiła Gretchen przyjemność.

- Ale wciąż go kocha? - padło kolejne pytanie. Susan przygryzła wargę.

-Tak.

- On też ją kocha. Ale nie może z nią być. Ani z nią, ani ze swoimi cudownymi dziećmi. Wiesz, dlaczego?

- Przez ciebie - domyśliła się Susan.

- Przeze mnie. I z tego samego powodu ty też z nim nigdy nie będziesz, gołąbeczko. Zniszczyłam go tak, by stał się bezużyteczny dla innych kobiet.

- Zniszczyłaś mnie tak, że stałem się bezużyteczny dla wszystkich - uzupełnił Archie zmęczonym głosem, a potem schował pudełko z powrotem do kieszeni, odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytała Gretchen, nagle zaniepokojona. Susan patrzyła, zafascynowana, jak w jednej chwili zmienia się cała jej aparycja. Twarz pięknej kobiety stężała i... czyżby to były kurze łapki? Gretchen pochyliła się w kierunku Archiego, jakby chciała zlikwidować dzielący ich dystans.

- Damy sobie na razie spokój - wyjaśnił detektyw, opierając końce palców na stole. - Dzisiaj chyba już niczego nie dokonamy. - Spojrzał na Susan, która wciąż siedziała na swoim krześle. -Chodź. Cofnął się od stołu i w tym momencie Gretchen wyciągnęła skute kajdankami dłoń, chwytając go za nadgarstek.

- Na nagrobku jest nazwisko Emma Watson - wyrzuciła z siebie szybko. - Cmentarz znajduje się w miasteczku Hamilton, przy autostradzie stanowej 100, niecałe trzydzieści kilometrów na zachód od Lincoln.

Archie zamarł. Patrzył na jej dłonie uczone swojej ręki. Nie próbował się oswobodzić. Zupełnie jakby dotknął przewodu pod napięciem. Susan nie miała pojęcia, co robić. Odwróciła się rozpaczliwie w kierunku weneckiego lustra i jak na zawołanie do sali wpadł z hukiem Henry Sobol. W trzech susach dopadł stołu, złapał Gretchen Lowell swoją wielką łapą za nadgarstek, ścisnął i nie puścił, dopóki nie skrzywiła się z bólu, uwalniając rękę Archiego z uchwytu.

- Złamałaś zasadę - wycedził Henry przez zaciśnięte zęby. Twarz miał czerwoną, a pod grubą skórą na szyi pulsowała mu żyła. - Jeszcze raz go dotkniesz, to zrobię z tym wszystkim koniec, przysięgam. I możesz sobie wsadzić w dupę te swoje informacje. Dotarło?

Gretchen siedziała prosto, nie próbowała nawet się odsunąć. Nie odezwała się też ani słowem, patrzyła mu tylko prosto w oczy: wargi lśniące od śliny, rozdęte nozdrza, w oczach wyzwanie, żeby spróbował uderzyć. Cała jej uroda nagle wyparowała.

- W porządku - odezwał się Archie. Głos miał spokojny, mówił wyraźnie, ale Susan zauważyła, że trzęsą mu się ręce. - Nic mi nie jest.

Henry przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem odwrócił wygoloną głowę z powrotem w stronę Gretchen. Nie wypuścił jej drobnego nadgarstka ze swojej wielkiej jak bochen pięści; Susan pomyślała, że jeszcze chwila i kości popękają jak suche patyki. Kiedy odezwał się ponownie, mówił do Archiego, ale wciąż ścisnął z taką samą siłą:

- W Nebrasce stanowi już jadą na ten cmentarz. Za mniej więcej godzinę powinniśmy coś wiedzieć.

Po tych słowach otworzył dłoń i wyszedł, nawet się nie oglądając. Gretchen uniosła skute kajdankami ręce, przyglądała swoje blond włosy.

- Twoi przyjaciele chyba mnie nie lubią - poskarżyła się Archie. Archie opadł na krzesło.

- Wysłałaś do niego moją śledzionę.

- A on nie pozwoli mi o tym zapomnieć. - Odwróciła się do Susan, prezentując wzór spokoju i opanowania, tak jakby w ogóle nic nie zaszło. - Na czym skończyłaś?

Susan jeszcze nie zdążyła dojść do siebie. Miała zawroty głowy i było jej niedobrze. Czy jeśli teraz się porzygam, pomyślała, to będzie to odebrane jako oznaka słabości?

- Co? - zapytała, nic nie rozumiejąc.

- Twoje pytania, gołąbeczko. Do artykułu. A Susan nagle wiedziała, o co zapytać.

- Twój ulubiony film? - wyrzuciła z siebie, w myślach dodając: masz. Spróbuj zgrabnie odpowiedzieć na takie pytanie. Spróbuj wymyślić coś pokręconego. Zadowolona z siebie, rozsiadła się wygodnie na krześle.

- "Amatorski gang" - odpowiedź Gretchen była natychmiastowa. - Jean-Luc Godard.

No proszę. Tego Susan się nie spodziewała. Nagle znów odezwał się pełny pęcherz. Spojrzała badawczo na Archiego, nie próbując nawet ukrywać konsternacji, którą z całą pewnością miała wypisaną na twarzy.

- To też ulubiony film detektywa Sheridana - powiedziała, powoli cedząc słowa.

- Przy mnie możesz mówić o nim po imieniu - rzuciła Gretchen od niechcienia. - Widziałam go nago.

- Rozmawialiście o Godardzie? - zapytała Susan Archiego.

- Nie - zaprzeczył. W jego dłoni znów pojawiło się blaszane pudełeczko na lekarstwa.

Gretchen uśmiechnęła się niewinnie.

- Co za zabawny zbieg okoliczności. Masz do mnie jeszcze jakieś pytania?

Susan przyjrzała się jej uważnie. Krążyły opowieści, że Gretchen Lowell zamordowała podobno dwieście osób, czy coś około tego. Nigdy w to nie wierzyła. Aż do tej pory.

- Dusiciel po Lekcjach - wyrecytowała. - Nie domyślasz się przypadkiem, kim może być osoba, której szukamy?

Gretchen roześmiała się głośno. Śmiech miała gardłowy, jak Bette Davis: sam seks i rak płuc. Ćwiczyła go pewnie całymi latami. Był wart takiego wysiłku.

- Mam na twoją prośbę zajrzeć mu do głowy? Przykro mi, Clarice. Nie mogę ci pomóc.

- To morderca, tak samo jak ty.

Gretchen potrząsnęła głową, krzywiąc się z lekceważeniem.

- Ale nie taki sam jak ja.

- Naprawdę?

- Wytłumacz jej, Archie.

- On nie lubi zabijać - odezwał się Archie, międląc każde słowo ze sztuczną powolnością. - A Gretchen tak.

Zimny uśmiech.

- Widzisz? On i ja to jak ogień i woda.

- Ale detektywa Sheridana przecież nie zabiłaś - zauważyła Susan.

- Zabiłam. - Uśmiech Gretchen stał się szerszy, błysnęły idealnie równe, nieskazitelnie białe zęby. To był najbardziej mrozący krew w żyłach uśmiech, jaki Susan widziała w życiu. Pomyślała o tym, co przeszedł Archie i nagle roztkliwiła się nad nim bezgranicznie. Natychmiast tego zresztą pożałowała, bo tamta bez trudu wyczytała to w jej oczach.

- Czy już cię odrzucił, gołąbeczko? - zapytała Gretchen, robiąc speszoną minę. - To będzie ciężki cios, zobaczysz. Rzadko się spotykasz z odrzuceniem, mam rację? Nie jesteś do tego przyzwyczajona. Uważasz, że seks daje ci władzę. A to nieprawda.

- Gretchen - wtrącił Archie ostrzegawczym tonem.

- Jest pewna rzecz, bardziej intymna od seksu. Wiesz, co to takiego? - zapytała Gretchen, uśmiechając się do niego złośliwie. - Przemoc.

Susan nagle poczuła, jak zasycha jej w gardle.

- Nic o mnie nie wiesz - wykrztusiła.

- Pociągają cię mężczyźni starsi od ciebie. Tacy, którzy mają w ręku władzę. Więcej władzy niż ty. Żonaci. Dlaczego tak jest, gołąbeczko, hmm? - Gretchen przekrzywiła głowę, a dziennikarka dostrzegła w jej oczach rodzącą się myśl. - Ile miałaś lat kiedy umarł twój ojciec? - rzuciła z uśmiechem.

Susan zachłysnęła się, jakby ktoś uderzył ją w splot słoneczny.

Wydawało jej się też, że zadrzała, ale nie była tego pewna. Złożyła schowane pod stołem dłonie w pięści, wkładając kciuk do środka i zacisnęła najmocniej jak umiała, aż ból osuszył łyzy, napływające jej do oczu. Gdy minęła chwila słabości, wstała - we własnej opinii

całkiem spokojnie - i oparła się zaciśniętymi pięściami o stół.
- Pierdol się - powiedziała, patrząc Gretchen prosto w oczy. - Pierdol się, ty pojebana bandytko.

Ale Gretchen tylko się uśmiechnęła.

- Pokwitanie to taki burzliwy okres. Tyle złości w młodym człowieku. No, to powiedz, komu w końcu dałaś dupy. Panu od literatury? - Uniosła brew. - A może panu ze szkolnego teatru? Susan dusiła się, nie mogła zaczerpnąć tchu. Po jej policzku stoczyła się jedna łza. Była na siebie wściekła za tę łzę. Archie powoli uniósł głowę.

- Reston? - Spojrzał na stojącą nad nim dziennikarkę.

- To nie ja - wyjąkała Susan. - Była taka jedna, ale to nie ja. Gretchen pokiwała głową.

- Sam widzisz. Wypiera się. Podręcznikowa reakcja.

- Susan. - Głos Archiego był spokojny. - Jeśli jako nastolatka miałaś kontakty seksualne z Restonem, musisz mi natychmiast o wszystkim powiedzieć.

W zmrużonych oczach Gretchen zapłonął triumfalny ogień. Gem, set, mecz.

Susan zaniósła się strasznym, rozpaczliwym chichotem, a potem wszystkie tamy nagle puściły. Po jej policzkach polały się gorące łzy, a palące upokorzenie sięgnęło szczytu. Zerwała się z krzesła, zgięta w pół, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody, po omacku znalazła klamkę i wypadła na korytarz.

32

Susan odbiegła od drzwi, zataczając się i oplatając kurczowo ramionami. Po kilku krokach nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się pod ścianę. Chwilę później poczuła na ramieniu dłoń Archiego. To była pomocna dłoń, jego dotyk nie miał absolutnie żadnych podtekstów, zwłaszcza erotycznych. Rzadko ktoś jej dotykał w ten sposób. Susan odwróciła głowę, przyciskając czoło do betonowej ściany. Nie chciała mu pokazywać zaczerwienionej twarzy, łez, rozmazanej szminki. Archie obszedł ją dookoła, nie zabierając dłoni z jej ramienia. Po chwili wyprostował się i oparł o ścianę, wbijając ręce w kieszenie. Gdzieś dalej skrzypnęły otwierane drzwi i rozległ się odgłos kroków. W ich stronę szedł Henry, a za nim jakiś strażnik i jeszcze prokurator Miller. Boże, pomyślała Susan, oni słyszeli to wszystko. Chcę umrzeć.

- Zostawcie nas na chwilę, dobrze? - poprosił Archie, a tamci wrócili do swojej ciasnej salki z weneckim lustrem. Tylko strażnik został, rozglądając się z zakłopotaniem, ale po chwili on też zniknął - za drzwiami pomieszczenia, w którym została Gretchen.

- Ile miałaś lat, kiedy to się zaczęło? - zapytał Archie, widząc, że korytarz opustoszał.

Betonowa ściana była pomalowana połyskliwą szarą farbą. Susan

widziała w tym kolorze pochmurne zimowe niebo, takie, które wygląda jak lity, twardy strop, jak sklepienie z popiołów.

- Piętnaście - odpowiedziała. - Kiedy poszłam do college'u, skończyłam sprawę. - Zebrała całą swoją godność i wstała z podłogi, unosząc dumnie głowę. - Byłam rozwinięta ponad swój wiek. To nie był wymuszony seks.

- Prawo, niestety, widzi to inaczej - odparł Archie. Susan zauważyła, jak zmienia mu się twarz, z jakim wysiłkiem panuje nad rozdrażnieniem, jak dłonie w kieszeniach spodni zaciskają mu się w pięści. - Powinnaś mi o tym powiedzieć. Niczego nie skojarzyłaś? Wszystkie zamordowane dziewczyny miały piętnaście lat. Wszystkie zostały zgwałcone.

Susan skuliła się w sobie.

- On mnie nie zgwałcił - próbowała się bronić. - Miałam ci o wszystkim powiedzieć, ale wydawało mi się, że to nie ma żadnego związku ze sprawą. A ty byś mu tylko napsuł krwi. Wyrzuciliby go z pracy. Zresztą sam mówiłeś, że ma alibi.

- Uwiedzenie nieletniej to przestępstwo. Gdyby nie to, że sprawa podlega już przedawnieniu, jeszcze dziś bym go aresztował. Czy ktoś o tym wiedział? Twoi rodzice?

Susan zaśmiała się ponuro.

- Bliss? Nie miała o niczym zielonego pojęcia. - Wykrzywiła się szyderczo. - A gdyby nawet wiedziała, to mogłabym liczyć na jej pełne poparcie. Ona jest przeciwko wszelkim ograniczeniom. Od zawsze.

Archie powątpiewająco zmrużył oczy, a Susan doznała nagłego wstrząsu; olśniło ją, że wcale nie ma racji.

- Nie - przyznała. - Nie byłaby zachwycona. Ani trochę. Zrobiłaby wszystko, żeby wsadzić go za to do pudła. - Odwróciła głowę. - Ale nie miała pojęcia, co się stało, bo jej o niczym nie powiedziałam. - Przycisnęła pięść do chropowatej ściany, z całej siły, aż poczuła, jak ostre drobinki betonu kaleczą skórę. - I chyba nawet miałam do niej żal, że sama się nie domyśliła.

- Czy były inne dziewczyny, które spotkało to samo co ciebie?

Susan drgnęła.

- Nie wiem. Nie słyszałam.

- Nie mogę puścić tej rozmowy w niepamięć, Susan. Muszę napisać o tym w raporcie. Zrobię wszystko, żeby ten człowiek przestał pracować w szkole.

- To było dziesięć lat temu - zaprotestowała błagalnym tonem. - Uwiodłam go. Umarł mi ojciec, potrzebowałam pocieszenia. Paul był moim ulubionym nauczycielem. To nie jego wina. - Odwróciła wzrok. - Zresztą nie byłam już dziewicą.

- Ale on był dorosły - powiedział Archie. - Powinien wiedzieć, co robi.

Susan szybko doprowadziła się do jakiegoś takiego porządku: otarła łzy, założyła potargane różowe włosy za uszy.

- Jeśli napiszesz o tym w raporcie, wszystkiego się wyprę. Paul też.

- Przygryzła wargę tak mocno, że skóra była bliska pęknięcia. -
Powiedziałam ci o tym, bo chciałam, żebyś zrozumiał.

- Co miałem zrozumieć?

Ukryła twarz w dłoniach, szukając właściwych słów. Na kostkach, w miejscach, gdzie skóra zetknęła się ze ścianą, pojawiły się różowe otarcia.

- Chciałam ci pokazać, dlaczego jestem taka, jaka jestem. To, co mówiła Gretchen Lowell... To wszystko prawda.

Archie zmarszczył swoje krzaczaste brwi. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Gretchen zawsze dużo mówi, bo wie, że im więcej powie, tym większa szansa, że trafi w jakiś czuły punkt. Żeby tylko bolało.

Uwierz mi. Wiem, co mówię. Nie poddawaj jej się w ten sposób. Ani jej, ani Restonowi. To menda. Dorosły mężczyzna nie sypia z nastolatkami i koniec. Jeśli sobie na to pozwala, to znaczy, że ma poważny problem. - Pochylił się ku niej, blisko, tak blisko, że przez chwilę miała ochotę przytulić się do niego. - Ale to jest jego problem, a nie twój.

- To już stare dzieje - powiedziała.

Archie delikatnie ujął ją za nadgarstki i odsunął dłonie od zalanej łzami twarzy.

- Muszę tam teraz wrócić - wskazał salę do przesłuchań. - Trochę mi to zajmie. Poczekaj tutaj, dobrze?

Susan zrobiła zawiedzioną minę.

- A nie mogę iść tam, gdzie są wszyscy?

Uniósł rękę i otarł jej z policzka jedną zabłąkaną łzę.

- Idę tam, żeby wysłuchać spowiedzi Gretchen - wyjaśnił. - Opowie mi ze wszystkimi szczegółami o torturach i morderstwie Glorii Juarez. - Spochmurniał nagle. - Uwierz mi, że jeśli nie musisz, to nie chcesz tego słyszeć.

Klepnął Susan w ramię i ruszył w kierunku drzwi, za którymi czekała na niego Gretchen Lowell. Dziennikarka obserwowała go, jak szedł, przesuwając palcami po betonowej ścianie.

Ciekawie, pomyślała, czy zawsze jest taki naćpany, czy szprycuje się specjalnie na niedzielę. Uznała jednak, że to nie jest właściwy moment, żeby o to pytać.

Strażnik wyszedł natychmiast, kiedy tylko Archie pokazał się w sali. Gretchen wyglądała tak samo jak przedtem: siedziała spokojna, odprężona, a skute kajdankami dłonie trzymała złożone na jednym kolanie. Wybuch Susan nie poruszył jej ani nie speszył. Lśniący dyktafon dziennikarki leżał tam, gdzie go zostawiła. Klawisz nagrywania wciąż był wciśnięty. Archie przystawił metalowe krzesło z powrotem do stołu i usiadł naprzeciwko Gretchen. Po chwili, unikając jej wzroku, sięgnął po dyktafon, wyłączył go i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dłoń miał wciąż jeszcze mokrą od łez Susan.

- Powiesz mi, skąd wiedziałas o Restonie? - zapytał, unosząc głowę. Gretchen owiedziała niewinnym spojrzeniem.

- Zgadłam.

- Masz intuicję - zgodził się Arenie - ale nie jesteś jasnowidzem. Przewróciła oczami posyłając mu lekko znudzony uśmiezek.

- Pisała o świętej pamięci tatusiu w którymś ze swoich artykułów w "Heraldzie", mniej więcej rok temu. Zresztą wystarczy na nią spojrzeć. Te różowe włosy. Te ciuchy. Klasyczne zahamowanie Widać na kilometr, że była wykorzystywana seksualnie. - Pochyliła się nad stołem. - A jak na ciebie patrzy, jak tęskni za surogatem ojcowskiego uczucia, za silnym, opiekuńczym ramieniem... To było dla mnie oczywiste. Wystarczyło zgadnąć, z jakim nauczycielem się puściła. - Gretchen uśmiechnęła się, wyraźnie sobą zachwycona. - A jeśli o to chodzi, kochany, to nie ma specjalnego wyboru: albo nauczyciel literatury albo instruktor teatralny. Zawsze tak jest Archie skrzywił się; głowa pulsowała mu tępym bólem. Potarł palcami powieki.

- Zbieg okoliczności, ale może się okazać, że to ma związek ze sprawą, którą teraz prowadzę.

- Jesteś zmęczony. Nietrudno zgadnąć, pomyślał.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo - przyznał.

- Może powinieneś brać więcej antydepresantów?

- Dzięki, ale po radę w kwestiach medycznych pójdę do Fer-gusa. Gretchen oparła łokcie na stole, kładąc podbródek na złożonych, skrępowanych dłoniach. Rzuciła okiem w stronę weneckiego lustra, a potem wbiła wzrok w Archiego.

- Wyjęłam jej jelito cienkie. W ścianie jamy brzusznej zrobiłam skalpelem dwucentymetrowe nacięcie i powoli wyciągnęłam jelito z otrzewnej, odcinając po kawałeczku od krezki. Wiesz, czym je wyciągnęłam? Szydełkiem numer pięć. Do tego potrzebne jest coś dużego, żeby porządnie złapać śliskie jelito, ale go nie

Kiedy Gretchen opowiadała Archiemu o swoich zbrodniach, zawsze patrzyła mu prosto w oczy. Nigdy nie odwracała wzroku, żeby coś sobie przypomnieć; nie opuszczała głowy, zdjęta odrazą na wspomnienie tego, co zrobiła; ani razu nie pozwoliła mu nawet na chwilę wytchnienia.

- Siedem metrów. Tyle wynosi przeciętna długość jelita cienkiego. Nigdy nie udało mi się wyciągnąć więcej niż trzy. - Uśmiechnęła się, oblizując wargi, jakby były suche, spierzchnięte. - Wiesz, jaka to piękna rzecz, jelito? Całe różowe i takie delikatne... Jak dziecko oczekujące na poród. Metaliczny zapach krwi... Pamiętasz go, kochany? - Pochyliła się nad stołem. Na jej policzkach wykwitł rumieniec błogości. - Kiedy usłyszałam, jak prosi, żebym przestała, zaczęłam ją przypalać.

Próbował się wyłączyć, nie słuchać jej wynurzeń. Nie patrzeć na potworności, które malowała przed jego oczami. Zamiast tego obserwował ją jak najdokładniej. Była bardzo piękna. Gdyby tylko mógł zrobić coś, żeby jej nie słyszeć, byłoby nawet całkiem przyjemnie. Chętnie posiedziałby sobie, podziwiając piękną kobietę. Ale musiał uważać, bo wolno mu było patrzeć tylko na jej twarz,

nigdzie indziej. Nie mógł pozwolić, żeby wzrok zsunął się gdzieś niżej, na szyję, ramiona, piersi.

Ona, oczywiście, dobrze o tym wiedziała. Ona wiedziała o wszystkim.

- Słuchasz mnie? - zapytała. Na jej wargach igrał uśmieszek. - Tak
- mruknął, wyciągając z kieszeni swoje pudełeczko
i kładąc je na stole. - Słucham.

33

Susan zsunęła się z Iana i wyciągnęła na plecach. Zadzwoiła do swojego kochanka natychmiast po powrocie do domu; godzinę później był już u niej. Nie dała mu dojść do słowa, nawet się z nim nie przywitała. Dobrała się do niego, ledwie stanął w progu. Seks, jak nieraz miała okazję zaobserwować, doskonale rozładowuje stres; jeśli Gretchen Lowell ma na ten temat inne zdanie, to niech sobie wsadzi pośliniony palec.

Ian sięgnął po okulary leżące na stoliku nocnym.

- Jak poszło? - zagadnął, nasuwając je na nos.

Nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać mu o Restonie ani o tym, jak Gretchen, bez żadnego zauważalnego wysiłku, rozebrała jej życie emocjonalne na czynniki pierwsze.

- Mogło być lepiej - odpowiedziała krótko i zaczęła szperać na nocnym stoliku, aż pod zbiorem poezji, do którego nigdy w życiu nawet nie zajrzała, znalazła spodeczek z połówką skręta. Zapaliła i zaciągnęła się dymem. Lubiła palić trawkę nago. Czuła się wtedy jak gwiazda bohemy.

- Nie wydaje ci się, że za dużo tego palisz? - zapytał Ian.

- Nie. - Spojrzała na jointa trzymanego w palcach. - Dlaczego?

- Nie jesteś już na studiach, Susan.

- No właśnie - ucięła, rozdrażniona. - Na studiach wszyscy palą. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ale jak się przestaje być studentem, to palenie zioła wymaga już pewnego zaangażowania. A poza tym moja matka też pali.

- To ty masz matkę?

Susan uśmiechnęła się do siebie.

- Poznałabym cię z nią, ale chwilowo nie ma jej na Ziemi. Pracuje na stacji orbitalnej. Poleciała na wielomiesięczną misję.

Ian odszukał na podłodze obok łóżka swoje bokserki i wciągnął je na siebie. Nie wyglądał na przesadnie rozczarowanego, że nie pozna Bliss osobiście.

- Dowiedziałaś się w ogóle czegoś od tej miss seryjnych morderczyń?

Susan zrobiło się słabo na samą myśl o starciu z Gretchen Lowell. Wysiłkiem woli odpędziła falę mdłości.

- Długo czekałeś, żeby o to zapytać - zauważyła.

- Musiałem rozegrać to na spokojnie - wyjaśnił - żebyś sobie nie

pomyślała, że największa bomba w mojej wydawniczej karierze interesuje mnie bardziej niż twoje ciało.

Ten podwójny komplement sprawił jej wielką przyjemność. Wygięła się seksownie na pościeli, przesuając dłonią po nagim biodrze.

- Żebyś sobie nie pomyślała - powtórzyła.

- Więc czego się dowiedziałas?

Susan poczuła, jak żołądek znów podjeżdża jej do gardła.

Wyciągnęła się na brzuchu, na skos przez całe łóżko, narzucając na siebie koc.

- Że jestem złą dziennikarką - odparła. - Pozwoliłam sobie totalnie wejść na głowę. Trudno powiedzieć, że to w ogóle był wywiad.

- Ale napiszesz następny tekst, prawda? Może być o tym, jakie to przeżycie, spojrzeć w zimne oczy śmierci i tak dalej.

Susan uniosła się na łokciach. Ze skrzyta, którego wystawiła poza krawędź pościeli, opadła drobinka popiołu, lądując na perskim dywanie Wielkiego Pisarza (zakupionym na eBay). Przyglądała się leniwie, jak leci, ale nie przyszło jej nawet do głowy, żeby to sprzątnąć.

- Jasne - uspokoiła Iana. - Zdradziła policji miejsce pochówku kolejnej ofiary. Jakiejś studentki, którą załatwiła w Nebrasce. - Przed oczami stanęło jej zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Dwa palce złożone w wiktoryę. Dłoń na jej ramieniu, należąca pewnie do jakiegoś przyjaciela albo przyjaciółki, od których ją odcięto, dosłownie i w przenośni. Otrząsnęła się z tych myśli i wzięła następnego macha. - Znaleźli ją w jakimś starym grobie na cmentarzu niedaleko autostrady stanowej.

Trawka łagodziła wszystkie ostre wrażenia, a cały stres tego ciężkiego dnia zaczął powoli ustępować. Razem z nim ulotniła się też potrzeba towarzystwa drugiej osoby.

- Nie musisz się zbierać do domu? - zapytała, unosząc znacząco brew.

Ian usiadł na łóżku w bokserkach i założył nogę na nogę.

- Sharon pojechała nad ocean. Nie mogę zostać na noc?

- Rano muszę wstać. Claire Masiand ma po mnie przyjechać.

- Wiesz, że to lesba?

- Dlaczego? Bo nosi krótkie włosy?

- Nie, tak tylko mówię.

- Jedź do domu, Ian.

Harper spuścił nogi na podłogę i wstał, żeby poszukać reszty swojej garderoby. Naciągnął jedną brązową skarpetkę.

- Mówiłem ci, żebyś nie weszła w sprawę Molly Palmer - przypomniał Susan, nakładając drugą. Nie patrzył na nią.

Zaskoczył ją całkowicie. Jaka Molly Palmer?

- W porządku - powiedziała wreszcie, unosząc dłonie, jakby chciała się bronić. - Przyłapałeś mnie. Nagrałam się kilka razy Ethanowi Poole'owi.

- Nie mówię o nim, tylko o Justinie Johnsonie - przerwał jej

rozdrażnionym tonem.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Justin Johnson? A potem nagle przejaśniło jej się w głowie i pomyślała: Jasna cholera. Przecież przez cały czas była pewna, że Justin Johnson ma coś wspólnego ze sprawą Dusiciela po Lekcjach. A tu nagle okazało się, że źle go skojarzyła. Justina Johnsona nic nie łączyło z Lee Robinson ani z liceum Cleveland High.

- Co ma Justin do Molly Palmer? - zapytała cicho, Ian roześmiał się głośno.

- Nie wiesz?

Zrobiło jej się głupio, a jeszcze głupiej ze wstydu, że tak się poczuła.

- O co tu chodzi, Ian? Harper wstał, naciągnął spodnie.

- Ethan przesłał Molly twoje nagrane wiadomości. Molly zadzwoniła do adwokata senatora Scheera. Adwokat zadzwonił do Howarda Jenkinsa. - Zapiął suwak i guzik, schylił się po pasek leżący na podłodze i zaczął wsuwać go w szlufki. - A Jenkins zadzwonił do mnie. Powiedziałem mu, że już nad tym nie pracujesz, ale najwidoczniej matka naszego młodzieńca wynajęła prywatnego detektywa, żeby go pilnował. - Zapiął pasek, przysiadł na skraju łóżka. - Ona podejrzewa, że jej syn handluje trawką, rozumiesz. I kto nagle zjawia się w szkole, żeby naciągnąć go na rozmowę? Susan Ward z „Heralda”. Poznali cię po różowych włosach. - Wsunął stopę do buta. Zawiązał sznurowadło. - Wszyscy pomyśleli, że zbierasz materiał do artykułu i że niedługo wszystko wyjdzie na jaw. - Włożył drugi but, zawiązał. - Więc adwokat senatora wpadł na błyskotliwy pomysł, żeby podrzucić ci numer sprawy, którą młody miał w sądzie dla nieletnich. Założenie było takie, że kiedy się dowiesz, że był karany, nie uwierzysz w to, czego ci nagada.

- Poważnie? - spytała Susan, starając się nie uśmiechać. - Ten facet naprawdę był prawnikiem?

Ian wstał, świecąc nagim torsem, stanął nad nią.

- Przez ciebie wyleją nas oboje. Wiesz o tym, prawda? Susan uniosła się, usiadła, zapominając o kocu, który osunął się z jej ramion i owinał dookoła talii.

- Co Justin może wiedzieć o Molly Palmer?

- Syn senatora Scheera był kiedyś jego najlepszym przyjacielem. Jeszcze w dzieciństwie. Para nierozłącznych kumpli. Molly Palmer przychodziła się nimi opiekować. Moim zdaniem chłopak widział albo słyszał coś, czego nie powinien. A nazwisko panięskie jego matki? Nie skojarzyłaś?

- Tak samo nazywają się właściciele „Heralda”.

- To ich krewna.

- Scheer jest winny, prawda?

- O, naturalnie. Tylko, że w tym mieście nikt o tym nie napisze. -

Ian sięgnął do kieszeni swojej szarej wełnianej marynarki i rzucił na łóżko jakiś niewielki przedmiot.

- Co to? - zapytała Susan.
- Dla ciebie. Nagranie z linii alarmowej. Na twoim miejscu zabrałbym się do pracy nad sprawą, o której, dla odmiany, można w tym mieście pisać. Jesteś coś winna facetowi, który to zdobył. Susan podniosła kasetę z pościeli i obróciła ją w palcach.
- Dzięki.
- Nie dziękuj mnie, tylko Derekowi. Cały dzień węszył za tym dla ciebie. - Ian obciągnął na sobie koszulę. Zawsze tak robił; nie lubił zagnieceń. - Chyba mu się podobasz. Susan jeszcze raz zaciągnęła się skrętem.
- No cóż. Gdybym kiedyś chciała bzyknąć się z byłą gwiazdą studenckiej ligi futbolowej - mruknęła, zatrzymując dym w płucach - to już wiem, gdzie pojechać, żeby takową znaleźć. - Dokąd - poprawił Ian.

Po jego wyjściu przez dłuższą chwilę siedziała po turecku na samym środku łóżka. Najgorsze, uznała, jest to, że ten artykuł o Molly Palmer to naprawdę ważna sprawa. Nie dziennikarskie żerowanie na człowieku. Nie autoreklama. Nie kolejny jednorazowy tekst. Ten artykuł mógł coś zmienić. Nastoletniej dziewczynie wyrządzono wielką krzywdę, a odpowiedzialny za to mężczyzna usiłował na wszelkie możliwe sposoby zatuszować swoją winę. Przedstawiciel władzy. Wybrany przez ludzi, którzy mają święte prawo wiedzieć, jakim jest człowiekiem; że wykorzysta powierzoną mu władzę, żeby zaciągnąć do łóżka czternastolatkę. A więc dobrze, być może Susan działała z pobudek osobistych. Ale teraz jednocześnie wyjaśniła sprawę Molly Palmer i pogrzebała wszelkie szanse na napisanie o tym. Justin wyjechał do Palm Springs albo gdzieś indziej, nie wiadomo gdzie. Molly nie chciała z nią rozmawiać. Ethan nawet nie odpowiadał na telefony. A ona chciała za wszelką cenę rozprawić się z senatorem Scheerem. Marzyła o tym bardziej, niż Ian mógł podejrzewać.

Nie przejmowała się, że wyrzucają za to z pracy. Postanowiła, że musi znaleźć kogoś, kto złoży oficjalne oświadczenie. Obojętnie kogo i gdzie. Spojrzała na trzymaną w dłoni kasetę z nagraniem telefonu Gretchen Lowell na linię alarmową. I w tym momencie Susan Ward poczuła, jak rodzi się w niej nowe pragnienie, kompletnie nieznane, obce uczucie. Przestało jej zależeć na nagrodach, na pisaniu, na rozgłosie. Na wydaniu książki. Na zaimponowaniu Ianowi.

Po raz pierwszy od początku swojej kariery w tym zawodzie, zapragnęła być dobrą dziennikarką.

Wyszła boszo zza parawanu zasłaniającego łóżko, przysiadła na piętach i włożyła kasetę do odtwarzacza. Zapis tej rozmowy czytała dziesiątki razy, ale usłyszeć te słowa tak, jak zostały wypowiedziane, to jednak było fascynujące przeżycie. Nacisnęła klawisz „play”.

- Linia alarmowa. Jaki wypadek chcą państwo zgłosić?

- Nazywam się Gretchen Lowell. Dzwonię w imieniu detektywa Archiego Sheridana. Czy wie pani, kim jestem? - Hmm... Tak, wiem.

- To dobrze. Wasz detektyw musi zostać przewieziony do szpitala. Jesteśmy w Gresham, w piwnicy domu przy Magnolia Lane 2339. Dwie przecznice dalej znajduje się szkoła, gdzie prawdopodobnie można wylądować helikopterem. Jeśli ratownicy zjawią się tutaj w ciągu kwadransa, detektywa Sheridana być może uda się uratować. Po tych słowach rozłączyła się.

Susan przygryzła wargę, uniosła się z kolan i usiadła na podłodze. Roztarła dłońmi pokryte gęsią skórką ramiona. Głos Gretchen był niesamowicie spokojny. Kiedy Susan próbowała sobie wyobrazić, jak mogła brzmieć ta rozmowa, słyszała w niej więcej gorączkowej paniki. Przecież ta kobieta faktycznie oddawała się w ręce policji, tak, jakby oddawała życie. Bo mogła zginąć przy aresztowaniu. Tymczasem w jej głosie nie było ani śladu niepokoju. Nawet nie zadrżał. Gretchen nie zająknęła się ani razu, nie zabrakło jej słów. Wypowiedziała swoją kwestię klarownie, wyraźnie i profesjonalnie. Zupełnie jakby miała ją od dawna wyćwiczoną.

Archie nie zabrał Henry'ego na spotkanie z Restonem. Było niedzielne popołudnie, a on i tak miał wyrzuty sumienia, że co tydzień ciągnie ze sobą przyjaciela do więzienia stanowego. Nie dawało mu to spokoju, chociaż dobrze wiedział, że Henry nigdy w życiu nie puściłby go tam samego. Archie miał też na względzie dobro Susan Ward; chciał chronić jej prywatność, o ile to w ogóle było możliwe. Tak więc pozwolił partnerowi odwieźć się do domu. Czuł się zmęczony i odrętwiały od tych wszystkich zażytych pigułek, więc zaparzył sobie dzbanek kawy, a potem sprawdził automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych wiadomości, co oznaczało, że Debbie nie oddzwoniła już do niego. Nie miał jej tego za złe. W niedzielę rozmowa z nią zawsze była pomyłką. Obiecywał sobie, że rozdzieli Debbie od Gretchen, że znajdzie dla nich osobne szufladki; ten układ mógł działać tylko w taki sposób. Ale Archie był egoistą. Potrzebował Debbie, chciał słyszeć jej głos, który był głosem jego dawnego życia. Ale telefonami. Oboje o tym wiedzieli. To, co robili, jedynie przeciągało trwanie ich pogmatwanej relacji uczuciowej. Archie obiecał sobie, że to on podejmie decyzję o zerwaniu kontaktu. Ale na razie nie mógł się na to zdobyć. Siedział w kuchni, sam jak palec. Wypił pół dzbanka kawy praktycznie duszkiem, przerywając tylko wtedy, gdy musiał napełnić filiżankę. W końcu poczuł, że wracają mu siły; wziął dwa vicodiny i zadzwonił po taksówkę.

Reston mieszkał w Brooklynie, dzielnicy leżącej na południe od liceum Cleveland High. Okolica była gęsto zabudowana, stały tam przeważnie niewielkie domy w stylu wiktoriańskim albo bliźniaki z lat osiemdziesiątych, własnościowe lub wynajmowane. Niebo przesłaniała płatanina drutów telefonicznych i gałęzi drzew. Było

tam bardzo przyjemnie. Bezpiecznie.

Archie polecił taksówkarzowi poczekać, po czym wysiadł i wszedł na porośnięte mchem schody prowadzące do parterowego domu Paula Restona. Dom stał na niewielkim wzgórzu. O takiej porze jak teraz, późnym popołudniem, kiedy fasady budynków po drugiej stronie ulicy wciąż jaśniały w promieniach słońca, po tarasowym zboczu tego wzniesienia słały się już długie cienie. Sheridan zastał Restona na ganku, przy malowaniu drzwi zdjętych z zawiasów i położonych na dwóch kozłach do piłowania drewna. Instruktor teatralny miał na sobie strój roboczy: spodnie zachlapane farbą, znoszoną szarą bluzę i baseballówkę z emblematem Seattle Mariners. Sprawiał wrażenie odprężonego; było wyraźnie widać, że taka praca sprawia mu przyjemność. Na widok Archiego uniósł na moment głowę, a potem powrócił do swojego malowania. Oczywiście rozpoznał w nim glinę, bo Archie w każdym ubraniu wyglądał jak glina. Nie zawsze tak było. Przez pierwszych kilka lat każda nowa osoba, którą poznawał, przeżywała wielkie zaskoczenie, dowiadując się, jaki jest jego zawód. Archie nie pamiętał dokładnie, kiedy zaszła w nim ta zmiana. Po prostu pewnego dnia zauważył, że ludzie się przy nim denerwują.

Wszedł po schodach na ganek i usiadł na podłodze, około dwóch metrów od Restona i jego drzwi, opierając się plecami o pomalowaną na żółto balustradkę. Dookoła jej słupków wiły się grube jak nadgarstek dorosłego człowieka pnącza starej wi-starii, o tej porze roku gołe, bez choćby jednego liścia.

- Czytałeś „Lolite”? - zapytał Archie.

Reston umoczył pędzel w puszcze z białą farbą i przesunął nim po drzwiach. Bijące z pojemnika opary głuzyły wszelkie inne doznania węchowe.

- Kim pan jest? - zapytał.

Archie wyjął odznakę, otworzył, wyciągnął w jego stronę.

- Detektyw Sheridan. Mam kilka pytań dotyczących twojej dawnej uczennicy, Susan Ward.

Reston rzucił okiem na odznakę. Nikt nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby przyjrzeć się jej z bliska.

- Powiedziała panu, że mieliśmy związek - domyślił się. - Tak.

Reston westchnął, pochylając się tak, że jego oczy znalazły się na równi z powierzchnią drzwi. Pociągnął po nich jeszcze raz pędzlem.

- Przyszedł pan do mnie służbowo?

- Jestem detektywem. Zawsze jestem na służbie.

- Susan Ward jest bardzo zagubiona.

- Co ty powiesz.

Po powierzchni drzwi pociekła cienka strużka za grubo nałożonej farby. Reston rozprowadził ją pędzlem.

- Wie pan o jej ojcu? Umarł, kiedy była w pierwszej klasie. Ciężko to przeżyła. Chciałem ją jakoś pocieszyć i chyba źle zrozumiała moje zainteresowanie. - Zmarszczył brwi. - Wyolbrzymiła sobie to wszystko.

- Twierdzisz, że nigdy nie miałeś z nią kontaktów seksualnych? - zapytał Archie.

Reston odetchnął i przez chwilę w milczeniu wodził wzrokiem po podwórzu, wreszcie starannie odłożył pędzel na puszkę z farbą. Puszka stała na stronie wyrwanej z „Heralda”, a z koniuszka pędzla farba kapała na druk, rozlewając się w maleńką kałużę. Instruktor teatralny odwrócił się do Archiego. -

- Raz ją pocałowałem, w porządku? - Zwiesił głowę ze smutkiem. - Jeden raz. Popełniłem błąd. Źle oceniłem sytuację i to się już nigdy nie powtórzyło. Odrzuciłem jej zaloty, a ona puściła w obieg plotkę, że miałem romans z inną uczennicą. Mogłem za coś takiego wylecieć z pracy, ale to było od A do Z zmyślane. Nie zarządzono nawet śledztwa w mojej sprawie, bo wszyscy wiedzieli, że to bujda. Susan była... - machnął dłonią w powietrzu, szukając właściwego słowa - ...w kryzysie. Zrozpaczona po śmierci ojca, zaczęła kąsać na oślep. Ale i tak zawsze ją lubiłem. To był uroczy, utalentowany dzieciak, pełen pretensji do świata. Rozumiałem ból, który musiała znieść i zrobiłem wszystko co mogłem, żeby jej pomóc.

- Co za niepojęta wielkoduszność - zakpił Archie.

- Jestem dobrym nauczycielem. - Pozwolił sobie na cierpki uśmiezek. - Jeśli to dzisiaj w ogóle cokolwiek jeszcze znaczy.

- A całowałeś się może z Lee Robinson? - zapytał Sheridan. Reston cofnął się, otworzył usta.

- Jezu, co pan... Nie. Ledwo ją znałem. Kiedy zaginęła, miałem próbę techniczną do przedstawienia. Sprawdziliście to dokładnie. Archie skinął głową, sam do siebie.

- W takim razie wszystko w porządku. - Posłał Restonowi za-troskany uśmiech. - Mogę dostać szklanek wody? - Był to stary i ograny pretekst, żeby wejść do domu i rozejrzeć się, ale gdyby Reston odmówił, byłoby przynajmniej wiadomo, że ma coś do ukrycia.

Instruktor teatralny przyglądał się Archiemu przez chwilę.

- Proszę bardzo - powiedział w końcu. Strzepnął ze spodni jakiś pyłek, otupał buty na wycieraczkę i wszedł do środka, gestem zapraszając Archiego. Za drzwiami znajdował się niewielki przedpokój, z którego wychodziło się do salonu. Za salonem była kuchnia. Archiego uderzyła jedna rzecz: nienaganny wręcz porządek. Żadnych rupieci po kątach. Wszystko na swoim miejscu. Nigdzie ani śladu zalegających resztek czy śmieci. W zlewie ani jednego brudnego talerza.

- Miałeś kiedyś żonę? - zapytał Archie.

Reston wyjął z szafki czystą szklanekę i podstawił ją pod kran. Nad zlewozmywakiem wisiał oprawiony w ramki plakat w charakterystycznym stylu lat czterdziestych, przedstawiający blondynkę w dezabilu.

- Zostawiła mnie. I oskubała ze wszystkiego, co miałem - odparł, podając detektywowi szklanekę.

Archie wypił łyk wody.

- Inne partnerki?
- Teraz jestem sam. Mój ostatni związek zakończył się nagle i bez uprzedzenia.
- Morderstwem?
- To ma być dowcip? Archie napił się jeszcze trochę.
- Nie - odpowiedział, dopijając wodę do końca i oddając gospodarzowi szklankę. Reston natychmiast ją opłukał i wstawił do zmywarki. Po drugiej stronie kuchni Archie zauważył kolejną blondynkę w ramkach. Ta była ubrana w króciutkie szorty i obcisłą bluzeczkę, a na nogach miała niewiarygodnie wysokie szpilki. Stała wdzięcznie wygięta. Na jej karminowych ustach igrał zalotny uśmiezek.
- Widzę, że lubisz blondynki - zauważył Arenie.
- Zgadzam się na badanie wykrywaczem kłamstw - oznajmił Reston. - Możecie mnie pytać o Susan, o tamte zamordowane dziewczyny, o co chcecie. Wynajmę prawnika i stawię się na przesłuchanie przy użyciu wariografu w pierwszym wolnym terminie, jaki wybieriecie. Jestem niewinny i udowodnię wam to.
- Przygotuję, co trzeba - odparł Archie - ale wariograf jest trudniejszy do oszukania, niż to pokazują w telewizji.
Reston wziął się pod boki.
- Muszę dokończyć malowanie.
- Jasne. - Detektyw ruszył w stronę wyjścia na ganek.
Po drodze do drzwi, mając o krok za sobą gospodarza, Archie rozglądał się uważnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która skierowałaby go na trop prawdy i pozwoliła przejrzeć tego człowieka. Dom miał już około stu lat, ale był urządzonego w stylu typowym dla połowy XX wieku. Oryginalne oświetlenie zastąpiono chromowanymi lampami rodem z serialu SF, które wyglądały jednocześnie jak ultrafuturystyczne gadżety i klejnoty mody retro. Meble w jadalni sprawiały wrażenie wykonanych z grubego plastiku. Na stole, w okrągłym czerwonym wazonie, stał bukiet żółtych żonkili. Archie nie umiał powiedzieć, czy to wszystko są drogie, wyszukane sprzęty czy może przysłano je z Ikei w zestawach do samodzielnego montażu. Orientował się jednak na tyle, żeby ocenić wyczucie stylu dekoratora. Nieco mniej reprezentacyjny był natomiast salon. Pomalowany na złoto segmentowy regał pochodził chyba ze sklepu z artykułami z drugiej ręki. Na dole miał złote frędzelki, które miejscami poodpadały i wisały smętnie, czekając na naprawę. Obok stały fotel i otomana, obite różowym sztruksem, a dalej - futurystyczna lampa. Ogólne wrażenie było takie, jakby ktoś zaproponował Restonowi pomoc przy wystroju wnętrza, a potem pokłócił się z nim, nie dokończywszy pracy i zostawił na lodzie. Mimo to i tak było tutaj o niebo przyjemniej niż w tej nędznej klitce, którą wynajmował Archie. W salonie zachowały się oryginalne półki, wpuszczone w ściany. Detektyw zlustrował je wzrokiem. Było tam tylko kilka książek, za to ustawionych na baczność, równo jak pod sznurek, a wśród nich - jedna, którą Archie

poznałby wszędzie, nawet po samym grzbiecie, tak jak teraz: „Ostatnia ofiara”. Oczywiście, to nie musiał być żaden znak. Bardzo wielu ludzi kupiło tę książkę.

- Proszę mnie posłuchać - odezwał się Reston. - W liceum Susan prowadziła bogate życie erotyczne. Niewykluczone, że miała romans z nauczycielem. Niewykluczone, a nawet bardzo możliwe. Tylko, że to nie byłem ja.

- W porządku - rzucił Archie roztargnionym tonem. - Nie ty.

- Dokąd? - zapytał taksówkarz, kiedy Sheridan wsiadł z powrotem do czekającego samochodu.

- Niech pan jeszcze zaczeka - odparł detektyw. Na szybie taksówki znajdowała się naklejka informująca o zakazie palenia, ale w środku cuchnęło stęchłym papierosowym dymem, zmieszany z zapachem sosnowego odświeżacza powietrza. Nikt nigdy nie przestrzega żadnych zasad, pomyślał Archie, wyciągając z kieszeni komórkę. Zadzwoił do Claire.

- Reston od dziś ma być pod obserwacją - polecił. - I jak mówię: „pod obserwacją”, to znaczy, że macie pilnować jego chałupy z każdej strony. - Zmrużył oczy, przyglądając się przepięknemu domowi Restona i pnączom wistarii na ścianach. - Jeśli tylko przyjdzie mu do głowy stąd wyjść, chcę o tym wiedzieć.

- Wyślę tam Heila i Flannigana - powiedziała Claire.

- W porządku. - Archie opadł na siedzenie taksówki, pokryte lepkim tworzywem sztucznym. - Poczekam.

Zanim wrócił do domu, było już ciemno. Na sekretarce znów nie czekały na niego żadne wiadomości. Postanowił nie pić więcej kawy i zamiast tego otworzył sobie piwo. Zaczął się zastanawiać. Czy Susan kłamała? Nie. Czy mogła wmówić sobie, że jej zmyślona historia jest prawdziwa? Być może.

Tak czy inaczej, Gretchen ją przejrzała. Archie znajdował swojego rodzaju pociechę w tym, że Gretchen umiała przejrzeć każdego. Nie musiał się obwiniać o jakąś wyjątkową słabość.

Uniósł wzrok i spojrzał na roześmianą twarz Glorii Juarez. Kolejna zagadka rozwiązana; przynajmniej tyle. Przesunął palcami po czole dziewczyny i odstąpił na krok od ściany, gdzie, przypięte pinezkami, wisało jej zdjęcie.

Na ścianie sypialni wisały czterdzieści dwie fotografie czterdziestu dwóch ofiar. Czterdzieści dwa odnalezione ciała, czterdzieści dwie rodziny, które poznały los swoich najbliższych. Czterdzieści dwie pary oczu patrzyły na Archiego ze zdjęć wyjętych z praw jazdy, albumów rodzinnych i szkolnych. Zdawał sobie dobrze sprawę, że to makabryczna ekspozycja, ale nie obchodziło go to ani trochę.

Musiał wciąż mieć przed oczami wszystkie te twarze, bo potrzebował powodu, żeby co tydzień wracać do więzienia. W innym wypadku jedynym wyjściem byłoby przyznanie się przed samym sobą, że do Gretchen przyciąga go coś zupełnie innego. Ta myśl była o wiele bardziej niepokojąca.

Archie był zmęczony; w głowie pulsował ból, a wszystkie mięśnie ciążyły znużeniem. Ale nie mógł zapomnieć o jednym: była niedziela. Następnego dnia zaczynał się tydzień pracy, uczennice musiały iść do szkoły i wystawić się na cel polującym na nie mordercy.

Wysypał na blat komody pigułki ze swojego pudełka i ułożył je rządkiem według rodzaju. Potem zdjął koszulę, podkoszulek, spodnie i resztę, aż został całkiem nagi. Usiadł na skraju łóżka. Nad komodą wisiało duże kwadratowe lustro. Widział się w nim od piersi w górę. Jego blizny, które przez tak długi czas płonęły brutalną, bladawą sinością, zbieleły w końcu, stając się półprzejrzyste jak wosk. Zaczął niemalże myśleć o nich tak, jakby były zwykłą częścią jego ciała. Odszukał palcami serce wycięte na piersi. Wypukłe, nienaturalnie wrażliwe na dotyk szramy odpowiadały dreszczami, które czuł aż w udach.

Wyciągnął się na pościeli i zanurzył we wspomnieniu o jej zapachu. Woń bzu. Jej oddech na jego policzku. Jej dotyk. Przesunął dłonią niżej, jeszcze niżej. Opierał się temu bardzo długo. Aż do rozstania z Debbie. Potem został sam. I mógł myśleć już tylko o Gretchen. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, miał ją przy sobie, czuł jej widmową obecność. I czuł też, że ona go pragnie, a jej uroda zapierała mu dech w piersiach. Aż wreszcie pewnego dnia - uległ. W myślach przygarnął ją do siebie, blisko, jak najbliżej. Wiedział, że postępuje źle. Że jest chory. Że potrzebuje pomocy. Ale co z tego, skoro jemu nie można było już pomóc? To i tak nie było prawdę.

Leżące na komodzie pigułki uśmiechały się do niego szerokim, białym uśmiechem. Było ich za mało, żeby się otruć. Ale w łazience miał więcej. Tyle, że mogło wystarczyć. Czasami, w nocy, lubił sobie o tym pomyśleć. Znajdował w tym jakąś słabą pociechę.

34

Od chwili zaśnięcia do samego rana Susan zgrzytała zębami przez sen. Po przebudzeniu poczuła to momentalnie: ledwie mogła poruszać szczęką, z wielkim trudem udało jej się otworzyć usta i w ogóle miała takie uczucie, jakby przez całą noc żuła żużel. Przykładała sobie do policzków poduszkę elektryczną, dopóki obolałe mięśnie nie rozluźniły się, a ból nie przygasł. Ale od ciepła skóra na całej twarzy poczerwieniała, jakby spaliła się na słońcu. Za oknem powoli jaśniało. Prognoza we wczorajszej gazecie wyglądała następująco: rządkiem uśmiechniętych żółtych słoneczek na czystym, błękitnym tle. Rzut oka na niebo potwierdził te zapowiedzi. Nad dzielnicą Pearl z jej cegłami, szkłem, kamieniem i stalą rzeczywiście było widać skrawki czystego błękitu. Na Susan nie zrobiło to absolutnie żadnego wrażenia. Ludzie nie umieją docenić deszczu, dopóki pada.

Usiadła na łóżku, wyglądając przez okno. Chodnikami wlekli się poranni przechodnie z papierowymi kubkami kawy w dłoniach. Powinnam pracować, pomyślała. Następnego dnia mijał termin nadesłania trzeciego tekstu. Tymczasem dyktafon, który oddał jej Archie, leżał tam, gdzie go położyła, na stoliku nocnym, a nagranie jej rozmowy z Gretchen Lowell wciąż czekało na odsłuchanie. Na samą myśl o tym czuła lekkie mdłości.

Dokładnie o ósmej rano do drzwi zadzwoniła Claire Masland. Razem z nią przyszła Anne Boyd.

Pomimo niezwykle, jak na tę porę roku, obiecującej prognozy pogody, Susan ubrała się w zestaw, który w jej własnym mniemaniu był strojem gliniarza z telewizji: czarne spodnie, świeżo wyprasowana czarna koszula z przypinanymi rogami kołnierzyka, a na wierzch najprawdziwszy jasnobrązowy trencz. Płaszcz był dla niej obowiązkowy; mogło sobie być nawet dwadzieścia stopni. Claire jak zwykle była ubrana tak, jakby przyszła do pracy prosto z górskiej wycieczki, natomiast Anne miała dziś bluzkę w zebkę, czarne spodnie i buty w lamparcie cętki. Do tego na obu przegubach dźwigała po dziesięć złotych bransoletek.

- Fantastyczne buty - zachwyciła się Susan na powitanie.

- Wiem - odparła Anne. - Są cudowne.

- Tak... - westchnęła Claire. - Widzę, że się dogadacie.

Po czym przedstawiła sobie dziennikarkę i psycholożkę, a następnie wyszły we trójkę z budynku. Na ulicy czekał Chevrolet caprice, służbowy wóz Claire.

Poranny plan wyglądał następująco: zajrzeć do wszystkich pięciu liceów w mieście i sprawdzić ochronę. Rodzice wielu uczennic postanowili zatrzymać córki w domu; wszyscy młodzi ludzie otrzymali ostrzeżenie, żeby zawsze chodzić do szkoły i wracać z niej w towarzystwie znajomych osób. W całym mieście panowała nerwowa atmosfera. Nastrój niespokojnego oczekiwania był wręcz namacalny; Susan miała wrażenie, że ludzie dosłownie nie mogą się doczekać, aż zniknie kolejna dziewczyna, żeby móc usłyszeć o tym w wiadomościach. Dobry reportaż o porwaniu i morderstwie to doskonała telewizyjna rozrywka - o ile tylko na żadnym kanale nie ma niczego bardziej interesującego.

Najpierw pojechały do liceum imienia Roosevelta. W knajpce obok domu Susan Claire kupiła sobie kawę; orzechowy aromat wypełniał cały samochód, a dziennikarka łykała ślinkę. Wyjęła z torebki swój notatnik i rozłożyła go na kolanach, zzymając się w myślach, że musi jechać z tyłu. Nie znosiła tego, bo zawsze przypominało jej się dzieciństwo. Żeby ułatwić sobie odpytywanie policjantek, odpięła pas bezpieczeństwa i pochyliła się do przodu, wsuwając głowę pomiędzy fotele.

- Ej, ej - zbeształa ją Claire. - Pasy.

Susan z ciężkim westchnieniem opadła na siedzenie i z powrotem zapięła pas. Oba przednie fotele miały obicia z jasnoniebieskiego materiału, ale tylną kanapę pokryto granatowym tworzywem

sztucznym. Łatwiejsze do wyczyszczenia, gdyby pasażerowi zachciało się puścić pawia.

- Ten facet - zagadnęła Susan psycholożkę - to jest świr? Jak uważasz?

- Pytasz o moją fachową opinię? - Anne wyjrzała przez okno. - Podejrzewam, że faktycznie może cierpieć na jakieś zaburzenie.

- Będzie zabijał dalej?

Anne odwróciła się i uśmiechnęła do niej sceptycznie.

- A dlaczego miałyby przestać?

Liceum Roosevelta był to olbrzymi murowany gmach ozdobiony białymi kolumnami, zielonym trawnikiem oraz zakończoną iglicą wieżą. Pod szkołą stały trzy radiowozy.

- To ta szkoła powinna nosić imię Jeffersona - zażartowała Susan. Claire przewróciła oczami.

- Idę sprawdzić, co i jak - powiedziała. - Chcecie poczekać w samochodzie?

Takiej okazji do rozmowy z Anne w cztery oczy Susan nie mogła przepuścić.

- Jasne - przytaknęła skwapliwie i rozpięła pas, żeby móc swobodnie wsunąć się pomiędzy przednie fotele, tak, że prawie ocierała się o rozłożystą psycholożkę.

Claire wysiadła i ruszyła w kierunku jednego z radiowozów.

- No więc - zaczęła Susan - uważasz, że ten facet pracuje w którejś ze szkół?

Anne wyciągnęła ze swojej przepastnej torebki puszkę dietetycznej coli. Otworzyła ją z sykiem, rozpylając w powietrzu kropelki lepkiej brązowej cieczy.

- Nie wiem. - Zerknęła na dziennikarkę. - Tylko mi teraz nie zaczynaj kazania na temat dietetycznej coli. Wiem. Piję tylko jedną dziennie. Rano, na rozpęd.

- Ciepła dietetyczna cola to pyszna rzecz - skłamała Susan, przechodząc szybko do kolejnego pytania: - Lubisz swoją pracę? Te profile psychologiczne?

- Lubię - potwierdziła Anne, przykładając puszkę do ust. - Jestem w tym dobra, rzadko się mylę. No i w tej pracy każdy dzień przynosi co innego.

- Jak się to zaczęło?

- Studiowałam medycynę. Chciałam zostać pediatrą. Wydawało mi się, że wszyscy pediatrzy to świetni goście. W każdym szpitalu to są zawsze najfajniejsi lekarze. Nie mają przerostu ego. Nie siedzą w tym dla pieniędzy.

- Chciałaś zostać pediatrą, żeby kumplować się z innymi pediatrami? - zapytała Susan z niedowierzaniem.

- W zasadzie tak - zaśmiała się Anne. Bransoletki na jej przegubach brzękły cicho. Psycholożka oparła głowę na zagłówek i spojrzała na Susan w zamyśleniu. - Pierwszego dnia pracy na pediatрії zdiagnozowałam u siedmioletniej dziewczynki chłonia-ka czwartego stopnia. Ta mała była cudowna. Jeśli widziałaś kiedyś dziecko z

oczami starego człowieka, to wiesz, o co chodzi. Załamalam się, ale tak całkiem serio: zamknęłam się w łazience i płakałam nie wiem jak długo. - Anne umilkła na chwilę, zasłuchana we własne myśli. Słysząc było syk jej gazowanego napoju. Wreszcie podjęła, wzruszając ramionami: - Postanowiłam więc, że zrobię specjalizację z psychiatrii. Mój mąż dostał pracę w Wirginii, gdzie mieszka jego rodzina. Ja też musiałam sobie coś znaleźć, a w wojskowym ośrodku szkoleniowo-rozwojowym w Quantico akurat szukali kobiet do przeszkolenia w sztukach tajemnych... Okazało się, że jestem w tym całkiem niezła.

- Profile morderców to trochę dziwna dziedzina dla kogoś, kto nie chce stykać się na co dzień ze śmiercią.

- Nie chodzi o śmierć. - Anne pośliniła kciuk i potarła kropelkę coli, która spadła na jej czarne spodnie. - Chodzi o współczucie. -

Wyrzała przez okno. Obok ich samochodu śmignął chłopak na deskorolce. Odwróciła się z powrotem do Susan. - Ludzie, którymi się zajmujemy, już nie żyją. My mamy zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do kolejnych zabójstw. Łapiemy morderców. Nie współczuję im.

Susan pomyślała o Gretchen Lowell.

- Co popycha człowieka do takich czynów?

- Istnieje pewne studium, przeprowadzone w zakładach karnych. Wszystkim badanym więźniom zadano to samo pytanie: czy woleliby spotkać na swojej drodze psa czy człowieka z rewolwerem. Wiesz, jaka była najczęstsza odpowiedź? - Anne powoli obróciła w palcach puszkę z colą. - Człowieka z rewolwerem. Bo pies nie zawaha się ani chwili, tylko z miejsca skoczy do gardła. Zawsze. A uzbrojonemu człowiekowi w ośmiu przypadkach na dziesięć można odebrać broń i pójść dalej swoją drogą. Wiesz dlaczego tak jest?

- Bo trudno jest zastrzelić drugiego człowieka.

W czarnych oczach Anne błysnęły elektryczne iskry.

- Otóż to. A nasz morderca w tym właśnie miejscu ma defekt. Nie sądzę, żeby pracował w którejś szkole, chociaż chciałabym się mylić. Bo jeśli jednak pracuje, to go złapiemy. Jeśli nie, to nie wiem, jak będzie.

- Ale co powoduje taki defekt? Psycholożka zasałutowała puszką.

- Geny, wychowanie. Jedno i drugie na raz. Wybierz sobie. Susan założyła splecione dłonie na zgięte kolano, podsunęła się jeszcze bliżej.

- Ale można też specjalnie doprowadzić kogoś do takiego stanu, prawda? Tak jak Gretchen Lowell. Jak ona to robiła? W jaki sposób zmuszała ludzi, żeby mordowali na jej polecenie?

- Ona jest mistrzynią manipulacji. To się bardzo często zdarza u psychopatów. Wybierała sobie najmniej odpornych mężczyzn.

- I co dalej? Torturowała ich?

- Nie. - Anne pokręciła głową. - Miała bardziej niezawodną metodę. Seks.

W oknie samochodu nagle pojawiła się Claire. Na policzkach

filigranowej policjantki płonęły szkarłatne rumieńce.
- Skurwysyn porwał kolejną dziewczynę. Dziś w nocy.

35

Rodzina Addy Jackson mieszkała w murowanym piętrowym domu na rogu ruchliwej ulicy w dzielnicy Southeast. Dom stał na tarasowym wzgórzu, miał różowe ściany, czerwone dachówki i średnio pasował do otaczających go drewnianych jednorodzinnych willi. To wrażenie potęgowały stojące wszędzie wokół radiowozy. Susan zauważyła, że nad dachami już krąży lśniący czarny helikopter z logiem informacyjnego Kanału 12 na ogonie. Po zboczu wzgórza biegły zygzakami betonowe schody. Claire mknęła po nich, przeskakując po dwa stopnie na raz. Za nią szła Anne, a na końcu Susan. Było jej już nieco za ciepło w trenczu, ale nie chciała go zdejmować, ponieważ miał głębokie kieszenie, w sam raz na jej dziennikarski notatnik. Na myśl o tym, że za chwilę na jej oczach rozegra się rodzinny dramat, robiło jej się niedobrze, a wiedziała, że poczuje się jeszcze gorzej, jeśli będzie paradować z notatnikiem w garści. Równie dobrze mogłaby wypisać sobie na czole: Dzień dobry, jestem z prasy, przyszłam żerować na waszej tragedii. Jestem poważną dziennikarką, powtarzała sobie w myślach, usiłując zagłuszyć narastający niepokój. Poważną. Dziennikarką.

Cały dom był pełen policjantów. W salonie Susan zauważyła Archiego, który klęczał na jednym kolanie przed dwojgiem zrozpaczonych ludzi, siedzących na wąskiej kanapie i trzymających się za ręce. Patrzyli na niego wzrokiem, który mówił, że detektyw Sheridan jest dla nich w tej chwili jedynym człowiekiem na świecie, ich jedynym ratunkiem. Susan przypomniała sobie, że jej matka w identyczny sposób patrzyła na onkologa, który zajmował się ojcem. Ale tamten przypadek, podobnie jak obecna sytuacja, był beznadziejny.

Odwróciła głowę, rozglądając się dookoła. Pokój był pięknie urządzony. Wszędzie stały stare meble z ciemnej dębiny, w drzwiach pyszniły się witraże, a obicia i zasłony skrojono z aksamitu w jaskrawych, cukierkowych kolorach. Nad drewnianymi listwami wykończeniowymi ktoś musiał wykonać solidny kawał roboty: widać było, że zostały starannie oczyszczone ze starego lakieru i pomalowane na nowo. Wzdłuż łukowatych krawędzi otworów drzwiowych i ściennych wnęk, w które wbudowano półki, także biegły wygięte drewniane profile. Kiedy Susan przestała podziwiać wystrój i spojrzała z powrotem na Archiego, ten powiedział coś do rodziców zaginionej dziewczyny, dotykając lekko ramienia jej matki, po czym wstał i podszedł do drzwi.

- Dziś rano odkryli, że ich córka zniknęła - poinformował ją cicho, prawie szeptem. - Ostatni raz widzieli ją wczoraj wieczorem, około dziesiątej. Okno w jej pokoju jest wybite, ale nic nie słyszeli. Ich

sypialnia znajduje się na piętrze. Wszystko jest nietknięte, brakuje tylko jej. Technicy kryminalni szukają teraz śladów.

Susan zauważyła, że Archie wygląda lepiej niż wczoraj, jest bardziej ożywiony i skoncentrowany. To dobry znak, pomyślała, ale po chwili przypomniała sobie opowieść Debbie o tym, jak Archie po powrocie z widzenia z Gretchen spał spokojnie jak dziecko.

- Skąd wiedział, gdzie jest jej pokój? - zapytała Claire. Archie odstąpił na bok, żeby przepuścić policjanta w kurtce z napisem „technik kryminalny”.

- Wczoraj wieczorem odrabiała u siebie lekcje. Nie zasłoniła okna, a światło było włączone. Może ją obserwował. A może po prostu ją zna.

- Jesteśmy pewni, że to ten sam facet? - zapytała Anne. Twarz miała stężałą. - To do niego nie pasuje.

Archie skinął na nie i przeszedł do jadalni, gdzie na ścianie wisiała ramka z fotografią. Zdjął ją ze ściany i wręczył Anne. Na zdjęciu widniała nastolatka z brązowymi włosami i szeroko rozstawionymi oczami.

- Jezu - szepnęła Claire.

- Dlaczego miałyby zmienić metodę działania? - mruknęła Anne w zamyśleniu.

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz - odparł Archie.

- Ochrona w szkołach - domyśliła się. - Boi się, że nie będzie mógł zbliżyć się do ofiar. Mógł śledzić ją w drodze do domu. Ale to już się robi naprawdę ryzykowne. On zaczyna panikować. Ogólnie rzecz biorąc, to dobra wiadomość. Będzie mniej ostrożny. Zbliżamy się do niego.

Susan odchyliła głowę, zaglądając przez drzwi do salonu, gdzie rodzice dziewczyny wciąż siedzieli bez najmniejszego ruchu na kanapie. Obok nich, na niskiej otomanie, przycupnął jakiś inny detektyw. Miał w dłoni notatnik.

- Do której szkoły chodziła? - chciała wiedzieć Claire.

- Do jej Alma Mater. - Archie wskazał głową Susan.

- Do Cleveland? - Dziennikarka poczuła, że robi jej się słabo; wiedziała od razu, z przeraźliwą, absolutną pewnością, że Archie spotkał się z Paulem. To było dla niej absolutnie jasne. - Chyba nie myślisz... - zaczęła.

- To nie Reston - przerwał jej Archie. - Od osiemnastej był pod obserwacją. Nie wychodził z domu.

Susan zmrużyła oczy; powrócił ból zaciśniętych szczęk. Archie podejrzewał Paula, zlecił inwigilację, a dlaczego? Bo ona odstawiła scenę na widzeniu z Gretchen Lowell. Gdyby mogła, kopnęłaby się w kostkę za to kłapanie dziobem. Trzeba było lepiej się trzymać i nie pozwolić Gretchen dobrać się do siebie. Trzeba było w ogóle nie brać tego artykułu. Sama się na to zgodziła i teraz nie było już odwrotu.

- Kazałeś śledzić Paula? Z powodu tego, co powiedziałam ci wczoraj?

- Na razie Reston najlepiej pasuje do profilu mordercy. Jest tylko jeden niewygodny szczegół: za każdym razem, kiedy dochodzi do zbrodni, on ma alibi. - Archie odwrócił się do Claire. - Skontaktuj się z ochroną w Cleveland i sprawdź, czy ktoś dziś nie przyszedł do szkoły w kominiarce i zakrwawionych ciuchach. - Uśmiechnął się blado. - Albo po prostu czy nie wydarzyło się nic niecodziennego. Claire skinęła głową, wyciągnęła komórkę z pokrowca przypiętego do paska i wyszła na wewnątrz, żeby zadzwonić. Susan jeszcze raz zerknęła na Archiego z ukosa. - Poszedłeś do niego - powiedziała. Sheridan zamknął wieczne pióro, wrzucił je do kieszeni płaszczka. - Oczywiście. - Skinął głową. - A twoim zdaniem co miałem zrobić? - I co ci powiedział? - Zaprzeczył wszystkiemu. Susan oblała się rumieńcem. - To dobrze. - Głos załamał jej się przy tym, ale tylko nieznacznie. - Broni się. To dobrze. - A potem dodała jeszcze: - Mówiłam ci, że tak będzie. - Owszem, mówiłaś - odparł Archie. Wróciła Claire. - Dan McCallum nie przyszedł dziś do pracy. - Urwała, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy. - Coś się stało? Archie spojrział na zegarek. - O której miał przyjść? - Jego pierwsza lekcja zaczęła się dziesięć minut temu. Nie dzwonił, że jest chory. Po prostu nie pokazał się w szkole. Dzwonili do niego do domu, ale nikt nie odbiera. - Sądzę, że można to uznać za podejrzanę - powiedział Archie.

36

Archie podszedł do drzwi parterowego domu z lat pięćdziesiątych, w którym mieszkał nauczyciel McCallum i zastukał, a właściwie załomotał w nie tak mocno, że aż poobijał sobie kłykcie. Dom był maleńki, murowany, z jasnobrązowej cegły. Stał na samym środku rozległego podwórza, otoczony obsesyjnie wypielęgnowanym ogródkiem i miał werandę na betonowej podmurówce. Prowadził do niego chodnik obsadzony krzakami róż, świeżo odrosłymi po podcięciu aa zimę. Drzwi wejściowe, w jakimś incydentalnym szale indywidualizmu, zostały pomalowane błyszczącą czerwoną farbą. Przycisk dzwonka wyglądał tak, jakby nigdy nie działał; był zaklejony kawałkiem starej taśmy izolacyjnej, zniszczonej przez deszcz, wiatr i słońce. Pod drzwiami leżał poranny numer „Heralda”, zafoliowany i nietknięty. - Dan? - zawołał Archie i zastukał jeszcze raz. Drzwi były przeszkłone, ale od wewnątrz wisiała na nich zasłotka i widać było tylko niewielki skrawek wnętrza domu. Archie skinął na Ostrych Chłopaków, którzy zeszli z werandy, szukając tylnego wejścia. Henry przystanął na schodkach. Claire trzymała się Archiego, a obok niej wcisnęła się Susan. przyodziana w żółtą, odblaskową

kamizelkę z czarnym napisem „Jedź za mną” na plecach. Archie gestem kazał jej się odsunąć; posłuchała. Wyciągnął broń i zapukał jeszcze raz.

- Ban, policja! Otwieraj!

Przekręcił gałkę w drzwiach. Okazały się zamknięte na klucz. Nagle na werandę wskoczyła pręgowana kotka i prześlizgnęła się pomiędzy jego nogami.

- Dzień dobry pięknej pani - powiedział Archie i w tym momencie zauważył ślady jej łap. Przyklęknął, żeby przyjrzeć się im bliżej. Były czerwone i odbijały się mocno na podłodze werandy, pomalowanej lśniąca farbą koloru bagnistozielonego.

- Krew. - Sheridan spojrzał na Claire. - Jeśli masz życzenie, to proszę.

Wstał i odstąpił o krok. Claire zasłoniła łokciem twarz, odwróciła broń w dłoni i z całej siły rąbnęła rękojęścią w przeszklone drzwi. Szyba rozpadła się na pięć dużych części, które poleciały do wewnątrz i roztrzaskały się o podłogę. W momencie, gdy pękła, wszyscy natychmiast poczuli mdły odór śmierci. Każdy go rozpoznał. Archie sięgnął do środka i otworzył zamek, po czym pchnął drzwi, unosząc broń.

Nosił przy sobie smitha&wesson. 38 Special. Nie przepadał za bronią automatyczną, wolał rewolwery. Były bardziej niezawodne i nie wymagały tak starannej konserwacji. Archie w ogóle nie lubił broni palnej. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby musiał jej użyć poza strzelnicą. I zupełnie nie pociągało go poświęcanie połowy wolnego czasu na pucowanie służbowego rewolweru przy kuchennym stole. Lecz z drugiej strony trzydziestka ósemka ustępowała siłą ognia pistoletowi kalibru 9 mm; Archie nagłe poczuł, że jego wierność rewolwerom jakby słabnie

- Dan! - zawołał. - Policja! Jesteś tutaj? Wchodzimy do środka. Cisza.

Bezpośrednio za drzwiami wejściowymi znajdował się salon, a dalej - kuchnia. Archie dostrzegł ślady kocich łap, skośną ścieżkę na linoleum. Odwrócił się do Susan.

- Zostań tutaj - nakazał jej najbardziej nieznoszącym sprzeciwu tonem, na jaki potrafił się zdobyć. Potem skinął głową do Claire i Henry'go. - Gotowi? - zapytał. Oboje przytaknęli.

Wszedł do środka.

Archie uwielbiał tę część swojej pracy. Nawet wszystkie jego pigułki zażyte na raz nie mogły się równać z naturalnym wyrzutem adrenaliny i endorfin. Przez ciało przebiegła fala energii, tętno podskoczyło, oddech przyspieszył, mięśnie napięły się same; to był szczyt jego sprawności. Szedł, rozglądając się po domu i rejestrując każdy szczegół otoczenia. Na ścianie naprzeciwko drzwi - półki od góry do dołu, a na nich, oprócz książek, różne śmieci w rodzaju starych kubków po kawie i papierów wyglądających na oko jak listy, poupychanych w każdą wolną szczelinę. Niski stolik zarzucony gazetami, a dookoła niego - cztery głębokie fotele, każdy z innej

parafii, ale wszystkie obite na zielono. Kolejna ściana obwieszona oprawionymi w ramki rycinami żaglowców. Archie wszedł w krótki korytarz prowadzący do kuchni, przywierając plecami do ściany. Za nim szła Claire, tak blisko, że słyszał jej oddech. Zawołał jeszcze raz: - Dan! Policja! - Cisza.

Wyszedł z korytarza z uniesioną bronią - i już wiedział, skąd się wzięły krwawe ślady kocich łap.

Dan McCallum był martwy. Siedział na krześle przy dębowym kuchennym stole, wpięty na blacie. Jego głowa spoczywała w kałuży zgęstniałej krwi. Jedna ręka była wyciągnięta w poprzek stołu; druga, ta trzymająca rewolwer, zgięta w łokciu. Fizyk leżał twarzą do Archiego. Oczy miał otwarte, ale było jasne na pierwszy rzut oka, że umarł jeszcze w nocy.

- Kurwa mać... - westchnął Archie, chowając broń do kabury. Splótł dłonie na karku i zaczął chodzić dookoła, walcząc z narastającą frustracją. Jeśli to McCallum mordował nastolatki - było po wszystkim. Ale w takim razie gdzie jest dziewczyna? Archie ochłonął, powrócił do przytomności.

- Wezwij kogo trzeba - polecił Claire.

Podszedł do ciała; zza pleców dobiegał go głos Claire nadającej wezwanie przez radio. Przykucnął obok zwłok, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi, która ściekła na podłogę. Rewolwer w dłoni McCalluma rozpoznał od razu. To była trzydziestka ósemka. Przy tego rodzaju uszkodzeniu mózgu serce może pracować jeszcze nawet przez dwie minuty, co wyjaśniało tak obfite krwawienie. Archie oglądał kiedyś zwłoki mężczyzny, który, jak się później okazało, pokłócił się z żoną i w ataku furii zbił gołą pięścią szybę w oknie. Przeciął sobie tętnicę ramienną i wykrwawił się na śmierć, bo żona, zanim to się stało, wybiegła z domu, zostawiając go samego, a jemu duma nie pozwoliła zadzwonić po pogotowie. Krew z przeciętej arterii trysnęła szerokim łukiem po całej kuchni i nie dała się zatamować, chociaż porywczy pięściarz obwiązywał sobie rękę ścierkami do naczyń, które miały udawać opaski uciskowe. Żona wróciła do domu rano i to dopiero ona zadzwoniła na numer alarmowy. Kiedy Archie przybył na miejsce, martwy mężczyzna siedział na podłodze w kuchni, oparty o szafkę. Jego krew zbryzgała żółte zasłonki w oknach, białe ściany i dosłownie całą podłogę. Archie nie miał pojęcia, że w jednym ciele może być aż tyle krwi. Kuchnia wyglądała tak, jakby ktoś kroił tego faceta piłą mechaniczną.

I powrót do teraźniejszości. I znów kuchnia. Archie pochylił się, żeby obejrzeć z bliska odcisk lufy w pobliżu ust nauczyciela fizyki a po niej - ranę wylotową, znajdującą się na potylicy. Kula kalibru trzydziestki osiem przechodzi przez czaszkę bez trudu; dwudziestka dwójka odbija się parę razy od kości czerepu. Orzechowe oczy McCalluma patrzyły przed siebie niewiającym wzrokiem: źrenice rozszerzone, powieki stężałe w rozchyleniu. Zaciśnięte zęby krzywiły wykrój ust, malując na nich pełen dezaprobaty

grymas. Na twarz wystąpiły już plamy pośmiertne; wyglądał, jakby usnął przy stole po ciężkiej, wyczerpującej bójce na pięści. Miał na sobie czerwone spodnie od dresu i dresową bluzę, chyba z nazwą drużyny Cleveland Warriors, a na nogach tylko białe sportowe skarpetki. Palce jego stóp były czerwone od krwi. Na stole nie stał żaden kubek na kawę.

Archie powrócił do oględzin zwłok. Odciski łap pokazywały, że po blacie przeszła kotka, którą spotkali na werandzie; na rozlanej krwi widać było drobne kłaczki szarej sierści. Włosy McCalluma na skroni były mokre i przylepione do skóry; najwidoczniej to ona je wylizała. Biedny zwierzak. Ślady łap prowadziły od stołu do drzwiczek dla kota, umieszczonych u dołu drzwi prowadzących na tyły domu. Archie wyprostował się. Przychodziło mu to już z większym trudem niż kiedyś. Henry otworzył tylne wejście; za drzwiami stały Ostre Chłopaki, a z nimi Susan Ward. Wszyscy czekali, aż ich dowódca coś powie.

- Przewrócić mi tu wszystko do góry nogami - rozkazał She-ridan.
— Może nam się poszczęści i znajdziemy dziewczynę. -Sam w to nie wierzył - I zadzwońcie do jakiegoś schroniska dla zwierząt - dodał.
- Ktoś musi zająć się tym kotem.

37

Susan miała wrażenie, że wszyscy gliniarze z całego miasta zjechali się naraz do domu Dana McCalluma. Podwórko opasały żółte taśmy policyjne, powstrzymujące napór rosnącej zgrai gapiom. Dalej telewizyjne ekipy ustawiały już kamery, a prezenterzy sytuowali się tak, żeby mieć za sobą miejsce zdarzenia, kiedy będą je komentować na żywo w wiadomościach. Dziennikarka siedziała na ławce z kutego żelaza, którą nauczyciel miał na swojej werandzie i paliła papierosa, wyłuszczać łanowi przez komórkę, co się dzieje. I właśnie wtedy znaleźli rower Kristy Mathers.

Policjant z drogówki, przeszukujący garaż, zajrzał pod płachtę z niebieskiego brezentu. Stał tam rower oparty o ścianę, żółta damka z siodłem koloru bananowego i popsutym łańcuchem. Dookoła znaleziska zgromadzili się wszyscy obecni na miejscu policjanci; stali, drapiąc się po głowach i nie mówiąc zbyt wiele, a tymczasem fotoreporterzy trzaskali zdjęcie za zdjęciem. Sekundowali im dzielnie sąsiedzi McCalluma, z tym, że zamiast cyfrowych aparatów mieli tylko telefony komórkowe.

Susan pomyślała o tym, gdzie podziwia się w tej chwili Addy Jackson i zrobiło jej się niedobrze. Z całą pewnością dziewczyna była już martwa, a jej zwłoki leżały na brzegu jakiejś rzeki, na wpół zagrzebane w błocie. Przed domem nauczyciela fizyki stała Charlene Wood z Kanału 8, nadając relację na żywo. Susan nie słyszała, co mówi Charlene, ale umiała sobie wyobrazić drastyczne, efekciarskie opisy i całą tę histerię w lokalnych mediach. Ostatnio

coraz częściej odnosiła wrażenie, że ludzie nie wiedzą już, co to znaczy być człowiekiem.

Po jakimś czasie do dziennikarki na werandzie dołączył Archie, wycofawszy się z kręgu policjantów.

- Nie notujesz? Nie będziesz o tym pisać? - zapytał, przysiadając się obok.

Potrząsnęła głową.

- To są aktualności. Reporter się tym zajmie. Wysłali już Par-kera. - Podciągnęła kolana pod brodę, obejmując je ramionami. Zaciągnęła się papierosem. - Czyli co? - zagadnęła. - Zabił się sam?

- Na to wygląda.

- Nie widziałam nigdzie żadnego listu.

- Większość samobójców nie zostawia listów. Zdziwiłabyś się, ilu takich jest.

- Naprawdę?

Archie potarł dłonią kark i rozejrzał się po podwórzu.

- Chyba raczej trudno wymyślić, co napisać w takim liście.

- Racja. - Susan strząsnęła popiół na podłogę werandy.

- To jest miejsce zbrodni - przypomniał jej detektyw.

- O, cholera - zaklęła. - Przepraszam. - Zgasiła papierosa na kartce wyrwanej z notatnika, starannie zawinęła w nią niedopałek i schowała wszystko razem do torebki. Czuła na sobie baczny wzrok Archiego, ale nie mogła się zmusić, żeby odwzajemnić spojrzenie. Zamiast tego skupiła się na własnych dłoniach. Skóra wokół przedwczorajszego skaleczenia odpryskiem kieliszka zaczerwieniła się, jakby wdało się tam jakieś zakażenie - Nie chcesz mnie zapytać? - odezwała się wreszcie

- O co?

Susan uniosła dłoń do ust i przez chwilę ssała ranek, czując na języku dwa smaki: słonawy i metaliczny. Spocona skóra i zaschnięta krew.

- Czy naprawdę doszło do tego, o czym była mowa. Potrząsnął przecząco głową, lekko, prawie niedostrzegalnie. - Nie.

Oczywiście, pomyślała. Pełna galanteria. Susan pożałowała, że zgasiła papierosa. Teraz nie miała co zrobić z rękami, więc chwyciła w palce pasek od swojego trencza.

- Wiesz, że mnie McCallum też uczył fizyki? Postawił mi tróję.

- Świnia.

- Owszem. Trudno o lepszy dowód, że był maniakałnym mordercą.

Archie spojrział na nią, zawahał się przez chwilę.

- Jeśli chodzi o Restona... Zgłoszę wszystko władzom szkoły. On przynajmniej powinien mieć zakaz pracy w tym zawodzie.

Susan zebrała wszystkie siły.

- Skłamałam - wyznała. - Zmyśliłam to. Całość, od A do Z. Archie skrzywił się smutno, zacisnął powieki.

- Nie rób tego, Susan.

- Proszę cię, zapomnij o wszystkim - szepnęła błagalnie. - Już i tak czuję się jak dyplomowana idiotka. Jestem skończonym an-

tytalentem do facetów. - Spojrzała mu prosto w twarz. - Podkochiwałam się w nim. I wymyśliłam sobie romans. Chciałam tego. Ale nie wyszło. - Wpatrywała się w niego z prośbą w oczach. -Więc zapomnij o wszystkim, dobrze? Ja mówię poważnie. Jestem kompletnie popieprzona. Nie masz nawet pojęcia.

Potrząsnął głową.

- Susan... - zaczął.

- Wszystko zmyśliłam - powtórzyła po raz kolejny. Archie zamarł i siedział bez ruchu.

- Archie - podjęła po chwili, starannie dobierając słowa.

- Uwierz mi, proszę. To wszystko była bujda. Jestem oszustką.

- Dobitnie akcentowała każde słowo, każdą sylabę, żeby tylko zrozumiał. - Zawsze taka byłam.

Powoli się otrząsnął, skinął głową.

- W porządku.

Wszystko spieprzyłam, pomyślała. Mistrzostwo świata. Jak zwykle.

- Nie przejmuj się. Jestem przypadkiem beznadziejnym - powiedziała, próbując uśmiechnąć się do niego, ale nie wyszło, bo oczy zaszyły jej łzami. Mrugnęła, roześmiała się. - Matka zawsze mi powtarza, że wystarczy znaleźć sobie jakiegoś fajnego chłopaka, byle tylko miał samochód z napędem hybrydowym.

Archie udał, że się nad tym zastanawia.

- Oszczędność na benzynie to bardzo istotny argument przy wyborze przyszłego partnera. - Posłał Susan powściągliwy uśmiech i znów spojrzał na podwórko. Przed domem Charlene Wood właśnie zakończyła swoją relację na żywo. - Muszę wracać do pracy, ale znajdę ci kogoś, kto podrzuci cię do domu.

- Nie trzeba, w porządku. Dzwoniłam do Iana. Detektyw wstał, ale odwrócił się jeszcze.

- W porządku? Na pewno?

Susan, mrużąc oczy, spojrzała w czyste, błękitne niebo.

- Jak myślisz, czy to słońce przestanie wreszcie tak świecić?

- Będzie padać - zapewnił ją. - Zawsze tak jest.

38

Kiedy do domu Dana McCalluma przybył burmistrz, gotowy do konferencji prasowej, dzierżąc w dłoni na wpół zapisaną kartkę z notatkami, Archie był na tyłach i rozmawiał z Henrym i Anne. Podobnie jak od frontu, tak i tutaj trawa była pedantycznie skoszona; żadne źdźbło nie miało więcej niż trzy centymetry długości. Utrzymanie trawnika w tak wychuchanym stanie podczas pory deszczowej wymagało naprawdę poważnego zaangażowania. W rogu podwórka stał niewielki składzik z blachy aluminiowej, z rodzaju takich, które kupuje się w częściach do samodzielnego montażu; wszystko, co było w środku, zostało wyciągnięte przez policjantów i poustawiane pod ścianami. Granicę posesji wyznaczał

plot z cedrowych desek, z kratką pod rośliny na szczycie, Archie dostrzegł, że burmistrz go zauważył i kieruje się w jego stronę. Przewodniczący zarządu miasta był wystrojony w czarny garnitur, a srebrzyste włosy miał zaczesane gładko i ułożone na mur-beton; Kolei zawsze umiał dobrać sobie gajer, krawat i całą resztę. Pierwszą rzeczą, którą Archie usłyszał z burmistrzowskich ust, było:

- To ten facet, którego szukamy? - Na to wygląda - potwierdził. Koleś wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki ciemne okulary marki Ray Ban i nałożył je na nos.
- Gdzie dziewczyna? - zapytał. Archie zerknął na Annę.
- Najprawdopodobniej w rzece.
- Cholera - zaklął cicho burmistrz, po czym wziął głęboki wdech i pokiwał parę razy głową, jakby wsłuchiwał się w jakąś zagrzewającą do walki przemowę, przeznaczoną tylko i wyłącznie dla jego uszu. - Dobra. Skupimy się na tym, że mordercy nie ma już w mieście. - Zerknął na Sheridana ponad oprawkami okularów. - Wyglądasz jak psu z gardła, Archie. Przemój może chociaż twarz, zanim zabierzemy się do roboty, co?
- Jasne. - Archie zmusił się do uśmiechu, posłał Henry'emu i Anne cierpkie spojrzenie i wrócił do domu McCalluma.
- Ty jesteś Sheridan? - powitał go czyjś głos po wejściu do kuchni. Zanim odpowiedział, musiał najpierw przystanąć i kilka razy odetchnąć powoli, żeby przystosować się do wiszącego w powietrzu fetor.
- Tak.

Na blacie szafki kuchennej siedział młody Murzyn z dredami do ramion, ubrany w biały kombinezon laboratoryjny. Pisał coś na kartce przypiętej do podkładki z klipsem i wymachiwał nogami.

- Lorenzo Robbins - przedstawił się.
- Z pracowni lekarza sądowego?
- Aha - przytaknął. - Chciałem tylko powiedzieć, że z tym umarlakiem jest coś nie bardzo.
- Coś nie bardzo? - powtórzył Archie.

Robbins wzruszył ramionami i postawił kilka znaków na swojej kartce.

- Trzydziestka ósemka to nie jest najmniejsza pukawka -oznajmił.
- Nie jest - zgodził się Archie, cedząc powoli słowa.
- Ma porządnego kopa. Przy takim uszkodzeniu ośrodkowego układu nerwowego ciało może zareagować na dwa sposoby. Albo spluwa leży gdzieś parę metrów dalej albo u nieboszczyka stwierdza się skurcz tężcowy, czyli sztywne zaciśnięcie palców na rękojęści. - Uniósł dłoń w lateksowej rękawiczce i zademonstrował. Archie odwrócił się i spojrział na McCalluma, który w dalszym ciągu siedział przy stole z twarzą na blacie. Jego bronie już nie było, technicy kryminalni wsadzili ją do torby i zabrali ze sobą.
- Uścisk śmierci - powiedział. Robbins opuścił rękę.

- Właśnie - potwierdził. - Jeśli zwłoki są świeże, łatwo go rozpoznać. Dłoń jest sztywna, reszta ciała nie. Ale kiedy tutaj przyjechałem, wystąpił już pełny rigor mortis. Nie wykluczam, że skurcz tężcowy mógł stłumić odrzut po wystrzale i dlatego rewolwer został w dłoni tego kolesia. To się zdarza. Problem w tym, że rzadko. Uścisk śmierci to raczej patent z filmów.

- Więc co to wszystko znaczy?

- Możliwe, że nic - odparł Robbins, z powrotem zabierając się do pisania. - Na skórze jest śliczny odcisk lufy, czyli broń przy wystrzale była z całą pewnością przyłożona do samej głowy. - Znow coś naskrobał na kartce. - Ale z drugiej strony na dłoni nie było śladów prochu. Na rewolwerze - owszem. Na dłoni - nie.

Archie wyciągnął rękę i zabrał mu długopis.

- Chcesz mi powiedzieć, że to nie było samobójstwo? Że ktoś go zastrzelił, a potem wcisnął broń do ręki?

- Nie - pokręcił głową Robbins, spoglądając na swój długopis w dłoni Archiego, a potem na samego detektywa. - Chcę powiedzieć, że uścisk śmierci to rzadkość, a facet nie miał śladów prochu na dłoni. Najprawdopodobniej to faktycznie było samobójstwo. Otworzymy go i wszystko się zobaczy. Teraz pokazałem ci tylko zwiastun. Żebyś miał więcej wrażeń.

- Cholera - mruknął Archie, zawiedziony. Odchylił głowę do tyłu. Sufit kuchni był pomalowany na biało. Na samym środku wisiała lampa z kulistym kloszem. Nie była zapalona. - Kto wyłączył światło? - zapytał. - Ty?

Robbins spojrział na lampę.

- A wyglądam, jakby to był mój pierwszy dzień w tej robocie? - odgryzł się. - Bo nie jest.

Archie podszedł do drzwi prowadzących na tyły domu.

- Ktoś gasił światło w kuchni? - zawołał, wystawiając przez nie głowę. Policjanci krzążący się po podwórku spojrzeli po sobie nawzajem. Nikt nie odpowiedział.

Sheridan zamknął drzwi i odwrócił się z powrotem do Robbinsa.

- Zatem jeśli przyjmiemy, że żaden z naszych nie strzelił byka i nie wyłączył światła w tej kuchni...

Robbins wyłuskał mu z palców swój długopis i nonszalanckim ruchem wsunął go za klips na swojej podkładce.

- Raczej mało prawdopodobne, żeby zastrzelił się po ciemku. Słońce zachodzi około szóstej. Czyli w zasadzie można założyć, że zrobił to przed zachodem. - Rzucił okiem na zwłoki. - Ale niedużo przed. - Uśmiechnął się; na tle brązowej skóry jego zęby wydawały się wyjątkowo białe. - Chociaż z drugiej strony kręciło się tu przecież dobrych kilkunastu gliniarzy. Światło mógł wyłączyć któryś z nich.

Archie poczuł na języku pałący smak soku żołądkowego. Ad-dy Jackson poszła spać o dwudziestej drugiej.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Robbins.

- Doskonale - odparł. - Jak nigdy w życiu.

W kieszeni namacał tabletkę na zgagę. Leżała luzem, nie w pudełku. Wsunął ją do ust, nie czując wcale słodkiego, kredowego posmaku. Zagłuszył go odór gnijącego ciała.

39

Jakie to uczucie? - pyta Archie.

Kodeina pomogła. Jest teraz ledwie przytomny. Rany na brzuchu ma zaczerwienione i nabrzmiące od ropy. Czuje piekący ból, znak zakażenia, ale nie przeszkadza mu to. Nie przeszkadza mu nawet duszny fetor zgnilizny, który dławi wszystkie doznania przekazywane przez zmysły. Pot nie spływa już po lepkiej skórze, tylko przylega do niej. Kończyny leżą niczym martwe, ale on czuje swoje ciało wyraźnie: ciepłe i rozluźnione, a krew - gęsta. Jest Arenie. Jest Gretchen. I jest ta piwnica. Siedzą tu razem jak w poczekalni. Czekają, aż przyjdzie śmierć. Można porozmawiać. Więc Archie rozmawia.

Gretchen przysunęła sobie krzesło do jego łóżka i trzyma dłoń na jego dłoni.

- Byłeś przy narodzinach swoich dzieci? - odpowiada pytaniem na pytanie.

- Tak.

Gretchen szuka właściwych słów, aby wypowiedzieć swoje myśli. Jej spojrzenie zaczyna błędzić.

- To chyba coś podobnego, jak sędzę. Głębokie doznanie, piękne i paskudne zarazem. - Pochyla się ku niemu, muskając oddechem policzek, zbliża wargi do ucha. - Myślisz, że wszyscy ci ludzie byli przypadkowi. Nie byli. Zawsze musiała zadziałać jakaś chemia. Czułam to od razu, momentalnie. - Jej oddech łaskocze wrażliwą małżowinę, a palce zaciskają się na jego dłoni. - To była cielesna więź. Impuls śmierci. - Gretchen odwraca głowę i spogląda na ich splecione dłonie, na skórzany pasek wciąż ciano opinający jego nadgarstek. - Zupełnie jakby oni tego chcieli. Wszechświat jest taki wielki, a ja wybierałam właśnie ich. Miałam w dłoni ich życie. Dziwię się ludziom, że codziennie wstają rano, idą do pracy, wracają do domu - i nie wiedzą, jak to jest kogoś zabić, bo ani razu tego nie zrobili. Żal mi ich, bo wcale nie żyją. Nigdy nie rozumieją, co naprawdę znaczy być człowiekiem.

- A po co ci byli ci wszyscy współnicy? Gretchen posyła mu zalotne spojrzenie

- Kiedy robili to moi kochankowie, było jeszcze lepiej. Lubiłam patrzeć, jak zabijają na mój rozkaz.

- Bo wtedy miałaś władzę nad dwiema osobami. - Tak.

Archie opuszcza wzrok, spogląda na podłogę, tam, gdzie leżą zwłoki zastrzelonego mężczyzny. Ze swojego miejsca nie widzi głowy trupa, a tylko jego dłoń. Na jego oczach ta dłoń ciemniała i puchła, aż wreszcie zmieniła się nie do poznania, w martwego ptaka na

wpół zagrzebanego w rękawie ludzkiego ubrania.

- Kto to jest? - pyta.

Gretchen rzuca okiem. Wzrok ma obojętny.

- Daniel. Znalazłam go w Sieci.

- Dlaczego go zabiłaś?

- Przestał być potrzebny - odpowiada ona, jednym palcem gładząc go delikatnie po przedramieniu. - Miałam ciebie. Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, kochany. Nie rozumiesz tego?

- Twoja dwusetna ofiara. Jubileusz.

- Nie tylko dlatego.

Archiemu zaczyna się wydawać, że już ją rozumie. Im bardziej oddala się od życia, tym łatwiej za nią nadaża. Czy urodziła się taka? A może to czyjaś zasługa?

- Kto ci kazał pić płyn do rur, Gretchen? Odpowiedzią jest śmiech, nieprzekonujący w swej wesołości.

- Mój ojciec? Trafiłam?

- Przypominam ci go? - pyta Archie. Drgnęła. Przynajmniej tak mu się wydawało. - Tak.

- Skończ z tym - próbuje ją przekonać, bezskutecznie. - Pozwól sobie pomóc.

Zbыва go trzepoczącym machnięciem dłoni.

- To nie przez niego jestem, jaka jestem. Nie mam przemocy we krwi.

- Wiem - zgadza się Archie. - Potrzebujesz pomocy. Gretchen bierze z tacki skalpel, niewyczyszczony, cały ubro-

czony jego krwią. Przykłada mu go do piersi, a potem zaczyna ciąć. Archie ledwie to czuje. Nóż jest ostry, a cięcia płytkie. Patrzy na swoją brzydką, posiniałą skórę, rozstępującą się pod naciskiem ostrza, na krew, która wzbiera przez moment wzdłuż krawędzi cięcia, a potem spływa karminowym strumyczkiem. To właśnie czuje najbardziej: krew ściekającą po bokach i tworzącą ciemne kałuże na przepoconym białym prześcieradle. Archie patrzy na Gretchen, która w pełnym skupieniu, marszcząc wąskie czoło, szkicuje mu na skórze swój rysunek.

- Już - mówi wreszcie, odrywając skalpel od jego piersi. - To jest serce.

- Dla kogo to serce? - pyta on. - Myślałem, że chcemy zako-

pać zwłoki. Pozwolić im na niepewność. - To serce jest dla ciebie - oznajmia Gretchen radosnym głosem. - Dla ciebie, kochany. To jest moje serce. - Smutnieje nagle, przesuwając wzrokiem po jego spuchniętym brzuchu. - Oczywiście, zakażenie było nieuniknione. To przez Daniela. Jego zwłoki skaziły całe pomieszczenie. Nie mam antybiotyków, którymi się leczy zakażenie gronkowcami. Te, które ci podaję, spowolnią postęp infekcji, ale nie mam nic, co pozwoliłoby ją zatrzymać.

Archie uśmiecha się do niej.

- Martwisz się o mnie? Gretchen kiwa głową.

- Musisz z tym walczyć. Musisz przeżyć.

- Żebyś mogła mnie zabić płynem do rur? - Tak.

- Jesteś szalona.

- Nie jestem - zaprzecza z naciskiem, piskliwie, niemalże skomle. - Jestem absolutnie zdrowa na umyśle. A jeśli mi umrzesz bez pozwolenia, zabiję twoje dzieci, kochany. Bena i Sarę. - Gestykuluje skalpelem, który w jej dłoni wygląda zupełnie naturalnie, jak szósty palec. - Ben chodzi do przedszkola przy podstawówce Clark Elementary School. Jest zapisany do porannej grupy. Zabiję go. Nie boję się, że mnie złapią. Pokroję go na plasterki. Zrobisz to, co ci każę. Umrzesz dopiero wtedy, kiedy ci powiem. Zrozumiałeś? Archie kiwa głową.

- Powiedz to.

- Tak, zrozumiałem.

- Nie robię tego ze złośliwości - tłumaczy Gretchen, a jej twarz łagodnieje. - Po prostu się martwię.

- W porządku.

- Zapytaj mnie o coś. O co chcesz. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć o moich morderstwach.

Archie zmaga się z bólem, pulsującym w gardle i brzuchu. Przętykanie sprawia mu nieznośną mękę. Widzi, jak drżą jej usta. Wygląda niemalże tak, jakby była urażona.

- Jesteś dowódcą mojego zespołu śledczego. Nie chcesz mnie przesłuchać?

Archie omija ją wzrokiem, patrzy na sufit: rury, kable, lampy fluorescencyjne.

- Jestem zajęty walką z gronkowcami.

- Może chcesz obejrzeć wiadomości? Mogę znieść ci tutaj telewizor.

- Nie. - Myśl o tym, że mógłby zobaczyć na ekranie wdowę po sobie samym, napełnia go panicznym strachem.

- Nie żartuj. Dziś twoi znajomi organizują czuwanie. To ci doda otuchy.

- Nie. - Archie szuka w myślach czegoś, co odwróciłoby jej uwagę. - Daj mi się napić płynu. - Patrzy na nią błagalnie. Bez żadnego udawania. - No, już. - Znużenie jest straszliwym ciężarem. - Chcę się go napić.

- Chcesz? - Rozradowany uśmiech.

- Chcę się napić płynu do rur - skanduje Archie dobitnie. - Podaj mi go.

Gretchen wstaje, żeby wszystko przygotować. Nuci przy tym cicho pod nosem. W swoim kodeinowym zamroczeniu Archie w ogóle nie odnosi tego, co się dzieje, do siebie. Jakby oglądał to we wstecznym lusterku, zza kierownicy. Gretchen wraca i cała akcja z poprzedniego dnia rozgrywa się na nowo. Tym razem ból jest silniejszy, a Archie wymiotuje na prześcieradło.

- Widać krew - zauważa z zadowoleniem Gretchen. - Trucizna rozpuszcza ścianę przełyku.

Dobrze, myśli Archie. Dobrze.

Wie, że umiera. Gretchen podaje mu morfinę przez kroplówkę, bo

nie może już połykać pigułek. Zaczyna kaszleć krwią. Nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni nie widział jej u swojego boku. Gretchen siedzi przy nim z białą ściereczką; kiedy zaczyna kaszleć, przykładła mu ją do ust, ociera krew i potoki śliny, której nie może połykać. Archie czuje smród gnijących zwłok i słyszy jej głos, ale poza tym - nie ma nic. Żadnych odczuć, doznań. Nie czuje bólu. Nie czuje smaku. Widzi tylko to, co znajduje się nie dalej niż metr od jego głowy. Czuje ją - kiedy go dotyka, widzi ją - jej jasne włosy, rękę, nagie przedramię. Zapach bzu to już przeszłość. Gretchen zbliża twarz do twarzy Archiego i delikatnie obraca jego głowę, tak, żeby mógł ją zobaczyć. Światło opromienia i zamazuje jej rysy.

- Już czas - mówi.

Archie powoli mruga oczami. Spowija go miękka, gęsta, rozgrzana ciemność. Nawet jej słowa nie docierają do niego - dopóki nie poczuje łyżki włożonej do ust. Tym razem nie może już połknąć trucizny. Gretchen leje mu wodę do gardła, ale on krztusi się i zwraca wszystko razem. Całym tułowiem, od pachwin aż po ramiona, wstrząsa paroksyzm bólu, czarna, rozpędzona fala. Zaczyna brakować tlenu; budzi się panika, a wraz z nią - świadomość. Siłą przywrócona ciału przytomność brutalnie otrzeźwia wszystkie zmysły. Archie otwiera usta i wyje.

Gretchen nie pozwala mu podnieść głowy, przyciska mocno czoło do jego policzka. Archie szarpie się, ucieka przed jej dłonią, wrzeszczy na całe gardło. Chce wykrzyknąć z siebie koszmarny ból i strach. Wysięk zaciska mu krtań i dławi krzyk, który zmienia się w kaszel, a potem w suche torsje. Wreszcie, kiedy oddech wraca do normy, Gretchen unosi głowę i powoli zaczyna ocierać mu twarz z potu, łez i krwi.

- Przepraszam - jęczy Archie kretyńsko.

Gretchen siada obok i przez jakiś czas przygląda mu się uważnie, aż w końcu wstaje i odchodzi na chwilę. Wraca ze strzykawką w dłoni.

- Chyba już jesteś gotowy - oznajmia, podsuwając mu tę strzykawkę do oczu. - To jest digoksyna. Zatrzyma twoje serce. A kiedy to się stanie, umrzesz. - Delikatnym ruchem gładzi go po policzku. - Nie bój się. Zostanę przy tobie aż do samego końca. Archie czuje wielką ulgę. Przygląda się, jak Gretchen wstrzykuje digoksynę do kroplówki i zasiada przy jego łożu śmierci. Jedną dłoń kładzie mu na czole, a drugą lekko dotyka zbielejących kostek palców.

Jego myśli krążą bardzo daleko od Debbie, Bena i Sary, od detektywa Archiego Sheridana i jego zespołu śledczego, tropiącego Wirtuoza. W jego myślach jest teraz tylko ona. Jest Gretchen i oprócz niej nic nie ma. Jego jedyny temat i wątek. Jeśli zachowam przytomność, mówi sobie, nie będę się bał. Puls przyspiesza, gna coraz szybciej, aż zatraca cały swój rytm, staje się obcy, fałszywy. Archie nie rozpoznaje już w nim uderzeń własnego serca. To tylko

jakiś przerażony, zrozpaczony człowiek dobija się do drzwi, a te drzwi są gdzieś daleko, daleko. Ostatnią rzeczą, którą widzi, gdy za pierś i gardło bez ostrzeżenia chwyta go wściekły ból, jest twarz Gretchen. Ciśnienie narasta. Przed oczami zapala się potworne, oślepiająco białe światło, a po nim wreszcie nadchodzi spokój.

40

Ian zajechał na parking pod domem Susan. Zatrzymał samo- chód. Susan zebrała ze swoich czarnych spodni rudy psi włos, roztarła go lekko palcami i upuściła na wycieraczkę. Subaru Iana pachniało kosmetykami samochodowymi i psem jego żony, walsh corgi. W altance przed kafejką na rogu siedziała grupka modnie ubranych dwudziestokilkulatków; wygrzewali się w popołudniowym słońcu, paląc papierosy i przeglądając tygodniki kulturalne. Kelnerzy, marszandzi albo bezrobotni - tacy ludzie zawsze wyda- wali się mieć mnóstwo wolnego czasu. Susan zazdrościła im. Do złudzenia przypominali jakąś fantastyczną paczkę z liceum, taką, do której ona nigdy nie miała wstępu, bo kto by chciał się pokazy- wać z dziewczyną o takiej reputacji. Spojrzała w górę, na fasadę starego browaru, na olbrzymie okna ziejące niczym szeroko roz- warte usta. Kamienne ściany wyglądały tak, jakby wstydziły się to- warzystwa otaczających je ton szkła i stali.

- Wejdiesz na górę? - zagadnęła Iana. Skrzywił twarz w przepaszającym grymasie.
- Muszę przejrzeć jeden tekst.
- A później? - spytała, pilnując, żeby to nie zabrzmiało jak błaganie.
- Sharon zaprosiła znajomych na kolację - odpowiedział. -Od razu po pracy muszę wrócić do domu. Będzie jakieś danie z gotowanej botwiny. Obiecałem, że po drodze kupię ser.
- Botwina i ser? Widzę, że to jakaś ważna kolacja.
- To jak, jutro? - zapytał z kolei Ian.
- Zapomnij.
- Nie o to mi chodzi - wyjaśnił, zakłopotany. - Pytałem, czy będziesz miała jutro dla mnie gotowy tekst. Trzeci odcinek. Susan strzepnęła ze spodni jeszcze jeden psi włos.
- Aha, rozumiem. Jasne.
- Przyślij go przed południem, dobrze? Tylko na pewno.
- Nie ma sprawy - odpowiedziała, wysiadając z samochodu i znikając za drzwiami budynku.

Archie wyszedł z powrotem na podwórko za domem McCallu- ma. Burmistrza nigdzie nie było widać, pewnie zaszył się w jakimś cichym kącie, żeby poćwiczyć przed konferencją prasową. Flan- nigan i Heil stali w drzwiach garażu, a Anne i Claire rozmawiały obok blaszanego składziku. Po chwili z garażu wyszedł Henry, niosąc na rękach szarą kotkę nauczyciela. Archie skinął na niego.

- Rower już sprawdzony? - zapytał.
- Sprawdzony - odpowiedział Henry, a kotka wsadziła mu głowę pod brodę i zamruczała głośno. - Czysty. Żadnych odcisków palców
- Żadnych? - zdziwił się.
- Ani jednego - potwierdził Henry. Kotka spojrzała na Archie-go podejrzliwie, nieufnie - Wytarty do czysta. Nic nie zostało. Archie przygryzł dolną wargę i stanął przodem do domu, biorąc się pod boki. To było kompletnie bez sensu. Po co zawracać sobie głowę usuwaniem z roweru odcisków palców, a potem zostawiać go we własnym garażu? Kto nie chce, żeby dowody zbrodni wskazywały na niego, nie zatrzymuje przy sobie czegoś, co w praktyce jest równoznaczne przyznaniu się do winy.
- Jak sądzisz, dlaczego to zrobił? - spytał partnera. Henry wzruszył ramionami.
- Bo był maniakiem czystości?
- Zdjęli jakieś odciski palców z broni?
- Jeszcze nie. - Henry machinalnie podrapał kotkę pod brodą. - Zabiorą się do tego w laboratorium, jak już oczyszczą ją z kawałków mózgu.
- Niezły pomysł - przyznał Archie. Kotka wykręciła łepkę i zaczęła wylizywać szyję swojemu tymczasowemu opiekunowi.
- Przyjechał może ktoś ze schroniska? - zapytał Henry z nadzieją w głosie.
- Nie widziałem. - Archie zeskoczył ze schodów werandy i podszedł do Anne i Claire, stojących obok składziku w narożniku podwórka. Za płotem hasało kilkoro małych dzieci; ganiały się w kółko, nie zwracając najmniejszej uwagi na pracujących policjantów, śmigłowce i furgonetki ekip telewizyjnych. Ich mama stała na środku swojego trawnika i śledziła wzrokiem przedstawienie, oplatając się ciasno ramionami. Czy to ja jestem głupi, pomyślał Archie, czy naprawdę McCallum nie był mordercą? Anne i Claire rozmawiały sobie w najlepsze, ale on nie miał czasu na konwenanse. Potrzebował fachowej opinii Anne i wiedział, że dla niej to jest ważne, żeby odwoływał się do jej wiedzy.
- Czy McCallum pasuje do profilu? - zapytał krótko. Claire i Anne umilkły, zaskoczone, że im się przerywa. Claire zrobiła wielkie oczy. Anne cofnęła lekko szczękę, a potem przekrzywiła głowę.
- Tak — odpowiedziała i umilkła, namyślając się jeszcze nad czymś. Zmarszczki dookoła jej oczu pogłębiły się. Wreszcie do-kończyła: - Tylko, że jest jakby trochę nie taki.
- Jakby trochę nie taki? - powtórzył Archie. Rozłożyła bezradnie ręce.
- Gdybyś był piętnastoletnią uczennicą, to pojechałbyś z Da-nem McCallumem, gdyby chciał cię gdzieś podrzucić? Facet wyglądał jak ropuch. Nie był lubianym nauczycielem. No i skąd mógł znać te

dziewczyny z innych szkół?

- Jezu Chryste... - westchnęła Claire. - Chcesz powiedzieć, że to nie było samobójstwo?

Spojrzeni po sobie wyczekująco.

Kątem oka Archie dostrzegł szarą kotkę przemykającą przez trawnik.

- Nie wiem. - Uniósł brwi, robiąc przepraszającą minę. Zauważył Mike'a Flannigana i zawołał go. Po odnalezieniu zwłok McCalluma zdjął Ostrych Chłopaków z obserwacji Paula Restona i teraz pluł sobie w brodę.

- Czy w Cleveland High zabrakło dziś kogoś jeszcze, oprócz naszego denata? - zapytał.

Flannigan żuł gumę, świeży kawałek. Pachniało od niego tak, jakby wysłał całą tubkę miętowej pasty do zębów. Tego uczyli w Akademii Policyjnej: guma do żucia dobrze kryje woń śmierci.

- Nie - odpowiedział szefowi. - Ale jest jedna dziwna rzecz. -

Wskazał kciukiem przez ramię, na dom. - Przeszukaliśmy wszystko i jak na mało popularnego nauczyciela facet naprawdę lubił swoich uczniów.

- To znaczy? - nie zrozumiał Archie.

Flannigan odwinął z papierka jeszcze jedną gumę i wsunął ją do ust.

- Na półkach w tym pokoju od frontu znaleźliśmy księgi pamiątkowe wszystkich roczników z ostatnich dwudziestu lat. -

Odchrząknął i zaczął żuć. - Podobno nie znosił tej roboty, ale jak widać, miał całkiem sporo czułych wspomnień.

Archie spojrzał na Anne, pytająco unosząc brew. Psycholożka zmarszczyła lekko czoło.

- Pokaż mi to - powiedziała do Flannigana. Archie potarł dłonią brodę.

- A jak już skończycie - dorzucił - to chcę, żebyście z Jeffem wrócili do obserwacji Paula Restona. Jego podwładny wytrzeszczył oczy.

- A po co?

- Bo ja tak mówię.

Flannigan obrócił językiem gumę w ustach.

- Pilnowaliśmy go od szóstej wczoraj wieczorem do dziewiątej trzydzieści dziś rano - przypomniał mu. - Mówię ci, że nie ruszał się z domu. Nie mógł porwać tamtej dziewczyny.

- Zróbcie mi tę przyjemność - westchnął Sheridan.

- Ile można? - mruknął Flannigan pod nosem, odchodząc z Anną w kierunku domu.

- Słyszałem! - zawołał za nim Archie.

Sheridan podszedł do burmistrza, gorączkowo uzgadniającego coś ze swoim doradcą.

- Powinieneś odwołać tę konferencję - wtrącił się obcesowo.

Burmistrz zbieleł na twarzy.

- A może jednak nie powinienem? - odparował.
- Pomyślisz, że zwariowałem - kontynuował Archie całkiem spokojnym głosem - więc musisz uwierzyć mi na słowo, że czuję się w tej chwili absolutnie przy zdrowych zmysłach. Otóż mam wątpliwości co do tego, czy McCallum był mordercą, którego szukamy.
- Powiedz, że to żart - zażądał burmistrz, dodając powagi swym słowom poprzez efektowne zdjęcie ciemnych okularów.
- Przeciwnie, uważam za bardzo prawdopodobne, że ktoś chciał go zrobić.

Doradca kręcił głową dookoła, rozglądając się bezradnym wzrokiem. Jego garnitur był tani i błyszczał się w słońcu. Burmistrz pochylił się do Archiego i szepnął z naciskiem:

- Nie mogę odwołać tej konferencji prasowej. Sprawa skończona. Nauczyciel nie żyje. W jego garażu stoi rower jednej z zamordowanych dziewczyn. To wszystko idzie w tej chwili na żywo. Mówią o tym w telewizji. - Słowo „telewizja” podkreślił szczególnie rozdzierającym tonem głosu.
- Więc wymyśl jakąś asekurację - powiedział Archie. Żyły na burmistrzowskiej szyi zsiniały i nabrzmiały.
- Jaką asekurację?

Archie poklepał maskę srebrnego forda escorta stojącego na podjeździe, tuż przed samym garażem.

- Za mały samochód - odpowiedział. - Jak w takim maluchu mogła zmieścić się naraz dziewczyna i rower?

Burmistrz bezwiednie zaczął pocierać palcami o siebie, jakby coś w nich trzymał.

- Co ja mam im powiedzieć?
- Jesteś politykiem. Koleś Anderson zawsze był politykiem. Wykombinuj sobie, jak powiedzieć, że nie mamy bladego pojęcia, o co chodzi, żeby zabrzmiało tak, jakbyśmy już dawno mieli wszystko obcykane.

Archie położył burmistrzowi dłoń na ramieniu, uścisnął, robiąc minę "wiem, że dasz sobie radę" i cofnął się zostawiając go samego.

41

Susan zasiadła na kanapie z laptopem na kolanach oraz kieliszkiem wina pod ręką i zaczęła pisać. O Gretchen Lowell. Dla niej materiał o Dusicielu po Lekcjach był skończony - zamknęło go samobójstwo Dana McCalluma. Była pewna, że niedługo gdzieś znajdą się zwłoki Addy Jackson, zamordowanej i porzuconej w błocie tak jak jej poprzedniczki, oczekującej na jakiś zastęp harcerski albo na niefortunnego porannego biegacza. Wizja na wpół zagrzebanego w mule ciała Addy błysnęła Susan przed oczami, do których momentalnie napłynęły piekące łzy. Cholera

jasna, pomyślała. Nie dam się takim myślom. Nie mogę. Nie te-raz.

Przepędziła obraz, ale na jego miejscu pojawił się natychmiast następny: zmasakrowane zwłoki Kristy Mathers na ciemnym piasku wyspy Sauvie. I kolejny: rodzice Addy, spoglądający na Archiego z rozpaczą i wyczekiwaniem, z niemym błaganiem o ratunek, dla ich córki, dla nich samych. A potem zobaczyła własnego ojca.

Wzięła do ręki telefon i wystukała numer Ethana Poole'a. Poczta głosowa. Kto by pomyślał.

- Cześć - powiedziała do słuchawki. - To ja, Susan Ward. Tak, znowu. Chciałam tylko, żebyś przekazał Molly ode mnie, że ją rozumiem. Ja sama, w wieku piętnastu lat, miałam romans z nauczycielem... - ugryzła się w język - ...no, w każdym razie coś w tym rodzaju. I bardzo długo szukałam usprawiedliwienia dla tego, co się stało. Ale coś ci powiem, Ethan. Na coś takiego nie ma usprawiedliwienia. Po prostu nie ma i już. Przekaż to Molly ode mnie. Na pewno zrozumie. Więcej do ciebie nie zadzwonię... - Akurat, skarciła się w myśli, kogo ja chcę oszukać? - W każdym razie nie w najbliższym czasie.

Rozłączyła się, odetchnęła głęboko, wytarła nos i oczy wierzchem dłoni, a potem sięgnęła po butelkę i dołała sobie wina. Nic tak nie dodaje otuchy jak kieliszek pełen wina. Sprawa Dusiciela po Lekcjach dobiegła końca. Bohaterką najbliższego artykułu miała być Gretchen Lowell, która wciąż była wśród żywych. Gretchen, o której Susan nie umiała myśleć spokojnie; każde wspomnienie o niej momentalnie burzyło jej krew w żyłach. Dziennikarka była przekonana, że jeśli tylko uda jej się opisać ją na papierze, będzie to klucz do zrozumienia Archiego, McCallu-ma i całej reszty.

Dookoła siebie, w swoim pokoju, czuła wszystkie potrzebne słowa, cały tekst, na razie jeszcze mglisty i bezkształtny. Należało go tylko ogarnąć i nadać mu formę. Pociągnęła sobie zdrowo z kieliszka.

Kolekcję win Wielkiego Pisarza znalazła na dnie szafy, schowaną pod stosem przecenionych egzemplarzy jego najnowszej powieści. Bez trudu przekonała samą siebie, że właściciel nie miałby nic przeciwko, gdyby się poczęstowała. Domagała się tego wyjątkowa, tak czy owak, sytuacja. Wino było aromatyczne i rozgrzewające; przed połknięciem trzymała je przez chwilę w ustach, rozkoszując się ciepłem na języku i podniebieniu.

Kiedy nagle ktoś zapukał do drzwi, najpierw pomyślała, że to może Bliss. Dzwoniła do matki po powrocie do domu i nagrała się płaczącym głosem na sekretarkę; Bliss była chyba jedyną osobą na całym świecie nieposiadającą komórki ani numeru poczty głosowej. Sekretarka w jej telefonie nagrywała tylko sporadycznie, a jeśli już raczyła zarejestrować wiadomość, bardzo często odtwarzała ją w zwolnionym tempie, co brzmiało tak niesamowicie, że Bliss nieodmiennie dostawała ataku hysterii. Tak więc gdy Susan usłyszała pukanie do drzwi, przez krótką chwilę podsycala płomynek nadziei, że jej matka po odsłuchaniu wiadomości od córki rzuciła wszystko i pospieszyła do niej z pomocą i wsparciem. Wiedziała jednak, że to absurd. W okresie dorostania bardzo często

musiała opiekować się matką, ale ona, ze swojej strony, bardzo rzadko odwzajemniała jej się tym samym, ponieważ wbiła sobie do głowy, że będzie traktować Susan jak dorosłą osobę. Poza tym Bliss nie miała samochodu - przez własny ośli upór - i żeby dojechać do Pearl autobusem, musiałaby się przesiąść. Zatem to nie ona, uznała Susan. To Ian. Uśmiechnęła się, zadowolona; myśl, że kochanek nie potrafił się oprzeć jej kobiecym sztuczkom, była niesamowicie przyjemna. To wielka siła, takie sztuczki. Czyli to musiał być Ian, z całą pewnością. Niewidoczny ktoś zapukał ponownie.

Susan wstała i podeszła do drzwi w samych skarpetkach, przystając tylko na chwilę, żeby po drodze rzucić okiem w stare lustro w połączonych ramach. Wielki Pisarz twierdził, że wyszperał je na pchlim targu w Paryżu, ale ona widziała identyczny egzemplarz w salonie wzornictwa Pottery Barn. Gretchen Lowell miała rację, pomyślała, patrząc na swoje odbicie. Robiła jej się bruzda pomiędzy oczami. Nieładna. Czy to możliwe, żeby zestarzała się w ciągu zaledwie jednego tygodnia? Odstawiła kieliszek z winem na stolik pod lustrem i przycisnęła tę obelżywą bruzdę kciukiem, przytrzymując tak drugo, aż mięśnie się me rozluźniły. Potem zebrała kilka nieposłusznych różowych kosmyków i założyła je za uszy. No i już. Przystroiła twarz swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem i otworzyła drzwi. To nie był Ian. To był Paul Reston. - Paul? - zdziwiła się Susan, kompletnie zaskoczona. - Co ty tutaj robisz?

Pytanie było bez sensu. Wiedziała przecież, po co przyszedł. Spojrzeć jej w oczy i wygarnąć, co o niej myśli za obsmarowanie go przed Archiem. Myślała, że spali się ze wstydu za postawienie go w takiej sytuacji, obiecując sobie jednocześnie, że musi się wreszcie nauczyć trzymać język za zębami.

Paul wszedł do środka, zgarbiony, z rękami wbitymi w kieszenie. Miał na sobie płócienne spodnie, koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka i rdzawoczerwony sweter w serek. Pachniał jak aula w Cleveland High: farbą, trocinami i pomarańczami. W jego brązowych oczach odbijało się przytłaczające rozczarowanie.

- Przepraszam. - Susan ubiegła go, zanim zdążył otworzyć usta. Westchnął ciężko, potrząsnął głową.

- Znowu wyjeżdżasz z tamtą starą historią. Co ty sobie myślisz? Wiesz, jakie nieprzyjemności mogę mieć w szkole przez takie twoje gadanie.

- Powiedziałam mu, że to było kłamstwo - uspokoiła go. - Że wszystko zmyśliłam.

Paul uniósł głowę.

- Uwierzył? - spytał z nadzieją w głosie.

- Nie sądzę - odpowiedziała szczerze. - Ale to przecież nieważne.

Jeśli żadne z nas się nie przyzna, to nie będzie mógł nic zrobić.

W jego oczach błysnęły iskry rozdrażnienia.

- Nie ma się do czego przyznawać. Między nami nic nie było, Suzy.

- Ujął jej twarz w dłonie, przyglądając się badawczo. - Taka jest prawda.

Susan cofnęła się, unikając jego dotyku.

- Właśnie. Między nami nic nie było.

Paul jęknął ponuro i wszedł dalej do mieszkania, zostawiając ją przy drzwiach.

- Musisz z tym wreszcie skończyć.

- Już skończyłam - zapewniła go z uporem w głosie. - Skończę - poprawiła się.

Odwrócił się do niej. Wzrok miał błagalny.

- Więc powiedz to sama. Chcę to od ciebie usłyszeć.

- Między nami nic nie było - powtórzyła najbardziej stanowczym i pewnym siebie tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Wszystko zmyśliłam.

Paul skinął z aprobatą głową, zaciskając wargi.

- Świetnie piszesz — powiedział. — Wspaniale się zapowiadasz.

Zawsze byłaś niezwykle twórcza.

- I dalej jestem. - Zaczęło już ją to lekko denerwować. Drzwi wciąż były uchylone. Nie chciała ich zamykać, bo to by było równoznaczne z zaproszeniem na dłużej.

- No, chodź. - Rozłożył ramiona. - Nie gniewamy się, tak? -

Uśmiechnął się, a jego ściągnięta twarz złagodniała i pokazały się na niej dołeczki Susan znów zobaczyła w nim swojego ulubionego, przystojnego nauczyciela, takiego samego jak kiedyś, w aksamiitnych marynarkach i z włosami do ramion, sypiącego jak z rękawa dowcipasami i kretyńskimi wierszykami. Mało brakowało, a rzeczywiście rzuciłaby mu się w ramiona. Bo w głębi jej duszy tliła się jeszcze iskierka miłości do tego człowieka, do Paula Restona. Ale to była tylko iskierka; w gruncie rzeczy Susan zdawała sobie dobrze sprawę, że to wszystko jedna wielka bzdura.

Kiedy ruszył w jej stronę, zmartwiała i cofnęła się jeszcze o jeden mały krok.

- Nie chcę dalej odstawiać tej szopki - powiedziała głosem, który ni stąd, ni zowąd zabrzmiał głucho i obco, zupełnie nie jak jej własny. Reston zatrzymał się w miejscu, opuścił uniesione ręce.

- Co się stało? - nie zrozumiał.

- To wszystko jest jakieś dziwne, Paul. - Machnęła ręką dookoła. - Jesteśmy sami. Możemy swobodnie rozmawiać o tym, co wtedy zaszło. Po co więc ta gierka, że niby „między nami nic nie było”?

Przekrzywił głowę, unosząc brew, jakby poczuł się zaskoczony

- Jak to: gierka?

No tak, pomyślała. Tutaj już naprawdę komuś odbija.

- Jezu, Paul... - westchnęła.

Reston zaśmiał się, krótko, szczerliwie, odrzucając głowę w tył Jego twarz rozjaśnił lekki rumieniec.

- W porządku - powiedział. - Przepraszam. Żartowałem sobie z ciebie. Odkąd to jesteś taka poważna? - Posłał jej rozbawione,

pogodne spojrzenie. - Kiedyś lubiłaś grać, odstawiać różne sceny.
- Zamordowano trzy dziewczyny - przypomniała mu. -Czwarta zaginęła, przypuszczalnie też nie żyje.

Reston podszedł do drzwi, zamknął je i oparł się o nie plecami, składając dłonie za sobą, na gałce. Nagłe w jego głosie i całej postawie zmanifestował się całkowity spokój.

- Słyszałem. Dan McCallum, tak? Niezłe bagno. Jutro w szkole nie będzie można zrobić kroku, żeby nie wpaść na psychologa interwencyjnego.

Powiedział to w szczególny sposób, z nieczułą obojętnością, która nadała upiorny wydźwięk tym słowom. Susan zdrząła i cofnęła się jeszcze o pół kroku, ale zatrzymała się na oparciu kanapy. Ogarnął ją nagły niepokój, doskwierające uczucie skrępowania rozprasające uwagę. To nie przez niego, powtarzała sobie. To przeze mnie.

Uwiodłam swojego nauczyciela, a teraz muszę spojrzeć prawdzie w oczy - spojrzeć jemu w oczy, osobiście - i ten mój popłoch to nic, to tylko projekcja lęków. Moja wyobraźnia.

- Przynajmniej już po wszystkim. Śledztwo skończone - powiedziała.

Reston odepchnął się od drzwi, podszedł. To było raptem kilka kroków, ale i tak miała wrażenie, że poruszył się jakoś nienaturalnie szybko, że nie nadała za nim wzrokiem; nagłe stał tuż obok i gładził ją po policzku. Wzdrygnęła się z odrazą. Zauważył to i zabrał dłoń, ale nie cofnął się ani o centymetr.

- Pomyślałem sobie, że przydałoby ci się towarzystwo - wyjaśnił. - Zrobię ci kolację.- Odwrócił się w stronę kuchni. - Masz tam coś do jedzenia?

Susan nie ruszała się z miejsca, stała oparta o kanapę. Celowo nie zapraszała go, żeby usiadł, ale on minął ją i zatrzymał się na samym środku pokoju, w połowie drogi do kuchni.

- Mam tylko karczochoy w puszcze i masło orzechowe - poinformowała go.

- Nieważne, coś wykombinuję. - Wykonał przed nią groteskowy ukłon. - Znam doskonały przepis na duszone karczochoy z masłem orzechowym.

Susan nie dała się skusić.

- Muszę pisać. Mam jutro termin. - Kątem oka złowiła swoje odbicie w lustrze z Pottery Barn. Znów ta bruzda. Kieliszek z winem stał tam, gdzie go zostawiła: pod lustrem, na dekoracyjnym stoliku.

- Przecież nie możesz się głodzić. - Paul spojrzał na nią wy-czekująco.

Westchnęła. Nagle zatęskniła za wygodną samotnością z winem pod ręką i laptopem na kolanach.

- A w ogóle to skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? Mamy w szkole dostęp do Nexusa. Można znaleźć, kogo się chce, wystarczy wstukać nazwisko. - Reston zawiesił głos, jakby musiał się zastanowić, jaki właściwie ma zamiar i chciał dobrać do niego najbardziej odpowiednie słowa. Wreszcie przemówił: -Bardzo mi

zależy, abyśmy znów się odnaleźli. Kiedy skończyłaś szkołę i zniknęłaś, było mi ciężko. - I dodał, zmienionym, oskarżycielskim tonem: - Nie odpowiadałaś na moje listy.

- Poszłam na studia.

Wzruszył beztrzesko ramionami, posyłając jej urzekający uśmiech.

- Kochałem cię.

- Bo byłam nastolatką - przypomniała mu, próbując wyjaśnić sytuację. - A ty byłeś moim uwielbianym nauczycielem. Jak tu się nie zakochać? - Podeszła do lustra, wzięła ze stolika swój kieliszek i wypijała całe wino duszkiem.

- Nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

- Daj spokój, Paul - powiedziała Susan do własnego odbicia. -

Nawet mnie nie znasz.

Stanął za nią. Twarz miał poważną. Był zaskoczony: wykrzywione usta, w oczach niespodziewanie zapłonął ogień.

- Jak możesz tak mówić?

Na stoliku leżała drewniana szczotka do włosów. Podniosła ją i zaczęła czesać swoje różowe kosmyki. To nie było konieczne, ale musiała się czymś zająć.

- Kiedy się znaleźliśmy, nie byłam jeszcze w pełni ukształtowaną osobą. Byłam nastolatką. - Cesała się zajadle, drapiąc szczotką po głowie, czując, jak pod skórę napływa krew.

Reston pogładził ją lekko po włosach.

- Nigdy nie byłaś nastolatką - powiedział.

Susan odłożyła szczotkę. Wyszło jej trochę gwałtownie i drewniana rączka stuknęła o blat stolika. Przestraszył ją ten hałas. Trzeba z tym skończyć, pomyślała. Niech on już stąd pójdzie. Niech zniknie z mojego życia.

- Posłuchaj. - Zerknęła na zegarek. - Idź już. Mam pilną pracę.

- Zabiorę cię na kolację.

Odwróciła się na pięcie, spojrzała mu w oczy.

- Paul.

I znów ten sam urzekający uśmiech.

- Godzina, nie dłużej. Oprócz jedzenia uraczę cię też wspomnieniami o Danie McCallumie. Będziesz miała materiał do artykułu. A potem odwiozę cię do domu i dokończysz swoją pracę. Susan poczuła się tak, jakby znów miała piętnaście lat i nie mogła zdobyć się na to, żeby mu odmówić, sprawić zawód. Zresztą nie miała też siły na upór.

- Godzina, nie dłużej - zapowiedziała.

- Serdeczne słowo honoru.

Jazda windą z drugiego piętra na poziom podziemnego parkingu ciągnęła się w nieskończoność. Paul milczał; po raz pierwszy odkąd Susan go poznała, nie próbował zagadywać ciszy. Stał spokojnie i z łagodnym uśmiechem na twarzy przyglądał się, jak dziennikarka mnie w palcach pasek od swojego trencza i przestępuje z nogi na nogę, bacznie obserwując cyfry wyświetlające się

drzwiami windy. Na ścianie z polerowanej blachy Susan wita ich wspólne odbicie: zdeformowane plamy kolorów odbitych na gładzonej stali.

Drzwi windy otworzyły się. Paul puścił ją przodem.

- Zaparkowałem tam - wskazał samochód stojący na przeciwległym końcu parkingu, w sporej odległości od windy i z dala od innych wozów. No cóż, pomyślała, przynajmniej mam czas zająć.

Wyciągnęła papierosa z torebki, zapaliła.

- Dobrze znałeś McCalluma? - spytała, zaciągając się dymem.

Paul odwrócił głowę, krzywiąc się z odrazą.

- A ty dalej palisz?

- Nie - zaprzeczyła, skonsternowana. - Tylko w towarzystwie.

- A teraz jesteś w towarzystwie? — Reston rozejrzył się po podziemnym parkingu.

Susan jęknęła.

- Nie jesteś już moim nauczycielem, Paul. Nie pouczaj mnie.

- Każdego roku w Stanach z powodu nałogu nikotynowego umiera czterysta czterdzieści tysięcy osób. To daje pięćdziesiąt zgonów na godzinę.

Susan zaciągnęła się jeszcze raz, ostrożnie.

- Dobrze znałeś McCalluma? - powtórzyła pytanie. Reston uniósł dłoń do czoła, jakby nagle rozboleła go głowa.

- Niezbyt. Prawie wcale - odpowiedział.

Susan wzięła w palce pasek od płaszcza, rozwiązała go, zawiązała z powrotem.

- Wydaje mi się, że chyba kiedyś opowiadałeś, jak popłynęliście na ryby jego łodzią. Coś takiego.

- Suzy - uśmiechnął się z nagłą irytacją. - To było dwadzieścia lat temu.

- Czyli kumplowałeś się z nim.

- Dwadzieścia lat temu wybraliśmy się raz na ryby. - Reston objął ją ramieniem, ale przyspieszyła kroku, wykręcając się spod jego ręki.

- Nie mogłeś zaparkować gdzieś dalej? - zaśmiała się nerwo-wo.

Wzruszył ramionami i z powrotem wbił ręce w kieszenie.

- Kiedy przyjechałem, nigdzie nie było miejsca.

- Jeśli teraz ci zejdem na niewydolność płuc, to zostaw moje zwłoki dla szczurów - zażartowała.

- Nie ma się z czego śmiać. Palenie to bardzo szkodliwy nałóg.

Śmiertelnie groźny.

Nareszcie samochód. Jeszcze nigdy w życiu Susan tak się nie ucieszyła na widok srebrnego, dziesięcioletniego passata kombi.

Uśmiechnęła się, przeczytawszy dwie nalepki na tylnym zderzaku, przyklejone równiutko obok siebie: „Podaruj szkole słońce” i „Jeśli cię to nie zgorszyło, to znaczy, że nie uważasz”.

Paul wszedł pierwszy, żeby otworzyć od środka drzwi po stronie pasażera. Susan wsunęła się na fotel, zapięła pas i sztachnęła się ostatni raz papierosem. Potem zaczęła się rozglądać za popiel-

niczka, żeby go wyrzucić. To był najporządniejszy samochód, jaki w życiu widziała. Deska rozdzielcza dosłownie lśniła czystością. Nigdzie nie było ani jednego psiego włoska, długopisu czy zapomnianej saszetki z keczupem. Znalazła popielniczkę na konsoli środkowej. Otworzyła ją. W jej wozie popielniczka zawsze była pełna popiołu i starych gum do żucia. Tutaj to małe pudełeczko świeciło pustkami. I czystością. Można było z niego jeść. Gdyby się miało ochotę. Susan spojrzała na swój papieros i zrobiło jej się żal na myśl o skalaniu tej wychuchanej sterylności. Paul obrócił się i sięgnął pomiędzy siedzenia, szukając czegoś z tyłu. Głupio jej było tak po prostu cisnąć peta na ziemię; postanowiła sobie kiedyś, że będzie starała się mniej śmiecić. Otworzyła schowek w nadziei, że znajdzie tam kawałek papieru albo folii; zawinie papierosa, a potem schowa go do torebki. W środku była latarka i złożona mapa. Nic więcej.

- Jezu, Paul - prychnęła - często sprzątasz w tym samochodzie? - Nawet zapach był jak po dezynfekcji, niczym w świeżo wmytej toalecie publicznej. - A może robisz mu kąpiel w płynie do czyszczenia? Bo wszędzie tu pachnie... - odwróciła w dłoniach mapę wyciągniętą ze schowka, przeczytała tytuł: „Mapa żeglarska rzeki Willamette” - .. .chlorem.

Złapał ją od tyłu, ledwie zdążyła sięgnąć do klamki. Przejechała paznokciami po drzwiach, łapiąc za uchwyt, ale on wcisnął spust zamka centralnego i blokady opadły z głuchym, mechanicznym trzaskiem. Szarpnęła się, wyciągając dłoń do przycisku odblokowującego na klamce; nie zdołała go dosięgnąć, bo owinał jej szyję ramieniem, zatykając usta i nos jakąś szmatą. Nie mogła się uwolnić. Zaczęła się wrywać, młóćąc rękami i nogami dookoła, ale nie zdało się to na nic. Miał lepszą pozycję. Przez głowę Susan przebiegło sto różnych myśli: że źle zrobiła, wykręcając się kiedyś od pisania artykułu o kursach samoobrony; że trzeba było koniecznie założyć glany z metalowymi noskami; że przydałoby się teraz mieć długie, zapuszczone paznokcie, żeby wydrapać skurwysynowi oczy; i że w sumie jakoś wcale nie czuje się zaskoczona. Udało jej się tylko wykręcić do tyłu rękę z żarzącym się papierosem; przycisnęła mu go do szyi, aż zawył z bólu. Złapał Susan za nadgarstek, ścisnął z całej siły i tak trzymał, dopóki niedopałek nie wypadł jej z palców. Chciała go zabić tym papierosem, ale trudno: dziura wypalona w idealnie odkurzonej wycieracze to było wszystko, co udało się w ten sposób osiągnąć. Ten osmalony punkcik na nieskazitelnie czystej powierzchni był to jedyny ślad, jaki miał po niej pozostać, jej spuścizna. Świetnie. Zajebicie. Wraz z tą ostatnią myślą Susan zapadła się w otchłań ciemności.

Obudziła się, czując smród benzyny. Był tak silny, że odnalazł ją na samym dnie oceanu, gdzie leżała bez zmysłów, chwycił za włosy i wywłókł na powierzchnię, do pełnej przytomności. Ocknęła się gwałtownie, ale było bardzo ciemno i dopiero po dobrej chwili dotarło do niej, że w ogóle otworzyła oczy. Ręce i nogi miała związane. Uniosła się, chcąc usiąść i uderzyła głową o coś twardego, znajdującego się tuż nad nią. Jej czaszkę przeszyła fala bólu; Susan opadła z powrotem do pozycji leżącej. — Paul? — szepnęła w ciemność.

Nagle wszystko się zatrzęsło. Zaskoczona, potoczyła się pod jakąś ścianę i to właśnie głuchy odgłos, jaki wydała ta ściana w kontakcie z jej ciałem, powiedział jej, gdzie się znajduje. Same wstrząsy nie były aż tak oczywiste, ale materiał, o który uderzyła, trudno było z czymś pomylić: płyta z włókna szklanego. Łódź. Kabina na łodzi. I wtedy Susa n wpadła w panikę.

Zaczęła krzyczeć, walić i kopać w ścianę. Odkryła w sobie siły, o których nie miała pojęcia.

- Jestem tutaj! - zawyła piskliwym głosem. - Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

- Susan.

Zamarła, czując, jak wszystkie włosy na jej ciele stają dęba. On był tutaj. Tuż obok niej. Skryty w ciemności.

- Susan. - Jego bezcielesny głos był napięty i brutalny. - Nie możesz robić hałasu.

- Wypuść mnie, Paul - jęknęła błagalnie.

Poczuła, jak szuka jej po omacku, a kiedy jego dłoń odnalazła jej łydkę i powędrowała wyżej, zatrzymując się na udzie, zmusiła się, żeby nie drżeć i nie uciekać przed dotykiem. Był tuż obok niej.

Czuła ną twarzą jego gorący oddech.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy spędzić razem trochę czasu. - Słowa więzły mu w gardle. - Sama powiedziałaś, że ledwie się znamy.

43

Anne siedziała na podłodze w małym, ciemnym pokoju Dana McCalluma. Dookoła niej leżały księgi pamiątkowe kolejnych roczników z liceum Cleveland High. Nie wiedziała dokładnie, czego szuka, ale Archie podejrzewał Restona, więc postanowiła, że musi znaleźć dla niego jakiś trop, którym będzie mógł podążać. Księgi ustawiono na półce w porządku chronologicznym; zaczęła od ostatniej, przerzucając kartki w nadziei, że coś wpadnie jej w oko. Strona za stroną ciągnęły się idiotyczne portrety zbiorowe kółek zainteresowań, kroniki imprez sportowych, fotoreportaże z przedstawień teatru, zdjęcia klasowe, a do tego pozdrowienia od nauczycieli i nostalgiczne wpisy absolwentów. Nagle, w połowie albumu rocznika 1992-1993, Anne trafiła dokładnie na to, czego się

spodziewała. Wyciągnęła z półki kolejny rocznik, 1993-1994, i zaczęła kartkować go jak szalona w poszukiwaniu zdjęcia, które miało potwierdzić jej przypuszczenie. Znalazła je. Gdyby nie była w tak paskudnym nastroju, zawołałaby: „Aha!”.

Pozbierała się z podłogi i przycisnąwszy oba roczniki do piersi, wyszła z pokoju, rozglądając się za Archiem.

Znalazła go w kuchni. Stał i patrzył, jak zwłoki McCalluma znikają w czarnym plastikowym worku zapinanym na suwak i spoczywają na noszach, gotowe do wywiezienia. Anne zaciągnęła go na werandę z tyłu domu i wcisnęła mu do rąk pierwszą księgę, otwartą na zdjęciu kółka teatralnego liceum Cleveland High. W samym środku grupy stała Susan Ward, a obok niej -Paul Reston. W wieku piętnastu lat nie nosiła jeszcze różowej fryzury, a jej uroda miała dopiero się objawić. Była niewydarzoną, chudą dziewczyną z brązowymi włosami.

- Jezu Chryste - stęknął Archie, a z twarzy w jednej chwili odpłynęła mu cała krew. - Wygląda identycznie jak wszystkie ofiary.

- Dlaczego podejrzewałeś Restona? - zapytała Anne.

Sheridan, zauważyła to, wahał się przez chwilę z odpowiedzią.

Przesunął palcami po twarzy dziewczyny na zdjęciu, jakby jego dotyk mógł ją ochronić, cofnąć czas, zapobiec temu, co wtedy się stało.

- Wczoraj Susan powiedziała mi, że kiedy był jej nauczycielem, miała z nim kontakty seksualne. A dzisiaj wszystko odwołała.

Dla Anne to, że Susan jako nastolatka spała z Paulem Restonem, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

- To on mordował te dziewczyny - powiedziała krótko.

- Ma alibi. - Archie oparł się o ścianę. - Nie możemy go zgarnąć na podstawie starego zdjęcia i domniemania o przestępstwie, które i tak zresztą wiele lat temu uległo przedawnieniu.

Anne położyła mu na pierwszej księdze pamiątkowej drugą, otwartą na zdjęciu Susan z przedostatniej klasy. To już była kompletnie inna dziewczyna. Miała na sobie czarny T-shirt, na ustach czarną szminkę, a w oczach - bezradność, smutek i zawziętość. I rozjaśniła sobie włosy. Ale nie farbą do włosów i nie u fryzjera. Wylała na nie to, co znalazła w domu pod zlewem. Chlorowy płyn do czyszczenia.

- Tutaj chodzi o nią i tylko o nią - powiedziała Anne, zestawiając w myślach fotografie z kostnicy: białe niczym z marmuru twarze zamordowanych nastolatek, nabiegłe krwią rogówki, niehumanoidalny żółtopomarańczowy kolor włosów, niegdyś brązowych. -Kąpie ofiary w chlorze, aby przemiana była całkowita.

Archie stał bez ruchu, nie odrywając wzroku od strony z księgi pamiątkowej. Widziała wyraźnie, jak przetwarza informacje.

- To chyba jakieś żarty - powiedział cicho, zupełnie jakby mówił do siebie. Po chwili uniósł głowę i spojrzał na Anne. Twarz miał zaczerwienioną od nerwowego zniecierpliwienia. - Gdzie Claire i Henry? - zapytał.

- Jestem - odpowiedziała Claire, wchodząc po schodach na

werandę. - Dzwonił Jeff - Uniosła komórkę, którą wciąż trzy-mała jeszcze w dłoni. Na jej twarzy malowało się napięcie - Restona nie ma w domu. Wyszedł ze szkoły o tej samej godzinie co zawsze, ale nie wrócił jeszcze do siebie. Chłopaki nie mogą go namierzyć, dopóki się tam nie pokaże. Mam kazać im czekać?

Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i ukazały się w nich czyjeś plecy, opięte kurtką z napisem „Transport Medyczny”. Chłopak, który wyszedł tyłem na werandę, był w wieku studenckim i ciągnął nosze na kółkach. Na noszach spoczywały zwłoki McCalluma, zapakowane w czarny worek. Anne przytrzymała drugie drzwi, te z siatką przeciw owadom, a chłopak i jego kolega przenieśli nosze nad progiem i ustawili na werandzie.

- Znaleźć go - powiedział Archie do Claire, próbując wyciągnąć z kieszeni komórkę. Żeby to zrobić, musiał sięgnąć ponad zwłokami fizyka i oddać Anne obie książki pamiątkowe. - I aresztować. To on jest naszym mordercą. Zdobyć nakaz rewizji w jego domu. I wysłać kilku mundurowych pod adres Susan Ward. Wykonać natychmiast. Pracownicy służby transportowej znieśli nosze po schodach i zaczęli je toczyć wąskim chodnikiem prowadzącym do podjazdu. Kółka zazgrzytały bezlitośnie na betonowych płytach.

Anne spojrzała na otwartą stronę trzymanej w rękach książki. Na marginesie obok zdjęcia jakiegoś chłopaka, najwidoczniej ucznia McCalluma, widniał nabazgrany dopisek: „Na razie, panie M. Już mnie tam nie ma. Miłego życia”.

44

Susan nie odbierała ani komórki, ani domowego telefonu. Archie sposepniał i zaczęły go dręczyć czarne myśli. Jechali już do Pearl samochodem Henry'ego: on siedział z prawej strony, Henry za kierownicą. Claire i Anne, w osobnym samochodzie, trzymały się tuż za nimi. Archie nagrał takie same, pełne troski wiadomości na obu automatycznych sekretarkach i rzucił swoją komórkę na kolana, rozkazując jej w myślach: dzwoń! Słońce zaszło tego dnia o wpół do siódmej. Dochodziła siódma trzydzieści, więc już od dawna kryło się za szczytami pasma West Hills, ale na fioletowym zimowym niebie cały czas trzymała się pół-mroczna poświata. Zapowiadała się zimna noc.

- To jeszcze nic nie znaczy - odezwał się Henry, ściskając mocniej kierownicę. - Może jest pod prysznicem i nie słyszy. Albo coś w tym guście.

- Jasne - mruknął Archie.

- Może zasnęła.

- Zrozumiałem - odparł Sheridan, zauważając krew na jego nadgarstku. - A tobie co się stało?

Henry wzruszył ramionami.

- Ten kot mnie drapnął, skubany.

W tej chwili zabręczczała krótkofalówka Archiego. Odebrał. Zameldował się patrol wysłany do mieszkania Susan Ward. Dzwonili do drzwi, ale nikt nie otworzył.

- Dowiedzcie się, czy na parkingu stoi jej samochód - polecił. - Przejdźcie się po sąsiadach. Może ktoś widział, jak wróciła do domu albo jak wyszła po powrocie. I sprawdźcie, czy w holu albo na parkingu jest kamera monitoringowa. - Rozłączył się. zadzwonił z komórki na informację i zdobył telefon domowy Iana Harpera. Odebrał mały chłopiec.

- Zastałem twojego tatę? - zapytał Archie.

Chłopiec położył słuchawkę, w której rozległy się dźwięki muzyki przeplatane ze śmiechem dorosłych osób siedzących, sądząc po odgłosach, przy kolacji. Po chwili wszystko zagłuszył rozdrażniony głos Harpera:

- Tak?

Archie nie był w tej chwili najprzychylniej usposobiony do tego człowieka, a w dodatku spieszyło mu się, więc darował sobie grzeczności.

- Ian, tu Archie Sheridan. Odwiozłeś dziś po południu Susan do domu?

Ian zawahał się przez chwilę.

- Tak? - odpowiedział niepewnym tonem.

- O której? - chciał wiedzieć Archie.

- A o co chodzi?

Henry błyskawicznie wyminął powolną furgonetkę, toczącą się przez most Ross Island. Nie jechał na sygnale, ale włączył policyjnego koguta. W kierunku północnym rozciągała się pocztówkowa panorama śródmieścia. Archie wyciągnął z kieszeni swoje pudełko na leki i zaczął obracać je w palcach.

- O której odwiozłeś ją do domu? - powtórzył pytanie.

- Nie wiem - odpowiedział Ian, a głos mu zadrżał. - Mniej więcej o piątej trzydzieści.

- Miała jakieś plany na wieczór? - zapytał Archie. - Wybierała się dokądś? Ktoś miał do niej przyjść?

- Nic mi o tym nie mówiła - oznajmił Ian i dodał apodyktycznym tonem: - Jutro ma termin złożenia nowego tekstu.

- Czy wiadomo ci, że otrzymywała z anonimowego źródła informacje dotyczące jednego z uczniów liceum Cleveland High?

- Tak. - Odpowiedź była natychmiastowa. - To jest zupełnie inna historia, która nie ma nic wspólnego z Dusicielem.

- Jesteś pewny?

- Tak - uciał Ian.

Żadna z tych wiadomości nie poprawiła Archiemu nastroju ani na jotę. Zaczął otwierać pudełko, ale złowił kątem oka karcące spojrzenie Henry'ego i schował je z powrotem do kieszeni.

- Widziałeś, jak wchodziła do budynku? - zapytał.

- Tak - odpowiedział Ian i umilkł na chwilę. W tle znów dały się słyszeć śmiechy jego gości. - Czy coś jej się stało?

- Próbuje tylko się z nią skontaktować. Jeśli odezwie się do ciebie, powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze?
- Mam przyjechać? - zapytał redaktor, zniżając głos.
- Nie, Ian - westchnął Archie, myśląc o tym, co wyznała mu Susan.
- Zostań ze swoją rodziną.

Kiedy Henry zatrzymał samochód za radiowozem parkującym pod dawnym browarem, detektywi zobaczyli, że czeka już na nich policjant z patrolu wysłanego do mieszkania Susan.

- Jej samochód stoi tutaj, na podziemnym parkingu - zameldował. - W holu jest kamera podłączona do monitora w pomieszczeniu, gdzie rezyduje konsjerżka.
- Konsjerżka? - powtórzył Archie. Policjant przewrócił oczami.
- Jak dla mnie to jest modelka, którą wzięli tutaj na administratora. Poprowadził Archiego, Henry'ego i Anne przez hol, cały w modernistycznej czerni i bieli, do pokoiku urządzonego wyłącznie w odcieniach brązu. Znajdowała się tam bambusowa lada recepcyjna, za którą stała młoda kobieta z platynowymi włosami spiętymi w koński ogon. W dłoni dzierżyła obłego białego pilota i przeglądała nagranie z kamery w podziemnym parkingu na lśniąco białym monitorze. Na jej biurku leżał stosik skserowanych ulotek. Archie przyjrzał się bliżej. Widniało na nich zdjęcie kota podpisane wielkimi literami: ratujmy kotki doświadczalne.
- O - powiedziała blondynka, opierając się łokciami o blat wysokiej lady i przylepiając wymanikiurowany palec do monitora w miejscu, gdzie było widać Susan Ward i Paula Restona. - To jest Susan Ward. Cała piątka patrzyła, jak Susan i Reston wychodzą z windy i przecinają cały parking, wychodząc poza pole obserwacji kamery. Odczyt czasu na nagraniu pokazywał godzinę osiemnastą dwadzieścia dwie.
- Musicie ich znaleźć - powiedziała Anne do Archiego i Henry'ego. - Jeśli wam się nie uda, to on ją zabije.

Archie wszedł do mieszkania Susan. Wpuściła ich tutaj ta sama modelka-administratorka. Naprzeciwko drzwi wejściowych wisiało kosztowne lustro w złotych ramach. Pod lustrem stał stolik, a na nim opróżniony kieliszek do wina. Obok leżała drewniana szczotka do włosów; zaplątał się na niej różowy włos. Archie przyjrzał się dokładnie kieliszкови, nie dotykając go. Na dnie widniał osad z czerwonego wina, a na brzegu - ślady szminki. Niewiele brakowało, a zdążyliby na czas. Susan wypita lampkę wina i wyszła z tym facetem; cholera jedna wie, gdzie ich teraz szukać. Archie nadał przez radio komunikat o wszczęciu poszukiwań Paula Restona, co oznaczało, że za jego samochodem będzie się rozglądać drogówka w czterech stanach. Ale czy to coś da? Kiedy zaginął detektyw Sheridan, też szukało go całe mnóstwo ludzi. Archie wsunął dłoń do kieszeni, namacał swoje pudełeczko. Zaczynał czuć znajome mrowienie, wywołane zbyt dużą ilością kofeiny; to znaczyło, że czas

na vicodin, bo wkrótce przyjdzie ból głowy, a po nim pieczenie pod skórą, od którego w końcu obleje się cały zimnym potem i rozbołą go wszystkie mięśnie.

Namacał w pudełku trzy duże owalne pigułki i wsunąwszy je pod policzek, poszedł do kuchni. Nabrał dłonią wody z kranu i popił lek. Zdążył już nawet polubić jego gorzki smak. Nieraz widział ćpunów, którzy nie mogąc zdobyć działki swojego ulubionego narkotyku, wstrzykiwali sobie sól fizjologiczną. Wtedy nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś kłuje się igłą w żyłę tylko po to, żeby to poczuć. Teraz wiedział, że taki dobrze znany ból ma chwilowe działanie psychologiczne: jest jak środek tonizujący.

- Czy to na pewno jest najlepszy pomysł? - usłyszał głos Henry'ego.

Obejrzał się. Jego partner stał po drugiej stronie kontuaru oddzielającego aneks kuchenny od pokoju. Minę miał, jak zwykle, nieprzeniknioną.

- Muszę jakoś trzymać się w pionie - powiedział Archie, odwracając się tyłem. - Nie odleczę po tym.

Czuł już, jak napięte mięśnie rozprężają się w oczekiwaniu na kodeinę. To była reakcja psychosomatyczna; tabletki nie działają aż tak szybko. Nie zwracał na to uwagi. Musiał się skoncentrować. Zacząć myśleć. W jaki sposób Reston dotarł do Addy? I czemu miało służyć zabójstwo McCalluma? Archie podejrzewał, że wszystko to ma jakiś związek z łodzią. Reston i McCallum pracowali w tej samej szkole, znali się. Podobno wszyscy wiedzieli, że McCallum ma łódź; sam tak mówił. Może Reston podkradał mu ją, a potem podpalił, żeby zatrzeć ślady albo odwrócić podejrzenia. Jeśli dowiedział się, że fizyk był przesłuchiwany przez policję, mógł upozorować jego samobójstwo, aby dostarczyć ostatecznych dowodów, że to właśnie McCallum mordował nastolatki. Wymyślił niezły plan, ale wykonał go nieudolnie. To był już akt desperacji. I tym właśnie Archie martwił się najbardziej.

W pokoju, nie dalej niż dziesięć kroków, stała Anne, wyglądając przez duże okno. Archie wyszedł z maleńkiej kuchni i zbliżył się do psycholożki, mając nadzieję, że nie zastanawia się w tej chwili nad rentownością inwestycji na rynku nieruchomości w dzielnicy Pearl, ale myśli konstruktywnie o Restonie. O krok za sobą czuł obecność Henry'ego; ten człowiek był jego nieodłącznym cieniem. Staął obok Anne i też wyjrzał przez okno. Po drugiej stronie ulicy wznosił się nowo wybudowany blok mieszkalny. Każdy apartament, rzęsiście oświetlony, przypominał pokój w domku dla lalek.

- Czy on już zaczyna się miotać? - zapytał. Psycholożka odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który wpadał jej do oczu.

- Ma obsesję na punkcie byłej uczennicy - odpowiedziała. - Dziesięć lat temu miał z nią romans, ale potem wszystko się skończyło. Moim zdaniem jest zdesperowany. A jeśli pytasz, czy na tyle, żeby się zabić, powiedziałabym, że to bardzo prawdopodobne.

Kobieta w jednym z mieszkań naprzeciwko włączyła w pokoju telewizor.

- Uważasz, że już ją zabił? - chciał wiedzieć Archie.
- Jeszcze nie. - Zawiesiła głos. - Ale mogę się mylić.
- W takim razie dokąd ją zabrał? - włączył się Henry. Anne zastanowiła się.
- Na pewno w miejsce, gdzie czuje się bezpiecznie. Dokąd zabierał swoje ofiary? - spytała retorycznie,
- Na Łódź - odpowiedział Archie.
- Łódź McCalluma - dodał Henry niczym echo. - Ale tej łodzi już nie ma.

Archie umilkł, zamyślając się głęboko. Z ulicy dochodził warkot silnika sportowego samochodu, który kierowca usiłował zaparkować równolegle do krawężnika.

- Chyba, że McCallum miał drugą łódź - odezwał się w końcu.
- Nie powiedziała Claire, podchodząc do nich. - Sprawdziliśmy w stanowym rejestrze jednostek pływających wszystkich nauczycieli i pracowników tutejszych liceów, którzy odpowiadali profilowi mordercy. McCallum miał zarejestrowaną na swoje nazwisko tylko jedną łódź.

- Mówił, że kupił ją kilka lat temu - przypomniał sobie Archie. - Może miał przedtem jakąś starszą, której nie pozbył się, kiedy rejestracja straciła ważność.
- To jest dozwolone? - zdziwiła się Claire.
- Zadzwoń i sprawdź.
- Robi się. - Claire chwyciła za telefon wiszący przy pasku i odeszła na bok, żeby nie przeszkadzać.
- Dobrze się czujesz? - zapytał Henry Archiego. Sheridan oprzytomniał. Dopiero teraz spostrzegł, że stoi jak słupek soli, z rękami wspartymi na biodrach i wzrokiem wbitym w drewnianą podłogę. Susan Ward była w rękach pomyłonego frajera, który porwał ją, żeby zabić. Mogła nawet już zginąć, a jeśli nawet nie, to on, Archie, wcale nie był pewien, że potrafi temu zapobiec.
- Daj mi jedną chwilę - poprosił przyjaciela.

Wszedł do łazienki. Zmartwienie Henry'ego udzieliło mu się; czuł, jak oblepia go niczym całun. Weź się w garść, rozkazał sobie w myślach, a potem powiedział to na głos:

- Weź się w garść.

Odkręcił kran, spryskał wodą twarz i wytarł się ręcznikiem wiszącym obok umywalki.

Jego zegarek pokazywał kilka minut przed dziewiątą. Godzinka czytania, pomyślał, a potem gasimy światło.

Nie myśl o niej, upomniał się. Nie w tej chwili. Musisz skupić się na tym, jak pomóc Susan. Nagle zaswędziało go nos. Była to reakcja układu nerwowego na vicodin; jego organizm nauczył się ją tłumić, ale czasami jeszcze dawała o sobie znać. Archie potarł nozdrza energicznym ruchem. Świetnie, pomyślał. Teraz na domiar wszystkiego pomyślał, że wciągam koks. I momentalnie oczyma

duży zobaczył Gretchen, tak wyraźnie, jakby przed nim stała, a właściwie leżała, wyciągnięta na swojej więziennej pryczy, oparta na łokciu, trzymając w dłoni "Ostatnią ofiarę", książkę, w której była jego ślubna fotografia.

- Szeffie? - Henry zastukał delikatnie do drzwi łazienki. Archie spojrzął w lustro, mrugnął kilka razy zapuchniętymi, przekrwionymi oczami i otworzył. Za drzwiami stali Henry i Claire.

- Czego się dowiedzieliśmy? - zapytał. Claire zajrzała do notesu.

- Tę łódź, która się teraz spaliła, McCallum zarejestrował pięć lat temu. Przedtem pływał na jachcie Chris Craft Catalina rocznik 1950, też zapisanym na swoje nazwisko. Ta rejestracja straciła ważność osiem miesięcy po tym, jak zgłosił nową łódź do spisu. Gdyby sprzedał tamtą starą komuś stąd, to zarejestrowałby ją nowy właściciel. A od tego czasu nikt jej nie rejestrował.

- Więc może puścił ją na drugim brzegu rzeki - podsunął Arenie.

- Może - zgodziła się Claire - ale według bardzo miłej pani ze Stanowego Urzędu Żeglugowego do 2002 roku przepisy były niejasne i nie trzeba było posiadać aktualnej rejestracji na łódź nie będącą „na wodzie”. To znaczy, że jeśli ktoś trzymał łódź w przystani, ale nią nie pływał, mógł nie płacić do stanowej kasy tych piętnastu dolarów rocznie. Archie skinął głową.

- Więc nasz chytrusek nie pozbył się starej łódeczki. Henry rozprostował ramiona i splótł je z powrotem na piersi.

- A Reston upatrył ją sobie, bo było mniej prawdopodobne, że McCallum spostrzeże jej zawieruszenie.

- Spostrzeże zawieruszenie? - powtórzyła Claire.

- Co, nie mogę używać wyszukanych słów? - odparował.

- Jeśli mamy rację - podjęła, nie drążąc tematu - to ta łódź stoi w tej samej przystani, tak? To znaczy, teoretycznie jest to najbardziej możliwe?

- Jedziemy - zdecydował Archie.

Anne podeszła do nich, stając obok Henry'ego. - Bądźcie ostrożni. Jeśli rzucicie się na osłep z odsieczą, to on się wystraszy i może zrobić jej krzywdę. I sobie też.

- O ile w ogóle nasza hipoteza się potwierdzi i Susan jeszcze żyje - zwrócił jej uwagę Archie.

Przytaknęła kilka razy. Za jej plecami, w bloku naprzeciwko, kobieta wyłączyła telewizor. Tyle kanałów i nic ciekawego.

- Muszę się napić coli. Dietetycznej - oznajmiła psycholożka. Od drzwi dobiegł ich cichy dźwięk, jakby ktoś stłumił okrzyk zdziwienia. Wszyscy policjanci obecni w mieszkaniu jednocześnie odwrócili się w tamtą stronę. W progu stała kobieta w średnim wieku, ubrana w śmieszny czapkę ręcznej roboty, płaszcz w lamparcie cętki i sznurowane buty na wysokich platformach. Spod czapki wylewała się plątanina dredów w kolorze blond. Ciemnoczerwone usta były otwarte, a twarz skrzywiona w grymasie zaskoczenia.

- A państwo to kto? - zapytała nieznajoma. - I gdzie jest moja córka?

45

To ty zabiłeś te wszystkie dziewczyny - powiedziała Susan. Po chwili z ciemności dobiegł ją zdławiony smutkiem głos Re-stona: - Bardzo tego żałuję.

W uszach Susan każdy jej oddech łoskotał z siłą grzmotu. Albo miniaturowej bomby atomowej. Rozkazała sobie zwolnić tempo oddychania i uspokoić się. Pokazać mu, że jest silna. Że panuje nad sytuacją.

- Żałujesz? - powtórzyła. - Paul, ty oszalałeś. Potrzebujesz pomocy. Ja wiem jak ci pomóc.

- Źle zrobiłaś, odchodząc ode mnie - odparł, przekładając jej coś przez głowę. Poczwała zaciskający się na szyi gładki skórzany pasek, a po chwili gardła dotknęło coś twardego i zimnego - metalowa klamra. W jednej chwili stanęły jej przed oczami sine odciski na szyi Kristy Mathers; przerażona, uniosła skrępowane dłonie, usiłując wbić palce pod pasek, ale był już mocno zaciśnięty. Stęknęła chrapliwie i zaczęła się szarpać, ale Reston odepchnął jej ręce i szarpnął jeszcze silniej. Wściekły ból zapulsował w jej głowie, napełniając ją żywym ogniem; wtedy jej dręczyciel targnął za pasek tak mocno, że Susan spadła na podłogę, waląc o nią kolanami z takim hukiem, jakby ktoś rąbał drewno siekierą. Przez chwilę wirowała w powietrzu, zawieszona bez żadnego punktu podparcia, a potem nagle zatrzymała się w bezruchu. Wszystkie zmysły raptownie ożyły, a jednocześnie wzrok w niewielkim stopniu przebił zalegającą dookoła ciemność. Zobaczyła go. Był tuż przed nią; nie żywy człowiek, ale mroczny kontur sylwetki, cień osoby. Poczwała jego kciuk, zimny jak lód, na wargach, które natychmiast zaczęły drżeć.

- Masz piękne usta - powiedział.

Myśli odzyskiwały jasność, umysł domagał się informacji. Porwanie. Łódź. Paul. Morderca. A na końcu: Addy Jackson.

- Paul - wychrypiała - gdzie jest Addy?

Wyczuła, że się waha, a po chwili wstał i cofnął się. Pasek opadł luźniej. Rozbłysło światło. Susan skuliła się, odruchowo zamykając porażone nagłą jasnością oczy. Kiedy po chwili zmusiła się, żeby je otworzyć, Reston znów stał tuż przed nią, celując jej z pistoletu prosto w czoło. Żołądek podjechał jej do gardła; stłumiła nudności wysiłkiem woli, połykając mdląco ciepłą ślinę wzbierającą w krtani. Dobrze się domyśliła. Byli na łodzi, w zamkniętej kabinie. Ściany i niski sufit pomalowano białą farbą. Kabina była ciasna, miała najwyżej dwa i pół metra szerokości. Na jednej ścianie znajdowały się schowki i szuflady, w drugą wbudowano piętrową koję, bardzo solidną, zbitą z desek. Na górnej pryczy - Susan przed chwilą

spadła z dolnej - leżała Addy Jackson.

Dziewczyna była półprzytomna i właściwie naga, nie licząc różowych majtek. Ręce i nogi miała związane taśmą izolacyjną, oczy zmrużone w cienkie szparki, usta błyszczące od śliny, a przetłuszczone włosy pozlepiane w strąki. W pewnym momencie poruszyła się, unosząc skrępowane dłonie do pobrużdżonego łzami policzka, żeby się podrapać. A Susan nagle zrozumiała: ten człowiek chce zabić je obie. Nie miała już żadnych wątpliwości. Spojrzała na Addy Jackson, nieświadomą tego, gdzie się znajduje. Zazdrościła jej.

- To twoja wina - oznajmił Paul tonem wyjaśnienia, przesuwając dłonią po karku Susan. - Potraktowałeś mnie jak ostatnia świnia. Źle zrobiłeś.

I wtedy Susan złożyła milczące ślubowanie: nie dam się zabić. Nie ma takiej możliwości. A już na pewno nie dam się zabić panu ze szkolnego teatru.

46

Kierowniczką przystani River Haven nie mieszkała na łodzi, ale w parterowym domku na zboczu wzgórza wznoszącego się nad pirsami. Temperatura spadła już o jakieś pięć i pół stopnia, co oznaczało oficjalny początek nocy. Archie czuł w ustach cynowy smak rzeki. Wszedł na werandę niskiego domu, pomalowanego na jasnobrązowy kolor. Obok drzwi była przybita stara deska wyłowiona z wody, z wypalonym napisem „Kierownik przystani”. Otwórz, do jasnej cholery, warczał w myślach, marszcząc swędzący nos.

Za jego plecami stanęli Henry i Claire. Na podjeździe widać było tylko trzy nieoznakowane policyjne samochody; Archie po-lecił radiowozom i jednostce antyterrorystycznej pozostać na starej autostradzie. Mieli się nie pokazywać. Wyciągnąwszy mocno szyję, omiótł wzrokiem przystań. Na wodzie, w posępnej ciszy, kołysało się kilkadziesiąt łodzi.

Nagle rozległo się szczekanie psa, a na progu stanęła starsza kobieta. Pod jej nogami mignął podskakujący kłębek futra; odepchnęła go, zatraskując drzwi wewnętrzne i spojrzała na detektywów zza siatki przeciwko owadom, której nie otworzyła, jakby z ostrożności. Archie uniósł odznakę, żeby mogła ją sobie obejrzeć.

- Wiem, kim pan jest - powiedziała, patrząc na niego spokojnym wzrokiem. - Widziałam pana w telewizji - wyjaśniła, zdejmując okulary. Włosy, farbowane na kasztanowy kolor, miała związane luźno na karku. Była ubrana w golf, wpuszczony w džinsy, a w dłoni trzymała jakiś thriller w miękkiej okładce, wsuwając palec między kartki. Okulary odcisnęły się jej mocno na grzbiecie nosa, pozostawiając czerwony znak. - Pan jest tym detektywem, którego porwała Gretchen Lowell.

Jej nazwisko poraziło Archiego niczym prąd, przebiegający od ramion aż po koniuszki palców. Jeszcze mocniej zacisnął w pięści swoje pudełeczko z lekami.

- Muszę wiedzieć, gdzie w tej przystani stoją łodzie należące do Dana McCalluma.

Kobieta odwróciła wzrok i pociągnęła lekko za klamkę drzwi z siatką; klamka wydała grzechoczący dźwięk.

- Łódź Dana spaliła się niedawno.

- A czy trzymał tu jeszcze jakąś inną? - zapytał Archie. Kobieta zawahała się. - To ważne - dodał.

- Pozwalam mu trzymać ją tutaj, chociaż nie jest zarejestrowana. To dobry klient.

- W porządku. Nic do pani nie mamy. Gdzie stoi ta łódź? Obrzuciła Archiego krótkim spojrzeniem i wyszła zza drzwi z siatką, wskazując palcem nabrzeże.

- Stanowisko dwadzieścia osiem. O, tam. Po lewej stronie, drugie od końca.

- Możesz zrobić ze mną, co chcesz - powiedziała Susan - ale musisz wypuścić Addy.

Reston wydawał się promienieć, choć twarz miał pociemniałą.

Kąciki jego ust drgnęły lekko.

- Nie mogę.

Opanowała się ostatnim wysiłkiem woli.

- Chcesz ją zabić?

- Nie mam innego wyjścia.

Klitkowata kabina stała się nagle jeszcze ciasniejsza. Nawet gdyby nie była związana, Susan nie dałaby rady ominąć Paula, wydostać się na pokład i wyskoczyć z łodzi. Zresztą, co dalej? Uciekać wpław? Bulaj nad pryczą, na której leżała Addy, miał wielkość talerza. Innej drogi niż luk wejściowy nie było.

- A co ze mną? - zapytała.

- Spójrz na nią. - Reston z ociąganiem położył dłoń na biodrze dziewczyny i przesunął palce w górę, wzdłuż jej głęboko wciętej talii i opiętych skórą żeber. Woda z pluskiem kołysała łodzią w łamanym, nerwowo pulsującym rytmie. - Czyż nie jest piękna? - zapytał.

Susan wciąż nie mogła zrozumieć, w jaki sposób udało mu się porwać Addy.

- Mówili, że jesteś pod obserwacją. Podobno nie wychodziłeś z domu.

- Ja jej nie porwałem, Suzy - powiedział łagodnym głosem. - To ona przyszła do mnie - wyjaśnił, zamykając oczy. - Powiedziałem jej, że możemy być razem. Poradziłem, że kiedy wymknie się z domu, musi zbić okno od zewnątrz. Wyjaśniłem, jakim autobusem się tutaj dojeżdża. I poprosiłem, żeby poczekała na łodzi, aż skończę pracę i wrócę ze szkoły. - Zamrugał oczami, otwierając je szeroko i spojrzał na Susan z nienawiścią, której jeszcze nigdy u niego nie

widziała. Łódź zadygotała, a drzwi do kabiny chro-botnęły na zawiasach. - Zrobiła wszystko, czego od niej chciałem.

- Oszalałeś - poinformowała go Susan.

Reston uśmiechnął się do siebie, przesuwając pożądlivym spojrzeniem po leżącej na koi półprzytomnej dziewczynie.

- Rohypnol - wyjaśnił. - Kupiłem go przez Internet. Susan poczuła obrzydzenie na samą myśl, że pozwoliła mu się kiedyś dotknąć. Stały jej przed oczami wszystkie spotkania z nim, wszystkie niezdarne gesty; żywa parada smutnych obrazów z jej smutnego okresu dojrzewania. Tak bardzo chciała panować nad swoim życiem. I wszyscy dookoła uwierzyli, że rzeczywiście jej się to udało. Jednak prawda była inna. Żałosna.

Reston zaczął oddychać szybciej, a na twarz wystąpił mu rumieniec podniecenia. Jego dłoń dotarła już na pierś Addy; zakreślał kciukiem kółka dookoła jej małego, różowego sutka.

Dziewczyna drgnęła lekko.

- Pragnę ich tak bardzo tylko dlatego, że przypominają mi ciebie - powiedział.

Bądź silna, rozkazała sobie Susan, nie daj się w to wrobić.

- Pieprzysz - parsknęła. - Szukasz usprawiedliwienia. Przecież wiem, że zawsze ci stawał do nastolatek.

- Nie. - Jego głos załamał się nagle. - Nie. To ty mnie w to wciągnęłaś. Nigdy nie pożądałem swoich uczennic. To od ciebie wszystko się zaczęło. To ty mi to zrobiłaś. - Zsunął dłoń z piersi Addy, wędrując nią z powrotem w dół, po szczęblach żeber, wcięciu talii, wypukłości biodra. Zatrzymał się na majtkach. Przesunął palcami wzdłuż gumki.

- Nie rób tego. - Susan odwróciła głowę. Nie mogła już dłużej patrzeć. - Proszę cię.

- Czy ja w ogóle coś dla ciebie znaczyłem? Zacisnęła z całej siły powieki.

- Oczywiście, że tak.

- Wciąż wspominam tamten dzień, kiedy rozmawialiśmy po lekcjach. Mam przed oczami wszystkie szczegóły: jak stałaś, jak byłaś ubrana, co mówiliśmy. Pamiętasz tę kasetę, którą dla mnie nagrałaś? - Dotknął twarzy Susan, a ona szarpnęła głową w tył, zaciskając sobie pasek na gardle. Zakrztusiła się i znieruchomiła, bojąc się choćby drgnąć. Nie płacz, powtarzała sobie w myślach. Nie wolno ci się rozpłakać.

- Twoje ulubione piosenki - podjął Reston, ocierając wargami o policzek Susan. Zrobiło jej się niedobrze. - Mam jeszcze tę kasetę. Była na niej piosenka Violent Femmes „Add It Up”. Te słowa: „Czy nie mogę na nic liczyć, choć na jeden pocałunek?”. Dałaś mi ją i powiedziałaś: „Taka jestem”. Dałaś mi siebie. - Pocałował ją ponownie, przeciągając wargą po policzku, na którym został wilgotny pas śliny. - Przepisałaś ręcznie wszystkie teksty. Pięknym, starannym pismem. Musiałaś nad tym siedzieć całe godziny. Susan zwarła powieki jeszcze mocniej, aż zeszywniały niczym

zaciśnięte pięści.

- Nie pamiętam tego, Paul - powiedziała.

- To było wtedy, w mojej klasie. Po lekcjach. Kiedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy.

- Nie. - W jej nozdrza uderzył zapach jego potu, słodki i gryzący, intensywny w tak małej przestrzeni.

- Odsłuchałem tę kasetę w samochodzie, w drodze do domu i aż nie mogłem uwierzyć, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni.

Poczuła jego wilgotne usta na swoich wargach. Chciała odwrócić głowę, ale nie mogła się poruszyć. Noc pod zamkniętymi powiekami rozblęła milionem gwiazd.

- Wsłuchałem się w słowa tych piosenek i wiedziałem dokładnie, co chcesz mi powiedzieć - mówił dalej Reston, nie odrywając ust od jej ust. - Wiedziałem, że nie możemy być razem. - Uniósł głowę. Susan poczuła, że pasek się rozluźnił, ale nie miała odwagi otworzyć oczu, bała się tego, co zobaczy. - Wciąż byłem żonaty. Żonaty nauczyciel. Ale ty byłaś bardzo dojrzała jak na swój wiek, o tyle mądrzejsza od rówieśników. Napisałem do ciebie list. Złe zrobiłem. Nie

powinienem wyrażać swoich uczuć słowami. Mimo to postanowiłem zaryzykować. Dałem ci go następnego dnia w klasie i poprosiłem, żebyś przeczytała go po lekcjach. Zrobiłaś to, co chciałem. -

Westchnął z rozterką w głosie, przez co westchnienie przerodziło się prawie w szloch. - I przyszłaś do mnie. Przyszłaś do mnie po lekcjach i wtedy kochaliśmy się pierwszy raz. - Chwyił Susan za głowę i wpił się w nią ustami, wpychając język pomiędzy wargi. Pasek znów zacisnął się na jej gardle. - Otwórz usta - rozkazał. Zamiast ust otworzyła szeroko oczy, bijąc w niego wściekłym spojrzeniem.

- To było zupełnie inaczej, Paul - zasyczała, w końcu zdobywając się na to, żeby głośno powiedzieć prawdę. - Byłam pijana - wyrzuciła z siebie. - Upiłam się po raz pierwszy w życiu, na imprezie po premierze. Pozwoliłam ci odwiedzić się do domu, a ty po drodze zerznąłeś mnie w samochodzie. - Oparła głowę o krawędź koi, zrezygnowana. - Nie dałam ci żadnej kasety i nie dostałam od ciebie żadnego listu. Byłam jeszcze dzieckiem. Niedawno zmarł mi ojciec. I pociągnęłam to dalej. Nie wiedziałam, co robię. A ty byłeś moim ulubionym nauczycielem.

47

Opięty ciężką kevlarową kamizelką, Archie musiał oddychać zupełnie inaczej. Zapinane na rzepy paski były mocno ściągnięte, skutkiem czego całość obejmowała klatkę piersiową tak, jak obręcz ściska beczkę. Rwały od tego żebra, a każde poruszenie tułowiem było niczym wielkie zwycięstwo ducha nad materią. Archie starał się oddychać bez rozciągania klatki piersiowej, jakby wciągał powietrze do brzucha; wyobrażał sobie, jak tlen przepływa przez

tchawicę i napełnia żołądek, rozlewając się po jego pokaleczonych organach wewnętrznych. To zajmowało mu myśli, kiedy razem z Henrym i Claire powoli schodził długą betonową drogą, biegnącą zygzakiem po zboczu wzgórza na sam brzeg rzeki, gdzie cumowały łodzie. U stóp wzniesienia stał zaparkowany stary srebrny volkswagen passat. Wóz Restona. Podeszli do niego normalnym, swobodnym krokiem. Kamizelki kuloodporne mieli ukryte pod cywilnymi ubraniami, broni również nie trzymali na widoku, a jednak w ich ruchach była pewna szczególna sprężystość; widok takich ludzi nie zaniepokoiłby tylko kompletnego idioty. Ale na przystani nie było żywej duszy. Same łodzie.

Dotarli na nabrzeże. Pirs miał kształt litery T. Po obu jego stronach cumowały jednostki pływające. Latarnie ustawione wzdłuż krawędzi pirsu dawały leniwe białe światło, które, odbite od czarnej wody, mocno wyostrzało wszystko dookoła. Archie był zdania, że to zasługa chłodniejszego powietrza. Kiedy spada temperatura, każdą rzecz widać wyraźniej. Odpiął pasek przytrzymujący broń w kaburze i wsparł dłoń o gładką, metalową rękojeść swojej trzydziestki ósemki.

Stanowiska po jednej stronie pirsu miały numery parzyste, po drugiej - nieparzyste. Archie wiedział z góry, że pod numerem dwudziestym ósmym nie znajdą żadnej łodzi; to by było czyste szczęście, a on nie był typem szczęściarza.

- Kurwa - zaklął, zatrzymując się przed pustym stanowiskiem.
- Co to znaczy? - zapytała Claire.
- To znaczy, że pożeglowali w siną dal - wyjaśnił jej Archie.
- Na łodzi motorowej się nie żegluje - zaproponował Henry. - Nie ma żagli.
- Kurwa - powtórzył Archie.

48

Archie rozglądał się z pokładu ośmiopółmetrowej dwuśrubowej łodzi kabinowej. Nie lubił pływać i nie przepadał za tym, co pływa, ale wiedział, na jakiej łodzi się znajduje, bo wyjaśnił mu to jeden z zastępców szeryfa pracujących w patrolu rzeczonym. Policjanci należący do tej jednostki nosili zielone mundury, malowali swoje motorówki na kolor szmaragdowy i mówili na siebie Green Hornets, czyli Zielone Szerszenie. Zimowa obsada składała się z porucznika, sierżanta, ośmiu zastępców szeryfa i pełnoetatowego mechanika. Trzydzieści minut po otrzymaniu wezwania od Archiego wszyscy stawili się w komplecie na służbie.

Kolejne piętnaście minut później pięć łodzi Zielonych Szerszeni pruło już wodę, a dwa śmigłowce policyjne i jeden ze straży przybrzeżnej przeszukiwały rzekę z powietrza.

- To jest łódź - z pełnym przekonaniem wyjaśnił Archiemu jeden z pilotów. - Wyplynie na rzekę. Znajdziemy ją.

I znaleźli. Godzinę później pilot helikoptera zameldował przez radio, że dostrzegł krytą łódź motorową marki Chris Craft stojącą na kotwicy niedaleko wyspy Sauvie, w miejscu, gdzie Columbia spotyka się z kanałem Multnomah.

Archie przekazał położenie poszukiwanego obiektu antyterrorystom. Wiedział, że Reston musiał zauważyć światło reflektora na policyjnym śmigłowcu, bo ten reflektor miał dziesięć kilowatów mocy i nie można go było nie zauważyć. Mógł zrobić dwie rzeczy: albo podnieść kotwicę i spróbować ucieczki - a wtedy ła-two byłoby go namierzyć i śledzić z helikoptera - albo gdzieś się przyczaić. Miał co najmniej jedną zakładniczkę, więc Archie nie chciał w żaden sposób ryzykować, ale antyterrorysty byli dalej od Sauvie niż Zielone Szerszenie, a poza tym należało przecież sprawdzić, czy to na pewno jest poszukiwana łódź. Złe by się stało, gdyby brygada SWAT zepsuła jakiejś niewinnej rodzinie wyprawę na ryby. Archie miał na pokładzie trzech zastępców szeryfa oraz Henry'ego, Claire i Anne. Postanowił przepłynąć na drugą stronę wyspy i sprawdzić, czy uda się zbliżyć do wypatrzonej ze śmigłowca łodzi.

Była dokładnie tam, gdzie meldował pilot. Stała na kotwicy, zaciemniona, bez świateł pozycyjnych, ale w kabinie paliły się lampy. Rick, zastępca szeryfa, facet mniej więcej w wieku Archiego, krótko obcięty i noszący szpakowatą brodę, skierował na nią szperacz zamontowany na pokładzie łodzi patrolowej. Nad nimi, na tle czarnego nieba, krążył helikopter.

- Jest wasza zguba! - zawołał Rick, przekrzykując warkot silnika.
- Antyterrorysty i negocjator już tu płyną! - odkrzyknął Archie.
- Masz mało czasu - wtrąciła ostrzegawczo Anne, chwytając dłonią w rękawiczce swoje warkoczyki, które wiatr spychał jej na twarz. - On chce doprowadzić sprawę do końca.
- Na ile możesz się zbliżyć do tej łodzi? - zapytał Archie Ricka.
- Na tyle, żeby można było wejść na pokład.
- No to już.

Henry, Claire i Archie dobyli broni. Łódź patrolowa zwolniła maksymalnie, ustawiając się równolegle do tamtej. Dwaj policjanci z patrolu rzeczno stanęli przy knagach od sterburty i obłożyli je linami. Na ostatnich kilku metrach Rick zgasił silnik i doszli już tylko siłą rozpędu. Zastępcy szeryfa czuwający przy burcie chwycili się relingu poszukiwanej łodzi i obwiązali jej knagi.

Od tej chwili obie łodzie kołysały się razem, objijając się o siebie. Nikt nie odezwał się ani słowem. Na wodzie było zimno; Archie chuchnął w złożone dłonie i zacisnął je kilka razy, żeby pobudzić krążenie. Wiatr gwiżdżący ponad rzeką szczypał w policzki. Na łodzi, do której przycumowali, nie było widać żywej duszy, w kabinie nikt się nie poruszał.

- Idę tam - oznajmił.

I podał swój rewolwer partnerowi, rękojeścią do przodu.

Henry wyciągnął rękę po broń, ale drugą przytrzymał dłoń Archiego

zaciśniętą na lufie, tak, że smith&wesson zawisł pomiędzy nimi. Twarz miał ściągniętą.

- Chcesz tam iść, bo uważasz, że to sprytne - szepnął, pochyliwszy się do niego - czy dlatego, że nie możesz przestać uzalać się nad sobą?

Archie spojrział przyjacielowi w oczy. Nie możesz mi pomóc, pomyślał.

- Jeśli nie będzie strażaków, nie wchodźcie za mną - polecił. - Gdybym uznał, że muszą go zdjąć antyterrorysty, spróbuję dać wam jakiś znak.

- Weź kamizelkę - powiedział Henry.

Kamizelka. Archie zdjął ją po wejściu na pokład. Intuicja mu podpowiadała, że to niezbyt mądre paradować w takim obciążeniu, kiedy powinno się raczej mieć na sobie coś bardziej w rodzaju koła ratunkowego. Cofnął rękę, pozostawiając rewolwer w dłoni Henry'go.

- Żebra mnie bolą - wyjaśnił i zanim ktoś zdążył go powstrzymać, odwrócił się i przesadził reling, lądując na pokładzie starej łodzi. Gumowe podeszwy jego butów dobrze trzymały się pokładu z włókna szklanego. Ruszył szybkim krokiem, zgarbiony, na ugiętych kolanach, prosto do drzwi kabiny.

- Reston? - zawołał. - Mówi detektyw Archie Sheridan. Otwieram drzwi. Chcę z tobą pogadać. W porządku?

Nie czekał na odpowiedź. Bo co też by zrobił, gdyby Reston odpowiedział, że nie, nie w porządku? Musiał przeć do przodu, nie zatrzymywać się. I cały czas mówić. Zaskakiwać go. Sięgnął do zamka, zaczął przy nim gmerać; drzwi, jak się okazało, nie były zamknięte na klucz. Otworzył je szeroko i zobaczył przed sobą fragment urządzonej w drewnie kabiny: kącik jadalny i nieduży kambuz. Nie zobaczył natomiast Restona. Ani Susan. Ani Addy Jackson.

- Jestem bez broni - oznajmił głośno. - Wejdę i pogadamy, w porządku? - Tym razem poczekał. Cisza. Niedobry znak. Możliwe, że wszyscy już nie żyją. Wziął głęboki oddech, przygotowując się w myślach na to, że na dole może czekać na niego krwawa jatka. Nie był wcale pewny, czy da radę znieść taki widok. - Wchodzę - powiedział.

Przecisnął się przez wąski luk i zszedł po czterech schodkach prowadzących do głównej kabiny.

Musiał zmrużyć oczy, bo światło było dla niego zbyt jasne. Na łodziach pomieszczenie takie jak to jest odpowiednikiem domowego salonu. Stała tam niewielka kanapa obita materiałem w kwiaty, rattanowy fotel z taką samą kwiecistą poduszką oraz niski stolik ze szklanym blatem, także z rattanu, pomalowany na biało. Na podłodze leżała wykładzina koloru sztucznej murawy. Miejsca było tu niewiele, a sufit wisiał nisko, ale ściany wyłożone tekową boazerią oraz żółte oświetlenie tworzyły ciepły, miły na-strój. Nad kanapą, w charakterze dekoracji, zawieszono wielki mosiężny

barometr. Dalej znajdował się kambuz i kącik jadalny, które Archie widział z góry.

Obok kanapy, w drzwiach prowadzących do dalszego pomieszczenia, stał Reston. Był ubrany w płócienne spodnie i koszulkę z krótkim rękawem. Zamiast oczu miał dwie czarne dziury. Trzymał przed sobą Susan Ward; jedną ręką oplatał ją mocno w talii, a w drugiej ściskał pistolet, wbijając dziewczynie lufę pod brodę. Na szyi Susan Archie zauważył luźno zadzierzgnięty brązowy skórzany pasek. Nie miał wątpliwości, że uda się go dopasować do śladów uduszenia u trzech odnalezionych ofiar. Susan miała ręce i nogi związane taśmą izolacyjną, ale żyła. Była przytomna, a zaglądając w jej oczy, zmęczone, ale wciąż ciskające pioruny, dostrzegł wyraźnie, że także wściekła jak wszyscy diabli.

- Ahoj - przywitał się Archie.

- Addy jest tam... - zaczęła Susan i nie zdążyła już powiedzieć nic więcej, bo Reston złapał szybko za pasek u jej szyi i szarpnął go z całej siły. Nogi ugięły się pod nią. Upadła na kolana, a on przyłożył jej pistolet do głowy.

- Cisza - szczerknął, rozjuszony. - Musiałaś to mówić? Nie możesz być dla mnie miła?

Susan desperacko próbowała zerwać z szyi zaciśnięty pasek, ale nie mogła włożyć palców pod pętlę. Na wykrzywioną twarz wystąpiły jej sine plamy, oczy wyszły na wierzch, a z rozwartych szeroko ust dobywało się charczące rżenie. Archie wiedział, że ma około dwóch minut.

Tylko ta świadomość powstrzymywała go przed rzuceniem się na Restona. Porywacz miał broń i celował w głowę zakładniczki. Gdyby Archie skoczył na niego, mógł strzelić i ją zabić. Ponieważ klęczała na podłodze, nie było raczej możliwości, że skręci jej kark, szarpiąc za pasek. Udusić człowieka jest trudniej, niż się wydaje. Umiera się nie tylko z braku tlenu, ale też w wyniku uciśnięcia naczyń krwionośnych szyi, powodującego śmierć mózgu przez niedokrwienie. Bez pomocy Archiego Susan musiała umrzeć, ale dopiero za kilka minut. A kilka minut to dużo. Dzięki temu miał jakąś szansę.

Odwrócił się do nich plecami, podchodząc do kambuza w rogu kabiny. Była tam nieduża kuchenka i szafka ze stalowym zlewem. Miała zielony blat, a ścianki i drzwiczki białe. Białe były także wiszące szafki. Archie otwierał je po kolei, aż znalazł szklanki. Wyjął jedną i napełnił ją wodą. Uświadomił sobie, że nie słyszy Susan. Czyżby straciła przytomność? To by znaczyło, że po raz kolejny wszystko spała. Ale nie: nagie w kabinie rozległ się jej głośny, chrapliwy wdech. Reston wypuścił pasek z ręki. Susan mogła znów oddychać. Rozkaślała się, rżąc i ochryple. Archie zamknął oczy, czując klucie w koniuszkach palców, do których spłynęła krew. Jego plan się powiódł.

- Co robisz? - zapytał Reston.

Archie odczekał kilka chwil, zanim mu odpowiedział; niech się

sukinsyn zastanawia.

- Muszę wziąć lekarstwo - wyjaśnił w końcu, nie odwracając się. - Dam radę przełknąć te pigułki bez popijania, ale wtedy wolniej działają. - W tym momencie stanął z powrotem twarzą do Restona i uśmiechnął się do niego kurtuazyjnie, a potem usiadł sobie na obitej jasnobrązową tapicerką ławie, opierając się łokciem o zielony składany stół, przymocowany na zawiasie do ściany. Specjalnie siadł bokiem, nie chowając kolan pod blatem:

Ben sposób, gdyby zaszła potrzeba, mógł szybko wstać. Szklan-kę z wodą postawił na stole. Przez maleńki bulaj w kambuzie widział reflektor łodzi straży przybrzeżnej, co oznaczało, że oni też go widzą. Dobrze.

- Teraz włożę rękę do kieszeni i wyjmę pigułki - uprzedził i zanim Reston zdążył zareagować, bez pośpiechu wyciągnął swoje blaszane pudełeczko. Otworzył je i odliczył osiem tabletek, układając je rzędkiem na ciemnozielonym blacie stołu. Nawet w takiej sytuacji na sam ich widok poczuł wyraźnie wyrzut en-dorfin do krwi. - Wiem, że to wygląda jak końska dawka - spojrzał na Restona, unosząc brwi i krzywiąc się cierpko - ale ja mam wysoką tolerancję. Reston poderwał Susan z podłogi i znów złapał ją w pasie, rozkaślaną, w widoczny sposób usiłującą wmówić sobie, że znów ma w pełni sprawny układ oddechowy. Mimo wszystko zdołała jednak ściągnąć pasek z szyi; walał się teraz po podłodze pod jej nogami. Mądra dziewczynka, pochwalił ją Archie w myśli.

- Susan - zagadnął uprzejmym tonem - wszystko w porządku? Skinęła głową, unosząc na niego wzrok. Jej oczy znów zapłonęły buntowniczo.

- Jak tam moja fryzura? - zapytała.

- Świetnie - zapewnił ją.

Susan zaczęła się śmiać, ale znów się rozkaślała, aż po zaczerwienionych policzkach pociekły jej łzy. Reston przygarnął ją mocniej do siebie. Archie wziął w palce jedną pigułkę, położył ją na języku i popił łykiem wody. Potem odstawił szklan-kę z powrotem na stół.

- Zwabiłeś Addy, żeby sama przyszła do ciebie - odezwał się do Restona, który przytaknął skwapliwie.

- Potrzebowała kogoś, przy kim mogła poczuć się wyjątkowa.

- Ale pozostałe dziewczyny porwałeś - mówił dalej Archie - więc w jaki sposób załatwiłeś sobie alibi?

- Żadna sztuka - prychnął Reston. - Podczas prób siedzę w kabinie oświetleniowca. Próbujemy po kolei wszystkie sceny, ja rozdaję notatki z uwagami, a potem jeszcze raz powtarzamy wszystko od nowa. Widzą, jak znikam w kabinie i zaczynają grać, a kiedy kończą, widzą, jak stamtąd wychodzę. Czekałem, aż pierwszy akt się rozkręci i wymykałem się po cichu. - Przygładził potargane włosy swojej dawnej uczennicy, jakby głaskał po głowie lalkę.

Susan wzdrygnęła się z niechęcią. - Zanim opadła kurtyna, miałem dość czasu, żeby odszukać każdą z nich, porozmawiać z nią, a

potem zabić i wrócić do kabiny. Czekwały na mnie martwe w moim samochodzie, przykryte kocami, podczas gdy ja rozdawałem aktorom notatki z wymyślonymi na poczekaniu uwagami. Nie musiałem nawet oglądać próby, bo te głupie gnoje za każdym razem robią dokładnie te same błędy. - Reston spojrzął na Susan i zaraz powrócił wzrokiem do Archiego. - Nie pozwolę ci jej stąd zabrać - poinformował go.

Archie rozejrzył się dookoła.

- Ładna łódka - powiedział.

- Dan McCallum na niej pływał. - Właśnie - skinął głową Archie. - Dan McCallum. Seryjny morderca, który strzelił sobie w łeb.

Reston uśmiechnął się do niego przelotnie. - Chciałem kupić sobie trochę czasu. Archie podniósł ze stołu drugą pigułkę, podrzucił, złapał na język, popił. Odstawił szklanekę na stół.

- Mogę cię zabić, jeśli tylko zechcę - oznajmił Reston głuchym, drżącym głosem. - Zanim tutaj wejda, zdążę zastrzelić was oboje.

Archie przeczesał dłonią włosy, robiąc znudzoną minę.

- Nie przestraszysz mnie, Paul - uśmiechnął się Archie po chwili dodał: - Widziałem już w życiu parę strasznych rzeczy.

Widział wyraźnie, że Reston zaczyna pękać: przestępował z nogi na nogę i raz po raz zaciskał kurczowo powieki w mimowolnym tiku nerwowym. Mocował się z Susan, bez przerwy poprawiając ułożenie ramienia, którym trzymał ją przy sobie, a jednocześnie wciąż kręcił pistoletem: to minimalnie zwracał lufę w stronę Archiego, to z powrotem mierzył w gło-

wę zakładniczki. Susan nie spuszczała oczu z jego broni. Trzęsła się na całym ciele, lecz panowała nad sobą. Łzy przestały już płynąć jej z oczu. Reston pochylił głowę i pocałował ją w policzek.

- Nie bój się - powiedział. - Raz-dwa i będzie po wszystkim.

Wzdrygnęła się, a on chwycił ją mocniej. Spojrzął na Archiego. Koszulkę pod pachami i wokół szyi miał mokrą od potu. Cały nim cuchnął.

- Poznajesz mnie? - zapytał. Wzrok miał błagalny, wygłodniały Archie był już całkiem pewny: facet zaczyna świrować.

- Spotkaliśmy się wczoraj, u ciebie w domu - odparł. Reston zmrużył oczy.

- Wcześniej. Myśl

Był tak poważny, tak pewny siebie, że Archie faktycznie zaczął szperać w pamięci, próbując dociec, o co mu chodzi. Może kiedyś go aresztował? Nie, Reston nie był notowany. Przesłuchiwał jako świadka? Bóg jeden wie, ilu świadków Archie przesłuchał, prowadząc śledztwo w sprawie Wirtuoza. Potrząsnął stanowczo głową na znak, że nie może sobie przypomnieć. Reston denerwował się coraz bardziej.

- Zabiłem cztery osoby - ogłosił. To znaczyło, że Addy jeszcze żyje. Archie usłyszał warkot silnika kolejnej zbliżającej się łodzi. I helikopter. Za oknami kabiny błysnęły jasne światła.

Wziął ze stołu trzecią pigułkę. Popił. Odstawił szklanę. Japoński rytuał picia herbaty w jego autorskiej interpretacji.

- Sprawilo ci to przyjemność? - zapytał. Znów mimowolny, niekontrolowany tik.

- To było konieczne. Nie chciałem tego, ale nie miałem wyboru. - Nadpobudliwość Restona była niepokojąca. Archie widział, że zabójca nie przywiązuje wielkiej wagi do tego, co się dzieje na zewnątrz. Nie przejmuje się nową łodzią ani światłami. Nie boi się aresztowania. W rozumieniu Archiego mogło to oznaczać tylko jedno: ten człowiek postanowił umrzeć.

A jeśli na łódź wtargną antyterrorysty, to Reston zastrzeli Susan. Bez namysłu.

- Ale czy sprawilo ci to przyjemność? - powtórzył swoje pytanie.

- Pierwszy raz był trudny. Następne coraz łatwiejsze. - Zabójca wykrzywił usta w obłąkanym uśmiechu. - Nie podobało mi się, że muszę zabijać. Ale gdy już było po wszystkim, robiło się przyjemnie.

- W jaki sposób wybrałeś te dziewczyny? - chciał wiedzieć Archie.

- Wszystkie zgłosiły się na przesłuchania do musicalu. Nabór prowadzono w całym okręgu. - Reston aż się zaśmiał, tak go to ubawiło. - Taki musical to kosztowna sprawa, a w szkołach były cięcia budżetowe i żadnej nie było stać na samodzielną produkcję. Więc nasze licea się dogadały, żeby zrobić jeden wspólny show i podzielić się kosztami. Ja byłem reżyserem. Nie dałem roli żadnej z tych dziewczyn. Były za słabe. Ale zapamiętałem je sobie. A one zapamiętały mnie. Każda chciała być gwiazdą. I każda usłyszała ode mnie, że wystąpi w następnej sztuce, którą będę robił.

- Młodymi dziewczynami łatwo się manipuluje - zauważył Archie beznamiętnym tonem. Reston uśmiechnął się lekko.

- Jestem bardzo popularnym nauczycielem. Susan przewróciła oczami.

- Bez przesady - prychnęła. Archie zażył kolejną pigułkę.

- Po co ci te tabletki? - zaciekawił się Reston.

Detektyw skrzywił wargi w nieznacznym uśmiechu. To może się udać, pomyślał. Przesunął palcem wokół krawędzi szklanki, nie spuszczać wzroku z Restona.

- Mam swoje mroczne fantazje - wyjaśnił.

Znów widział Gretchen. Czuł na policzku jej dłoń. I czuł zapach. Zapach bzu.

I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Gdyby tylko się postarał, Reston mógłby go zastrzelić. Wystarczy drobna prowokacja. Trzeba zacząć go drażnić, aż przestanie mierzyć do Susan, tylko weźmie wreszcie na muszkę Archiego i nie zmieni zdania tak długo, aż zdecyduje się pociągnąć za spust. Detektyw szedł o każde pieniądze, że facet nie umie obchodzić się z bronią i prawdopodobnie nigdy w życiu nie był na strzelnicy, ale z bliska spokojnie mógłby trafić w głowę albo w szyję. To było naprawdę

proste rozwiązanie. Śmierć na posterunku. Coś takiego każdy by zrozumiał. Henry pewnie by się wszystkiego domyślił -Debbie też - ale wszyscy inni zobaczyliby w tym tylko mroczne fatum Archiego Sheridana. Biedny chłop. Tak chyba było dla niego najlepiej. Po tym, co przeszedł, nigdy już nie doszedł do siebie.

Był jednak jeden szkopuł: co z Susan? Reston załatwiłby ją na miejscu, zaraz po Archie; strzeliłby prosto w głowę, bez pudła. Antyterrorysty nie zdążyliby go zgasić, na pewno nie w tym miejscu, gdzie teraz stał. Wpadliby do kabiny po pierwszym wystrzale, lecz wtedy Susan byłaby już martwa, a jemu być może nawet starczyłoby czasu, żeby włożyć sobie lufę do ust i pociągnąć za cyngiel. A gdyby udało im się go dopaść? Wytrącić broń? Aresztować? Miałby żyć dalej, kiedy Susan i Archie pożegnali się z życiem? To nie było sprawiedliwe rozwiązanie.

A zatem powrót do pierwotnego planu. Tego, który przewiduje kulkę w łeb dla Paula Restona. To lepszy plan, pomyślał Archie. Jeśli tak, to czas na jakiś sygnał dla sił czekających w odwodzie. Detektyw oparł się łokciem na stole i położył podbródek na prawej dłoni; po tej stronie miał bulaj. Następnie złożył palce mały i serdeczny, a wyprostował środkowy i wskazujący, tak, że powstał zarys pistoletu przyłożonego prosto do prawej skroni. Wiedział, że go obserwują przez te małe, okrągłe okienka, jak złotą rybkę w akwarium; siedział tutaj już długo, niczym dziewczyna oglądająca nocne programy w telewizji. Był pewny, że Henry zrozumie jego znak. Bulaje były zrobione z dwóch tafli grubego akrylu. Najlepiej byłoby strzelić przez drzwi do kabiny; Archie, wchodząc, zostawił je otwarte. O ile snajperzy w ogóle zdążyli już dotrzeć. O ile ktoś w ogóle zauważył jego znak. O ile w ogóle uda mu się wystawić Restona na strzał.

Zabójca postąpił mały krok w przód, nie odrywając lufy od skroni Susan.

- Pomaga ci to? - zapytał.

- Nie - odpowiedział szczerze Archie. - Ale zagłusza wyrzuty sumienia.

- Daj mi jedną - zażądał morderca.

- A masz receptę? - Archie wziął kolejną pigułkę w palce, przyjrzał jej się uważnie.

- Bo ją zabiję - zagroził Reston. - I tak ją zabijesz.

- No to ciebie zabiję. Sheridan odłożył tabletkę na stół.

- Znowu mnie nie przestraszyłeś, Paul.

Reston chwycił Susan za różowe włosy i walnął jej głową o ścianę kabiny. Tekowe deski odpowiedziały głuchym hukiem.

- Kurwa! - wrzasnęła dziennikarka. Archie wstał.

Reston wycelował w niego, nie wypuszczając z garści włosów Susan, która po uderzeniu nie straciła przytomności i chociaż krew zalewała jej czoło, zaczęła się szarpać. Reston wpadł w furję: poczerwieniał jak burak, wytrzeszczone oczy miały błyskawice, a pierś falowała ciężko. Jego twarz zmieniła się w zdeformowaną

maskę wścieklej pasji.

- W porządku - powiedział pojednawczo Archie. Wziął jedną tabletkę i rzucił ją w jego kierunku. Upadła na zieloną wykładzinę w połowie drogi między nim a Restonem, który ruszył do niej niezgrabnie, ciągnąc Susan za włosy za sobą i wciąż mierząc do Archiego z pistoletu. Stał nad pigułką, ale widocznie nie uśmiechało mu się ani odłożenie broni, ani wypuszczenie z rąk zakładniczki, bo opadł na kolana, opuścił głowę do samej podłogi i cały czas zezując w górę, na Archiego, chwycił białą kulkę w zęby. Połknął ją, szczerząc się zwycięsko. W następnej chwili od strony otwartych drzwi huknął wystrzał z karabinu snajperskiego i Reston padł na podłogę, głową w przód. Susan wrzasnęła, odskakując od niego. Do kabiny wpadli antyterrorysty z bronią w rękach. W swoich czarnych strojach, obwieszeni sprzętem, wyglądali jak upiorne stwory, które wstały z dna Willamette. Susan zakryta twarz zwąznanymi dłońmi.

- Kurwa. Kurwa. Kurwa - powtarzała raz po raz.

- Sprawdźcie tam dalej - poleciał Archie, wskazując drugie drzwi. Sam jednak nie ruszył się z miejsca. Na stole zostały jeszcze dwie tabletki. Zgarnął je i wrzucił do kieszeni.

49

Środki podziałały: Archie był na haju. Stał nad brzegiem rzeki z rękami w kieszeniach, a mżący deszcz osiadał mu drobną mgiełką na ramionach. Kupię sobie w końcu taką wodoodporną kurtkę, pomyślał. Wszyscy bardzo je sobie chwala.

Dochodziła druga w nocy, ale nie czuł się zmęczony. Po zażyciu odpowiedniej ilości vicodinu wpadał w stan permanentnego zawieszenia: nie czuł się ani zmęczony, ani w pełni przytomny. W sumie nie było to wcale najgorsze, kiedy już się człowiek przyzwyczaił. Za jego plecami, mniej więcej piętnaście metrów od brzegu rzeki, znajdowała się śródmiejska kwatera patrolu rzeczno-zielonych szerszeni. Był to prostokątny budynek pokryty brązowym sidingiem. Sprawiał wrażenie, jakby przywieziono go na to miejsce w skrzynce i złożono w ciągu jednego popołudnia. W środku siedzieli w tej chwili Henry i Claire. Rozmawiali z Susan; Archie był drugi w kolejce do odpytania. Wymknął się na zewnątrz, bo chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Przyglądał się, jak technicy kryminalni ustawiają reflektory, żeby oświetlić pokład łodzi McCalluma, którą przyholowano tutaj. Każda z tych lamp miała moc tysiąca ośmiuset watów; w ich świetle łódź wyglądała jak plan filmowy.

Stan Addy Jackson po wstępnym badaniu okazał się stabilny. Odesłano ją do Emanuela. Zamroczenie wywołane rohypnolem powoli przechodziło, ale dziewczyna wciąż jeszcze była zdeorientowana i nie potrafiła odpowiedzieć na żadne pytanie. Archie

życzył jej, żeby narkotyk przyniósł choćby częściową amnezję; byłoby to prawdziwe błogosławieństwo.

Dziennikarze dotąd nie dotarli na miejsce, chociaż z całą pewnością dowiedzieli się już o wezwaniu policji do kwatery patrolu rzecznego. Portland było jednak wciąż na tyle małym rynkiem informacyjnym, że stacje telewizyjne na nocnej zmianie pracowały z minimalną obsadą. Archie wyobraził sobie, jak reporterzy wkładają błyszczące plastikowe peleryny i jak pędzą na miejsce wydarzeń, gotowi nadawać na żywo, dopóki tylko z tematu da się wycisnąć choć odrobinę dramatyzmu. Wiedział, że teraz wszystko zacznie się na nowo.

Faceta, który stanął za jego plecami, najpierw usłyszał, a dopiero później zobaczył. Dobiegł go odgłos kroków i po chwili w ciemności zamajaczyła tęga sylwetka obciążona potężnym brzuchem. Archie nie musiał nawet odwracać głowy; poznał go po nikłym zapachu alkoholu i zastałego dymu z papierosów.

- Jefferson Parker - powiedział.

- Słyszałem, że złapałeś drugiego mordercę.

- Pisziesz o tym?

- Przywiozłem sobie do tego jednego młodziaka - odparł Parker. - Nazywa się Derek Rogers. No i jeszcze do kompletu Ian Harper tu jedzie.

- Aha.

Parker parsknął krótko.

- Uważasz, że to cymbał? Poczekaj, aż go poznasz osobiście. Przez długą chwilę stali w milczeniu obok siebie, patrząc na łódź, reflektory, na czarną rzekę. Wreszcie odezwał się Archie:

- Kiedy leżałem w szpitalu, nie przyszedłeś, żeby ze mną porozmawiać. Inni dziennikarze dobijali się do mojego pokoju, błagali o wywiad, wysyłali kwiaty i przebierali się za lekarzy. Ty nie. Potężny facet wzruszył ramionami.

- Jakoś nie mogłem się zebrać.

- Zostało to docenione - powiedział Archie.

Parker wydobył skądś papierosa, zapalił, zaciągnął się. W jego dłoni był to cieniutki biały patyczek z rozżarzoną pomarańczową końcówką, jarzącą się w ciemności.

- Znów będziesz sławny - zauważył.

Archie spojrział w niebo, gdzie księżyc był plamą światła przedzierającą się przez chmury.

- Rozważam przeprowadzkę do Australii - mruknął.

- Uważaj, Sheridan. Te artykuły, które napisała Susan, narobiły sporo zamieszania. Bohater tragiczny to chwytliwy motyw, ale niedługo czytelnicy zaczną domagać się więcej. Te twoje pigułki. Te co niedzielne nasiadówki z Gretchen Lowell. Pożremy cię za to żywcem. Burmistrz i Henry mogą próbować, ale cię nie obronią. Kiedy czwarta władza zwietrzy krew, to rzeź już wisi w powietrzu.

- Dzięki za radę.

- Marne powołanie, co? - Parker przyłożył do ust zaciśniętą pięść, z której papieros sterczał niczym miniaturowa latarnia.
- Jakie powołanie? - zapytał Archie.
- Żeby zostać gliniarzem - wyjaśnił reporter, przyglądając się swojemu papierosowi. - Trzeba było pójść na jakąś uczelnię. - Strzepnął popiół delikatnym ruchem potężnego nadgarstka. - Zostać wykładowcą.
- Na to już za późno - odparł detektyw. - A ja kiedyś chciałem sprzedawać samochody. - Parker zapatrzył się w jakiś odległy punkt, błysnął zębami w uśmiechu. - Oldsmobile. - Znów wzruszył ramionami i przyjrzał się papierosowi. - Złapałem fuchę jako adiustator w gazecie. W dziesiątej klasie. Pięćdziesiąty dziewiąty rok. Na studia już nie poszedłem. Tę gazetę drukowali tam na miejscu, w piwnicy. Uwielbiałem zapach farby drukarskiej. - Przyłożył papierosa do ust, zaciągnął się, wypuścił dym. - A teraz? Jak nie masz dyplomu z najlepszego uniwerku, to w żadnej redakcji nie przyjmą cię na darmowy staż.
- Czasy się zmieniają.
- Jak nasza dziewczyna?
Archie spojrział w okno kwatery patrolu rzecznego.
- Wściekła jak wszyscy diabli.
- To porządny dzieciak.

- Mogę dostać jedną gumę? - zapytała Susan.
Henry i Claire zabrali ją do niedużego pomieszczenia na zapleczu kwatery patrolu rzecznego. Było tam biurko i krzesło obrotowe, a na ścianach wisiały mapy nawigacyjne. Na blacie biurka leżał stos równo ułożonych czarnych segregatorów opatrzonych pieczęcią miasta oraz liczne białe i różowe kartki o wyglądzie formularzy i raportów, faktur na przesyłki, meldunków z oficjalnymi wyjaśnieniami - wszystko wypełnione, ostemplowane, poświadczane, podpisane. To był gabinet mężczyzny. Na ścianach wisiały jego kolorowe zdjęcia oprawione w zwykłe, tanie ramki. Na rybach. W zielonym mundurze, otoczony innymi mężczyznami w zielonych mundurach. Oficjalny portret rodzinny. Mężczyzna nosił wąsy, a na jego twarzy malował się nigdy niegasnący entuzjazm. Na najnowszych zdjęciach do wąsów dołączyła też broda. Po lewej stronie biurka znajdował się metalowy regał z czterema półkami pełnymi fachowych wydawnictw z dziedziny prawa morskiego i historii stanu Oregon. A na najwyższej półce tego regału stał słoje pełen różowych gum do żucia.

- Jasne, że możesz. - Claire wyjęła ze słoja jedną gumę i podała ją Susan.

Dziennikarka rozwinęła papierka. Ręce miała obolałe od taśmy, którą była związana, a skóra na obu nadgarstkach była otarta. Guma okazała się za słodka i zupełnie twarda.

- Stara - poskarżyła się Susan.

- Jeszcze tylko kilka pytań - obiecała Claire.

Od godziny wałkowali te same pytania na okrągło. Susan miała wrażenie, że opisała im minuta po minucie całą swoją znajomość z Paulem Restonem, każde ich spotkanie, odkąd poznała go w wieku czternastu lat. Wyjaśniła im, w jaki sposób Addy Jackson uległa jego manipulacji i nie chciała już więcej o nim myśleć. Bolała ją głowa. Ratownicy medyczni zakleili jej plastrami rozciętą skórę na czole, ale czuła, że rano obudzi się z prześliczną śliwą pod okiem. Marzyła o papierosie. I o kąpieli. I o ciepłym łóżku.

No i ta cała sprawa z Bliss. Susan zadzwoniła do matki, kiedy tylko zeszła na ląd. Z mieszkania Wielkiego Pisarza Archie wysłał Bliss z powrotem do domu w towarzystwie policjanta z drogówki. Miała tam czekać na wiadomości. Podniosła słuchawkę od razu. Susan nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jej matka ostatni raz osobiście odebrała telefon, zamiast wyręczyć się automatyczną sekretarką. Claire stała oparta o ścianę, Henry naprzeciwko niej, oparty o drugą.

- Jesteś pewna, że nie wspominał o innych dziewczynach, o których nam nic nie wiadomo? - zapytała filigranowa policjantka.

- Jestem pewna - odpowiedziała Susan.

- I nie zatrzymałaś żadnych listów, które od niego dostałaś?

Tych listów były całe setki. Susan spaliła je jeszcze na studiach; powędrowały do ogniska na którychś z rzędu urodzinach jej zmarłego ojca.

- Nie. Zniszczyłam je dawno temu. Claire przyjrzała się jej uważnie.

- Czujesz się dobrze? Nie chcesz jechać do szpitala?

Susan dotknęła pakami szyi. Na skórze wystąpiła jej brzydka czerwona pręga. Piekła, ale w końcu musiała się wygoić.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała.

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi. Henry podszedł, otworzył; do gabinetu wszedł Archie Sheridan.

- Możecie dokończyć rano? - zapytał. - Niech Susan jedzie do domu i prześpi się trochę.

Na jego włosach i ubraniu perliły się kropelki wody. Tak samo wyglądał rower albo deskorolka, która została na noc na dworze i rano lśni od rosy. Susan poczuła nagłą chęć, żeby rzucić mu się w ramiona.

- Jesteś cały mokry - zauważyła.

- Pada deszcz - odparł.

- Dzięki Bogu - mruknęła. I zaczęła płakać. Archie przyklęknął, objął ją ramieniem. Poczuli pod policzkiem mokrą sztruksową klapę jego marynarki. Płakała dalej, nie dlatego, że miała ochotę, ale dlatego, że nie mogła powstrzymać łez. Drżała na całym ciele, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Zakryła twarz. Archie pachniał deszczem. Jego szorstki sweter drażnił jej skórę, ale nie zwracała na to uwagi. Kiedy po kilku minutach uniosła głowę, Henry'ego i Claire już nie było.

- Lepiej ci? - zapytał Archie.

Susan uniosła rozdygotane dłonie, przyjrzała się im.

- Nie.

- Boisz się?

Pomyślała przez chwilę.

- Można powiedzieć, że jak cholera. Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Przejdzie ci - zapewnił.

Susan ogarnęła wzrokiem jego twarz: spojrzenie pełne życzliwości, źrenice jak maleńkie czarne punkciki. Tam, na łodzi, pokazał, że nieźle umie grać. O ile to była gra.

- A czego ty się boisz, Archie? - zapytała.

- To do twojego artykułu? - W jego oczach błysnęło rozbawienie, ale też iskierka podejrzliwości.

- Tak. - Patrzyła na niego przez chwilę, a potem roześmiała się głośno. - Ale jeśli chcesz, możemy pogadać prywatnie.

Archie zastanowił się i nagle twarz mu pociemniała. Sprawiał wrażenie, jakoby odpychał od siebie jakąś dokuczliwą myśl.

- Chyba dam sobie na jakiś czas spokój z prasową biografią - powiedział wreszcie.

Susan skinęła głową i w tym momencie uświadomiła sobie, że Archie Sheridan zawsze mówił i pokazywał jej tylko to, co chciał jej powiedzieć i pokazać. Ale to właściwie było nieważne. Miał prawo do sekretów. Ona natomiast skończyła z tajemnicami.

- Powiedział, że należę do niego - wyznała. - Twierdził, że każdy człowiek należy do kogoś. Ma swoją pokrewną duszę. Ja byłam kimś takim dla niego. Mówił, że to oczywiste i nie ma sensu zaprzeczać.

Archie położył jej dłoń na ramieniu.

- To nie była prawda.

Susan oparła zaciśniętą pięść o jego piersi.

- Tak czy inaczej... - zaczęła. - To zabrzmiało idiotycznie, ale dziękuję za uratowanie mi życia.

- Wcale tak nie zabrzmiało.

Pochyliła się i delikatnie musnęła ustami jego usta. Archie ani drgnął. Nie odwzajemnił pocałunku, ale też przed nim nie uciekał. Kiedy Susan otworzyła oczy, uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Musisz z tym skończyć - oznajmił. - Dość tej fascynacji starszymi facetami mającymi władzę.

Wykrzywiła się do niego.

- W porządku. Natychmiast się do tego zabieram.

Susan wyszła z gabinetu na zaplecze. W poczekalni siedzieli trzej mężczyźni: Jefferson Parker, Derek-Frajerek i Ian Harper. Czekali na nią. Mrużąc oczy, wyjrzała przez zalane deszczem okno za ich plecami - i przez chwilę wydawało jej się, że już wstał dzień, ale potem zrozumiała, skąd tyle światła. To były lampy kamerzystów. Porwanie Susan Ward trafiło do wiadomości telewizyjnych i reporterzy czaili się, żeby złapać kilka ujęć do porannych serwisów informacyjnych. Koniecznie trzeba coś zrobić z tymi różowymi włosami, pomyślała. Na przykład ufarbować na niebiesko.

Parker wystąpił z szeregu. To właśnie jego widok najbardziej ucieszył Susan - z wielu powodów, ale przede wszystkim ponieważ wiedziała, że będzie miał przy sobie papierosy. Poczęstował ją jednym, wciskając w drugą dłoń plastikową zapalniczkę, a potem ściągnął płaszcz i narzucił go jej na ramiona.

- Musimy pogadać - oznajmił. - I nie tylko dlatego, że chcę wyprzedzić z publikacją tych frajerów, co warują pod drzwiami.

- Dostaniesz ode mnie fakty - zgodziła się - ale sama napiszę wstrząsającą relację z pierwszej ręki. Do rana będzie gotowa. Po Parkerze podszedł do niej Ian. Miał na sobie bluzę i dżinsy. Widać było wyraźnie, że ubierał się pośpiesznie, obudzony telefonem w środku nocy. Susan przyszedł na myśl tylko jeden komentarz: Wiedziałeś, że zniknęłam i poszedłeś spać? Ty palancie. Ale on patrzył na nią tak, jakby nic nie zaszło. Jakby miał przed sobą tę samą Susan. I w sumie miał rację: była taka sama jak dawniej. Ale zamierzała się zmienić. Włożyła papierosa do ust i zapaliła go, a zapalniczkę oddała Parkerowi, odnosząc niejasne wrażenie, że wciąż jeszcze trzęsą się jej ręce.

- Jak już sobie pogadacie, odwiozę cię do domu — ogłosił Ian.

- Nie - odpowiedziała, zaciągając się dymem, mocno, porządnie, tak jak na starych francuskich filmach. A potem otaksowała go wzrokiem: był arogancki, protekcyjny, po profesor-sku wyniosły. Zobaczyła w nim wszystkich szefów i wszystkich nauczycieli, z którymi poszła w życiu do łóżka. Tak. Chyba czas już najwyższy pomyśleć o leczeniu. Ciekawe, pomyślała leniwie, czy moje ubezpieczenie pracownicze w „Heraldzie” pokrywa koszty takiej terapii. Ale to chyba nie był najlepszy moment, żeby o to zapytać.

- Kiedy to wszystko już ucichnie - oznajmiła łanowi - biorę się do sprawy Molly Palmer. Nie będę pisać o niczym innym.

- Zarznieś sobie karierę - zaprotestował, aby po chwili dorzucić jeszcze ostateczny kontrargument: - To jest brukowe dziennikarstwo.

Susan odpowiedziała spokojnym, zdecydowanym tonem:

- A ona była jeszcze nastolatką, Ian. Chcę się dowiedzieć, jak to wyglądało. Od niej samej.

Ian westchnął. Zakołysał się na piętach. Otworzył usta, jakby miał zamiar się z nią sprzeczać, ale po chwili namysłu machnął tylko ręką. Susan widziała, że dym z jej papierosa gryzie go w oczy, ale nie cofnęła dłoni.

- Nie namówisz jej na wywiad - zawyrokował Harper. - Z nikim jeszcze nie rozmawiała na ten temat. Ale skoro koniecznie chcesz spróbować... - zawiesił głos.

Susan odwróciła się do Parkera.

- Pożyczysz mi trochę forsy na taksówkę? Nie wiem, co się stało z moją torebką.

Parker podał jej małą torebkę z czarnej skóry.

- Znaleźli ją w samochodzie Restona - wyjaśnił. - Ale nie musisz wracać taksówką. Kiedy będziesz gotowa, odwiezie cię jakiś

policjant.

- Ja cię odwiozę - zgłosił się Derek-Frajerek. Susan zaważyła, że nie zdążył wymodelować sobie fryzury suszarką, skutkiem czego z głowy sterczały mu nierówne kępkki włosów, jakby przycięte profilowanymi nożyczkami. Całkiem fajnie to wygląda, pomyślała.

- Ty masz mi napisać relację, młody - powiedział Parker. - Trzeba ją wrzucić do serwisu, zanim ktoś nas uprzedzi. Jak się wcześniej wychodzi z pracy, to nie ma potem co szukać swojego nazwiska w nagłówkach.

Derek wzruszył ramionami, rzucając Susan krótkie spojrzenie.

- Będzie jeszcze o czym pisać.

- Chcę dostać nowego praktykanta - oznajmił Parker Ianowi. - Ten się nie sprawdza.

Susan widziała jednak, że nie mówi tego poważnie.

- Jaki masz samochód? - zapytała Dereka. - Czeka, niech zgadnę. Volkswagena Jetta? Nie. Taurusa?

Derek zadzwonił jej przed nosem kluczykami.

- Starego mercedesa - przyznał się. - Na bio-diesla. Twarz Susan rozjaśnił leniwy uśmiech.

- Najpierw muszę wpaść do domu po laptopa - powiedziała, szybko maskując zadowolenie papierosem - a potem zawieziesz mnie do Bliss.

Derek uniósł pytająco brwi.

- Do mojej mamy - wyjaśniła pospiesznie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu komórki. - Mieszka w Southeast. - Wydobyła telefon, spojrzała na wyświetlacz. Miała jedną nową wiadomość.

- Widzę, że jesteście bardzo blisko - zażartował.

- To czysta ironia - zapewniła go, wciskając klawisz połączenia z pocztą głosową. - Uwierz mi na słowo.

Jedna nowa wiadomość.

- Zawiozę cię, dokąd tylko chcesz - zadeklarował się Derek. Już miała na języku jakąś ciętą odpowiedź, ale wiadomość właśnie zaczęła się odtwarzać. Nagrała ją Molly Palmer.

Anne włożyła swój długi skórzany płaszcz. Nie była już potrzebna, ale zawsze lubiła się przyglądać, jak detektywi zamykają dochodzenie. Dzięki temu i ona miała poczucie, że doprowadziła sprawę do końca. Wychodząc z kwatery patrolu rzeczniczego, wyciągnęła z kieszeni kluczyki do samochodu. Po kilku dniach pogody powróciła właśnie wilgotna aura typowa dla stanów północnego zachodu. Anne nie mogła zrozumieć, w jaki sposób tutejsi mieszkańcy mogą ją znieść. Ona czuła się tak, jakby wszystko dookoła gniło i pleśniało.

- Wykonałaś dziś kawał dobrej roboty - usłyszała głos Ar-chiego.

Odwróciła głowę; stał tuż za progiem, w drobnym, mżącym deszczu. Uśmiechnęła się do niego.

- Chcesz się ze mną zabrać? - zaproponowała. - Wracam do Heathmana. Mogę cię podrzucić.

- Nie, zadzwoniłem już po taksówkę.

Anny obejrzała się przez ramię; wewnątrz zostali jeszcze Claire i Henry, uzgadniający coś z technikami kryminalnymi.

- Któreś z nich może cię podwieźć - wskazała ruchem głowy. Archie wzruszył ramionami.

- Muszę jeszcze gdzieś zajrzeć po drodze.

- O tej porze?

Anne domyślała się, dokąd chce jechać Sheridan. Ona też była u Gretchen Lowell, zaledwie kilka dni po aresztowaniu, kiedy Archie wciąż jeszcze leżał w śpiączce farmakologicznej. Tamten całkowicie błędny profil nie dawał jej spokoju; miała nadzieję, że nauczy się czegoś od Wirtuoza. Ale Gretchen nie chciała z nią rozmawiać. Przez okrągłą godzinę nie odezwała się ani słowem. Nie odpowiedziała na żadne z pytań, którymi zasypywała ją Anne Boyd. Dopiero kiedy psycholożka wstała, zbierając się do wyjścia, otworzyła usta po raz pierwszy. Wypowiedziała jedno zdanie. „On żyje?”.

- Wracasz jutro do domu, czy zostajesz na uroczystościach gratulacyjnych? - chciał wiedzieć Arenie. - Będą konferencje prasowe i tak dalej.

Anne pozwoliła mu zmienić temat.

- Mam bilet na nocny lot.

Wiedziała, że nie można mu się narzucać z pomocą, że należy poczekać, aż będzie gotowy, ale bolało ją serce, kiedy patrzyła, jak Archie się męczy, a jeszcze trudniejsze do zniesienia było to, że nie może nic dla niego zrobić. Powiedziała więc tylko:

- W ciągu dnia jestem uchwytna. - I jeszcze na wszelki wypadek: - Gdybyś chciał pogadać.

Archie dotknął palcami jakiegoś przedmiotu, który miał w kieszeni marynarki. Spuścił głowę i spojrzał na swoje buty.

- Rzeczywiście muszę z kimś pogadać - przyznał.

- Ale nie ze mną - domyśliła się.

Uśmiechnął się do niej, unosząc wzrok. Wyglądał na wykończonego. Ciekawe, pomyślała, czy ja też tak wyglądam.

- Miłego lotu - powiedział ciepło, serdecznie. - Dobrze było znów cię widzieć.

Anne zrobiła mały krok w jego stronę.

- To wszystko, co zaszło, kiedy byłeś z Gretchen, co czułeś i co zrobiłeś... Nie możesz tego oceniać. To była sytuacja ekstremalna. Ona specjalnie to wyreżyserowała, żeby cię sprowokować do ekstremalnych reakcji.

Archie odwrócił oczy, zapatrzył się w noc.

- Tam, w tej piwnicy, wyrzekłem się wszystkiego, co kocham - wyjaśnił cicho, panując nad głosem. - Moich dzieci. Mojej żony. Mojej pracy. I mojego życia. Miałem umrzeć. W jej ramionach. I nie miałem nic przeciwko temu, bo ona czuwała przy mnie. - Spojrzał Anne prosto w oczy. - Byłem pod jej opieką.

- Ta kobieta to psychopatka.

Na nieduży parking za kwaterą patrolu rzecznygo zajechała żółta taksówka.

- Wiem - zgodził się Archie, ruszając w jej stronę. - Ale to moja psychopatka.

50

Po przebudzeniu Archie jest kompletnie zdezorientowany. Wciąż znajduje się w piwnicy. Leży na tym samym łóżku. Ale wszystko jest jakoś inaczej. Łóżko stoi teraz pod ścianą. Zniknął smród grających zwłok. Archie rozgląda się; trupa już nie ma, a betonową podłogę wyszorowano do czysta. On sam jest opatrzony nowymi, białymi bandażami. Na łóżku ma świeżą pościel. Sam też czuje się świeżo, bo jest umyty. W pomieszczeniu unosi się zapach amoniaku. Archie przerzuca pokancerowane obrazy w swojej udrećzonej pamięci, szuka wspomnień z ostatniego okresu.

- Spałeś przez dwa dni - słyszy za sobą głos, a po chwili Gretchen staje przy nim. Ma na sobie nowe, czyste ubranie: czarne spodnie i sweter z szarego kaszmiru. Umyła też swoje bujne blond włosy i zaczesła je gładko w lśniący koński ogon.

Archie gapi się na nią, mrugając oczami. Wciąż jeszcze ma mętlik w głowie.

- Nie rozumiem - udaje mu się wykrztusić.

- Umarłeś - wyjaśnia Gretchen krótko. - Ale przywróciłam cię do życia. Dziesięć miligramów lidokainy. Nie byłam pewna, czy podziała. - Błyska radosnym uśmiechem. - Musisz mieć zdrowe serce.

Archie rozgryza przez chwilę, co to miało naprawdę znaczyć.

- Dlaczego? - pyta.

- Bo jeszcze nie skończyliśmy.

- Ja już skończyłem - oświadcza najbardziej kategorycznym tonem, na jaki go stać.

Gretchen posyła mu karcące spojrzenie

- Ty nie masz prawa głosu, zapomniałeś? To ja decyduję o wszystkim. Ja tu rządę. Ty tylko masz się słuchać. - Pochyliła się nad nim, nisko, bardzo nisko, gładzi go swoją ciepłą dłońią po policzku. - To najłatwiejsza rzecz pod słońcem - szepcze uspokajająco. - Tyle lat ciężko pracowałeś. Byłeś zawsze na każ-de wezwanie. Brałeś na siebie olbrzymią odpowiedzialność. Z pytaniami wszyscy przychodzili tylko do ciebie.

Jej oddech muska jego wargi, łaskocze. Archie nie patrzy na nią. To go przerasta. Patrzy przed siebie, tak, jakby jej w ogóle nie było.

- Wszyscy już myślą, że nie żyjesz, kochany. Minęło bardzo dużo czasu. Ja nikomu nie pozwałam żyć aż tak długo. Henry o tym wie. Wydawało mi się, że będziesz zadowolony. Teraz już nikt cię nie potrzebuje. - Uśmiecha się. całuje go w czoło. - Ciesz się tą swobodą.

Ten pocałunek Archie czuje nawet wtedy, gdy Gretchen odwija bandaż zasłaniający bliznę po nacięciu, które zrobiła, żeby wyjąć mu śledzionę. I wtedy, gdy dostrzega czarną drabinkę szwu ściągającego jego rozkrojone ciało. Gretchen wygląda na zadowoloną.

- Opuchlizna zaczęła schodzić, zaczerwienienie też - informuje go. Archie odwraca wzrok, wpatruje się w sufit, nie zamykając oczu. Nie ma ucieczki. To jakiś chory dowcip. Przecież w ten sposób ona może go tutaj trzymać latami. Jest zdany na jej łaskę. Ale jedną rzecz musi wiedzieć.

- Co ze mną zrobisz?

- Zatrzymam dla siebie.

- Jak długo?

Gretchen znów pochyla się nad nim, tym razem oko w oko, więc Archie musi na nią patrzeć. Jej niebieskie oczy są otwarte szeroko, jedna brew lekko uniesiona, skóra jaśnieje. Jej uśmiech jest radosny, promienny.

- Dopóki tylko będziesz chciał. Archie zamyka oczy.

- Chciałbym się przespać.

Kiedy się budzi, Gretchen znów ma w dłoni nóż modelarski i tnie nim skórę na jego piersi. Boli, ale on nie zwraca uwagi na ten ból. To naprawdę drobna uciążliwość, coś jak ukąszenie komara, przypomina mu jednak, że wciąż jeszcze żyje.

- Mam przestać? - pyta Gretchen, nie patrząc na niego.

- Nie - odpowiada. - Mam nadzieję, że przetniesz mi tętnicę.

Gretchen kładzie mu dłoń na policzku i nachyla się do jego ucha, jakby chciała mu powierzyć jakiś sekret.

- A twoje dzieci? - pyta. - Nie chcesz żyć dla nich? Kochane buźki Bena i Sary pojawiają się przed jego oczami, a on wymazuje je ze swoich myśli, z pamięci, do czysta, aż pozostaje tylko pustka. Odwraca twarz do ściany.

- Nie mam żadnych dzieci.

- Jak długo tu jestem?

Chce wiedzieć, bo tyle razy już tracił przytomność, że kompletnie zagubił się w rachubie czasu. Ile już siedzą w tej piwnicy?

Kilka tygodni? Czy może miesięcy? Nie potrafi powiedzieć. Znów zaczął pluć krwią. Wie, że to ją niepokoi. Jej piękna twarz jest teraz wiecznie ściągnięta ze zmartwienia. Gretchen nie odstępowała go już ani na chwilę, non stop czuwa przy jego łóżku. Archie chciałby przestać pluć krwią, żeby tylko sprawić jej przyjemność, ale nie może tego powstrzymać.

Gretchen siada przy nim, zakłada kosmyk swoich jasnych włosów za ucho i dotyka koniuszkami palców do jego nadgarstka. Mierzy puls. Ostatnio robi to bardzo często, a Archie nagle domyśla się dlaczego: umiera. Wie, że Gretchen będzie trzymać go za rękę przez piętnaście sekund; to jest w tej chwili jedyna rzecz, na którą czeka. Rozkoszuje się tym sekundami. Uczy się na pamięć dotyku jej palców, żeby móc nakreślić je z powrotem na swojej skórze,

kiedy zabierze dłoń.

- Rozwiąż mnie - mówi. Samo dobycie głosu jest wysiłkiem, który kosztuje go kilka wdechów, a słowa są ciche i brzmią ochryple.

Gretchen nie zastanawia się ani sekundy. Po kolei rozpina klamry krępujące jego nadgarstki. Archie nie ma siły, żeby unieść ręce choćby na kilka centymetrów, ale ona chwyta jego dłoń i przyciska do ust. Na twarzy ma jakąś ciepłą wilgoć. To łzy; Archie dostrzega je dopiero po chwili. Gretchen płacze. I łamie mu tym płaczem serce. Teraz to jemu napływają do oczu łzy, kiedy jej własne stygną na jego szorstkiej, poobcieranej dłoni.

- Już dobrze - szepcze Archie pocieszająco.

Uśmiecha się do niej, bo naprawdę w to wierzy. Wszystko jest dobrze. Znalazł swoje miejsce. Ona jest taka piękna, a on taki zmęczony. A koniec już bardzo, bardzo bliski.

51

Archie zadzwonił do więzienia jeszcze z taksówki, więc kiedy zapłacił swoje sto trzydzieści osiem dolarów za kurs i przeszedł przez wszystkie kontrole, Gretchen czekała już na niego w sali do przesłuchań, obudzona w mało subtelny sposób i wyciągnięta z celi. Po wejściu zobaczył ją siedzącą przy stole: włosy w nieładzie, bez makijażu, ale mimo to w jakiś sposób sprawiała wrażenie całkowicie ogarniętej. Wyglądała jak aktorka ucharakteryzowana do roli kobiety, która nie dba o siebie.

- Jest czwarta w nocy - zwróciła mu uwagę.

- Wybacz. - Usiadł naprzeciwko niej. - W czymś przeszkodziłem? Obejrzała się nieufnie przez ramię na weneckie lustro.

- Jest z tobą Henry?

- Nikogo ze mną nie ma. Nie ma też podglądu ani przyzw-itek. Jesteśmy sami, tylko ty i ja. Przyjechałem taksówką.

- Z Portland? - zapytała z niedowierzaniem.

- Jestem bohaterskim policjantem - wyjaśnił zmęczonym głosem. - Mam fundusz reprezentacyjny.

Uśmiechnęła się do niego, leniwie i sennie.

- Domyślam się, że go złapałeś.

Archie poczuł, jak nareszcie schodzi z niego całe napięcie. Ale tak naprawdę to wcale nie było odprężenie, tylko kapitulacja. Tak wiele sił i energii wkładał w zachowywanie pozorów - a przy niej pozory traciły wszelką wartość. Ona wiedziała z całą dokładnością, że Archie Sheridan to wrak człowieka, mógł więc rozluźnić mięśnie, przymknąć ociężałe powieki i mówić głuchym, ochryplym głosem. Mógł podrapać się w twarz, gdyby go coś zaśwędziało. Mógł powiedzieć wszystko, co mu przyszło do głowy, nie przejmując się, że ktoś go przejrzy i odgadnie jego prawdziwe myśli.

- Mniej więcej trzy godziny temu dostał w głowę od snajpera.

Podobałaby ci się ta akcja. - Urwał, unosząc brew i po namyśle dodał: - Może oprócz tego, że zginął na miejscu.

- Przecież wiadomo, że jesteś specem od tropienia seryjnych morderców. Przyszedłeś mi się pochwalić?

- To już muszę mieć jakiś ukryty motyw, żeby zajrzeć do ciebie?

- Dzisiaj nie jest niedziela. - Gretchen przekrzywiła głowę, przyglądając mu się uważnie. Pomiedzy jej brwiami zaznaczyła się mikroskopijna pionowa kreseczka. - Dobrze się czujesz?

To pytanie było tak śmieszne, że aż parsknął głośno. Nie, stanowczo nie czuł się dobrze. Właśnie zakończył ciężki, wyczerpujący dzień w stresującej, choć dającej satysfakcję pracy i dokąd pojechał? Do więzienia stanowego. Bo w jaki sposób człowiek najlepiej może zażyć relaksu? Bawiąc się z dziećmi? Nie. Rozmawiając z kobietą, która połamała mu żebra młotkiem i gwoździem.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - powiedział, przecierając dłonią oczy. - Nieźle mam nasrane we łbie, co?

- Wiesz, skąd wzięło się określenie „syndrom sztokholmski”?

zapytała słodkim głosikiem, kładąc na stole spięte kajdankami dłonie, tak, że koniuszki jej palców nieledwie sięgały prawej dłoni Archiego. - W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim drobny przestępca nazwiskiem Janne Olsson wszedł do filii banku Kreditbanken w centrum Sztokholmu, uzbrojony w karabin maszynowy. Zażądał trzech milionów koron i uwolnienia przyjaciela odsiadującego wyrok w więzieniu. Policjanci ścignęli tego człowieka i pozwolili mu wejść do banku. Przez sześć dni obaj koledzy przetrzymywali w skarbcu czworo zakładników z personelu Kreditbanken. Skończyło się tak, że antyterrorysty wywiercili dziurę w ścianie skarbcza i wtłoczyli do środka gaz. Olsson i jego kumpel poddali się. - Gretchen podsunęła dłonie jeszcze troszeczkę bliżej ręki Archiego. Skórę miała gładką, paznokcie obcięte na krótko. - Uwolniono wszystkich zakładników. Nikomu nie spadł włos z głowy. Ale chociaż grożono im śmiercią i zmuszano do noszenia stryczków na szyi, to wszyscy zgodnie bronili Olssona. Jedna z kobiet wyznała nawet, że chciała uciec razem z nim. Olsson odsiedział w więzieniu osiem lat. Wiesz, gdzie się teraz podziewa? - Delikatnie, powoli przesunęła opuszkami palców po kciuku Archiego. - Ma sklep spożywczy w Bangkoku. Archie spojrzął na ich złączone dotykem dłonie, ale nawet nie drgnął.

- Szwedzkie sądy powinny karać surowiej - skomentował.

- Sztokholm to piękne miasto. W ogrodzie botanicznym Bergianska jest cieplarnia, gdzie hodzi się rośliny ze wszystkich stref klimatycznych. Zabiorę cię tam kiedyś.

- Nigdy nie wyjdiesz z więzienia.

Gretchen uniosła tylko z obojętną miną brwi i zakreśliła palcem małe kółko na jego dłoni, u podstawy kciuka.

- Śmieszna sprawa - podjął Archie, obserwując jej ruchy - że Reston zaczął zabijać dopiero po dziesięciu latach. Anne uważa, że

musiał zadziałać jakiś bodziec.

- Tak?

Archie uniósł głowę, spojrzał na nią.

- Jak go poznałaś? Gretchen uśmiechnęła się. - Ja?

- Reston - powtórzył Archie. I splótł palce z jej palcami. To był pierwszy raz, kiedy sam celowo jej dotknął. Wydawało mu się, że w jej oczach zamigotała iskierka zaskoczenia. - Był jednym z twoich wspólników. Możliwe, że go szkoliłaś - dodał, ciesząc się ciepłem jej dłoni na skórze. - Tamtego dnia był razem z tobą. Ten drugi mężczyzna, który niósł mnie do samochodu, to był on. Potem ty poszłaś do więzienia, a jego zaburzenie zaczęło przybierać na sile, aż wreszcie pękł. Jak go poznałaś?

Spojrzała na niego, a on w tym momencie uświadomił sobie, że Gretchen zawsze mówiła i pokazywała mu tylko to, co chciała mu powiedzieć i pokazać. Zawsze miała wszystko pod kontrolą. Zawsze wyprzedzała go o jeden ruch.

- Wybrałam go sobie, tak jak wszystkich innych - powiedziała wesołym, zadowolonym tonem, patrząc mu w oczy i przekrzywiając uroczo głowę. - Charakterystyka, którą podał w Sieci, była idealna. Rozstał się z żoną wiele lat temu. - Uśmiechnęła się. - Lubię rozwodników, bo są samotni. Nie miał żadnego hobby, żadnej pasji. Wysoki iloraz inteligencji. Klasa średnia. - Przewróciła oczami, robiąc lekceważącą minę. - Przepisał kiedyś wiersz Roberta Lowella i próbował wmawiać ludziom, że to jego własny. Klasyczny narcyz. - Pochyliła się do przodu. - Łatwo takimi manipulować, bo są absolutnie przewidywalni. Miał depresję. Obsesyjnie marzył o jednej rzeczy. - Ponownie rozchyliła usta w uśmiechu. - I do tego lubił blondynki. Zaczęliśmy się spotykać. Powiedziałam mu, że mam męża, więc nasza miłość musi pozostać tajemnicą. I dałam mu to, czego chciał. Poczucie władzy. Uległość. Pozwoliłam mu myśleć, że to on rządzi. Skąd ja to znam, pomyślał Archie.

- A kiedy już wszystko z niego wyciągnęłam i wyznał mi, jak bardzo pożąda pewnej nastolatki, z najwyższą łatwością pomogłam mu wyrazić czynem trawiący go gniew.

Archie jeszcze mocniej zacisnął palce splecione z jej palcami. Ich dłonie były jak zrośnięte. Poczul w ustach piekącą suchość. Z najwyższym trudem znosił widok tej kobiety, ale mimo to za nic nie cofnąłby ręki. Nagle wszystko stało się przerażająco jasne.

- Wydawało mi się, że wprowadzenie Susan do gry to był mój plan. Ale Reston powiedział ci o niej już dawno. Zauważyłaś w gazecie jej artykuł i podsunęłaś mi pomysł. Przestałaś wydawać swoje ofiary. Wspomniałaś o dziennikarce nazwiskiem Susan Ward. Wystawiłaś nas wszystkich do wiatru. - Archie potrząsnął głową, zanosząc się stłumionym chichotem. - A potem zasiadłaś, żeby podziwiać swoje dzieło. - To, co mówił, brzmiało jak kompletny absurd, bredzenie paranoika, urojenia narkomana. - Tylko, że raczej nie uda mi się tego udowodnić.

Uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie.

- Najważniejsze, że wróciłeś do pracy - zauważyła. - Wyrwałeś się wreszcie z tego swojego mieszkania.

Henry, pomyślał Archie. Henry na pewno by mi uwierzył. Ale co dalej? Zrobiłby wszystko, żebym już nigdy nie zobaczył Gretchen.

- A Paulowi jesteś winien wdzięczność - wbiła mu kolejną szpilę. - Oddał ci litr własnej krwi.

Archie odwrócił głowę. Zrobiło mu się niedobrze. Przed oczami błysnęło mu wspomnienie Restona leżącego na wykładzinie koloru sztucznej murawy, z krwawą miazgą zamiast głowy.

- Naprawdę lubisz Godarda? - zapytał Gretchen.

- Nie - odparła. - Ale wiem, że ty go lubisz.

Ciekawe, pomyślał, czy jest jeszcze coś, czego Gretchen Lo-well o mnie nie wie.

- A teraz ty odpowiedz mi na jedno pytanie - powiedziała ona, kładąc drugą dłoń na jego dłoni, tak, że był już całkowicie w jej rękach. - Czy spodobałam ci się, kiedy mnie poznałeś? Jako psychiatrę piszącą książkę?

- Miałem żonę.

- Czemu tak wymijająco? Bądź ze mną szczery.

Cóż, przemknęło mu przez głowę, zdradziłem już przecież Debbie do samego końca. Ten szczegół też mogę zdradzić.

- Tak - potwierdził.

Puściła jego dłoń i usiadła na swoim krześle.

- Pokaż - powiedziała.

Wiedział dobrze, o co jej chodzi i zawahał się tylko przez chwilę. Sięgnął do guzików, rozpinając je po kolei, a kiedy rozpiął ostatni, rozchylił koszulę, żeby mogła sobie obejrzeć jego poharatany tors. Gretchen uklękła na swoim krześle, opierając się łokciami o blat stołu, zbliżyła się, chcąc wszystko dokładnie zobaczyć. Archie siedział jak skamieniały, nawet nie drgnął, kiedy wyciągnęła skrępowane ręce i przesunęła samym końcem palca po konturze serca, które wycięła na jego piersi. Nie poruszył się, ale był ciekawy, czy zauważyła, jak tętnica na szyi nagle zaczęła mu dziko pulsować. Czuł zapach jej włosów. Nie był to już bez, tylko jakiś niemarkowy więzienny szampon; silny, owocowy aromat. Palce Gretchen wędrowały dalej, wzdłuż pionowej blizny biegnącej przez sam środek piersi. Archie poczuł, jak twardnieją mu mięśnie brzucha i te niżej, pod brzuchem.

- To blizna po operacji przełyku? - zapytała. Przytaknął.

Jej palce przeskoczyły na lewo, pod przeponę, tam, gdzie kiedyś znajdowała się jego śledziona.

- To nie jest moje cięcie. Odchrząknął.

- Musieli otworzyć mnie z powrotem. Trochę krwawiło w środku.

Skinęła głowę, przebiegając palcami po mniejszych bliznach, po tych gryzmołach, które wypisała mu na skórze nożem modelarskim. Odnalazła dotykiem półksiężyc na obojczyku, prześlizgnęła się po brodawkach jego sutek i sięgnęła niżej, do szram na bokach,

ciemniejących równolegle, niczym skrzela, na delikatnej skórze. Pomyślał o tym, że już od całych dwóch lat nikt go nie dotykał. Bał się choćby drgnąć. Dlaczego? Nie chciał jej spłoszyć? Zamknął oczy, postanawiając nie odmawiać sobie tej krótkiej chwili przyjemności. Czy to mogło mu zaszkodzić? Czuł się dobrze, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Jej palce powędrowały jeszcze niżej i nagle do jego krocza spłynęła wielką falą krew. Gretchen zaczęła rozpinąć mu pasek. Kurwa, pomyślał, otwierając oczy i chwytając ją za nadgarstek. Jej ręce zawisły w powietrzu.

Uniosła błyszczące oczy. Na policzkach płonął jej rumieniec.

- Przy mnie nie musisz udawać, że jesteś grzecznym chłopcem, Archie.

Nie odpowiedział i nie zwolnił chwytu, trzymając jej ręce kilka centymetrów od wypukłości w swojej nogawce.

- Poczujesz się lepiej - obiecała. - Potrafię to zrobić. Tylko mnie puść. Nikt nie musi wiedzieć.

Ale on trzymał dalej. Pragnął jej dotyku każdym nerwem ciała, a jednocześnie ta resztką rozumu, którą jeszcze mógł władać, podpowiadała mu, że jeśli sobie na to pozwoli, odda jej ostatnią cząstkę siebie. I to będzie koniec. Gretchen posiada go całkowicie. Była naprawdę niesamowicie dobra w swoim fachu. Potrafiła zadać mu cierpienie, nawet go nie dotknąwszy. Ta myśl tak go rozbawiła, że roześmiał się głośno i odepchnął jej ręce od siebie.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała. Potrząsnął tylko głową.

- Nieźle ci to wyszło. Zrobiłaś ze mnie kompletnego świra. Wyjął z kieszeni spodni swoje pudełeczko, otworzył je i wysypał na dłoń tabletki, nie licząc. A potem połknął je po kolei.

- Po co jeszcze się doprawiasz? I tak już jesteś naćpany.

- Uważaj - ostrzegł ją. - Zaczynasz mówić jak Debbie.

- Te leki nie są bezpieczne. Paracetamol cię zabije. Masz już bóle w nerkach?

- Czasami.

- Jeśli pojawi się gorączka, żółtaczka albo wymioty, musisz natychmiast jechać do szpitala, żeby zdążyć, zanim wysiądzie ci wątroba. Pijesz?

- Nic mi nie jest, serce moje - powiedział Archie.

- Są łatwiejsze sposoby, jeśli ktoś szuka śmierci. Mogę cię wyręczyć. - Znów dotknęła jego dłoni. - Przynieś mi tylko brzytwę.

- Jasne - westchnął. - Zarżniesz mnie, a potem jeszcze ze trzech strażników, kiedy tu przyjdą. Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego tylko dlatego, że mi stanął. Nie zapomniałem jeszcze, kim ty jesteś.

Gretchen uniosła skute dłonie, pogładziła go po policzku.

- Biedny Archie - powiedziała. - Ja dopiero z tobą zaczęłam.

Chociaż po lekach Archie widział wszystko jak przez mgłę, to jednak nie mógł nie dostrzec, że jest piękna. Jej uroda była zagadkowo delikatna. Jasna, lśniąca skóra. Twarz o nieskazitelnych rysach. Czasami niemalże zaczynał wierzyć, że Gretchen posiada

jakieś ludzkie uczucia. Z drugiej strony wiedział, oczywiście, że to potwór, nie człowiek.

- Muszę wracać do domu, zanim prochy zaczną działać. - Odepchnął się od stołu, wstał.

Gretchen opadła na oparcie swojego krzesła. Położyła dłonie na blacie.

- Jeszcze dziś o mnie pomyślisz, prawda? - zapytała. - Kiedy będziesz sam, w ciemnym pokoju? Kiedy położysz się już do łóżka?

- Nie ma dnia, żebym o tobie nie pomyślał. Uśmiechnęła się i posłała mu całusa.

- Do zobaczenia w niedzielę.

52

Archie siedział w kuchni i próbował wymyślić, w jaki sposób ma się wytłumaczyć z tych wszystkich rachunków za taksówkę, które leżały przed nim na stole. Kiedy zadzwonił telefon, wiedział, że to Debbie. Wstała rano, zajrzała do Internetu, znalazła artykuł, który miał się dziś pojawić na pierwszych stronach gazet. Podniósł słuchawkę.

- Ale z ciebie ranny ptaszek - powiedział.

- Złapałeś go.

Archie potarł powieki. Przez całą noc nie zmrużył oka. Spojrzał na zegarek. Policzył w pamięci. Przed wyjściem do pracy miał jeszcze czas na krótką drzemkę, mniej więcej godzinę. Potem weźmie parę tabletek, popije kawą i jakoś to będzie.

- Bo zgłupiał i zaczął wariować,

- Podobno wziął zakładnika. Tę dziennikarkę. - Głos Debbie był napięty, zatroskany. - A ty poszedłeś z nim negocjować.

- Nie było wielkiego zagrożenia. Najpierw zabiłby ją, mnie dopiero w drugiej kolejności.

- Powinieneś wrócić do domu.

W okno uderzyły strugi deszczu. Dziękujemy za trafną prognozę, pomyślał Archie z przekąsem. Spojrzał na swoje pudełeczko, wyjęte z kieszeni. To był prezent od Debbie. Dała mu je tego dnia, kiedy wypuścili go ze szpitala.

- Tylko na kilka dni - dodała szybko. - Możesz spać w pokoju gościnnym. Dzieci bardzo się ucieszą. - Umilkła, a potem dorzuciła jeszcze: - Nie lubię myśleć, że siedzisz w tym ohydny mieszkaniu.

Archie położył pudełeczko na dłoni. Piękny drobiazg, pomyślał. Dziewczynka z góry właśnie się obudziła. Słyszał, jak z wielkim piskiem i tupotem wybiega ze swojego pokoju, a po chwili włączył się telewizor. Mała odtańczyła Archiemu nad głową skoczny płas, a cały pokój wypełnił gwar pogodnych głosików; to krzyczały postacie z kreskówki.

Debbie westchnęła, ale brzmiało to tak, jakby westchnienie uwięzło

jej w gardle.

- Powiedz, dlaczego nie możesz nas znieść?

Archie poczuł, jak wzbiera w nim wielka fala palących wyrzutów sumienia, grożąc przełamaniem tamy, którą tak pieczołowicie wznosił na fundamencie leków uspokajających. Ale czy można wytłumaczyć komuś coś takiego?

- To skomplikowane - mruknął tylko.

- Wróć do domu, Archie.

Zamknął oczy i zacisnął palce na pudełeczku.

- Nie przestanę brać leków - oznajmił. - Nie przestanę jeździć do niej. Muszę. Wiem, że nie rozumiesz i wiem, że to obłąd. Ale ta kobieta to moja obsesja.

- Wiem. Przyjedź do domu. Na kilka dni.

I wtedy Archie otworzył przed nimi swoje myśli i przywołał z pamięci ich twarze: Debbie, Ben, Sara. Jego cudowna rodzina. Co ja zrobiłem, pomyślał. Co pozwoliłem sobie zrobić?

- W porządku - zgodził się.

- Naprawdę?

Chociaż był sam w tych czterech ścianach, skinął potakująco głową, kilka razy, usiłując wmówić sobie, że tak będzie dobrze i że nikt na tym nie ucierpi.

- Muszę się teraz trochę przespać - powiedział - a potem do pracy.

Poproszę Henry'ego, żeby mnie podrzucił wieczorem. Będzie zachwycony myśli, że chcę się zabić.

- A chcesz?

Archie zastanowił się przez chwilę.

- Raczej nie - odparł.

- No cóż, to już coś, prawda?

- Tak - mruknął. - Chyba tak.